Sygn.:
11786

„Ł U Ź N E K A R T Y"

T O M I.

PAMIETNIKI GEN. WALEREGO MARJAŃSKIEGO

DO KONCA I WOJNY SWIATOWEJ

7.XI. 1918

Wstęp.

Dlaczego piszę te"luźne Karty"?
Siostra moja ś.p. Maryla Wolska, umiejąca należycie ocenić wartość rozmaitych pamiętników pisanych za świeżej pamięci jeszcze pod pełnym wrażeniem chwil przeżywanych, a niezatartych prochem zapomnienia - nalegała zawsze na mnie, bym to, com przeżył, napisał, choćby ze względu na moje dzieci, których przeszłość ojca niezawodnie będzie interesować.

Račję miała, bom przecież przeżył i brał czynny udział w kataklizmie, jakiego właściwie dotąd historia świata nie znała; mam tu na myśli pierwszą wojnę światową.

Rezultatem jej było Zmartwychwstanie Polski, którego dożyłem, a nawet danym mi było brać zaszczytny udział we wszystkich walkach które musiała prowadzić Ojczyzna nasza zaraz w zaraniu swego zmartwychwstania.

Był więc mój żywot istotnie treścią bardzo brzemienny i jest o czym pisać.

Zabieram się więc do tej pracy, mając - jako przedwczesny emeryt - aż nadto czasu.

Nie będzie to jakiś zwarty pamiętnik, mający pretensję do jakiejś pracy literackiej. Przeciwnie! Będą to"luźne karty" w całym tego słowa znaczeniu - ot tak pisane - jak się opowiada, gwarząc przy kominku, z których prawie każda będzie się prawdopodobnie zaczynać od słów: "Przypominam sobie, było to......"

Ponieważ będą one przeznaczone dla mojej najbliższej rodziny żony i dzieci, nie będę się więc zupełnie wysilał na jakąś poprawną literacką formę. Będę pisał co mi na myśl i wspomnienie na pióro przyniesie.

Ergo incipiam!

Stosunki rodzinne. Dziecinne lata.

Daty rodzinne.

Nie dużo ich mam, 60 ś.p. mój Ojciec - jak wszyscy ludzie z epoki popowstaniowej (1863)r jakoś niechętnie i bardzo rzadko opowiadał o przeszłości. Zdaje się, że był to wpływ pozytywizmu. Więcej i chętniej opowiadała ś.p. Matka moja, romantyczka z krwi i kości.

Rodzina Maryańskich (przez y) herbu Ostoja pochodzi z Królestwa, podczas gdy Marjańscy (przez j) pochodzą ze szlachty zazbruczańskiej.

Pochodzi ona od francuza Jean Marion, (po polsku Jan Maryan) pułkownika w służbie Stanisława Koniecpolskiego, który był pierwszym komendantem twierdzy Kudak, założonej przez Koniecpolskiego w 1635 r.Tę twierdzę zdobył pułkownik kozacki Iwan Sulima, a dowódca jej Jan Maryan został przez kozaków okrutnie zamordowany. Sulimę schwytał Koniecpolski i kazał ściąć w Warszawie wraz z innymi pięcioma pułkownikami kozackimi.

Król Jan Kazimierz za wstawieniem się St. Koniecpolskiego nadał synowi tegoż Jana Maryana - również Janowi Maryanowi - za zasługi ojca w 1662 r. indygenat szlachectwa polskiego.

Do Galicji wyemigrował albo dziadek mój Karol Maryański (ur. w 1796 r), albo może pradziadek. Dziadek, brał udział w powstaniu w 1831 r., był ukończonym prawnikiem i gdzieś w 1850 r. , był plenipotentem hr. Potockiego w Brzeżańskim kluczu z siedzibą w Raju (zameczek koło Brzeżan).Był to człowiek bardzo zdolny, pracowity, o niewyczerpanej energii i nieskalanej prawości.

Epizody z życia moich dziadków w Raju.

Okres pobytu moich dziadków w Raju, to okres bardzo szczęśliwy. Materialnie powodziło im się bardzo dobrze, prowadzili dom otwarty i stałymi ich gośćmi byli oficerowie huzarów węgierskich, stacjonowanymi w Brzeżanach.W wielkiej przyjaźni żyli z pułkownikiem tych huzarów hr. Pongraczem. Tam się jakoś wydarzyło, że jakiś młody arystokrata węgierski, chłopak około 20 letni za udział w węgierskim powstaniu został skazany po kilku latach więzienia na Szpilbergen na 12 lat służby wojskowej jako prosty żołnierz i to w t.zw. "fuhrwerach" t.j. taborach.

Było to dla arystokraty bardzo wielkim dyshonorem. Przydzielono go do "fuhrweZów" w Brzeżanach.

Babka moja dowiedziawszy się o tym, zaprosiła tego fuhrwera do domu, gdzie był traktowany, jako hrabia, a nie jako prosty żołnierz. To szlachetne postąpienie mojej Babki,-"milion djabłów, Panie Swięty"- bardzo ujęło za serca rycerskich oficerów huzarów, którzy bardzo boleli nad tym swoim kompatryjotą.

Wkrótce potem matka owego "fuhrwera" zjechała z wizytą do Raju, by podziękować za opiekę nad jedynakiem, z czego wywiązał się między obu paniami stosunek szczerej przyjaźni.

Wspominam ten epizod, jako charakteryzujący owe czasy. Zdaje się, że ludzie tamtej epoki byli jakoś bardziej szlachetnie myślący i rycerscy, niż n.p. obecnie.

Jak długo moi dziadkowie mieszkali w Raju względnie jak długo Dziadek mój zajmował stanowisko plenipotenta hr.Potockiego w kluczu Brzeżańskim tego nie wiem. Mam jednak wrażenie, że gdzieś w 1850 r. a może w 1849 r. opuścił mój Dziadek to stanowisko i przeniósł się, jako prawnik, do służby państwowej do Sniatyna. Jednak już w 1862 r. zaczął chorować na jakiś wrzód za uchem, który się później okazał rakiem i mój Dziadek wśród mąk okropnych życie zakończył 14.VIII.1864 r. w wieku 60 lat. Opowiadała mi ciocia Teosia, która swego ojca do ostatniej chwili pielęgnowała, że nieszczęsny staruszek wołał w strasznym bólu, by go siekierą dobić! Wówczas nie znano jeszcze środków kojących ból, jak morfina, kokaina i.t.p. Został pochowany w Sniatynie.

Babka moja Waleria z Ajdukiewiczów Maryańska pochodziła z Zach Małopolski. Brat jej, dziadek Egis (Eugeniusz) miał w dzierżawie Witkowice; jednym z jego synów był ś.p. Zygmunt Ajdukiewicz, znany artysta - malarz, portrecista i "rodzajowiec", podczas gdy Tadeusz Ajdukiewicz również artysta - malarz był"batalistą" i był stryjecznym bratem ś.p. Zygmunta.

Babka Waleria Maryańska, zwana "matką rodu" (albo "babcia milion diabłów - Panie Swięty") ur. 1815 r. jeździła sławnie konno za młodu i jak w rodzinie mawiano - wyszła za mąż za dziadka Karola, bo ten jej ofiarował jakąś prześliczną klacz arabską!

Zresztą była to osoba bezdennej zacności i dobroci, której wybitnym rysem charakteru był zmysł dla węzłów rodzinnych.

Miała ona w ewidencji wszystkich członków rodziny, nawet najdalszych, wszystkimi się opiekowała i nie dopuściła, aby się któryś "zmarnował". Przy tym ogromnie czynna, gospodarna, miała przysłowie "Panie Swięty", a czasem "milion diabłów", gdy była bardzo poirytowana.

Rodzina ś.p. dziadka mego była bardzo liczną: Synów miał: Kazimierz Maryański - ogromny wisus - został oddany jako młody ch chłopak, do szkoły kadeckiej. Ponieważ jako kadet odznaczał się niezwykłymi zdolnościami w kierunku kartografii i miernictwa a także miał fenomenalny talent do rysunków, więc przydzielono go do "Wojskowego Instytutu Geograficznego" we Wiedniu, na czele którego stał sławny pułkownik Scheda.

Ów Scheda nosił perukę; Kazimierz wpadł na łobuzerski pomysł i wysmarował gumą arabską wewnętrzny obwód czapki Schedy. Stał się wielki skandal, bo Scheda wszedłszy do kawiarni, zdjął czapkę, razem z peruką! Okropna awantura, miano nawet Kazimierza zdegradować, bliższych szczegółów nie znam, dość, że Kazimierz znalazł się przy jakimś pułku w Czerniowcach.

Było to jakoś przed powstaniem. Kazimierz jako dowódca warty magazynu z karabinami, jakoś tak się urządził, że kilkaset karabinów znikło i poszło jako broń do postańców. To była już grubsza awantura, bo "pachła" sądem ~~wojskowym~~ wojennym i rozstrzelaniem!

Jednak cała warta składająca się z kilkunastu ludzi przysięgła, że Kazimierz był niewinnym i na tej podstawie go uwolniono. Faktem jest jednak, że wszyscy żołnierze wiedzieli, że Kazimierz do wykradzenia tych karabinów się przyczynił, a mimo to wszyscy krzywoprzysięgli, aby go ratować. Tak był on lubiany przez swoich podkomendnych.

Po tym jednak nie miał już Kazimierz czego w wojsku szukać.

Wystąpił więc z wojska i dostał się do "katastru", gdzie jako doskonały kartograf i specjalista od pomiarów miał pole do popisu. Były to czasy, w których w Austrii przeprowadzano tryjangulację całej monarchii i zakładano mapy katastralne.

Ile lat Kazimierz w katastrze pracował tego nie wiem. Po ukończeniu tych prac, przeniósł się do Rumunii, gdzie pracował jako inżynier. Zerwał z rodziną wszelkie węzły, czego mu Babka nie mogła darować i jakoś niedobrze się o nim wyrażała. Musiał rodzinie swoim łobuzerstwem dobrze " sadła za skórę zalać"! Umarł w Vaslui w Rumunii i tam jest pochowany.

Stanisław Maryański. Za protekcją namiestnika Galicji hr. Gołuchowskiego, z którym ś. p. dziadek Karol Maryański był w przyjaźni, umieszczono go małego Stasia w jakiejś szkole wojskowej * w Wiener Neustadt. Po skończeniu jej w 1859 r. w randze podporucznika, został przydzielony do 58 p. austryjackiej piechoty.(Czarne aksamitne wyłogi, guziki srebrne, biały kabot).Był to człowiek bardzo zdolny, bardzo prawy, obowiązkowy, bardzo wykształcony, przystojny.(Czarne oczy i czarne nieco kędzierzawe włosy) doskonale wychowany i władający świetnie obcymi językami, był on"oczkiem w głowie " Babci.

Będąc od małego chłopięcia wychowany poza domem w duchu monarchistyczno-austryjackim nie mógł z natury rzeczy tak gorąco pojmować i odczuwać spraw narodowych, jak ś.p. mój ojciec. Z Babką jednak zawsze korespondował po polsku i podczas swojej służby we Lwowie, względnie Stanisławowie obracał się w kołach polskich. Jako zawodowy wojskowy odnosił się do planów powstaniowych z wielkim sceptycyzmem, nie rokując im żadnego powodzenia i stał od tego całego ruchu zdala.

W latach 1864 - 1865 skończył t. zw. "Kriegsschule" t.j.

* po ukończeniu której, został przyjęty do Akademii Wojskowej w ...

"Szkołę Wojenną" we Wiedniu, jako jeden z pierwszych "Kriegsschule" czyli właściwie Szkoła Sztabu Generalnego została, zdaje mi się, właśnie wtedy założona i stryj Stanisław należał do pierwszych jej słuchaczy.

Gdy w 1866 r. wybuchła wojna austryjacko-pruska, został mianowany kapitanem sztabu generalnego w 26 roku życia, co było na ówczesne stosunki i przy braku protekcji rzeczą niebywałą. To też ś.p. Babka była z tego bardzo dumna. Niedługo jednak było jej danem cieszyć się z tej kariery ukochanego ~~wnuka~~. syna.

Przydzielony do VI Korpusu (gen. Kamming -) był oficerem generalnego sztabu w brygadzie gen. Rozenzweiga i z nią znalazł się na polach bitwy pod Königgrätzem 3 lipca 1866 r. Gdy po południu armia Benedeka, zaatakowana od północy przez pruską armię Kronprinca musiała się cofać, został on wysłany przez swego dowódcę na tyły cofających się w nieładzie Austryjaków, by porządkować odwrót. Tam pękł pod nim pruski granat, który zabił pod nim konia, a jego samego ciężko w pierś ranił ułamkiem. Rannego zaniesiono do zamku Nedelist (koło Sadowej), gdzie w trzy dni potem zmarł. Został pochowany na cmentarzu zamku Nedelist wraz ze swym przyjacielem, również kapitanem, który ranny w tej bitwie, podobnie jak Stanisław życie skończył (zdaje się nazywał się Matausch).

Nieszczęsna Babka ciężko bardzo cios ten zniosła i do śmierci zawsze z głębokim rozczuleniem o swoim Stasiu wspominała. Zostało po nim kilka fotografii i listów, pisanych na kilka dni przed śmiercią, szkaplerz i wiązanka trawek z grobu. Był do matki przywiązany całym sercem.

Grób jego znalazłem przypadkiem zwiedzając, jako oficer i frekfentánt Szkoły Wojennej, pola bitwy po Königgratzem w 1901 r.. Co za zbieg okoliczności!!

Koloman Maryański

Dużo o nim nie wiem, tylko tyle, że miał pocztę w Zabłotowie koło Sniatyna, materialnie dobrze mu się powodziło, ale umarł wcześnie na skręt kiszek i pochowany jest, o ile się nie mylę, w grobowcu w Jeziernej.

Bronisław Maryański.

Młodszy brat mego Ojca, bardzo przystojny i utalentowany chłopak, któremu moi Dziadkowie, mieszkając w Sniatynie i będąc w bardzo trudnym położeniu materialnym, chcieli jaknajprędzej dać jakiś kawałek chleba do ręki.

Było w projekcie, aby wstąpił do kolei, ale ś.p. Stryja Bronisława bardzo ciągnęła wojenka, szabelka i konik. Do powstania nie mógł iść,bo był za smarkaty. Rezultatem tego było, że gdy wybuchła wojna 1866 r. stryj Bronisław wstąpił jako ochotnik do 13 pułku ułanów austryjackich, którymi dowodził sławny pułkownik Maksymilian Rodakowski. Z tym pułkiem odbył kampanię we Włoszech i brał udział w sławnej szarży ułanów pod Rodakowskim na włoskie dywizje piechoty (Mincio,Humbert i Garonna), które zostały w puch tym wściekłym atakiem rozbite. Z 800 ułanów, którzy do ataku ruszyli, zostało 200, a między nimi ś.p. Stryj Bronisław. Tak Bóg czuwał nad biedną naszą Babką,i nie pozwolił by w tej wojnie aż 2-ch synów straciła. Bowiem w 11 dni później zginął (3.VII.) Stryj Stanisław pod Königgraetzem.

Po wojnie służył dalej stryj Bronisław w Ułanach, dosłużył się rangi kadeta-wachmistrza, zleciał jednak raz tak fatalnie z konia, że rozbił sobie piersi. Od tego czasu zaczął pluć krwią i musiał, nie osiągnąwszy szarży oficerskiej, z wojska wystąpić.

Nie będąc ciągle w porządku z płucami, głównie dlatego że się nie szanował, bawił u moich Rodziców w Stulsku. Opowiadała mi moja matka, że ile razy gajowy doniósł, że są w rewirze wilki

nic nie zdołało ś.p. stryjka Bronka wstrzymać! Jechał na polowanie nawet w największy mróz. No i "doprawił" sobie, bo wpadł w końcu w suchoty i zmarł w Jeziernej, gdzie został pochowany w grobowcu Barańskich. Przypuszczam, że zmarł gdzieś około r. 1872 – 1874.

Najmłodszym bratem mego Ojca był: Aleksander.
Był bardzo zdolnym, bardzo pracowitym i niezmiernie prawym człowiekiem. Ponieważ rodzice nie mogli wiele mu dawać na wykształcenie, utrzymywał się z korepetycji tak w gimnazjum w Stanisławowie, jak i następnie na uniwersytecie we Lwowie. Korepetycje dawał swemu siostrzeńcowi Kaziowi Barańskiemu. Był w tym czasie także mandantem adwokackim.

Po złożeniu doktoratu wstąpił do kancelarii adwokackiej d-ra Roińskiego i był jego dependentem.

Będąc wzorowym, kochającym matkę nad wszystko synem, przygarnął naszą Babkę Walerię do siebie (dziadek Karol dawno już nie żył) gdzie miała do śmierci zapewniony byt materialny.

Kancelaria adwokacka, którą około 1888 r. otworzył (ul. 3 Maja l 21) prowadziła wyłącznie sprawy cywilne i znaną była z tego, że tam żadnej brudnej sprawy nie przyjmowano. Kancelaria adwokacka Stryja Aleksandra prosperowała doskonale. (N.p. za ~~[illegible]~~ uwolnienie Kalinowskiego z pod kurateli, honorarium wyniosło 20.000 fl). Miał bardzo arystokratyczną klijentelę: Baworowscy i inni.

Duże dochody pozwoliły mu kupić w 1891 r. piękny majątek w powiecie jaworowskim: Porudno, Porudenko i Bonów. Naturalnie sam nie gospodarował, ale wydzierżawił go, a do dworu na lato zjeżdżała ś.p. Babcia Waleria z dziećmi jego. W 1893 r. byłem tam kilka tygodni na wakacjach. Bardzo ładny stary dwór, stary park

ze strumykiem, robiły wrażenie dawnej pańskiej siedziby; masa oficyn z rozmaitymi zakamarkami były dowodem, że ongiś dużo tam rezydentów i służby do tego należało. W parku rozmaite nimfy z kamienia, śliczne grupy drzew wskazywały na to, że ten, który ten park zakładał przed - może 100 laty miał poczucie smaku artystycznego.

W r. 1888 stryj ożenił się z Zofią Małecką z Koszlak, panną z obywatelskich kół, posażną. (60.000 guldenów). Z tego małżeństwa były dzieci: Maria, Walercia, Oldzia, Stefa, Stacha i syn Aleksander.

Nie wiem dlaczego stryj sprzedał majątek w pow. jaworowskim ku wielkiemu zmartwieniu Babki. Zdaje się, że niósł mu za mało dochodu w stosunku do włożonego kapitału, a także żona Zofia kosztowała go niezmiernie dużo pieniędzy; uczyła się bowiem śpiewać w Budapeszcie, nie wiedzieć w jakim celu, co pochłaniało duże sumy.

Dla rodziny był niezmiernie dobry, a dla mego ~~Ojca~~ ś.p. Ojca był najlepszym bratem.

Wkrótce potem kupił nowy majątek - Tarnowica Leśna w okolicy Tłumacza, lecz to już był mniejszy majątek. Nigdy tam nie byłem.

Stryj Aleksander zmarł we Lwowie w 1910 r. w 62 roku życia i pochowany jest na cmentarzu Łyczakowskim w jednym grobowcu ze ś.p.Babką Walerią.

Z jego dzieci: Maria i syn Aleksander mieszkają u swego wuja Tadeusza Małeckiego w Koszlakach, gdzie również mieszkała wdowa po ś.p. Stryjku - Zofia. Olga umarła podczas wojny. Stefa wyszła za p. Starzyńskiego z prokuratorii Skarbu. Walercia, najpiękniejsza ze wszystkich i do Stryja najbardziej podobna, poznała podczas inwazji rosyjskiej w 1914 r. jakiegoś rosyjskiego weterynarza wojskowego, wyszła za niego i naturalnie po wyparciu Moska-

liz Galicji, wyjechała z mężem w głąb Rosji. Od tego czasu słuch o niej zaginął.

Siostry mojego Ojca to:

Teofila 1° voto Barańska, 2° voto Ostaszewska, zwana ogólnie "Ciocią Teosią" odznaczała się niezwykłą dobrocią a szczególnie dla chorych była anielskiej cierpliwości. Syn jej Dr Kazimierz Barański redaktor a potem właściciel "Dziennika Polskiego" oddawał się dziennikarstwu (kierunek antysemicki) i był szefem Biura Statystycznego we Lwowie (zmarł około 1900 r) w tym czasie także zmarła ciocia Teosia.

Michalina. Wyszła za mąż za profesora gimnazjalnego Mikołaja Sięgalewicza, rusina. W owych czasach, gdzie tego antagonizmu między Polakami a Rusinami nie było, nikomu na myśl nie przyszło z tytułu różnicy narodowościowej robić jakieś kwestie.

Później jednak Sięgalewicz przeniósł się do Lublina, przeszedł na prawosławie, przyjął poddaństwo rosyjskie i stał się typem Moskala - renegata w najgorszej formie, miał w Lublinie nawet opinię okropnego polakożercy.

Ta jego apostazja była dla całej naszaj rodziny ciężką tragedią, najbardziej ubolewała nad tym sama ciotka Michalina, a potem Babka Waleria Maryańska, nie mówiąc już o moim Ojcu!

Z czasem jednak miłość rodzinna przemogła ten antagonizm, bo cóż było robić? Wszak Ciotka Michalina była najlepszą w świecie osobą i nie była winną, że mąż się zmoskwicił. S.p. Babka jeździła potem do Lublina, bawiła u Sięgalewiczów tygodniami (ze względu także na ich dobre i miłe dzieci: Olgę, Zofię, Gryszę i Szaszę) a sam Mikołaj był bardzo gościnny, uprzejmy i Babce nadskakujący.

Rodzina Sięgalewiczów, jeżdżąc co roku do Galicyjskich kąpieli (Iwonicza) odwiedzała Babkę i Stryja Aleksandra we Lwowie, Co się z nimi po wojnie światowej stało nie wiem.

Walery Maryański, Ojciec mój.

Urodzony w 1844 r. w Raju koło Brzeżan, uczęszczał do szkoły realnej w Brzeżanach. Jako student nosił zawsze czamarkę i konfederatkę, co do wściekłości doprowadzało jego niemieckich nauczycieli. Trzeba bowiem wiedzieć, że w-wczas wszystkie szkoły były prowadzone w języku niemieckim i dopiero gdzieś około 1867 r. dzięki usiłowaniom Agenora hr. Gołuchowskiego i Alfreda hr. Potockiego zaprowadzono w Galicji w szkołach język polski.

Ojciec mój już jako młody chłopak "palił się"do polowania i jak mi opowiadał, strzelał jako student do kszyków.

Nadszedł rok 1863 i wybuch powstania styczniowego. Ojciec uciekł najpierw do Lwowa, gdzie w kawiarni czy cukierni Alfreda Hołyńskiego odbywał się asenterunek ochotników. Uznano go, mimo 17 lat, jako "zdolnego" i wysłano nad granicę do jakiegoś miąsteczka, gdzie się oddział powstańców formował! Zakwaterowano Ojca u jakiejś zacnej rzeźniczki, która się przyszłym powstańcem bardzo poczciwie opiekowała. Formowaniu oddziału nic nie przeszkadzała obecność w tej samej mieścinie szwadronu huzarów węgierskich, którzy mieli nawet "srogi"rozkaz nie dopuszczania do formowania oddziałów powstańczych. Austria bowiem na interwencję Rosji udawała, że zamyka szczelnie granicę i tłumi ruch powstańczy, ale w w istocie patrzyła bardzo przez palce, a nawet cichaczem popierała ten ruch, jako, że w Rosji upatrywała groźnego przeciwnika, który dążył do opanowania Dardanelów przez Bałkany, co było przeciwne interesom Austrii.

Niektórzy twierdzili, że Austria, patrząc przez palce na ruch powstańczy, chciała się pozbyć elementów marzących o zmartwychwstaniu Polski i niespokojnych duchów, aby mieć w Galicji spokój.

Faktem jest, że przeznaczenie akurat węgierskich pułków huza-

rów do tłumienia polskiego ruchu powstaniowego musi się wydać dziwne, jeżeli się weźmie pod uwagę przyjaźń węgiersko polską, datującą się od wieków, a przypieczętowaną krwią wspólnie przelaną pod dowództwem Bema i Dębińskiego na polach bitew na Węgrzech w r 1848/49.

Było na ogół wykluczone, żeby jakiś huzar węgierski wydał w ręce władz Polaka, powstańca; wszak Węgrzy nie mogli i nigdy do dziś dnia nie zapomną Moskalom, że oni przyszli na pomoc rządowi austryjackiemu i oni dopiero pomogli Austryjakom zgnieść definitywnie rewolucję węgierską w r. 1849 pod Villagos.

Szwadron węgierskich huzarów, stacjonowany w owej przygranicznej, galicyjskiej mieścinie, wykonywał wprawdzie rozkaz i odbywał rewizje za powstańcami, ale regularnie co drugą noc, zawsze o tej samej godzinie, dzwoniąc ciężkimi szablami po bruku tak, że już z daleka słychać go było.

Ojciec, słysząc zbliżających się huzarów, wyskakiwał przez okno swej izdebki i przykucał pod jakimś krzakiem bzu przed oknem rosnącego i po kilku minutach, gdy patrol huzarska poszła, kładł się napowrót do łóżka i spał, nie niepokojony już przez nikogo spokojnie do rana.

Raz jednak usłyszał, że wachmistrz, prowadzący patrol huzarską, wszedłszy do pokoju i uderzywszy płazem szabli po pierzynie, gwizdał znaną wówczas piosenkę: "Węgier, Polak, dwa bratanki, jak do bójki, tak do szklanki".

Przy najbliższej wizycie huzarów postanowił Ojciec już nie wyskakiwać za okno, lecz wsadził głowę pod poduszkę, naciągnął pierzynę i czekał, co dalej będzie. Nie zawiódł się, bo Węgier płazem szabli znowu uderzył po pierzynie, zanucił znaną piosenkę i wyszedł. Odtąd "rewizje" dalsze zawsze w ten sam sposób się od-

bywały i wyskakiwanie przez okno okazało się zupełnie zbędne.

W końcu jednak uformował się oddział, na czele którego stanął Józef Jeziorański, były kapitan pruskiej artylerii, żołnierz i oficer w całym tego słowa znaczeniu.

W jakimś lesie zaczęto rozdawać karabiny powstańcom. Ojciec dostał z początku jakiś karabin przy którym kurek nie funkconował, ale potem, gdy się pokazało, że Ojciec lepiej niż inni z bronią palną umie się obchodzić, dano mu jakiś porządny sztuciec belgijski. Karabiny bowiem dla powstańców dostarczała głównie Belgia, o ile ich nie "zarekwirowano" (podobnie jak stryj Kazimierz w Czerniowcach!) w jakimś austryjackim magazynie.

Z nazwisk kolegów - powstańców śp. mego Ojca zapamiętałem sobie Sliwińskiego, który po powstaniu wstąpił do kolei i był rewidentem w Stryju.

Pod dowództwem Jeziorańskiego odbył Ojciec kilka potyczek, a między innymi brał udział w bitwie pod Kobylanką, która była jedną z większych i skończyła się odparciem Moskali.

W tej bitwie,-opowiadał mi śp. mój Ojciec,-stali powstańcy w jakimś lesie, a naprzeciw nich w krzakach rozwinęła się rota (kompania) finlandzkich strzelców, którzy swoim bardzo celnym ogniem srodze prażyli powstańców. Każdy powstaniec, który się z za drzewa wychylił dostawał kulę albo w głowę, albo w łokieć.Po dłuższej strzelaninie ruszyli powstańcy do ataku na bagnety i w rezultacie wyparli finlandzkich strzelców.W tej akcji otrzymał Ojciec kulę w sam brzuch, kula jednak czy z bardzo daleka strzelana, czy też,-rekoszetując,-nie miała dużej siły i trafiwszy w patronasz utkwiła w niej. Ojciec, otrzymawszy to jednak dość silne uderzenie upadł, po chwili jednak przyszedł do siebie, a przekonawszy się, że mu nic nie jest, ruszył za innymi do ataku. Do starcia wręcz

jednak nie doszło, zdaje się, że nieprzyjaciel zwiał.

W dalszym ciągu operacji powstańców nastąpiło, o ile dobrze pamiętam, złączenie się oddziału Jeziorańskiego z oddziałem Langiewicza. O tym ostatnim, jako o wodzu, dobrze się śp. Ojciec wyrażał.

Również miał śp. Ojciec sposobność zetknąć się ze Smiechowskim z Warszawy, który dowodził czymś. Jednak o nim zdanie śp. Ojca było bardzo niepochlebne. Nazywał go "głupim mydlarzem z Warszawy" Był to prawdopodobnie jakiś "geniusz dyletant", którego nieuctwo wojskowe musiało bardzo jaskrawo odbijać od fachowości takiego Jeziorańskiego i Langiewicza, mimo,-może,-osobistego męstwa.

Po kilku miesiącach marszów, kontrmarszów, potyczek, wymykań się z osaczenia przez przeważające siły Moskali, skończyło się na przyparciu oddziału do granicy galicyjskiej i nie było innej rady, t tylko trzeba było broń zakopać i przedzierać się przez krzaki do granicy galicyjskiej, by ujść niewoli.

Uciekający oddział był już bliski granicy, gdy ukazał się za nim ścigający oddział rosyjskich dragonów, którzy nie respektując granicy, chciał odciąć i zagarnąć powstańców. Sytuacja była bardzo krytyczna, szczególnie, że powstańcy byli bezbronni (bez broni). Ledwie niektóry miał jakąś krócicę, lub pistolet. Wtem rozległ się odgłos trąbki austryjackiej, sygnał do ataku i trzy szwadrony huzarów węgierskich w wyciągniętym galopie ukazały się z pobliskiego lasu, waląc wprost na rosyjskich dragonów.Spotkanych w drodze powstańców wyminęli Węgrzy zgrabnie i zabiegli drogę dragonom. Jakaś krótka rozmowa między dowódcą dragodów i pułkownikiem huzarów i dragoni, jak niepyszni zawrócili konie. Tak dzięki czujności i sprawności węgierskich huzarów, uniknęło kikuset powstańców stryczka względnie posłania na Sybir.

Pułkownik widząc, że zmęczeni, zbiedzeni powstańcy ledwie no-

gami włóczą, kazał w pobliskiej wsi zarekwirować strawę i gorzałkę oraz wozy i załadowawszy na nie pokrzepioną brać powstańczą, kazał ich odstawić w myśl rozkazów do "cyrkułu" (t.j. najbliższego starostwa).

Po spisaniu protokołów przez "srogie miny urzędowe" mających urzędników, załadowano powstańców do jakiegoś posiągu i odesłano pod eskortą piechoty do Lwowa. Gdyby śp. Ojciec wiedział, że to wszystko było tylko "dla oka", a w rezultacie każdy z powstańców miał być odstawiony do swojego miejsca przynależności, względnie oddany rodzicom z powrotem, byłby spokojnie czekał na swój los. Ponieważ brał to wszystko na serio i obawiał się więzienia, lub wydania w ręce Moskali, więc postanowił uciec. Ale podoficer piechoty, eskortujący więźniów, jakoś przeczuł tem zamiar i miał przez całą drogę baczne oko na niego.

Gdy pociąg wjechał wieczorem na stację we Lwowie, ujrzał Ojciec, że cały peron jest gęsto obstawiony przez piechotę. Mimo to udało mu się wymknąć na przeciwną stronę pociągu i wdrapać na wysoki sztachetowy parkan, aby na drugą stronę zeskoczyć.

Pech jednak chciał, że sztacheta wlazła Ojcu pod szeroki pas skórzany, jaki powstańcy nosili i Ojciec zawisł na parkanie! Co tu robić? Bo każdy nadchodzący, widząc w tej pozycji wiszącego, byłby zaraz odgadł, że to zbieg. Na szczęście pas, czy też klamra się urwała, śp. Ojciec wleciał w jakiś rów z wodą, skąd wylazłszy, "wyrwał" na pola janowskie a z tamtąd do miasta do jakiejś ciotki, mieszkającej przy ulicy Kurkowej. Tam znalazł naturalnie przytułek i rodzinną opiekę.

Ojciec mój, idąc do powstania, miał skończonych 6 klas szkoły realnej. Po upadku powstania nie kontynuował dalej studiów, zdaje się z dwóch powodów: mianowicie władze austryjackie, które na inter-

wencję rządu risyjskiego zaczęły ku końcowi powstania, a więc od 1864 r. ostrzej traktować ruch powstańczy, robiły także trudności w przyjmowaniu do szkół publicznych, byłych uczestników powstania. Zdaje się jednak, że głównym powodem było materialne położenie dziadków, którzy już wówczas nie mieszkali w Raju pod Brzeżanami, lecz w Sniatynie, gdzie walczyli z trudnościami finansowymi. Dziadek bowiem nie odłożył żadnych sum na czarną godzinę.

Chodziło o to, aby śp. Ojcu mojemu jakąś posadę wyrobić. Miał on pociąg do leśnictwa i do strzelby.

W owym czasie była fundacja St. hr. Skarbka takim azylem dla ex - powstańców ruchu wolnościowego. Tej ze wszech miar czcigodnej instytucji muszę poświęcić słów parę.

Założycielem jej był śp. Stanisław hr. Skarbek, dziwak, filantrop, bardzo mądry człowiek, który dorobiwszy się znacznego majątku, najpierw zafundował społeczeństwu we Lwowie teatr t.zw."Gmach skarbkowski" (gdzieś około 1851 r), dziś "gmach filharmonii", a potem założył w Drohowyżu koło Mikołajowa (30 km na południe od Lwowa)," Zakład Sierot fundacji hr. Skarbka."

Zakład ten miał brać polskie sieroty na wychowanie i szkolić ich na rzemieślników (kowale,ślusarze, kołodzieje, stolarze, szewcy krawcy i lakiernicy), a dziewczęta na kucharki, pokojówki i szwaczki. Wspaniałą tą instytucję miała utrzymywać funadacja obejmująca kilkanaście folwarków(np. Drohowyże, Opary, Ostatowice i.t.d.) a głównie rewiry leśne w ogromnych kompleksach:Pryjma, Stulsko, Iłów, Hranki, Brzostowa, Ostatowice, a w górach Smorze, Klimiec, Rożniatów, Duba, a także Żabie, Uścieryki i.t.d.

Na czele tej instytucji stał kurator, a w r.1864 był nim ks. Karol Jabłonowski, przezacny człowiek.

Już po upadku węgierskiego powstania zaczęli ex-uczestnicy

szukać przytułku i kawałka chleba w fundacji Skarbkowej.

Tak np. nadleśniczym t.j. najwyższym urzędnikiem lasowym fundacji był śp. Henryk Forget de Barst ex pułkownik honwedów węgierskich, o którym opowiadano, że , gdy prowadził w jakiejś bitwie honwedów do ataku, a koń spłoszony, nie chciał iść naprzód, Forget dobył z olstra pistoletu i koniowi w łeb palnął,sam zać pieszo atak dalej prowadził.

Jako mały chłopiec przypominam sobie śp. ~~sławnego~~ starego Forgeta, gdy już był na emeryturze. Był to bardzo piękny staruszek z długą siwą brodą.

Stanowiska w Funadcji Skarbkowskiej były także z tego względu bardzo poszukiwane, że urzędnicy po wysłużeniu pewnej ilości lat mieli prawo do emerytury, co wówczas tylko w posadach rządowych istniało.

Jak już wspominałem, leśniczowie rekrutowali się prawie wyłącznie z b. uczestników powstań i to całe rodziny służyły w Fundacji.

I tak:rodzina Galińskich, ojciec (zwany "Rizało - porało" to było jego przysłowie) i liczni jego synowie. Rodzina Rudnickich, ojciec typ "~~mazowieckiego~~ mazapistego" szlachcica i jego 2 synowie (3-ci "wyrodził się" - bo został notariuszem!)Rodzina Wiśniewskich - ojciec, powstaniec z 1831 r. i jego 3 synowie (czwarty był dość utalentowanym malarzem i jest autorem mojego portretu, gdy miałem 6 lat).

Do owej Fundacji hr. Skarbka dostał się śp. Ojciec mój, jako praktykant leśnictwa. Był jakiś czas w Żabiem (góry w okolicy Kut) w Uścierykach, potem skończył we Lwowie t.zw. "Szkołę Leśną" i dostał pierwszą posadę leśniczego w Iłowie, rewirze położonym niedaleko Mikołajowa.

Bywając, jako młody, przystojny człowiek, doskonały tancerz, b.powstaniec, w Mikołajowie, który był najbliższym miasteczkiem,

poznał tam pannę Anielę Młodnicką, córkę Ignacego i Karoliny, naszą przyszłą matkę.

Starzy Młodniccy, rodzina b. dobra, herbu Korwin, babka z domu Bukowska, spokrewniona z hr. Komarnickimi. Dziadek Ignacy Młodnicki był mandatariuszem i miał synów: Edmunda, adwokata w Czerniowcach, Karola, artystę malarza, i córkę Emilię Pawłowską i Anielę naszą śp. Matkę.

O ile z opowiadań, listów, zapisków i.t.p. po śp. mojej Matce wnosić mogę, to Mikołajów w tym czasie przedstawiał środowisko, godne pióra Bolesławity, Lama i Rogosza a może jeszcze jakiegoś potężniejszego pióra i warto je naszkicować, aby choć w przybliżeniu odtworzyć obraz i ducha tych czasów.

Cała tamtejsza inteligencja: Młodniccy, Kuźmińscy, Płoszczakowie, Tatomirowie, to nieodrodne dzieci epoki romantycznej.

Młodzież schodziła się razem na rodzaj pogadanek literackich, pisało się wiersze, czytało się poważne rzeczy, także w języku francuskim i niemieckim, przepisywało wiersze. Np. były u mojej Matki poezje Wincentego Pola i "Spiewy historyczne" Niemcewicza, przepisane b. ładnym pismem i naturalnie gęsim piórem-dwa grube tomy!

Oczywiście całe to literackie i duchowe życie było przesiąknięte na wskroś najszczerszym patryjotyzmem.

Nie dziw więc, że Ojciec mój "chwacki" powstaniec i uosobienie t.zw. "dzielnego chłopca" podobał się śp.Matce, słusznej ciemnej szatynce, o bardzo ładnych, dużych niebieskich oczach (które moja Aba po niej odziedziczyła!)

Portrety śp. mojej Matki jako panny, roboty Karola Młodnickiego, są u mojej siostry Zosi w Poznaniu.

W niedługim czasie została jego żoną. Slub odbył się w Kochawinie 22.II. 1868 r.

Życie moich rodziców na wsi.

W Iłowie , dość zakazanej dziurze, mieszkali moi rodzice.około 3 lata. W tym czasie pomarli dziadkowie Młodniccy i spoczęli na cmentarzu w Mikołajewie. W Iłowie przyszła na świat Stasiunia, Bronek i Guścio.Potem dostał śp. Ojciec lepszą posadę t.j. w Stulsku gdzie umarła Stasiunia i jest tamże pochowana. W tym czasie umarł także Guścio na szkarlatynę czy dyfterię i został pochowany razem z Dziadkiem w grobowcu w Mikołajowie. Bronek ciężko chorował, ale jakoś wyszedł.

W tym czasie jakoś ja się zjawiłem na świecie 30.XI.1874 r. W metryce jednak przezacny ks. Lubieniecki proboszcz gr.kat.,który mnie chrzcił na rzym.kat. umyślnie wciągnął, jako datę urodzenia 2.I.1875 r., aby mnie, jak mówił, później do wojska wzięli- To niewinne fałszerstwo przydało mi się w przyszłości, bo umożliwiło mi dostanie się do Akademii Wojskowej, do której z datą 30.XI 1874 r byłbym już za stary.

Muszę rodzinie ks. Lubienieckiego i współżyciu moich śp. Rodziców z nimi kilka słów poświęcić, by zademonstrować ad oculos, że ta niestety, obecnie tak zajadła nieprzyjaźń między Rusinami i Polakami, to smutny wytwór ostatnich 30 lat. Dawniej tego nie było.

U tych zacnych Lubienieckich bywali moi Rodzice. Z czasem zamieniło się to w głęboką przyjaźń, która łączyła obie rodziny przez lata całe, aż do śmierci ks. Lubienieckiego względnie moich Rodziców.Na myśl nikomu nie przyszło mącić ten stosunek istotnie prawdziwej przyjaźni, różnicą narodowściową! Naturalnie mówiło się między sobą po polsku, a nawet nie wiem, czy starzy Lubienieccy także i w domu nie używali przeważnie języka polskiego.

W ogóle muszę stwierdzić, że moi śp. Rodzice utrzymywali b. miłe stosunki towarzyskie z okolicznym duchowieństwem gr. kat.i nig

dy żaden zgrzyt na tle narodowościowym, nie psuł tej harmonii.

Lata dziecinne.

Ze Stulska został mój śp. Ojciec przeniesiony na stanowisko "rządcy" (t.j. wyższa ranga od "leśniczego") do Rożniatowa.

Ponieważ brat mój Bronisław miał wtedy już około 7 - 8 lat i powinien był zacząć uczęszczać do szkoły, więc Rodzice, głównie na życzenie mojej Matki oddali go na stancję do Lwowa do Ciotki Milci (Emilii z Młodnickich Pawłowskiej). Motyw był ten, że Ciocia nie miała dzieci i chciano jej poprostu pożyczyć jednego z nas na czas szkół, aby jej nie było smutno (jak mi opowiadała śp. Matka moja), a także dlatego, że w Rożniatowie szkoła była bardzo daleko od"rządcówki"i stała na bardzo niskim poziomie.

Pomysł jednak, aby śp. Broncia oddawać w tym wieku za dom (zdala od rodziców, których ciepła i wpływu nic nie zastąpi dziecku) był dość nieszczęśliwy. W moim bracie bowiem pod wpływem miasta i otoczenia rozwinęły się rozmaite zamiłowania i instynkty, które w końcu sposodowały, że się życiowo zwichnął i w młodym wieku zmarł.

Rożniatowa z tych czasów nie przypominam sobie, względnie niektóre szczegóły, jak przez sen."Rządcówka" była położona przy drodze do Duby, nad dużym stawem, w środku którego była kępa. Śp. Ojciec kazał zbudować rodzaj tratwy i na niej się jeździło na tę kępę i tam jadało podwieczorek. Z drugiej strony stawu wznosił się spadzisty grzbiet, a na nim stary zamek, należący również do Fundacji. W nim mieścił się Sąd. Droga do niego była wysadzana bardzo pięknymi lipami. Sędzią był niejaki Borzęcki. Z jego rodziną łączyły śp. Rodziców bardzo przyjacielskie stosunki, podobnie jak z proboszczem ks. Ludwikiem ~~Babskim~~ Babikiem, który mnie bardzo lubił.Do "Rządcówki należał sad, a w nim pasieka. Pamiętam z tych czasów taki epizod:zaczęto mnie który się samotnie koło pasieki bawiłem, szukać

na podwieczorek. Mnie zaś wpadło na myśl skryć się w pasiece za ulem. Gdy poszukiwania i wołania były nadaremne, zaczęło się w domu zamięszanie i ktoś rzucił podejrzenie czy nie polazłem nad staw i nie utopiłem się. Nawet znalazł się ktoś, kto mnie widział idącego w kierunku stawu. Można sobie wyobrazić rozpacz śp. Rodziców, a szczególnie Matki!

Nareszcie stary furman Maksym wpadł na pomysł poszukać mnie w pasiece i istotnie wyniósł gagatka z za ula. A mói przezacni Rodzice zamiast dać mi parę klapsów po 4-ch literach, ucałowali mnie, żem się raczył znaleźć!

Żyłem w największej przyjaźni z psami gończymi, których śp. Ojciec, jako wielki myśliwy, miał kilka sztuk. Wówczas bowiem nie polowano jeszcze z nagonką, tylko z gończakami. Ustawa łowiecka z "czasem ochrony" także jeszcze nie istniała.

Najbardziej byłem zaprzyjaźniony z psem "Trąbą" i cały czas siadywałem z nim w dość obszernej budzie stojącej na dziedzińcu. W domu zauważono, że ilekroć mi kupiono kapelusz słomiany (za 30 centów), gdzieś on ginął. Podejrzewano, że zapewne baby kradną te kapelusze dla swoich bachorów, i (irytowano) się, ale kupowano nowy, który po kilku dniach znowu znikał. Aż raz, już po zakupie któregoś tam z rzędu kapelusza, zajrzała stara Józefka, kucharka do owej psiej budy i znalazła tam wszystkie kapelusze!

Pamiętam raz przyjechał do nas niejaki pan Renefort, leśniczy z Duby, podwładny śp. Ojca, którego nie lubił. Raz w rozmowie z śp. Matką nazwał go "świnią". Ja nie miałem nic lepszego do roboty, jak pójść do siedzącego w salonie Reneforta i powiedziałem mu: "Tatuś powiedział, że Pan jest świnią" "Tableau!"

Takie to przyjemności mieli moi śp. Rodzice ze swoim "Czupciem". Nazywałem się tak, ponieważ bardzo głośno tupałem trzewiczkami po pokoju.

W międzyczasie śp. Ojciec mój zdał t.zw. "wyższy egzamin lasowy", czyli, co się studiów tyczy, stał najwyżej ze wszystkich urzędników lasowych Fundacji hr. Skarbka i-mimo, że był jednym z najmłodszych wiekiem,-został przez ówczesnego kuratora śp. Karola ks. Jabłonowskiego mianowany "nadleśniczym" w Mikołajowie na miejsce idącego na emeryturę Henryka Forgeta.

Mikołajów 1879 - 1886 r.

Czasy dzieciństwa spędzone w Mikołajowie, zaliczam do najpiękniejszych i z dziwną tkliwością przeglądam w pamięci karty wspomnień z tych lat.

Nie długo te lata trwały, bo ledwie 7 -8 lat, a były tak piękne i miłe!Był to okres spokoju, przy względnym dobrobycie moich śp. Rodziców. A bywało tam wesoło, jak w bajce.Ale o tym, poniżej. Przede wszystkim środowisko było b.przyjemne. Mikołajów, mała prowincjonalna mieścina, gdzie najwyższą władzą był sąd, proboszcz rz - kat.ks. Karol Dąbkiewicz, starowinka, który mnie uczył religii, proboszcz gr. - kat.ks. ~~Moncinski~~ Chomiński, dyrektor 4 kl. szkoły normalnej,śp.Piotr Łabowski,lekarz dr.Kaczyński i na tym koniec!

Dla śp. Matki mojej było to miejsce rodzinne, z którym wiązały ją wspomnienia lat dziecinnych.

Dom, czyli t.zw."Nadleśnictwo", położone na zachodnim krańcu miasteczka, składał się z domu mieszkalnego, równie dużych oficyn i budynków gospodarczych, jak wozownia i stajnie.

Cały dom, jak i miasteczko, leży w kotlinie, otoczonej od zachodu i południa wzgórzami. Przy drodze do Rozdołu była mała kapliczka z obrazem Św.Michała, dokąd się zawsze chodziło z śp.Matką na majowe nabożeństwa.

Dalej przy tej drodze na grzbiecie wzgórza, dominującego nad mieściną i nadleśnictwem, był stary pomnik z 1599 r. z napisem: "Tu spoczywa rycerz Adam Rucki, usieczon przez swoich braci".

Ten pomnik był zawsze celem letnich spacerów wieczornych, nazywanych "spacer do Ruckiego"

Drugim miejscem spacerów był t.zw. " miejski las" śliczna buczyna na południe od domu, a w koncu t-zw. "Skała". Była to skała, duża jak chata chłopska, leżąca na zakończeniu grzbietu, wychodzącego z lasu, a dominująca od południa nad Mikołajowem.

W tej to cichej mieścinie i przytulnej sadybie zwanej "Nadleśnictwem" upłyhęło moim Rodzicom kilka lat życia pięknie i spokojnie jak w powieści Kraszewskiego.

Specjalnością "Nadleśnictwa" byli t.zw."praktykanci lasowi". Byli to młodzi ludzie, zwykle niedokończeni gimnazjaliści, w wieku około 20 lat, którzy chcąc wstąpić do "Szkoły Lasowej" we Lwowie musieli się wykazać, o ile nię mieli matury,-zdaje się-2-letnią praktyką i złożyć egzamin wstępny.

Ponieważ oficyny miały oprócz kancelarii dużo ubikacji, więc śp.Ojciec mój przyjmował takich "praktykantów" na bezpłatną praktykę, za co oni mu jedynie,-zdaje się,-za wikt po 10 guldenów płacili Ta praktyka była o tyle poszukiwana,że śp.Ojciec z amatorstwa przygotowywał ich do wstępnego egzaminu, wprowadzając w tajniki miernictwa, ryscwania map, sadzenia nasion i.t.p.

Były tam różne typy, "chwackie chłopy" i mniej chwackie, myśliwi i... mniej myśliwi, ale na ogół miły element.

Mieszkała wówczas u nas Wandzia córka śp. wuja Edmunda Młodnickiego z Czerniowiec, b.miła, wykształcona blondyneczka, która po zdaniu egzaminu nauczycielskiego, otrzymała posadę w Mikołajowie. Moi śp. Matka i Ojciec bardzo ją lubili i otaczali iście rodzicielską opieką.

Rzeczą naturalną było, że tam, gdzie jest fortepian i aż 2 osoby grające (Matka i Wandzia) i najmniej 2 -4 młodych ludzi, wieczorem po kolacji ktoś siadał do fortepianu i grał, a reszta tań-

czyła! Także mój śp. Ojciec namiętnie lubił muzykę, a na tyle opanował firtepian, że do każdej pieśni potrafił "wybrzdąkać" akompaniament. Bywało więc, że najpierw nas, dzieci, wołał do fortepianu i śpiewaliśmy pieśni patryjotyczne od "Patrz Kościuszko na nas z nieba" począwszy, a na mazurku Dąbrowskiego skończywszy!

W Mikołajowie mieszkali moi śp. Rodzice do jesieni 1886 r. W tym czasie skończyłem 4-ro klasową szkołę powszechną i w 1885 r. w jesieni, wysłali Rodzice mnie i mojego brata Bronisława do Stryja na stancję do dyrektora szkoły Futymy, mającego opinię bardzo srogiego wychowawcy łobuzów u niego mieszkających.

Uczyłem się nie najgorzej, dość że tak ja, jak i Bronek przeszliśmy do następnej klasy.

W Stryju byłem świadkiem pożaru tego miasta (17.IV.1886 r), który pochłonął 3/4 miasta, a między innymi także i nowo wybudowane gimnazjum. Ponieważ stało się to akurat na same rekolekcje Wielkanocne, po których mieliśmy jechać na ferie swiąteczne, więc śp. Ojciec przyjechał po nas i pojechaliśmy do Mikołajowa. Z powodu braku budynku gimnazjalnego i niemożności i natychmiastowego kontynuowania nauki, "ferie Wielkanocne" trwały ku naszej radości, coś ze 3 tygodnie! Spędziliśmy je bardzo przyjemnie, bo wiosna była prześliczna, a także przyjechali do nas na święta Wujostwo Karolowie Młodniccy. Dotąd w mojej pamięci tkwi "oblewany poniedziałek", którego ofiarą główną była kuzynka Wandzia.

W tym czasie zaczęła się u mnie rozwijać "żyłka myśliwska" i zamiłowanie do wojska.

Bliższe szczegóły na temat moich łobuzerskich wyczynów na polu łowiectwa (od "katapuli" do "pojedynki - kapslówki") zawiera mój "Dziennik Myśliwski" dlatego pomijam je.

Wtem przyszło, jak grom z jasnego nieba, przeniesienie Ojca do Lwowa do Fundacji w stopniu "inspektora lasów"! Nie potrafię opisać

jak smutne było rozstanie się z Mikołajowem! Pozornie położenie materialne Rodziców poprawiło się, bo np. nie trzeba było umieszczać nas na stancjach, co było rzeczą b. kosztowną. Chodziliśmy z Bronkiem do t.zw "Gimnazjum bernardyńskiego", które później przeniesiono do t.zw. "IV Gimnazjum" koło Politechniki.

Techn. Akademia Wojskowa w Wiedniu.

Na ogół szło nam w gimnazjum nieszczególnie. Tepetowałem IV klasę i w końcu zdałem maturę nawet nie najgorzej. W tym czasie zmarł mój śp. Ojciec (11.X.1892). Już podczas jego choroby, niestety nieuleczalnej, rok trwającej zdecydowałem się poświęcić zawodowi wojskowemu i kampetować o przyjęcie mnie do Techn. Akademii Wojskowej w Wiedniu na t.zw."miejsce funduszowe" którym rozporządzał Wydział Krajowy we Lwowie. Wstępny egzamin zdałem, choć władałem b. marnie językiem niemieckim i przyjęto mnie na I-szy rok wydziału inżynierii (Genie Abteilung). Pierwotnie chciałem być artylerzystą, tam jednak już miejsca nie było. Byłem więc kontent, że mnie przyjęto na wydział inżynierii.

Czas 3-letnich studiów w Techn.Wojsk. utkwił mi w pamięci b. mile. Była to bowiem uczelnia, mająca za sobą 200-letnią tradycję, założona przez Marię Teresę i opinię b. wysoko stojącego zakładu naukowego.

Zasługiwała ona na nią w całej pełni. Personel bowiem nauczycielski składał się z oficerów-Koryfeuszów w swoim fachu, często uczonych europejskiej sławy (np. pułk.Obermayer, fizyk, mjr.Bussdisavljevic, matematyk, Marschner, nauka o broni i balistyka, mjr.Friedel, budownictwo itd.

Wszyscy ci ludzie byli także jako gentelmani, wybrani z elity oficerów armii austr.- węgierskiej. Tam nie było jednego oficera, któremu pod względem charakteru możnaby było coś zarzucić.

Nie dziw więc, że ta Akademia Wojskowa, ta "alma mater" austr.

Korpusu oficerów artylerii i inżynierii, budziła w nas, jej uczniach głęboki szacunek.

Pod względem narodowościowym nie padła tam nigdy najlżejsza uwaga, która mogłaby kogoś urazić.

Egzamina zaś odbywały się tak, że żadna protekcja nie była możliwa. Cały bowiem temat brany w ciągu roku, czy półrocza przerobiony w danym przedmiocie, był rozbity na szereg pytań. Egzaminowany wyciągał 3 pytania i mając 5-10 minut czasu do przygotowania odpowiedzi (mógł przytem robić sobie notatki na tablicy kredą), odpowiadał. Ponieważ egzamin odbywał się przy tablicy, więc wszelkie podpowiadanie itp. nielegalna pomoc, były wykluczone.

Niektóre przedmioty były wykładane przez jeden rok, inne przez 2, a niektóre przez 3 lata. Chodziło o to, by z t.zw. "Abschlussgegenständer" (np. wyższa matematyka trwająca 1 rok) dostać możliwie najlepszą notę. Przedmioty, które wlokły się np. przez 3 lata były w 1 i 2 roku mniej ważne; chodziło o to, żeby z nich nie dostać "ungenügend", a wyścig o to, by dostać z nich możliwie dobrą notę zostawiano na ten rok, w którym przedmiot się kończył.

Zbierane w ten sposób jednostki stanowiły w sumie to, podług czego oznaczano "rangę". W armii bowiem wzgl. w danej broni nie było 2 ludzi równej rangi; zawsze jeden był starszy "rangą" od drugiego.Ten system wykluczał prawie zupełnie wszelkie protekcje.

W akademii przykładano ogromną wagę, aby każdy z uczniów miał bardzo subtelne poczucie ~~humoru~~ honoru: kto skończył akademię i wyszedł z niej oficerem ten musiał dawać gwarancję 100% gentelmana.

Jako przykład do jakiego stopnia panowały na tym punkcie surowe nieubłagane zapatrywania i zasady, niech posłuży następujący przykład:Ministrem wojny w Austrii w tym czasie był generał Bauer, a jego bratanek był razem ze mną na I-szym roku wydziału inżynierii. Gra w karty (w taroka) była zasadniczo w akademii surowo zabroniona

i za nią, gdy inspekcyjny oficer kogo przyłapał, wędrowała cała "pas-ka" do aresztu. Jednak mimo to, łupiono w taroczka, ponosząc oczywiście wszystkie konsekwencje z tym połączone. Grano o pieniądze, ale b bardzo nisko i zwykle wygrana stanowiła kilka groszy.

Do takich namiętnych"tarokistów" należał i Otto Bauer bratanek ministra. Gra polegała na tym, że po rozdaniu kart, zostawały 2 karty, stanowiące t.zw. "talon", których nie wolno było oglądać zanim "licytowanie" nie było skończone; dopiero po licytacji brał te karty ten, który się przy swojej grze utrzymał. Kto ustąpił z licytacji, ten mógł i wcześniej "talon" oglądnąć.Przychwytali koledzy Bauera, że on podglądnąwszy "talon", mimo to dalej licytował. Wszyscy współgrający przerwali grę bezzwłocznie i zrobili przy raporcie meldunek, że Bauer oszukiwał w grze w karty.

Za niedozwoloną grę w karty dostali wszyscy po 3 dni aresztu, a Otto Bauer został wykluczony z Akademii, mimo, że stryj był ministrem wojny! Żadnych względów i protekcji nie było.

Nic dziwnego tedy, że tak z Tech. Akademii, jak i z Akademii Wojsk. dla Piech. i Kawalerii w Wiener Neustadt, wychodzili tylko gentelmeni. Można było być mniej uzdolnionym, a nawet głupim, ale z charakterem i poczuciem obowiązku i honoru.

Z Tech.Wojsk.wyszedłem 18 sierpnia 1897 jako Leutnant i zostałem przydzielony do 15 batalionu pionierów w Klosterneuburg (pod Wiedniem)15 minut jazdy koleją).

Wzruszające było, jak nas Akademia Wojsk. niby troskliwa matka, wypuszczająca w świat swoje dzieci, starannie wyekwipowała. Każdy bowiem dostał kuferek, duży, solidny, gdzie było 6 garniturów bielizny, 4 ręczniki, 6 p. skarpetek, bluzka i para spodni do butów. Oprócz tego para butów z cholewami, do tego "paradne ubranie", czako, szablę i "feldbinda".

Po mszy polowej na Schmelz ~~Schurelz~~, gdzie był jako w dzień

urodzin cesarskich cały garnizon i gdzieśmy byli jeszcze w bronzowych mundurach akademików z karabinkami, i po powrocie do "Stifts Kaserne" (nazwa budynku Tech. Akad. Wojsk.) poszliśmy do sypialni, gdzi gdzie rozłożone były paradne uniformy. Przebraliśmy się w oficerskie ubrania, podoficerowie a nawet ordynansi złożyli nam gratulacje, i zeszliśmy na dół na plac zbiórki, gdzie już świeżo upieczonych oficerów oczekiwały rodziny, krewni, kuzyni, przyjaciele i gratulowali do tego "najpiękniejszego dnia w życiu".

Mnie było jednak smutno, bo do mnie i do jeszcze dwóch, czy trzech kolegów mających krewnych na drugim krańcu monarchii, nikt się z gratulacjami nie zbliżył. Staliśmy na uboczu, jak jakieś opuszczone, bezdomne sieroty. Zygmunt Ajdukiewicz, jedyny kuzyn wzgl. krewny jakiego miałem w Wiedniu, właśnie wyjechał. XX (Strona opuszczona)

Batalionem trząsł jednak w rzeczywistości kapitan Gangel, dca 3 Komp. do której dostał się Popović.

Zanim zacznę dalej gwarzyć o stosunkach w ówczesnych wojskach techn. armii austr. muszę parę słów nadmienić o ich reorganizacji, która właśnie została przeprowadzona przed rokiem. Mianowicie w Austrii wojska techn. składały się do tego czasu z 2 pułków inżynierii (Genie-Regiment N°1 i N°2) i z 5 baonów pionierów. Pułki inżynierii miały raczej za zadanie budowę fortyfikacji polowych i były w kierunku ziemnych robót specjalnie szkolone, zaś baony pionierów miały jako główny swój fach budowę mostów i wszelkie prace przy forsowaniu rzek. Byli to wprost artyści w łódkowaniu, rzucaniu kotwic, a główną ich forsą, była budowa mostów z gotowego materiału systemem Birago, którym potrafili w ciągu 2 -3 godzin zbudować most przez Dunaj w Klosterneuburg, który tam ma do 3 km szerokości.

Korpus oficerski w "Genieregiment" uzupełniał się prawie wyłącznie z Tech.Akad. Wojsk; miał on opinię doskonałą, ludzi eleganckich i wykształconych.

Uzupełnienie 28 str. 28a

Potem po przemowie Komendanta Akademii, gen.Schneidera odbyło się uroczyste zaprzysiężenie nas, prz-y dobytych z pochew szablach a potem uczta pożegnalna, do której zasiedli wszyscy oficerowie - nauczyciele i świeżo mianowani podporucznicy oraz wszyscy akademicy.

Wzniesiono kilka serdecznych toastów a nastrój był bardzo miły. Nasi nauczyciele "rozkrochmalili"się, porzucając rolę przełożonych a stając się starszymi kolegami. Zaczęliśmy wszyscy wyczuwać i rozumieć wartość i wagę tego w armii austr. tak pielęgnowanego koleżeństwa ("Kameradschaft").

Uczta się skończyła - rezeszliśmy się żegnając się serdecznym uściskiem dłoni tak z naszymi czcigodnymi nauczycielami, jak i kolegami. Wielu z nich nie dane mi było widzieć jeszcze raz w życiu.

Spieszyłem naturalnie w objęcia mojej najdroższej Matki, która przysłała mi swoje błogosławieństwo z okazji tego tak uroczystego dnia w mojem życiu.

Do wieczora, nie mając co robić, ani gdzie się podziać - spędziłem w kawiarni a wieczorem pociąg półn. kolei powiózł mnie do stacji Skole a stamtąd furką do Smorzego, gdzie właśnie moja Matka spędzała lato z Zosią i Stachem a także ze swoją przyjaciółką p. .

Jaka tam radość była nie potrafię opisać. Spędziłem tam 2 tygodnie tj. połowę miesięcznego urlopu - aby resztę spędzić w Porudnie, gdzie bawiła wówczas moja Babcia "Panie Święty". Przypominała sobie chwile, gdy jej ukochany Staś, wyszedłszy z Akad. Wojsk w Wiener Neustadt jako podporucznik, przybył do Raju, by rodzicom się przedstawić. Dziś czynił to wnuk.

Był tam Stryj Aleksander i Ciocia Teosia; Stryj darował mi strzelbę - tesznerówkę a Ciocia Teosia jakieś siodło. Od biednej mojej Matki dostałem poduszkę i miednicę; sierota nie miała środków, by mnie obficiej wyekwipować.

Urlop ten upłynął mi b. przyjemnie. Przejeżdżając przez Lwów wstąpiłem do biur Fundacji Skarbkowskiej, gdzie mnie koledzy śp. Ojca b. serdecznie powitali.

<u>Pobyt w Klosterneuburg przy 15 baonie pionierów.</u>

15.IX.1897 - 1.V.1898

Do 15 baonu pionierów został przydzielony mój kolega Popovic i ja. Dcą batalionu był mjr. Baumgartner, może jako pionier nie wiele wart - ale jako gentelmen był wzorowym.

OOO Uzupełnienie do 28 str.

Pamiętam słowa, kt. do mnie i do Popovica skierował, gdyśmy się u niego meldowali:" Gdy jakiś oficer do mego baonu przychodzi - przyjmuję w założeniu o nim wszystko najlepsze. Jego rzeczą jest, bym tego dobrego mniemania o nim nie musiał zmienić. Główna rzecz moi Panowie, jest honor. Wszystko można utracić, tylko honoru - nie wolno.

Korpus oficerski w batalionach pionierów uzupełniał się wyłącznie z Kadeckiej szkoły w Hainburg n/D; uczelnia ta wymagała tylko 4 klasy czy też 6 klas ~~gimnazjalnych~~ szkoły średniej i stała wskutek tego o wiele niżej, niż Tech. Akad. Wojs., choć poziom naukowy w rywalizacji z Tech. Akad.Wojsk. był stosunkowo bardzo wysoki. Uczniowie Kadeckiej szkoły mieli jednak b. wiele praktycznych ćwiczeń, mając pod nosem Dunaj, a oprócz tego wcale porządny plac do ćwiczeń w robotach ziemnych, bo i tych nie zaniedbywano. Byli więc b. poważnymi konkurentami.

Duch w pułkach inżynierii był bardziej miękki i elegancki, podczas gdy w batalionach pionierskich, znanych w całej armii z bardzo surowej dyscypliny, graniczącej nieraz z okrucieństwem. Dawało się to odczuć głównie podczas ćwiczeń wolnych. Oficerowie w pionierach byli przeważnie "Commiskerle" w całym tego słowa znaczeniu.

Różnicę mogliśmy jeszcze w Akad.Wojsk. zauważyć, mając wzór naszych nauczycieli kilku pionierów, a także obserwując cały tok służby w Kadeckiej szkole, dokąd rok rocznie jeździliśmy na 6-tygodn. praktyczny kurs w robotach wodnych. Tam nam dosyć "psa wybierano", byśmy mogli ocenić twardość służby w pionierach.

Gdy przez reorganizację zlały się te dwa Korpusy oficerskie w samycg pionierów, wymięszano najpierw w każdym baonie oficerów inż. z pionierami. Punkt ciężkości wyszkolenia przeniesiono na budowę mostów z materiału system Birugo, pływanie łódkami itp., co określano słowem "Pionier-Wasserdienst". Roboty ziemne (to Pionier-Landdienst) grały obecnie dość podrzędną rolę.Było rzeczą jasną, że dawni oficerowie z "Genieregimenter", nie mający o służbie wodnej wielkiego pojęcia, musieli kuć obecnie regulaminy służby wodnej.

Przy tym stanie rzeczy, wysunęli się naprzód "pionierzy" i grali w batalionach pierwsze skrzypce.

W 15 baonie pion. nie miał Baumgartner wiele do gadania, a

wszystkim trząsł kapitan Gangl stary pionier, doskonały fachowiec w swoim fachu, ale "Kommiskerl" w całym tego słowa znaczeniu.

Mnie przydzielono do 5 kompanii, gdzie wszystkim trząsł podporucznik Herrmann, akademik, opanowujący jednak już wówczas regulamin służby wodnej doskonale. D-ctwo komp. miał objąć jakiś kapitan, ale go jeszcze nie było.

Był jeszcze 3 gatunek oficerów,tj. Oficerowie piechoty, którzy swego czasu ukończyli wprawdzie szkołę Kadec. W Hainburg ale z tak słabym, ledwie dostatecznym postępem, że ich przydzielano wprost do piechoty. Z nimi był największy kłopot, bo służąc szereg lat w piechocie, zapomnieli w przeważnej części służbę pionierską, a wróciwszy z powrotem do pionierów byli za starzy, za tępi i za leniwi, by porządnie przysiąść fałdów i przestudiować techniczne regulaminy. Ponieważ zaś byli w randze dość wysoko, więc b. często obejmowali automatycznie dtwo. Kompanii.

Powód, dla którego te wybiórki z powrotem znowu do pionierów przydzielano leżał w tym, że był brak oficerów w pionierach, gdzie tok służby wymagał, by na kompanię było 4-5 "subalternów" tj. młodszych oficerów. W mojej Kompanii był taki stary oberleutnant z piechoty, który w sobotę podczas ćwiczeń w mustrze pieszej chciał "dawać szkołę" w tz. "Fusstazok" tj. w mustrze zwartej, a debiutował we funkcji dcy.Kompanii.

Nie ma nic gorszego, jak służyć pod dcą. swego fachu nie opanowuje, a chciałby pokazać, czym to on nie jest. Z nim miałem kilka niemiłych zajść. Popović, który służył u "srogiego" Gangla miał lepsze życie, bo Gangel był fachowcem w każdym calu.

W jakiś czas przyszedł do baonu, Kapitan Zeidler ze sztabu inżynierii, człowiek zdolny i wykształcony, ale nie mający o służbie pionierskiej żadnego wyobrażenia. Z tym miałem także kilka nie miłych zajść.

Duch w Korpusie oficerskim był na ogół dobry, koleżeństwo stało b. wysoko; sami oficerowie gentelmeni od pięty do czubka głowy.

Ale jedną wielką wadę miał Klosterneuburg jako garnizon, a mianowicie, była nią sprawa finansowa. Owczesna gaża podporucznika wynosiła łącznie z tzw."Sabsistezzulage" 60 guldenów na miesiąc co było bardzo mało. Oprócz tego dostawał oficer na mieszkanie t.zw."kwaterowe" o ile nie przydzielano mu mieszkania w naturze np. jakieś ubikacje w koszarach. To ostatnie właśnie mnie w Klosterneuburg spotkało, gdzie w starej z czasów Radeckiego pochodzącej koszarni obok izb kompanijnych były mieszkania oficerskie. Mieszkanie mnie przydzielone, składało się z obszernego pokoju (8mx7m) olbrzymiego przedpokoju i b. dużej kuchni. Pokój miał prześliczny widok na Dunaj i Trödenberg, ale w dolinie Dunaju panuje zawsze wiatr, wskutek czego w pokoju mającym wprawdzie b. grube mury, ale 2 okna o b. niepasujących futrynach, było zawsze w zimie zimno, szczególnie, że jako piec do ogrzewania służył mały piecyk żelazny, który węglem nie raz do czerwoności rozgrzany, nie był w stanie rozgrzać tej "harhary". Przy piecyku było tak gorąco, że nie można było wytrzymać, a przy stoliku na środku pokoju było już tak zimno, że ręce sztywniały i niepodobna było ani pisać, ani rysować.

Ale wracam do kwestji finansowej.

Postanowiłem sobie jeszcze za czasów Akademii, że gdy zostanę oficerem, to mojej biednej Matce będę posyłał z gaży 10 guldenów miesięcznie, bo jej położenie materialne wskutek dorastania Stacha i Zosi stawało się coraz trudniejsze.

Gdy jednak nadszedł 25 miesiąca skonstatowałem z przerażeniem,że nie mam literalnie nawet na chleb na śniadanie. Było to b. smutne odkrycie, bo pokazało się, że cały mój plan wydatków miesięcznych runął jak domek z kart: nie można było żadną miarą powiązać końca z końcem. O jakichś innych oszczędnościach na jakimś innym polu nie było mowy.

W dodatku stołownia oficerska była w Klosternbg. bardzo droga, płaciliśmy bowiem za obiad aż 24 guldeny miesięcznie. Przyczyną była nie tylko drożyzna w Klosterneburg (wiedeńskie ceny za wiktuały), ale i brak nadzoru ze strony komisji nadzorczej nad kucharzem, który nas okradał gdzie mógł. Jeszcze jedna okoliczność podrażała obiady, a to liczni goście; mianowicie wszystkie próby z różnymi wynalazkami w dziedzinie pionierskiej odbywały się w Klosterneuburg, jako w najbliższym garnizonie, gdzie był plac ćwiczeń i wszystko, umożliwiające próby i doświadczenia. Zjeżdżały więc różne Komisje jużto z Tech. Komitetu Wojsk. wzgl. z Ministerstwa Wojny itp. a gościnność i renoma pionierów wymagały, by ich do stołowni na obiad zaprosić i uważać w myśl tradycji za gości. O tym by oni za obiad płacili mowy nie było; wydatek ten obciążał konto wszystkich oficerów równomiernie. Miesięcznie więc stołownia kosztowała do 27 guldenów tj. niemal połowę miesięcznych poborów podporucznika.

W ogóle garnizon w Klosterneubg. nadawał się tylko dla oficerów albo mających jakiś prywatny majątek, lub jakąś pomoc pieniężną od rodziny lub krewnych i znajomych w Wiedniu. Dla takich jak ja, nie było w Klosterneubg. co szukać.

Robiąc pieniężny"rachunek sumienia ", gdym po 25 zmuszony był prosić dwcę. Kompanii o zaliczkę w wysokości 5 guldenów, skonstatowałem, że to przed czym nas przez 3 lata pobytu w Akademii ostrzegano tj. przed robieniem długów, nie da się w tym garnizonie dla mnie absolutnie utrzymać: co miesiąca musiałem brać "zaliczkę" choćby tylko 5 guldenów, a trzeba wziąć pod uwagę, że były i nadzwyczajne, nie przewidziane wydatki, których nie można było uniknąć, np. zakupno lampy, zakupno papierów rysunkowych do wypracowania "elaboratu zimowego" (tzw. Winterthema) zakupno nocnika, noża, widelca, łyżki, maszynki spirytusowej, rynki do gotowania herbaty itp.

Ponieważ od ściany było zimno, więc chciałem sobie kupić nad łóż-

ko dywanik za kilka guldenów, ale musiałem się bez niego obejść.

Wieczorem, gdy wygasł t.zw. "Kanonenofen" i zrobiło się tak zimno, że nie można było w tej temperaturze wytrzymać, szedłem do stołowni oficerskiej, gdzie takie głodomory, jak ja, schodziły się i zabawiali grą w szachy. Kto miał jakichś parę dutków w kieszeni, kazał sobie podać gulasz lub parówki, ja jednak jadałem kolację w domu (za 10 centów kiełbasy i kawałek "komiśniaka" bo ten kosztował 8 centów za bochenek).

Czy można było w takiej sytuacji wytrwać 4 lata tj. do awansu na "oberleutnanta" (porucznika), który to awans przynosił.....10 guldenów miesięcznie więcej.

W lecie, gdy były ćwiczenia (tj. od 15 Kwietnia do końca Września była sytuacja o tyle lepsza, że istniał tj. "dodatek ćwiczebny" (Übungszulage) w wysokości 50 centów dziennie, ale to robiło w miesiącu 10 -12 guldenów. Ale apetyt po ćwiczeniu nad wodą w górskiej okolicy wzrastał niepomiernie i pożerał ten dodatek ćwiczebny w zupełności. Sytuacja była więc wprost rozpaczliwa!

Zrozumiałem, że im prędzej uzyskam, czy to drogą protekcji, czy w jakiś inny sposób przeniesienie z tego garnizonu, tem lepiej dla mnie będzie.

Zacząłem więc myśleć o tym i szukać jakiejś protekcji, a także myśląc na dalszą metę, postanowiłem już teraz zacząć się przygotowywać do wstępnego egzaminu na Wyższy Kurs inżynierii (Höherer Geniecurs), bo tylko w ten sposób mogłem osiągnąć awans "poza turą". Mianowicie jako leutnant i oberleutnant byłbym "14 1/2 lat czekał, zanim bym dostał stopień Kapitana" podczas gdy w awansie "poza turą" byłbym osiągnął ten stopień po 6 -7 latach.

Rozpocząłem od studium matematyki, bo ta była podstawą wszystkiego.

Jak zawsze, gdy człowiek sobie coś obmyśli, bieg zdarzeń w rzeczy

wistości przybiera inny obrót. Nie uprzedzam jednak tych ~~czasów~~ zdarzeń, i na nie czas w ciągu niniejszego opowiadania przyjdzie!

Bardzo smutną była dla mnie wilja 1897 roku; o tym bowiem, by dostać urlop świąteczny i pojechać do Lwowa do rodziny mowy nie było. Istniała bowiem w pionierach tradycja,że tak"świeżo upieczony" Kadet jak i leutnant w pierwszym roku służby nie dostawał żadnych takich urlopów; miał on przy kompanii asystować przy wilii żołnierskiej, by i na tym punkcie zakosztować do dna tz."Kommisdienst" Nie prosiłem więc wcale o urlop, lecz po wilii żołnierskiej, której asystowałem tym, którzy urlopu nie dostali, poszedłem do stołowni oficerskiej, gdzie dla oficerów, którzy nie mieli nikogo wzgl. przez nikogo nie byli na ten wieczór proszeni, zarząd stołowni zaaranżował coś w rodzaju wilii, dając rybę, a nawet maleńkie drzewko. O jakimś łamaniu się opłatkiem mowy nie było, bo to nie jest u Niemców w zwyczaju.

Było nas coś około 8 udział biorących; nastrój był dość grobowy. W końcu kpt.Gangel, wypiwszy za wiele wina, upiwszy się zaczął rozmaite ordynarne sprośności wygadywać, co na nas wszystkich zrobiło okropne wrażenie.

Gdzieś po 10 godzinie rozeszliśmy się do naszych "bud" i byliśmy kontenci, żeśmy „wilię mieli poza sobą."

Tak upływał dzień za dniem, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem; u Zygmunta Ajdukiewicza bywałem raz na miesiąc, choć mnie na częste odwiedziny serdecznie zapraszał; chętnie byłbym z tego zaproszenia i częściej skorzystał, będąc jego gościem tak na obiedzie u Leidingera (1-szorzędna restauracja!) a potem w kawiarni, gdzie poznałem jego przyjaciół, artystów, ludzi niezwykle miłych i interesujących. Nie mogłem jednak częściej do Wiednia jeździć, bo.... mi różnicę robił ten wydatek, 50 centów na kolej tam i nazad!

Smutna egzystencja!

1 Maja 1898. Przeniesienie do Przemyśla

Pamiętam była to jakaś niedziela; miałem dnia tego inspekcję batalionową i gdzieś po 11 w nocy wybierałem się inspekcjonować warty, gdy wpadli do mego mieszkania koledzy, którzy dzień ten spędzili w Wiedniu ze "smutną" wiadomością, że jestem przeniesiony do Przemyśla! do 11 baonu pionierów. Kondolowali mi, sądząc, że ja za Klostenburgiem będę żałować. Nie przeczuwali, że nie było dla mnie nic, co by mnie w danej chwili bardziej uszczęśliwić mogło, jak właśnie to przeniesienie. Najchętniej byłbym zaraz zaczął się pakować!

Trzeba bowiem wiedzieć, że z chwilą mojego przeniesienia do Przemyśla kończyły się moje troski materialne, wracałem między swoich! Troski materialne skończyły się odrazu dlatego, że w Przemyślu nie było mieszkań w naturze i dostawało się aż 32 guldeny miesięcznie kwaterowego. Za mieszkanie (pokój z kuchnią) płaciło się przeciętnie 12 guldenów, a reszta zostawała na polepszenie bytu. W dodatku Przemyśl był jednym z najtańszych garnizonów.

Co się warunków służbowych tyczy, to te były niezwykle przyjemne. Dcą. baonu był mjr. baron Weber, niezwykle lubiany przez wszystkich podwładnych, gentelmen jakich mało w życiu widziałem, typ Niemca arystokraty w najlepszym tego słowa znaczeniu. Zawsze będę go niezwykle mile wspominał.

Pod pewnym względem przypominał baron stosunki w Klosterneuburg mianowicie zacny Weber był z pułków inżynierii i nie miał zdaje się wielkiej ochoty zagłębiać się w arkana wiedzy pionierskiej, więc baonem trząsł kpt.Lindner, zawodowy pionier, zasadniczo porządny człowiek, ale w służbie b. niemiły.

W ogóle dawni "geniści" nie mieli w 11 baonie wiele do gadania, bo byli to ludzie przeważnie starsi, którzy nie mieli na punkcie wiedzy pionierskiej żadnej ambicji i w rezultycie w każdej kompanii ja-

kiś zawodowy "leutnant"-Koryfeusz jako pionier,-był właściwym kierownikiem wyszkolenia kompanii. Najmniej pożądanym elementem byli t.zw."generalstablerzy" t.j. oficerowie, którzy służąc jakiś czas czy to w pionierach, czy w pułkach "genie" ukończyli szkołę wojenną, osiągnęli przydział do służby w sztabie generalnym, skąd po 2-3 letniej służbie awansowali "po za turą" na kapitanów, poczem przychodzili znowu do baonów pionierów, by wykazać swoje uzdolnienie w dowodzeniu kompanią. Z nimi był największy kłopot, bo byli oni na każdym polu nieukami, o "pionierce" nie mieli literalnie żadnego wyobrażenia, im wyszkolenie kompanii obejmował znowu jakiś leutnant "zawodowy pionier".

Z tymi "generalstablerami" był kłopot, bo byli to z reguły zarozumialcy, cierpiący na każdym polu na manię nieomylności, a dcy baonów nie mieli zwykłej odwagi wziąć ich porządnie "za twarz" i wykazać im że są cymbałami, którzy od liniowego oficera wiele się mogą nauczyć, obawiali się bowiem kliki generalnego sztabu, tworzącej zamknięte "koło" (rodzaj takiego klanu), a dla której skręcić kark choćby najbardziej wartościowemu liniowemu oficerowi było drobnostką, Dlatego każdy dca.baonu, każdy starszy kapitan, aspirujący na majora woleli z nimi nie zaczynać i wyczekać, aż po 3-letnim rzekomem dowodzeniu kompanią, taki facet został definitywnie wcielony do korpusu oficerów geberalnego sztabu i batalion go już więcej zwykle nie widział.

Po przybyciu do 11 batalionu, powitany b. mile przez mjra.Webera zostałem przydzielony do 2 kompanii, do której równocześnie w roli dcy. komp. przyszedł był taki "po za turą" awansowany kapitan z gen. sztabu Edward Edler von Bisenius.

Chcąc być bezstronnym, muszę przyznać, że był to człowiek w gruncie porządny, jednak pełen zarozumiałości, typ tz."Augenauswischera"

nie mający o technicznej służbie (ani w Wasserdienst, ani Landdienst) żadnego wyobrażenia, a starający się wszędzie wykazać swoją "nieomylność". Jego głównym celem było, by przy każdej inspekcji jego kompania okazała się b. dobrą.

O taktycznych przepisach nie miał także, mimo, że generalstäbler wielkiego wyobrażenia, za to w języku był b. "mocny"!

W obec tego przeszło wyszkolenie automatycznie w ręce podporucznika Osbergera mistrza w "Wasserdienst", ale tak tępego i głupiego, jak rzadko.! Przy tym był on złośliwy i mściwy, a pod dowódcą takim, jakim był Bisenius mógł robić, co mu się podobało. Karne ćwiczenia i skutkiem tego powrót do koszar o godzinę później, niż to miało być, to jego specjalność! Aż zauważył to dca. baonu i kazał pisemnie meldować za każdym razem te spóźnione powroty, ustały też one, jak nożem uciął.

Służba wewnętrzna w tej kompanii nie była miłą, ale nie robiłem sobie nic z tego, mając wytknięty cel po 3-ch latach służby przy kompanii zgłosić się do egzaminu wstępnego na kurs inżynierii. Uczyłem się do niego pilnie.

Pod względem prywatnym było mi idealnie, bo prawie zawsze w sobotę mogłem jechać do Lwowa, a wrócić albo w niedzielę wieczór, albo nawet w poniedziałek rano, tak, że jeszcze mogłem na czas zjawić się na ćwiczeniach (7^h!)

We Lwowie porobiłem dużo znajomości, szczególnie w domach, gdzie były panny tańczące, jako danser może nie byłem najlepszym, nie umiejąc np. tańców wirowych w lewo, ale ochoty do tańca nigdy mi nie brakło! Zdaje się dlatego panny mnie lubiły, choć pięknością nie grzeszyłem.

Specjalnie dwa domy we Lwowie zachowałem w miłej pamięci a to dom państwa Kułakowskich (pan domu był kolegą biurowym śp. mojego Ojca), gdzie, zdaje mi się, co wtorku była pokolacyjna herbatka, a

potem tańczenie do 4 rano przy fortepianie, a dalej u p. Bolesławów Łodzińskich, gdzie znowu w czwartki była taka sama herbatka.

Ranny pociąg (o godz 5^{ej} rano!) uwoził mnie do Przemyśla, a o 7^{ej} byłem przy kompanii.

Zabawny epizod zdarzył mi się raz: mianowicie pociąg się spóźnił o kilka minut, tak że ja już nie mogłem pójść do domu i przebrać się. Więc tak jak stałem, obwieszony licznymi orderami kotylionowymi w "waffenrocku", przepoconym na wylot zjawiłem się jednak jeszcze na czas przy kompanii. Mróz był wściekły dnia tego, ale człowiek był młody, zdrów, jak orzech, więc postawiwszy kołnierz odbyłem ćwiczenie na dziedzińcu koszarowym, gdy nagle Bizenius, który zwykle na dworze lub na korytarzu odbywał raport, nakazał mi przedstawić sobie "raport" (tj. tych ludzi, którzy mieli jakieś prośby itp.) w kompanijnej kancelarii. Do tego trzeba było zdjąć płaszcz, a ja na śmierć zapomniałem, że jestem obwieszony... orderami kotylionowymi! Zdejmuję płaszcz, a Bizenius, który sam b. lubił tańczyć, klepie mnie po ramieniu i mówi: "Nächstes Mal gehen Sie Herr Leutnant immer zuerst nach Hause und ziehen Sie sich um!!!

Największą radość z moich przyjazdów do Lwowa, miała śp. moja Matka i Babka. Matka tylko bała się bardzo, żebym się w jakiej Niemce, węgierce lub Czeszce nie zakochał. Chciała Sierota koniecznie, bym się z Polką ożenił.

Po 2 latach został Bisenius definitywnie przydzielony do generalnego sztabu, a dtwo.2 kompanii objął kpt. Ehmer. Tu już była sytuacja przykrzejsza, bo był on pijaczyną i nie lubił bardzo takich oficerów którzy starali się dostać na wyższe studia (Genie kurs, Kriegschule).

Gdzieś w tym czasie diabli wzięli z kompanii Osbergera, a do komp. przyszedł porucznik Barger, b. elegancki człowiek i gentelmen od głowy do pięty.

O ile Hübner był nieraz przykry, szczególnie, gdy przedtem za dużo wypił, o tyle Barger umiał zawsze wszystkie dysonanse swoim taktownym postępowaniem zażegnać!

W zimie z 1899 na 1900 odbył się wstępny egzamin na wyższy kurs inżynierii. Ze 150 aspirantów przypuszczono do głównego egzaminu coś około 50-ciu (!) i mnie między nimi. Ale było to zapowiedzią, że główny egzamin, odbywający się w Wiedniu we wrześniu 1900 będzie również ostry. Zacząłem się tedy ze zdwojoną pilnością przygotowywać.

Do głównego egzaminu powołano z 11 batalionu mnie i porucznika Hübnera. Egzamin wypadł dla nas pomyślnie, bo nas obu na wyższy kurs przyjęto. Jednak egzamin był b. surowy, bo z 50ciu przyjęto w sumie 17 oficerów!

Wyższy Kurs inżynierii (1900 - 1902)

Dwuletni pobyt w Wiedniu na tym kursie należy do moich najprzykszejszych wspomnień w moim życiu. Przede wszystkim poznałem nie realną pracę i współzawodnictwo między kolegami w myśl idei "po trupach innych dojść do celu"

Chcąc możliwie tanio mieszkać, wzięliśmy sobie do spółki z Hübnerem wspólne mieszkanie (2pokoje i kuchnię). Ale to nie było szczególnie szczęśliwe pociągnięcie z mojej strony, bo Hübner uważał z jednej strony swój pokój w Wiedniu za sposobność "użycia sobie Wiednia" za każdą cenę, a był przy tym człowiekiem, hołdującym nierealnej pracy: główna rzecz u niego było mieć egzamin "po za sobą" a żadnej tendencji nauczenia się czegoś porządnie i gruntownie. Zresztą usposobienia nasze nie zgadzały się zupełnie.

Aby zrozumieć ducha wówczas na Wyższym Kursie Inż.panującego, muszę naznaczyć najpierw, że w r. 1900 złączono ten kurs ze Szkołą Wojenną (Kriegschule) i to w tej formie, że najpierw słuchaliśmy ściśle wojskowych przedmiotów razem z"Kriegschülerami"(taktyki, strategii

w

wojsk. geografii, organizacji wojska), operacyjnej służby gen. sztabu i t. d.) a potem były wykłady ściśle techniczne w osobnej sali naukowej. Rozdzielono nas z kursu inżynierii na 3 klasy szkoły wojennej (A, B, i C), ja dostałem się do klasy A (Hübner do klasy C) Klasa A była pod wzgl. jakości wykładających oficerów najgorzej wyposarzona. Taktykę np. wykładał kpt. gen sztabu Kleibel, ~~znany~~ marny teoretyk, wykładający swój przedmiot (b.ważny) po raz pierwszy w życiu, "robiący" trochę Moltkego, a kierujący się sympatiami i antypatiami, Lubił b. przystojnych młodziutkich oficerów, także liczył się z tym, czy dany Kriegsschüler był synem lub kuzynem jakiegoś wysoko położonego generała, czy nie. Miałem wrażenie, że mnie specjalnie nie lubił (nie byłem ani piękny, ani młody), bo np. gdy mi się udało dobrze rozwiązać zadanie praktyczne, to on robił na niej "fajkę" tz. że je tylko powierzchownie przeglądnął. Gdy zaś palnąłem jakiegoś byka, to krytykował zadanie b. ostro i zadawał sobie po prostu trudu w tym kierunku.

Np. po pierwszym zadaniu takt. oświadczył mi, że "albo do 8 dni tj. do najbliższego zadania zmienię pismo (które wydawało mi się za mało czytelne) albo na Boże Narodzenie znajdę się z powrotem w Przemyślu". Było to b. groźne słowo, bo mógł z łatwością uzyskać moje wyrzucenie z Kriegsschule, co byłoby pogrzebało wszystkie moje plany na przyszłość.

Poszedłem więc do kaligrafa i płacąc 10 guld. poprosiłem o radę, co mam robić. On mi poradził pisać stojąco, przez co pismo szczególnie "gotykiem" jest o wiele czytelniejsze i robić między słowami najmniej 10 m/m odstępy. Przyswoiłem sobie to i już odtąd nie było wytyków ze strony Kleibla na temat pisma.

Operacyjną służbę gen.sztabu wykładał mjr.Belmont, również początkujący wykładowca, opanowujący swój przedmiot dość marnie, i stosujący w klasyfikacji swego przedmiotu noty, jakie się z innych przedmio-

tów otrzymało. O innych przedmiotach wojsk. nie piszę, bo by to za wiele miejsca zajęło.

Zespół wykładowców w innych klasach (B i C) był daleko lepszy. Taki pułk. Schirmbeck był np. istotnym Koryfeuszem w operat. służbie gen. sztabu.

Jeszcze o jednej marnocie wspomnę tj. o ppułk. Czibulce, wykładowcy strategii. Dumny napuszony, był to typowy "Arschlecker" wzgl. panującej dynastii, z pochodzenia Czech,"robiący"jednak wielkiego Niemca. Z nim miałem dość zabawną historię:

Na 2 roku "Kriegsschule" miał każdy frekwentant opracować jakiś temat ze strategii; ja dostałem do opracowania bitwę pod Custozzą (24.VI.1866), gdzie 13 pułk ułanów pod dtwem.pułk. Rodakowskiego swoim brawurowym atakiem rozbił był 3 dywizje włoskiej piechoty, tak że nie mogły one wziąć już udziału w bitwie i w ten sposób Austryjacy wygrali ją.

Gdyby jednak ten atak nie był się udał, to te 3 włoskie dywizje byłyby zaszły na tyły walczących pod Custozzą Austryjaków, a ponieważ ci ostatni nie mieli już wówczas żadnych rezerw do wsparcia tego ataku, więc klęska Austryjaków, którymi dowodził arcyksiążę Albrecht, byłaby niewątpliwą.

Austryjacy mieli jednak szczęście: wyrąbał ich 13 pułk ułanów, złożony z Polaków, ochotników. Na 800 jeźdźców, wróciło 200-tu!

Austryjaccy strategicy w stylu "Arschleckera" Czibulki pomijali prawie milczeniem wyczyn ułanów Rodakowskiego i przypisywali całą zasługę wygranej bitwy arcyksięciu Albrechtowi, stawiając jego bohaterską decyzję rzucenia w bój ostatnich (!) rezerw, by szalę na swą stronę przechylić. Miał arcyksiążę szczęście i wszystko poszło dobrze, ale dzięki tylko rozbiciu 3 dywizji włoskiej piechoty.

W moim opracowaniu, nie bawiąc się w żadne pochlebstwa pod adre-

sem "arcyksiążęcego wodza", wykazałem, że gdyby nie atak ułanów, to wynik bitwy byłby b. wątpliwy.

To postawienie sprawy było dla Czibulki niby czerwonem płótnem dla byka: napisał "die Arbiet nicht entsprechend" czerwonym atramentem i to groziło notą niedostateczną ze strategii. Jednak zrobił rachunek bez gospodarza; mianowicie komendant szkoły wojennej feldmarschal leutnant Cvitković, zajadły Kroat, który wszystkie wypracowania przeglądał i zielonym atramentem swoje uwągi robił, podkreślił grubo słowo "entsprechend" i podpisał się. Było to dla Czibulki, jakby go kto w pysk trzasnął!

Te nasze elaboraty dostawaliśmy z powrotem i tym większy blamaż dla Czibulki że Cvitkocić (zresztą znany weredyk i nielubiący "generalstablerów) przyznał mi rację wbrew jego opinii.

Wykłady w szkole wojennej trwały zwykle do godz.12^{tej} lub 13. poczem "Kriegschulerzy" szli do domu, a my frekwentanci wyższego kursu szliśmy do sali "Geniekursu" i tam słuchali wykładów do godz. 17^{ej} Była 1/2 godzinna pauza, podczas której nasi osobiści ordynansi przynosili nam obiad, ten żjadło się z wilczym apetytem, nie gryząc nawet należycie, co miało swój skutek, bo ku końcowi 2^{go} roku zapadłem na ciężki katar żołądka (ciągłe czyszczenie) Na jakieś planowe leczenie nie było ani czasu,ani środków. Piłem więc czerwone wino i tym półśrodkiem utrzymałem się przy siłach, by dobić do końca ten 2^{gi} rok.

Wyjątek stanowiła sobota, gdzie cały czas od godz 8 do 17 ^{tej} opracowywaliśmy zadania z taktyki wzgl. operacyjnej służby generalnego sztabu i to w takim tempie, że co kilka lub kilkanaście minut, przeznaczonych na opracowanie danego punktu, dostawało się następny punkt do odrobienia i w tym tempie, z wyjątkiem 1/2 godziny pauzy szło to do godz 17. Był to nadzwyczajny wysiłek umysłu i nerwów, tak że po każdym takim zadaniu szedłem do kawiarni, piłem kawę, ale tak

wyczerpany, że nawet gazet nie mogłem czytać.

Naturalnie studium przedmiotów technicznych i fortyfikacyjnych zajmowało również wiele czasu; pamiętam raz, że przyszedłszy do domu po wykładach i zjadłszy moją kolację (kiełbasa z chlebem i cherbatą) siadłem do rajsbretu i rysując całą noc do godz 7^{ej} rano i nie zmróżywszy oka ani na pół godziny, poszedłem na wykłady. A takich wyczynów było więcej.

Że praca w takim tempie przechodziła siły ~~ludzkie~~ człowieka nawet tak fizycznie zdrowego jak ja, i nie mogła być realną to jest jasne.

Była też to dzika pretensja żądać od frekwentantów wyższego kursu, by w ciągu 2 lat przerobili sumiennie to, co było w "Kriegschule" i na kursie wykładane. Dawny kurs inżynierii tj. przed połączeniem ze szkołą wojenną, trwający również 2 lata, był zabawką; miało się bowiem dosyć czasu, by każdy przedmiot należycie przestudiować i w umyśle przetrawić.

W dodatku ja zaczynając ten kurs, postanowiłem sobie nigdy nie korzystać z pomocy kolegów, posiłkować się odpisywaniem zadań itp. metodami, które szczególnie w Szkole Wojennej były bardzo... uzualne. Praktyczne nie było to moje postanowienie, ale przegryzłszy się o własnych siłach, umiałem daleko więcej niż wielu z moich kolegów, ale niestety nie umiałem tego należycie "sprzedać": nie umiałem z należytą emfazą i odpowiedniej formie przy egzaminach podać. Wiele przyczyniła się do tego i ta okoliczność, że języka niemieckiego nie opanowywałem w tym czasie tak poprawnie, jak później; co chwila ktoś zauważył, że to nie jest "deutsch" lub, że przebija się w moich zwrotach, że język niem. nie jest "meine Muttersprache" itp.

Teraz muszę naszkicować sylwetki moich wykładowców na "Wyższym Kursie".

Komendantem był ekscellencja gen.Nikolaus Ritter von Wnich,sławny artylerzysta i balistyk, ale człowiek jup b. stary i zużyty. Na samym kursie grał pierwsze skrzypce pułk. sztabu inżynierii Karl Porges, wykładający "Kriegsbaukunst" (budowa stałych twierdz), wojnę forteczną i fortyfikacje polowe.

Był to człowiek niezwykle pod każdym wzgl. utalentowany, ogromnej wiedzy, który mając b. szerokie horyzonty duchowe, pchnął fortyfikacje polowe w ogóle na zupełnie nowe tory. Jego wykłady-często nie łatwe do uchwycenia,-były znakomite. Pochodził z żydów, był wolnomyślnym silny sceptyk, miał jednak dla każdej samodzielnej, oryginalnej pracy duże uznanie.

Jednym z filarów głównych Wyższego Kursu Inż, był major sztabu inżynierii dr. Julius Mandel. Pochodził również z żydów, był on jednym z pierwszych, którzy złożyli na wiedeńskiej politechnice doktorat wszech nauk inżynierskich. Wykładał znakomicie budowlaną mechanikę. Ceniłem go osobiście bardzo wysoko.

Mjr. ze sztabu inż.Schrieber wykładał "fortifikatorische Kriegsgeschichte" (historia obrony różnych twierdz i umocnień polowych w ubiegłych wojnach, jak np- oblężenie Sebastopola, Plewny itd.), ale on także b. marnie opanowywał ten niewątpliwie b. interesujący przedmiot.

Major artyl. Pill wykładał wiedzę artyleryjską (Artillerienlehre) Była to jednak na ogół miernota, nie bardzo opanująca swój przedmiot.

Na ostatnim miejscu wymieniam podpłka.Pragera, który wykładał przedmiot tz. "Bautechnische Gegenstände" Była to raczej encyklopedia najnowszych zdobyczy na polu budownictwa w ogóle, należał jednak ten przedmiot do t.zw. grupy B. to znaczy mniej ważny. Prager nie umiał wiele i był raczej blagierem. Przy tym bardzo marny charakter.

Uczono na Wyższym Kursie jeszcze języka francuskiego i angielskiego.

Ale tego nikt nigdy nie brał poważnie; kto znał te języki przedtem, to było dobrze, ale żeby się ktoś w tej uczelni choć trochę w nich wyperfekcjonował, o tem nie było mowy, choćby z powodu zupełnego braku czasu.

Przy tej wytężającej pracy, jaką trzeba było włożyć w to podwójne studium (Kurs + Kriegschule) upłynęło mi dwa lata.

Tak pod względem duchowym jak i fizycznym były niezwykle natężające tz."Kleine taktische Reise" (6 tygodni włóczenia się w lecie po 1 roku po dolnej Austrii i rozwiązywanie mniejszych zadań taktycznych, potem " grosse taktische Reise", po ukończeniu 2 roku, gdzie się rozwiązywało zadania operacyjne w większym stylu (operacje armiami)

"Małą taktyczną podróż" mojej klasy prowadził ppł. gen sztabu Hramilović (osławiony szef defensywy w 1 wojnie światowej,) człowiek niewątpliwie zdolny i b. sprytny, ale pod względem charakteru wielka kanalia.

"Grosse taktische Reise" po ukończeniu 2 roku prowadził mjr. Gen sztabu Kochanowski, b.zacny i b. mądry człowiek. Oprócz tego była t.zw."Fortifikatorische Reise" którą prowadził Porges. Miała ona na celu zaznajomić frekwentantów z fortyfikacjami stałymi, wybudowanymi w Alpach na granicy włoskiej, z fortyfikacjami twierdzy morskiej Pola i Catazzo, a w końcu z twierdzą Kraków, wzgl.Przemyśl na odcinku Galicji.

Porges pchnął jednak tę podróż fortyfikacyjną na nowe tory, omawiając z pojedyńczymi frekwentantami wartość i znaczenie poszczególnych fortów, przy czym badał także intelektualne zdolności danego osobnika pod względem takt. i fortyfikacyjnym. Była to niewątpliwie doskonała sposobność, by przy takiej "pogadance" i wymianie zapatrywań poznać nieco gruntowniej mentalność danego frekwentanta i zakres jego wiedzy

PonieważPorges był zawołanym turystą i lubił bardzo alpinistykę, więc pod jego komendą obiegliśmy całą południową Karyntię, Styrię południ.Tyrol aż do Franzensfeste.

Wszystkie te trzy gatunki podróży (mała i duża taktyczna podróż + fortyfikacyjna podróż) byłyby b. miłe, gdyby nie to, żebyły nadzwyczajnie pod wzgl. fizycznym natężające. Co dzień bowiem wyruszało się gdzieś około 5^{g} rano i rozwiązując takt. zadania, bawiło w "terenie" do godz 5 lub 6 po południu. Każdy wracał do kwatery tak strasznie zmęczony, że już nie miał sił, by zrozumieć np. piękność krajów alpejskich. Również nie uznawano żadnych świąt i niedzieli.

Przyczyną, dla której te "podróże" w tak wściekłym tempie były prowadzone, była ta, że chciano nas wypróbować, czy te fizyczne natężenia, trwające de facto całe tygodnie bez przerwy (pogoda nie grała tu żadnej roli!) wpływają na sprężystość naszego myślenia czyli, czy zdołamy na wypadek wojny jako oficerowie sztabu nawet przy największych natężeniach fizycznych, braku sposobności do jedzenia i wyspania się, spełniać nasze obowiązki, pisząc i koncypując rozkazy, rysując szkice itp.

Było to niewątpliwie słuszne zapatrywanie, ale wytrzymać tą końską próbę, to była, rzecz niełatwa; tylko fizycznie b. zdrowe elementy mogły z niej wyjść zwycięsko.

Nareszcie skończył się 2 rok tej męki i ja ukończyłem "Wyższy Kurs" z "dobrym"postępem.

Byłem pewny mego przydzielenia do sztabu inż., bo przecież Porges kilkakrotnie chwalił moje wypracowanie, nazywając je "eine originelle, recht gelungene Lösung, a także gen.Wnich, zapytany przez gen. Albinowskiego, czy mam szanse na przydział do sztabu, powiedział był: "Kannst   sein; er wird sicher zugeteilt werden".

Katastrofalne zakończenie Wyższ.Kursu Inżynierii.

Zakończeniem oficjalnym Wyższego Kursu Inżynierii był tz. "Delegierte Prüfung" tj. egzamin przed delegacją złożoną z oficerów Min. Wojny, Sztabu Generalnego i Generalnego Inspektora Inżynierii, (którym był wówczas feldmarszałek-porucznik Beck von Nordenau).

Ten egzamin przed delegacją miał na celu w pierwszej linii skontrolować, o ile przez wykładowców (!) temat został wyczerpany wzgl. celowo przepracowany. Samo egzaminowanie frekwentantów było raczej w drugiej linii, bo jaki sąd mogła delegacyjna Komisja wyrobić sobie o wiedzy każdego z nich, gdy cały egzamin trwał przez dwa przedpołudnia i było absolutnie wykluczone, by każdego frekwentanta z każdego przedmiotu egzaminowano?

Przewodniczącym Komisji delegacyjnej był najstarszy rangą generał, w tym wypadku gen. (insp.) Inżynierii fmk. Beck von Nordenau. (Mówiono o nim, że się cichaczem zapijał, był to tz."Stiller " tj. alkoholik, zapijający się w zaciszu domowym, na ogół nie sympatyczna figura, nosząca ślady pijaństwa)

Pierwszego dnia były przedmiotem egzaminu ważniejsze przedmioty (np. taktyka, strategia, fortyfikacje, budowlana mechanika) zaś drugiego dnia mniej ważne przedmioty, jak np."fortifikatorische Kriegsgeschichte", " bautechnische Gegenstände" itd.

Każdy frekwentant dostawał z "Programu pytań"(tz.Fragenprogramm) pytanie, miał 5 minut czasu do przygotowania się, poczem odpowiadał.

Pamiętam, że 1 dnia byłem pytany z taktyki, operacyjnej służby gen sztabu i fortyfikacji polowych; wszystkie te 3 egzaminy poszły mi b.dobrze.

Drugiego dnia jeszcze przed przyjściem Komisji delegacyjnej rozdał nam Prager swój "Fragenprogramm" w którym zauważyliśmy cały szereg pytań, kt. były wykładane na "Kursie budownictwa wojskowego

"(tz. Bauingenieur-Kurs, obejmujący budowę koszar itp.rzeczy, nie mające nic wspólnego z fortyfikacjami) Zwróciliśmy zaraz uwagę Pragerowi, że trudno nam będzie odpowiadać na pytania, które nie były wcale wykładane. On-leń sobaczy, który był za wygodny, by dla Wyższego Kursu inżynierii wydać osobny "Frageprogramm" pocieszył nas, że jego przedmiot należy do "Gruppe 2" więc nie może mieć wpływu na wynik egzaminu. Zresztą rozdał nam litografowane wykłady z "Kursu budownictwa wojsk. uspokajając nas, że będziemy mieli dość czasu (5minut) by się poinformować i na programie pytań poro-bić sobie notatki. Stary cygan! Leń i oszust!

Ja miałem pecha, że Beck mnie wywołał, dając mi pytanie:"Projekt der Tauernbahn". W litografowanych wykładach było to streszczone na 2 stronach, a składało się ze setek cyfr, podających promienie łuków, miliony m^3 wydobytego materiału, X procentów spadku toru itp. Gdzież mój umysł, zmęczony do ostatnich granic wysiłkami i przygotowaniem się po nocach do egzaminu delegacyjnego mógł to wszystko po jednym przeczytaniu zapamiętać!! Nic więc dziwnego, że egzamin mój z tego przedmiotu wypadł b. marnie.

Nareszcie skończył się ten przeklęty egzamin delegacyjny, kazano nam opuścić salę wykładową i tam miała się odbyć konferencja delegatów pod przewodnictwem Becka.

Ponieważ byłem b.głodny, poszedłem do domu na obiad, a moi koledzy zostali na korytarzu, skąd słyszeli każde słowo wypowiedziane na konferencji.

Tam zaś odbyła się następująca scena wzgl. debata na temat mojej osoby: Beck zapytał:"Was für einen Eindruck hat auf die Herren oberleutnant Maryański gemacht? Dennmeiner Meinung nach ist er für den Dienst Geniestabe minder geignet".

Na to wyrywa się ten szubrawiec Prager z uwagą, że ja w jakimś

projekcie jakiejś kasarni narysowałem wychodki w zanadto małych rozmiarach i zakończył uwagą, że "dieses Projekt hat mich entsetzt".

Na to robi pułkownik Rot , delegowany z ramienia szefa sztabu generalnego uwagę, że "to co oberleuthant Maryański wiedział, o budowie kolei Tauernbahn ,to on także wiedział, czytając gazety, choć nie jest zupełnie fachowcem."

Teraz byłem bez ratunku zgubiony, żaden bowiem z wykładowców nie miał odwagi wziąć mnie w obronę. Wnich także ani słowa za mną nie wypowiedział. Najbardziej mogłem się spodziewać jakiejś obrony ze strony pułkownika Porgesa, bo on znał moje zamiłowanie i uzdolnienie w kierunku fotyfikacji i nie raz wyrażał mi w tym kierunku słowa uznania, tu jednak zawiodłem się na nim zupełnie, bo nie tylko mnie nie bronił, lecz nawet zrobił uwagę, że choć nie będę przydzielony do sztabu, to jednak mogę awansować poza turą, mając bardzo dobre opisanie".

To mnie dobiło! Bo ogólnie wiadomem było, że dotąd jedynie przydzieleni do sztabu mogli po 2 wzgl: 3 latach "po za turą" awansować i że nie było wypadku, by choćby najlepiej opisany oficer liniowy awansował "po za turą".

W protokule egzaminacyjnym dopisał tedy Beck przed słowo "zum Dienste im Geniestabe geignet" słowo "minder" ("zum Dienste im Geniestabe geignet") ~~słowo "minder"~~ i byłem gotów z moją dalszą karierą wojskową.

Wieść o tej "pogadance" na temat mojej osoby zakomunikowali mi moi koledzy, gdy po obiedzie poszedłem znowu do budynku Kursu. Tak tedy moja tak ciężka a tak sumienna praca przez 2 lata, tyle nieprzespanych nocy, tyle wysiłków fizycznych . na nic! A wszystko przez tego łajdaka Pragera, który na pokrycie swego lenistwa i oszustwa, nie wahał się na mnie szczekać o te za-małe wychodki.

Również Wnich i Porges znaleźli się skandalicznie, Wnich nie otwierając ust, a Porges swoją głupią uwagą na temat "awansu po za turą" przy batalionie.

Charakterystyczne dla Becka jest to, że na 15 frekwentantów nie przydzielił do sztabu aż czterech a to: Georgupal (Węgier), Serdić (Serb), ja i Nawratil Zygmunt (Polacy). Mam wrażenie, że miał on w programie "oczyszczenie" sztabu inżynierii z elementów nie niemieckich.

Ten dotąd niebywały "pogrom" na Wyższym Kursie inż(33% nieprzydzielonych, czego dotąd nigdy nie było) narobił dużo"szumu" tak w Min. Wojny, jak i w Sztabie Generalnym. Władze te wyciągnęły dość trafne konsekwencje z tego, bo dwuletni Kurs rozszerzono na 3 lata. Na 3-cim roku wykładano wyłącznie techniczne przedmioty, wskutek czego całe studium Kursu zostało postawione od razu na bardziej realnej podstawie, dając frekwentantom czas do studiów i do ich przetrawienia.

Ja jednak już z tego nic nie miałem; wracałem do batalionu, do służby liniowego oficera, mając widoki jeszcze 9 1/2 lat czekać na awans na kapitana! A przecież tylu moich kolegów z Kursu, skończonych jołopów (np.Hess,Sucher, Karplus, Hübner) zostało przydzielonych tylko dzięki protekcji. Gdy to bractwo za 2-3 lat awansowało na Kapitana poza turą, trzeba było widzieć, jak protekcjonalnie a "z góry" traktowali oni kolegę z Kursu, którego tyle razy prosili o pomoc przy wypracowaniu zadań i projektów z dziedziny fortyfikacji, umocnień polowych itp.

Ukończenie Kursu inżynierii wojsk. zwalniało mnie jedynie od uczęszczania na "Kurs oficerów sztabowych" (Stabsofizierkurs) trwający kilka miesięcy, tak, że gdy kiedyś za lat kilkanaście jako kapitan miałem awansować na majora, oczywiście w turze, to już z egzaminu "Stabsofiziersprüfung" byłem zwolniony. Było to jednak

trochę za mała nagroda za tę ciężką moją 2-letnią pracę.

Tak się skończyła moja "kariera wojskowa" przez łajdactwo tego szubrawca Pragera i przez brak charakteru u innych wykładowców.

Zupełnie złamany nie wiedziałem, co mam ze sobą począć. Obawiałem się wrócić do batalionu, by nie być przedmiotem szyderstwa i ewentualnych docinków. Aby przyjść do siebie, postanowiłem pójść na 3-miesięczny urlop chorobowy, bo i tak nabawiłem się był tym nieregularnym, a co do jakości b. marnym odżywianiem ciężkiego kataru żołądkowego.

Była chwila, że nosiłem się poważnie z zamiarem wystąpienia w ogóle z czynnej służby wojskowej i wstąpienia do kolei jako inżynier, ale zamiłowanie do służby wojskowej, w którą taką pracę przez tyle lat włożyłem, zwyciężyło; postanowiłem zostać w wojsku i ciągnąć dalej taczki życia zwyczajnego liniowego oficera.

Trzy miesięczny urlop chorobowy przedłużyłem sobie na 5 miesięczny i na wiosnę r.1903 zameldowałem się w batalionie moim w Przemyślu. Dcą. był major Hugo Zelinka, dobre człowieczysko, ale skończne zero tak pod względem taktycznym, jak i technicznym. Zaproponował on mi w batalionie objęcie stanowiska oficera prowiantowego; była to posada dla leniuchów i darmozjadów, dlatego mi nie odpowiadała. Wolałem robić służbę młodszego oficera przy kompanii, szczególnie, że w ten sposób odświeżałem sobie różne szczegóły i szczególiki służby liniowej zapomniane przez dwuletni pobyt na Kursie; moją prywatną ambicją było wyperfekcjonowanie się w tzw."Komiśnej" służbie tak, by nikt w batalionie nie mógł mi zarzucić jakichś niewiadomości.

Przydzielono mnie do 5 kompanii, którą dowodził kpt.Zdenka Drożak, znany mi doskonale z Wiednia; był on jednak jako przełożony b. przykry; jego nieopanowany temperament, szalona zarozumiałość a przytem pewien fałsz, charakteryzowały go w b. ujemny sposób.

Nie długo jednak trwała ta moja kompanijna służba, bo gdzieś

z końcem października zostałem z powrotem do Wiednia posłany do służby w techn Komitecie Wojskowym.

Służba w Techn.Komitecie Wojskowym (od 1 listopada 1903 - 1908)

Wojsk. Techn. Komitet był instytucją mającą za zadanie badanie wszystkich postępów na polu technicznym w zastosowaniu do armii. Składał się on z samych koryfeuszów danego wydziału, których było cztery 1)Artyleria i uzbrojenie,2)fortyfikacje i służba pionierska oraz wywiad fortyfikacyjny sąsiednich państw 3) wyekwipowanie armii (np. wyprobowanie nowych ubrań, motorowych automobili, kuchen polowych itp..4)wydział wybuchowych materii, środków zapalających itp.

Każdy wydział rozpadał się na kilka pododdziałów.Mnie przydzielono do wydz. 2, pododdział3. Mój przydział do T.W.K. zawdzięczam gen Wnichowi, który ze stanowiska komendanta techn. kursów awansował na prezydenta T.W.K.Ponieważ gen Albinowski robił mu był delikatne wyrzuty z powodu mego nieprzydzielenia do sztabu inżynierii, więc Wnich chcąc mi dać jakąś rekompensatę powołał mnie do służby w T.K.W. Było to niezwykle dla mnie zaszczytne, ale niestety nieprzyspieszało ani o jeden dzień awansu na kapitana nawet przy najlepszym opisaniu.

Najbardziej uradowaną była tym moim odznaczeniem moja biedna śp. Matka,która b. boleśnie i głęboko odczuła moją katastrofę na Wyższym Kursie Inż, szczególnie, że ona biedaczka, tak samo, jak i ja, żyła myślą, że zostanę przydzielonym do sztabu i za 2 -3 lat zostanę kapitanem. Gdy mnie tedy Mnich powołał do T.W.K. ucieszyła się tym bardzo, bo osłów do tejże instytucji nie przydzielano.

Moim szefem był naczelnik 3/II pododdziału major a potem podpułkownik Franz Herbert,(zwany "der nesche Franzl" bo umiał wybesztać aż cały T.K.W chodził) Był to ~~ktaza~~ Koryfeusz w dziedzinie pionierskiej wiedzy (swego czasu prowadził wysadzenie w powietrze skał podwodnych na Dunaju w Żelaznej Bramie i umożliwił, że statki transportowe i monitory (łodzie marynarki wojennej)mogły po Duna-

ju aż do granicy rumuńskiej (ówczesnej!) przy każdym stanie wody pływać).

Z początku pracowałem w oddziale minerskim, który zajmował się wypracowywaniem planów, burzenia mostów w razie wojny.

W kilka miesięcy po moim przybyciu do T.K.W. stała się przykra katastrofa, bo porucznik Karol Eminger z 3/II poddziału, wyprobowując na Steinfeldzie jakiś nowy pomysł z dziedziny podminowywania przedpola, uległ nieszczęśliwemu wypadkowi:taka mina eksplodowała przedwcześnie wskutek nieostrożności jednego z przydanych mu do pomocy pionierów i zabiła Emingera i 2 pionierów. Ogromna była szkoda tego oficera, bo był to b. zdolny, wykształcony i sumienny człowiek.

Jego stanowisko zostało częściowo mnie, częściowo porucznikowi Bendlowi przydzielone.Ja prowadziłem protokół aktów i przeprowadzałem obliczenia wytrzymałości mostów wojennych; był to b. interesujący aczkolwiek b. odpowiedzialny referat, pomyłka bowiem w obliczeniu mogła skończyć się jakąś katastrofą, za którą ja w pierwszej linii byłem odpowiedzialny.

W T-K.W. byłem do 1.V. 1908. Jeździłem wiele po polowaniach, (patrz mój "Dziennik Myśliwski"), obracałem się dzięki Albinowskim i Zygmuntowi Ajdukiewiczowi prawie wyłącznie w domach wiedeńskiej Polonii.

U Albinowskich, poznałem moją przyszłą żonę, pannę Irenę Sobolewską z Krakowa, osobę fenomenalnej urody. Jeśli Opatrzność chciała mi dać rekompensatę za niepowodzenia na W. Kursie Inż, to uskuteczniła to z nadmiarem, Irenka bowiem jako żona była i jest pod każdym względem wzorem, a jako matka wychowała dwoje dzieci na również wzorowych członków społeczeństwa. Na zewnątrz trochę zimna i udzielająca się drugim ludziom z pewną rezerwą, nie lubiła się wyczulać, a wszelka sentymentalna deklamacja jest jej zawsze wstręt-

na. Pod tą jednak powłoką kryje się serce, zdolne do największych poświęceń każdej chwili, gdyby chodziło o mnie, dzieci nasze lub kogoś z rodziny. Jako kierowniczka gospodarstwa domowego jest nie do zastąpienia.

Ślub mój odbył się 18.I.1908 r w Krakowie w kościele SS.Felidjanek, poczem pojechaliśmy do Wiednia, gdzie wynająłem przy Strozzigasse nr.22 wcale ładne mieszkanie; tam też przyjechały meble zakupione przez moich teściów, ja bowiem prócz kilku mebelków kawalerskich b. marnego gatunku nie posiadałem nic a brak pieniędzy, (zawsze mój nieodstępny towarzysz), nie pozwolił mi na żadne zakupy.Byłem na tym punkcie typem austr. liniowego oficera.

Nie długo jednak było nam dane mieszkać w Wiedniu, gdzie spędziliśmy b. miło karnawał i gdzie Irenka na wszystkich zabawach była Królową balów; dziwiono się ogólnie skąd do tak pięknej żony przyszedłem.

Przemyśl,(1.V.1908 - paźdz. 1912).

Jakkolwiek jako porucznik byłem materialnie b. skromnie sytuowany (160 koron miesięcznie, spłata długów w "Albrechtsfond" i "Uniformierung") to jednak muszę czas spędzony w Przemyślu zaliczyć do najmilszych okresów naszego życia.

Przede wszystkim stosunki służbowe były dla mnie niezwykle miłe, bo na miejsce Zelinki, którego prawie nie znałem i z którym mnie nic nie łączyło, przyszedł major Rudolf Partl, który znał mnie jeszcze z Klosterneuburga, gdzie dowodził w 15.baonie pionierów 4 kompanią; darzył mnie już wówczas swoją życzliwością, i gdy do batalionu przyszedłem, przywitał b. serdecznie.

Najpierw przydzielono mnie do 5 kompanii. Dcą był kpt Hönig, żyd, zasadniczo porządny człowiek, tylko b. mało utalentowany. Robiło się w komp. to, co ja mu doradziłem.Właściwie ja dowodziłem kompanią, a on dawał do wszystkiego swoje"placet".

Mimo, że byłem jednym z najstarszych poruczników w baonie, to jednak sam prosiłem, bym w jesieni przybyłych rekrutów kształcił,

zwykle dostawał wyszkolenie rekrutów najmłodszy "leutnant" kampanii.

Jeden kapitan w baonie, był b. przykry i nieznośny tj. kpt. Turba Józef. Szalenie zarozumiały, a przy tym b. zazdrosny, skończył wprawdzie szkołę wojenną, był nawet przydzielony jako porucznik do generalnego sztabu, awansował poza ~~służbą~~ turą na kapitana, ale go definitywnie do gener. sztabu nie wzięto. W swej ambicji przez to b. zraniony był w służbie przykry, a będąc, jako najstarszy kapitan zastępca dcy baonu miał wiele sposobności dokuczania podwładnym. Wzajemnie niecierpieliśmy się; on mi swoją blagą taktyczną i frazesami wyniesionymi z gier wojen itp. nie imponował a pod względem fortyfikacyjnym i technicznym byłem o całe niebo od niego wyższym.

Za to on mi dokuczał, gdzie mógł, xx mając poparcie u Partla, kt. mnie znał i cenił.

W 5 komp. byłem gdzieś około roku, gdy w baonie została wolną 2 kompania, gdyż jej dca kpt. Pakeny odszedł do sztabu inżynierii. Partl w nagrodę za moją dotychczasową istotnie wzorową służbę, zamianował mnie definitywnie dcą. jej.

Z nią nie rozstawałem się aż do r. 1915.

Zespół oficerów 2 kompanii był b. miły, (GoldschmidtM v.Thanbock, Zagórski, Burchel,) doskonale zgrany, pełen ambicji w służbie, pozwalał na b. miłą i dokładną służbę, poza służbą stosunki prywatne z nimi były również b. przyjemne, bo byli to ludzie b. dobrze wychowani.

Nawiązaliśmy bliższe stosunki z Normanami(Luigi i Axi porucznicy dragonów), z Grodzickimi i Jungami (artylerzyści). Między mną a Axim Normanem (8.p. dragonów) nawiązał się nawet stosunek b. przyjacielski.

Mniej więcej 1-2 razy ~~w tygodniu~~ na tydzień schodziliśmy się w kawiarni Stiebera, urządzonej na europejską modę, gdzie przygrywała doskonała muzyka 45 pp. Od czasu do czasu robiliśmy wycieszki po pięknych okolicach Przemyśla, i tak nam czas bosko upływał.

xx rozmaitymi głupimi szczególikami. Nie bardzo jednak dbałem o niego, mając ....

Zamieszkaliśmy przy ul. Lwowskiej osobny parterowy domek, wygodny i miły z ogródkiem i owocowymi drzewami. Była tam stajnia na konia i wszelkie wygody.

W tym czasie obdarzyła nas Opatrzność dziecinką. Urodziło się to maleństwo w Krakowie i ochrzczone na imię Janina. Dziecinka ta, gdy nieco podrosła i zaczęła mówić, nazwała się "Abą" i została nią do dnia dzisiejszego. Irenka po pierwszym dziecku jeszcze bardziej wyładniała. Stanowczo była to najpiękniejsza pani w całym Przemyślu.

Do wszystkich większych ćwiczeń i zadań poza obrębem garnizonu odkomenderowano mnie. Dowodziłem tz. "kombinierte Kriegs Kompagnie" i zawsze ku zadowoleniu przełożonych. W tej roli odbyłem b. interesujące manewry cesarskie w Karpatach koło Dukli, mające rozwiązać problem, czy Karpaty stanowią istotną przeszkodę dla nieprzyjaciela, któryby próbował sforsować je od północy. Tam zetknąłem się z ówczesnym pułkownikiem brygadierem artylerii Tadeuszem Rozwadowskim.

Jego genialnej głowie udało się w sposób nadzwyczaj prosty rozwiązać problem forsowania Karpat, mianowicie rozchodziło się o to, czy można przeciągnąć przez grzbiety górskie na tamtejszych drogach artylerię. Rozwadowski zadysponował, by do artylerii przydzielić kompanię pionierów, którzy w trudnych miejscach mieli sznurami i linami przeciągnąć armaty; eksperyment ten śmiały udał się doskonale, bo na rano stały baterie na pozycji.

W r. 1912 były na Bukowinie takie powodzie, że niektóre jej części np. koło Starożyńca były zupełnie od świata odcięte. Rozchodziło się o to, by możliwie szybko zbudować most przez wezbraną i rwącą Suczawę, górską ~~tą rzeczkę~~ Torrente. Przyszedł alarmujący telegram od prezydenta Bukowiny, hr. Meran z prośbą o wysłanie pionierów na pomoc; zestawiono w mig "kompanię wojenną", mnie poruczono jej dowództwo i wyruszyliśmy tak szybko, że na rano byliśmy w Czerniowcach. Tam po króciutkim zameldowaniu się u hr. Meran i u dcy. dywizji, dostaliśmy jasno okreś-

lone zadanie, gdzie ma być wybudowany most. Pojechaliśmy dalej i po krótkim pieszym marszu osiągnęli to miejsce, wszystkie mosty na Suczawie były gruntownie zerwane. Wzięliśmy się zaraz do roboty, cóż kiedy okazało się, że piloty mimo stalowych "butów" nie chciały iść w dno rzeki, bo akurat trafiły na ogromną płytę kamienną.

Inżynier drogowy, który z ramienia starostwa nam sekundował, radził zaprzestać budowy i przesunąć miejsce budowy mostu na inne miejsce. Temu się oparłem, wymyśliwszy inny sposób pokonania tej przeszkody, mianowicie zapuściliśmy ekrazytowe naboje na punkty, gdzie miały być wbite piloty i eksplozją ich pogruchotaliśmy płytę. Teraz szły już piloty, wbijane ogromnym kafarem, jak w masło! Poczem budowa mostu szła już b. szybko, szczególnie, że starostwo dostarczało nam doskonałego materiału (belki, deski, klamry etc.) " ad libitum"

Most był już na ukończeniu, gdy nagle zjawiła się kompania 10 baonu pionierów, który nas miała bezzwłocznie zluzować, a ja z moją kompanią miałem bezzwłocznie wracać do Przemyśla. Tam w międzyczasie działy się w błyskawicznym tempie rzeczy ogromnej wagi, mianowicie przemianowano 11 baon pionierów na 11 batalion saperów, dano uniformy dawnych pułków inżynierii i zarządzono przeniesienie go do Lwowa!

Awans na kapitana (maj 1912).

Nareszcie po 14,5 latach służby jako "młodszy" oficer (Subaltern offizier) zostałem kapitanem. Było to dla nas b. ważne, bo pensja moja podskoczyła na 200 koron miesięcznie, a "kwaterowe" było tak duże, że po opłaceniu czynszu mieszkalnego jeszcze nam zostawało kilkadziesiąt koron "zu Gute", jak to Irenka zwykła była nazywać.

Teraz już mogliśmy pod wzgl. materialnym swobodniej oddychać. Nareszcie jako kapitan miałem własnego konia, co było od lat moim marzeniem.

Jak wtedy miło było w naszym domku! Aba zawsze chodziła do stajni, gdzie pod opieką konnego ordynansa Kowala pieściła się z koniem.

W domu mieliśmy jakiegoś legawca, kt. się pozbyłem dostawszy od porucz. Brzeziny pięknego legawego psa, setera, nazywał się "Sryon", był to b. szlachetny i łagodny pies, z którym się Aba bawiła.

Nieraz z rozrzewnieniem przypominam sobie, jak Aba, ubrana w jakąś białą kapuzkę i biały płaszczyk siedziała w grządce truskawek i zajadała je lub zbierała "dla tatusia". Wieczorami opowiadałem jej bajki i wierszyki, czego b. chętnie słuchała.

<u>Lwów (12.X.1912 - 1.VIII.1914)</u>

Przyczyną przemianowania części pionierów na saperów było to, że liczono się na wypadek wojny z Rosją (ewent. z Włochami) z tym, że roboty fortyfikacyjne i walka o twierdze będą ważniejszą rolę grały, niż forsowanie rzek i budowy mostów.

Przeniesienie 11 baonu saperów do Lwowa, miało swoją przyczynę w naprężonej sytuacji politycznej. Mianowicie Austria w r. 1912 przeprowadziła definitywną aneksję Bośni i Hercegowiny, kt. dotąd tylko "okupowane" były, a co ogromnie uraziło Serbię i Rosję. Musiały tedy być przeprowadzane ufortyfikowania choćby polowe Lwowa, Mikołajowa, Halicza, Niżniowa (linia Dniestru), dlatego trzeba było mieć saperów pod ręką, by te roboty w mig przeprowadzić.

Obawiano się głównie rajdów kawalerii rosyjskiej, które mogły mobilizację i koncentrację austryjacką pokrzyżować.

Osobiście byłem o tyle z tego zadowolony, że dzięki temu przeniesieniu znajdę się znowu w moim rodzinnym mieście, wśród rodziny dawnych znajomych i kolegów gimnazjalnych. Ale z drugiej strony przyznać muszę, że rozstanie się z naszym gniazdkiem w Przemyślu było dla nas b. bolesne. Tak nam tam było dobrze i przytulnie!

Pamiętam jak powiedziałem do Irenki, gdyśmy opuszczali Przemyśl , że "jeszcze gorzko za tym parterowym domkiem żałować będziemy". Miałem niestety rację.

We Lwowie zamiaszkaliśmy przy ul. Bema, wynajmując 4 pokojowe mieszkanie z widokiem ładnym na miasto i na koszary i ujeżdżalnie artylerii. Szkaliśmy dlatego właśnie w tej okolicy mieszkania, bo chciałem mieszkać nie zbyt daleko od koszar, kt- były przy ul Kleparowskiej naprzeciw Domu Inwalidów. Mieszkanie przy ul. Bema było ostatecznie dosyć wygodne, ale nie można było co się przytulności tyczy, porównać z naszym domkiem w Przemyślu. Także dzielnica (Janowskie) nie b. nam odpowiadała.

Tylko baon przyszedł do Lwowa i sprawa koszar i placu ćwiczeń była w grubszych zarysach rozwiązana, dostaliśmy rozkaz robić przygotowania do ufortyfikowania Lwowa przed rajdem kawalerii ros. Podpułk. Partl odszedł z dtwa. a na jego miejsce przyszedł Hugo Haluśkapodpułk. piechoty, jak to później opiszę, pod wzgl. charakteru marne indywiduum, a jako dca. baonu saperów pod każdym wzgl. zupełne zero.

Robotami fortyf. wzgl. wytyczeniem w terenie linii obronnych i w ogóle zakres robót, kierował pułk. sztabu inż Andrian z XI korpusu. Mnie przydzielono do opracowania sektor Brzúchowice - Łysa Góra - Michałowszczyzna, inne kompanie dostały resztę sektorów. Była to sprawa dosyć doraźna, bo horyzont europ. już wtedy zaczął się poważnie zachmurzać. Doszło do tego, że do Lwowa ściągnięto z Przemyśla część wałowej artylerii (Festungs artyllerie - kompanien) a nawet wszystkie ważniejsze mosty kolejowe zostały obsadzone przez oddziały wojskowe. Wybuch wojny wisiał na włosku.

Irenka, kt. właśnie w Krak. z Abą była, dostała ode mnie telegram by nie wracała.

Jednak jakoś w tym roku tj. około Bożego Narodzenia wyjaśnił się horyzont polityczny. Jedynie prace fortyf. zmieniono o tyle, że niektóre punkty oporu, jak Rzęsna Polska itd. została umocniona w stylu poważniejszym (murowane schrony, zasieki z drutu kolczastego szersz itp)

Również fortyfikacje linii Dniestru (Mikołajów, Halicz, Niżniów, itd.) przeprowadzano w tym samym stylu.

Gdy się to wszystko uspokoiło, wróciła Irenka i chodziła z Abą zawsze na przechadzkę do ogrodu tz."Verpflegsmagazynu", gdzie zapoznała się z p. Siarkiewiczową, żoną rotm.taborów, mego serdecznego przyjaciela Filipa Siarkiewicza. Obie panie były bowiem w poważnym stanie, i oczekiwały przyjścia na świat dalszej progenitury.

Rok 1913. Przyjście na świat Dzidka,był dla nas o tyle ważnym, że w tym roku 3 czerwca urodził się nam synuś. Odbyło się to w Krakowie, został ochrzczony na imię Tadeusz w kościele Maryi Panny;ojcem jego chrzestnym był brat Irenki Tadek.

Mieliśmy więc parkę dzieci przemiłych, które nam osładzały życie. We Lwowie wyprowadziłem się z mieszkania przy ul Bema do mieszkania przy ul. Nabielaka 17, które było i wygodniejsze i miało prześliczny widok na dolinę Wulecką, Dom Techników, Cytadelę itd.

Wojenne alarmy jakoś ustały, ale znawcy twierdzili, że mimo to wojna wisi w powietrzu. Szczególnie Serbowie nie mogli Austrii zapomnieć aneksji Bośni i Hercegowiny i stworzenia samodzielnej Albanii, odcinającej Serbię od morza. Głównie serbski korpus oficerski konspirował przeciw Austrii; Rosja popierała moralnie ten ruch, obiecując w razie wojny z Austrią pomóc Serbii i czynnie wystąpić przeciw Austrii.

We Lwowie spędziliśmy rok 1913 b. przyjemnie utrzymując b.bliskie stosunki z Wackami Wolskimi i Adasiami Młodnickimi. Uczyłem Dziodzię Wolską jeździć konno, a także i Maryna Pawlikowska, żona Michała Pawlikowskiego wzięła kilkanaście lekcji.

A tymczasem wśród młodzieży akademickiej, rzemieślniczej i gimnazjalnej myśl czynnej walki z Rosją coraz głębiej nurtowała. Sokół Drużyny Bartoszowe, Strzelec i inne związki młodzieży uprawiały głównie wyszkolenie w kierunku wojskowym. Bractwo Kurkowe we Lwowie

miało 150 - 200 karabinów Mannlichera wraz z amunicją, zakupionych wprost w fabryce broni w Steyer. Młodzież wychowana na "Trylogii" garnęła się bardzo do tych formacji, upatrując słusznie w nich zaczątki wymarzonej polskiej armii.

Zima 1913/14 upłynęła nam b. miło. Szczególnie mile wspominam sobie polowanie 3-dniowe w Medyce, połączone z tańcami.

A tymczasem przygotowywała się 1 wojna światowa. W każdym z zainteresowanych państw było dwie partie: jedna parła do wojny, druga, rozważniejsza starała się jej wybuch zahamować. Ale za wiele było już nagromadzonego palnego materiału, aby można było jej wybuch zatrzymać

1914 - Czerwiec. 1sza wojna światowa

W czerwcu 1914 odbywała lwowska brygada artylerii większe ostre strzelania na poligonie w Szczercu, na które w roli widzów zostali odkomenderowani także oficerowie z innych rodzajów broni.

Z 11 baonu saperów, który już od 1,5 roku był przeniesiony z Przemyśla do Lwowa, odkomenderowano mnie na to strzelanie; byłem z tego b. zadowolony, bo mnie takie rzeczy zawsze bardzo zajmowały, a przyszłość miała pokazać, że mi to na wojnie, która wkrótce wybuchnąć miała, ogromnie się przydało.

Na to strzelanie przyjechał także generalny inspektor artylerii arcyksiążę Leopold Salwator, który się na fachu artyleryjskim doskonale znał, a przytem był człowiekiem bardzo inteligentnym i wykształconym, a swemu zwykle trafnemu zapatrywaniu dawał wyraz śmiało i bez ogródki. Był przytym w obejściu niezwykle miły.

Jego enuncjacji politycznych słuchaliśmy przy obiedzie z bardzo natężoną uwagą, były bowiem niezwykle ciekawe.

Okres strzelania miał się już zwolna ku końcowi, gdy 29.VI. nadszedł telegram do rąk arcyksięcia, którego treści udzielił on nam

zaraz do wiadomości, mianowicie, że w Sarajewie 28.VI padł ofiarą zamachu austr. następca tronu arcyksiążę Franciszek Ferdynand i jego żona księżna Hohenberg, i że zamachu dokonali młodzi Serbowie.

Po przeczytaniu telegramu przemówił, że wedle jego zapatrywań może przyjść b. łatwo do wojny i że on nie wątpi, że austryjacka artyleria okaże się godną swojej doskonałej tradycji.

Można sobie wyobrazić , jak na wszystkich podziałała ta wiadomość.

Charakterystyka następcy tronu Franz. Ferdynanda.

Jeślię mam wyznać prawdę, to nie przejąłem się tak bardzo śmiercią tragiczną następcy tronu, znałem go bowiem jeszcze z czasów mego pobytu w Wiedniu z opowiadań Zygmunta Ajdukiewicza (który go kilka razy portretował) jako człowieka całkiem niesympatycznego. Był to przede wszystkim kutwa i sknera, jakich mało, wróg wszystkich narodowości, wchodzących w skład Austro-Węgier, charakter skryty, dumny i zarozumiały, nie miał ani jednej strony charakteru, która by go czyniła sympatycznym. Nie pamiętam, żeby ktoś mówił o nim z entuzjazmem. Cesarz Franc. Józef nie lubił go.

Franc. Ferdynand był wściekłym myśliwym i to była jedyna jego pasja. Lecz uprawiał łowiectwo w ten sposób, że dążył do rekordów strzeleckich. Był to,tę co Niemcy nazywają "Schießer" (strzelacz); robiło mu zdaje się przyjemność zabijanie zwierząt.Np. w rewirach swoich w Konopiszt w Czechach, gdzie trzeba było dla regulowania stanu jeleni odstrzelić pewną ilość łań i co właściciele większych jelenich rewirów dawali do odstrzału personelowi łowieckiemu, to odstrzał ten uskuteczniał Franz Ferdynand osobiście! Był to rys charakteru, wskazujący na pewien sadyzm.

Polaków nie lubił specjalnie, zdaje się dlatego, że cieszyli się oni sympatią starego cesarza. Nie mieliśmy się tedy, z chwilą

gdy starowina cesarz oczy zamknie i on na tron wstąpi, niczego dobrego spodziewać. Dzięki jego poparciu po ustąpieniu szefa sztabu gen armii hr. Fryderyka Becka, został na to stanowisko powołany gen. Conrad von Hötzendorf; trzeba przyznać jednak, że to był ze stanowiska austryjackiego-rzecz oceniając, wybór bardzo trafny.

Gen Conrad bowiem był ze wszystkich austr. generałów, wchodzących tu w rachubę, przecież najzdolniejszym strategikiem, co mu zresztą wszyscy historycy przyznają. W każdym razie przewyższał on zdolnościami i talentem tak Juliusza hr. Moltkiego, szefa sztabu gen. armii niemieckiej, jak i jego następców (Falkenhayn, Hindenburg, Ludendorf).

Mobilizacja Austrii.

Jeszcze jakiś czas trwało strzelanie artylerii w Szczercu; oczywiście tematem rozmów była kwestia, czy do wojny przyjdzie i czy tylko z Serbią, czy też także z jej opiekunką Rosją.

Wiedzieliśmy, że w kotle dyplomatycznym coś się gotowało w Wiedniu, prasa cała była dość wojowniczo nastrojona; najwięcej spodziewaliśmy się dowiedzieć z ust arcyks. Leopolda Salwatora. On nie był wielkim zwolennikiem rozprawy orężnej, bo przewidywał, że to pachnie.... wojną europejską.

Wtem, gdzieś,-około 21.VII.-dostaje arcyks. Leopold Salvator znowu telegram a równocześnie przychodzi telegram z komendy korpusu ze Lwowa, nakazujący bezzwłocznie przerwać dalsze strzelanie i nakaz dla pułków i dywizjonów w nim udział biorących, maszerować pospiesznymi marszami do swoich garnizonów.

Wiedzieliśmy już, co to ma znaczyć! To mobilizacja! Arcyksiążę wypowiedział do korpusu oficerskiego krótką przemowę, dając wyraz nadziei, że Austr. artyleria spełni chlubnie swój obowiązek, jak zawsze w dotychczasowych wojnach, pożegnał się ze wszys

wszystkimi i rozjechaliśmy się, nie wiedząc, ilu kolegów jeszcze zobaczymy. Bardzo wielu widziałem po raz... ostatni.

Do Lwowa pojechałem konno i zaraz zameldowałem się u dcy batalionu ppłk. Halońskiego, który miał dosyć speszoną minę. Zapowiedział nam, że mobilizacja ogólna nie jest jeszcze zarządzoną i tylko przeciw Serbii zmobilizowano 8 korpusów, jednak w Galicji zostaje zaprowadzony "stan alarmowy" tj. granica została zamknięta przez oddziały landsturmu, wszystkie stacje kolejowe, mosty itp. ważne obiekty również obsadzone, a 11 batalion saperów, rozczłonkowany na pojedyncze kompanie o stanach pokojowych, oczekiwał rozkazu rozpoczęcią robót fortyfikacyjnych dokoła Lwowa, Mikołajowa, Halicza i Niżniowa.

Fortyfikacje w Małopolsce Wschodniej.

Aby zrozumieć cel tych zarządzeń, trzeba wyjaśnić plany strategiczne Austrii na wypadek wojny z Rosją. Otóż austr. sztab gen. widząc, jakie masy kawalerii posiada Rosja, liczył się zawsze z tym, że zaraz pierwszego dnia mobilizacji wtargną do Małopolski te oddziały, by narobić chaosu w mobilizacji, powysadzać w powietrze mosty kolejowe, a nawet opanować Lwów, a dalej przejścia przez Dniestr (Mikołajów, Halicz i Niżniów).

Aby temu zapobiec było planowane umocnienie tych punktów fortyfikacjami, zdolnymi odeprzeć atak spieszonej kawalerii rosyjskiej a równocześnie rozmieszczone na przypuszczalnych kierunkach rajdów rosyjskich dywizje austryjackiej kawalerii.

Umocnienie Lwowa, Mikołajowa, Halicza i Niżniowa było już częściowo w r. 1912/13 przeprowadzone; były to forty zdolne wytrzymać ogień rosyjskich 3-calówek. Rozchodziło się o możliwie szybkie założenie sieci z drutu kolczastego i wykopanie rowów strzeleckich w interwałach między pojedyńczymi fortami.

Materiał do tego był przygotowany w magazynach dyrekcji inżynierii, a ludność, która miała pomagać przy robotach ziemnych, wykazana imiennie w posterunkach żandarmerii wzgl. u wójta dotyczącej wsi.

Co się planów trasy rowów strzeleckich tyczy, to jeszcze w zimie 1912/13 każda kompania saperów wyporządkowała na wyznaczonym sobie odcinku trasę linii rowów, wypalikowała je, wyznaczyła w planie 1:12500 tak że każdy oficer saperów mógł w nocy trafić na swój odcinek.

Gdy się dzisiaj z perspektywy lat kilkudziesięciu i po doświadczeniach trzech wojen (światowej, ukr. i bolszewickiej) na wartość tych fortyfikacji patrzę, mam wrażenie, że porządnemu i energicznemu natarciu spieszonej kawalerii, popartym ogniem artylerii one nie byłyby się oparły.

Fortyfikacje te były mianowicie wedle mego zdania za słabe, szczególnie w tych miejscach, gdzie miały być dopiero tuż przed mobilizacją wykopane rowy strzeleckie i założone przeszkody z drutu kolczastego.

Znając doskonale znakomity system szpiegowski Moskali, oparty głównie na rusofilsko nastrojonych Rusinach, można się było z dużą pewnością z tym liczyć, że Moskale będą znali słabe miejsca i znajdą przewodników, którzy im je wskażą.

Plany fortyfikacji, wypracowane w myśl wskazówek dyrekcji inżynierii (Geniedirektion Lemberg) z pułk. Andrianem ze sztabu inżynierii na czele zostały zaaprobowane przez niego i spoczywały w aktach mobilizacyjnych.

Słabość i niewystarczalność tych fortyfikacji należy sobie tłomaczyć chronicznym brakiem funduszów, potrzebnych, aby można było

je w szerszym stylu już w r 1912/13 wykonać. Ten brak to taki charakterystyczny rys stosunków w Austrii! Szczególnie drogim byłby wykup gruntów, potrzebnych pod stałe fortyfikacje.

Spełniły one jednak na ogół swoje zadanie, grając skutecznie rolę "masek" i "pozorników" (Scheinbauten); Moskale, dowiedziawszy się o nich, nie mieli w ogóle zamiaru ich atakować przez ~~swoje~~ rajdy kawalerii. W ogóle obawy, jakie austr. sztab gen. miał przed ros. kawalerią, okazały się na ogół płonne, bo ta dopiero w sierpniu przekroczyła granicę; do tego czasu były tylko wzajemne ostrzeliwania się placówek austr. Landszturmu z patrolami ros. Kawalerii. Niektóre dywizje kaw. austr. zrobiły nawet dość śmiałe i daleko sięgające rajdy na ros. terytorium. O jakimś śmiałym rajdzie ros. kawalerii nie było mowy. Dopiero, gdy się zaczęły toczyć (wolno a b. ostrożnie) kolumny ros. piechoty i artylerii, wówczas dopiero zdecydowały się 2 dywizje jazdy przekroczyć granicę; z tych jedna została pod Turynką, gdzieś w połowie sierpnia rozbita na tabakę przez 30 baon strzelców austr. i baon 80 pułku, a dca jej ranny gen. Wołkoński dostał się do niewoli i zmarł w garnizonowym szpitalu we Lwowie.

Druga dyw. ros. kawalerii (dca. gen. hr. Keller) odniosła sukces przeciw austr. dywizji gen. Zaręby pod Jarosławicami, rozbijając ją i biorąc jej 8 armat, ale nie wykorzystała go, lecz cofnęła się, będąc zanadto "ostrożną".

Lwów, place du moment.

A tymczasem Lwów, nie napastowany przez nikogo, fortyfikował się planowo i spokojnie. Moja kompania (2./11.) miała za zadanie ufortyfikować Łysą Górę w lesie brzuchowickim.

Zostaliśmy około 1-ej w nocy po moim przybyciu ze Szczerca zaalarmowani i wyruszyliśmy w ciemną noc na miejsce robót. Każdy z o-

ficerów trafił ze swoim plutonem na właściwy odcinek, wynaleźliśmy palikowanie z zimy r. 1912/13 a gdy zabłysnął dzień ukazały się setki chłopów z łopatami, prowadzeni przez żandarmów, jako siły robocze.

Zaczęło się b. intensywne okopywanie,~~zi~~ czyszczenie przedpola i zakładanie sieci.

A tymczasem słuchaliśmy z natężeniem wiadomości z placu boju.

Wypowiedzenie wojny.

Austria wypowiedziała Rosji wojnę 6.VIII 1914, a operacje przeciw Serbii rozpoczęły się zaraz po 25.VII 1914. (Rumunia i Włochy mimo, że były obowiązane w myśl traktatu do mobilizacji przeciw Rosji wzgl. Francji i do walczenia z państwami centralnymi przeciw Entencie, zgłosiły swoją neutralność).

Komendantem "twierdzy Lwów" był pułk. Gostiszka, wprawdzie ongiś nawet oficer austr. gen. sztabu, ale potem postawiony na b. drugorzędne stanowisko "komendanta placu we Lwowie." Nie miał on najmniejszego wyobrażenia ani o fortyfikacjach, ani o roli jaką miał jako dca. "twierdzy" odegrać. Ot taki typowy głupi austryjacki "generalstabler"!

Nie mając najmniejszego pojęcia o walce fortecznej, chciał się wykpić sianem i wymyślał w swoich rozkazach jakieś nowe, nikomu nieznane frazesy (np. volle Besetzung"), czego nikt nie rozumiał. Alarmował zaś i denerwował oddziały pracujące różnymi "wieściami o nieprzyjacielu", które z reguły okazywały się fałszywymi.

Było to o tyle naturalne, że siedząc przez kilka lat z rzędu przy stoliku, wyszedł zupełnie z rutyny wojskowej i był raczej gryzipiórkiem, niż komendantem twierdzy. Jak takiego cymbała można było powołać na tak stosunkowo ważne stanowisko, jest dla mnie zagadką!

Gdzieś w pierwszych dniach mobilizacji przyszła z Przemyśla wałowa artyleria z 12 cm. działami wz.61. Były to działa staromodne strzelające dosyć celnie i mające b. wiele doskonałej amunicji; niestety strzelały dymnym prochem, co było wielką wadą. Ale lepsze to, niż gdyby ich wcale nie było. Artyleria ta, zdaje mi się 4 działa, ustawiła się na górze "Michałówszczyzna", skąd miała świetny i b. daleki obstrzał.

W kilka dni potem przyszło na Łysą Górę coś ze 4 oddziały węgierskich robotników wojskowych (Landsturmarbeiterabteilungen), z nimi było tyle kłopotu, że oni tylko węgierski język znali, a ich oficerowie, różne "zadekowane łaziki" znali niem. język b. słabo. Każdy jednak landsturmista miał na plecach karabin repetierowy, w ładownicy około 40 nabojów, było tego około 800 chłopa, miało się więc wrażenie, że w razie napadu nieprzyjaciela, będzie czym rowy obsadzić i z nich się bronić. Co do tego myliliśmy się bardzo, bo tak tchórzliwej bandy, jak to się później pokazało, nie zdarzyło mi się widzieć. Od czasu do czasu przychodził jakiś oficer z dyrekcji inżynierii, kontrolował postęp robót, przysyłał drut kolczasty i inny potrzebny materiał i fortyfikacje rosły, jak na drożdżach.

W tym czasie trafiła mi się b. przykra rzecz. Mianowicie uważając za punkt honoru żywić się z kuchni polowej tak, jak każdy żołnierz, zapadłem na b. ciężki katar żołądka, wywołało go świeże mięso, które zaraz po zabiciu bydlęcia, (nieraz jeszcze ciepłe) pakowało się do kotła i gotowało. Niestety zapomniałem, że jeszcze w akademii wojskowej uczono nas, że mięso musi 24 godziny wystygnąć i potem dopiero nadaje się do użytku.

Rezultatem tego było, że zapadłem na coś w rodzaju czerwonki; byłem jednak zanadto ambitny, by się zgłosić chorym. Nie mogąc nic innego jeść, żyłem czarną kawą i czekoladą, którą poczciwy mój

podoficer rachunkowy Dabrowski gdzieś jeżdżąc do Lwowa po "fasunek" kupił. Byłem jednak tak osłabiony, że ledwie nogami włóczyłem.

Dokładnie wedle planu mobilizacyjnego przyszło uzupełnienie stanu pokojowego kompanii na stan wojenny (rezerwiści), przyszły wozy, tabory i wszystko zgadzało się co do joty. Ciekawe jest a charakterystyczne dla ducha, jakim armia była przejęta, że z powołanych np. do naszego batalionu rezerwistów ani jeden(!)nie zawiódł; wszyscy się punktualnie zjawili. Czy w innych pułkach również tak wzorowo wszystko funkcjonowało, tego nie wiem, ale u nas zgadzało się wszystko z planem mobilizacyjnym najdokładniej. Ten był, co trzeba przyznać, b. sumiennie obmyślany i wypracowany.

Że w XI korpusie (lwowskim) a specjalnie w 11 dyw., do której i mój baon należał, cała mobilizacja tak wzorowo wypadła, było to w dużej mierze zasługą generała Schmidta, dcy. 11. dyw. piechoty, który w zimie z 1912/13 kontrolował plany mobilizacyjne nawet pojedyńczych kompanii. Był on fachowcem w tym kierunku, będąc w szkole wojennej właśnie wykładowcą mobilizacji, a przytym będąc nie tylko fachowcem, ale także niezwykle sumiennym i wymagającym a b. surowym przełożonym (zwano go "Schmidt der Grausame") siał postrach we wszystkich podległych mu oddziałach. Znany był jego tryk w kierunku przechowywania planów mobilizacyjnych w kompaniach; mianowicie te plany był obowiązany mieć dca kompanii u siebie pod kluczem. Wielu jednak było takich, którzy te plany powierzali rachunkowym podoficerom do przechowania, np. w celu wypełnienia jakichś tabel itp., a do czego byli osobiście obowiązani. Otóż Schmidt lubił się zjawiać zupełnie niespodziewanie w kompanijnej kancelarii, gdy zastępca komp. był nieobecny i zażądać od rachun-

kowego podoficera, by mu pokazał plan mobilizacyjny, "bo chciał tam coś skontrolować". Biada temu dcy komp., którego rachunkowy podoficer,- o ile miał u siebie ten plan,-pokazał go Schmidtowi!

Przeglądał on plany mob. najszczegółowiej, a mając instrukcję mobilizacyjną w małym palcu, wykrywał łatwo każdy błąd wzgl. niezgodność. Rezultatem jego tej sumiennej kontroli było, że plany mobilizacyjne były co się dokładności tyczy, wprost wzorowo opracowane. Nie dziw tedy, że cała mobilizacja szła jak z płatka.

"Lemberg wird bis den letzten Mann verteidigt / gehalten"!

(Lwów będzie się bronić do ostatniego żołnierza)!")

Tym frazesem karmił nas niemal co dnia "Festungskommandant" Gostischa! Mnie się to wydało trochę podejrzane, bo coś za często było powtarzane, a zresztą zanadto dobrze znałem się na fortyfikacjach i ich wartości, bym wierzył w tę obronę "do ostatniego żołnieża".

Z okazji mojej bytności we Lwowie, aby zasięgnąć jakichś wiadomości itp., byłem kilka razy u Wacków Wolskich Kalicza 20 a, Wackowie bowiem, mając w domu dwóch synów (Luka i Kazia) w wieku w którym mogliby już wstąpić do formujących się legionów i dwie dorastające córki (Dziodzię i Lelę), byli także z tego powodu bardzo sprawą wojny zainteresowani.

Naturalnie wyobrażali sobie Moskali jakby to były czasy Suworowa i rzezi Pragi (generalne mordowanie Polaków, gwałcenie kobiet itp. okropności. Na ogół zaś wyobrażali sobie wojnę, jak w "Baronie Cygańskim" lub jakiejś innej operetce; zresztą zapatrywania to podzielało tysiące osób, a nawet my zawodowi wojskowi, bo nam wszystkim, wyrosłym w epoce 40 letniego pokoju brakowało jakiejkolwiek rutyny w tym kierunku.

Pytali się mnie o radę co robić, uspokajałem ich, że dziś inne czasy, że istnieje Konwencja Genewska i Hagska, która wszelkiego znęcania się nad niewinną i spokojną ludnością cywilną zabrania, zresztą może Austryjacy i Niemcy pobiją Moskali, do czego uprawniały poniekąd zwycięstwa Niemców w Francji i fakt, że rajdy kawalerii rosyjskiej, których się tak obawiano, zupełnie zawiodły. Natomiast zwycięstwo Austryjaków pod Kraśnikiem i Komara dodawały otuchy. W końcu dałem in dobrą radę, by zachowali "warme Hose und kaltes Blut". To moje powiedzonko powtarzano jeszcze długie lata po wojnie.

Gdy zapadłem ciężko na katar żołądkowy zacna Maryla dała mi jako środek na "czarną godzinę" manierkę jakiegoś starego, nadzwyczajnego koniaku, a ciotka Wanda ciepłą przepaskę na żołądek, jako niezawodny zapobiegawczy środek na ~~"czarną godzinę"~~ tego rodzaju cierpienia, wyprobowany w r. 1863. Tak koniak jak i przepaska oddały mi b. dobre usługi.

A tymczasem walec rosyjski zaczynał się toczyć.

Gostischa ciągle ogłaszał:" Lemberg wird bis auf den letzten Mann gehalten", a Koło polskie w Wiedniu (głównie narodowi demokraci) zaczynali zabiegać o to, by w razie czegoś nie bronić Lwowa, lecz opróżnić go, by go nie narażać na bombardowanie i walki i uchronić od zniszczenia.

W tym czasie nastąpił w formujących się legionach kryzys z powodu kwestii o przysięgę. Austryjacy (Conrad et consortes) proponowali legionistom zwykłą przysięgę, którą każdy "landsturmista" składał, N.K.N. (Nacz Kom. Narodowy w Krakowie) i część legionistów sformowanych we Lwowie, żądała, by w przysiędze były zawarte

- słowa, zobowiązujące Austrię do uznania samoistnego Państwa Polskiego.

O to powstała różnica zdań, bo N.K.N. upatrywał w przysiędze "landsturmowej",-do niczego Austrię zobowiązującej,-chęć wydobycia jak najwięcej ochotników do walki z Moskalami zresztą nic. Mimo, że część legionistów z Piłsudskim na czele wyruszyła 6 sierpnia 1914 do Kongresówki, to jednak reszta trzymała się opornie; główną sprężyną w tym ostatnim kierunku był poseł Aleksander hr. Skarbek (mój kolega szkolny) wściekły endek i wielki i zajadły patryjota, który w końcu doprowadził do rozbicia t.zw. "Wschodniego Legionu": część legionistów wróciła do domu, a część pojechała do Mszany, gdzie pod dowództwem Józefa Hallera sformowali "II brygadę legionów".

Gdy to wszystko się na tyłach działo, walki na froncie toczyły się z ogromną zajadłością. Na ogół żołnierz i oficer austryjacki byli całkiem dobrzy i walczyli b. mężnie czego najlepszym dowodem jest np. fakt, że już w tych początkowych bojach zginęła nieproporcjonalnie wielka ilość oficerów i to tak zawodowych, jak i rezerwowych. Ci ostatni odpowiedzieli doskonale swemu zadaniu. Powodem dużych strat było niewłaściwe wyszkolenie, tak piechoty, jak i kawalerii; piechota bowiem zupełnie nie umiała na początku używać łopatek i okopywać się, kawaleria ciągle fantazowała o starciach na białą broń, a nie używała zupełnie ognia. Starcie na białą broń miało w poważniejszym stylu miejsce pod Jarosławicami i zakończyło się niepowodzeniem Austryjaków głównie dlatego, że nie umiano przygotowywać warunków do walki białą bronią za pomocą ognia.

W tym ostatnim byli Moskale, oparci o doświadczenia z wojny japońskiej mistrzami i dlatego odnieśli zwycięstwo. Również piechota rosyjska, gdzie tylko mogła, zaczynała się okopywać.

Rosyjska artyleria górowała w początkowych stadiach wojny nie tylko swoją ilością, ale także nabytą od Japończyków umiejętnością strzelania z zupełnie zakrytej pozycji. Również austr. haubica 10cm i 15 cm. wzór 75 były to działa o mniejszej "portée" niż rosyjska 12cm haubica. Wszystkie te braki i niedomagania zostały jednak do zimy 1914/15 wyrównane, tak, że później austryjacka artyleria wyrównywała a nawet pod niektórymi względami przewyższała ros. artylerię. (15 cm. haubice Skody wzór 14, 10 cm. haubice wz.16 Skody) a w końcu 30.5 cm. moździerz Skody itp).

Walec rosyjski osiągnął Krasne, gdzie 30 dyw. piechoty (lwowska) uległa przemocy. Zginął tam mój kolega z akad. wojsk. Staszek Bogucki kpt.11 pułku Haubic, a także kpt. art. Adaś Dulęba, b. dobry znajomy z przemyskich czasów. Boguckiemu urwał głowę pocisk artyleryjski.

11 dyw. austr.(dca. gen.Pokorny) doznała porażki pod Przemyślanami, a gdzieś także w tym czasie walczyła nieszczęśliwie pod Jarosławicami dywizja kawalerii gen. Zaręby z kawalerią rosyjską Kellera i dyw. kaw. pod Satanowem. Także na południe od Dniestru przez Bukowinę wkroczyła armia rosyjska gen. Brusikowa i maszerując wzdłuż Dniestru, zlikwidowała z łatwością twierdze Niżniów i Halicz, ponieważ one nie były obliczone na atal z południa.

Sytuacja Austryjaków w Małopolsce zaczynała być b. trudna. A tymczasem Gostischa ciągle powtarzał swój frazes o obronie Lwowa do ostatniego żołnierza.

Gdy już było słychać huk dział a nawet karabiny maszynowe (armia rosyjska Ruckiego, idąca od wschodu) zbudowaliśmy sobie na b. starym i wysokim dębie rosnącym tuż przy naszym baraku obserwatorium skąd widzieliśmy przedpole niemal do samej Żółkwi.

Stamtąd obserwowaliśmy starcie jakiejś węgierskiej dywizji (dca. gen. Festen Illek?) z Moskalami. Specjalnie utkwiła mi w pamięci jakaś bateria austr. która okładana przez Moskali granatami, uratowała się zmianą pozycji, dokonaną bardzo chwacko. Mianowicie zaprzęgi podjechały wyciągniętym galopem, zaprzodkowały i wyjechały również galopem z tego piekła, nie straciwszy ani jednego działa. Opór jednak tej dywizji ustał w końcu, bo Moskale-jak zwykle, byli w liczebnej przewadze. Usłyszeliśmy nawet z Michałowszczyzny huk dział artylerii wałowej, wnosić więc można było, że Moskale już dosyć blisko się pod Lwów podsunęli.

Charakterystyczny, a nawet poniekąd zabawny epilog miał gen.Festen Illeg. Ten po bitwie, trwającej zdaje mi się już 2-gi dzień, uczuł się tak fizycznie i moralnie zmęczonym, że postanowił za wszelką cenę... wyspać się. Zostawił więc dywizję własnemu losowi, a sam ze swoim szefem sztabu pojechał do Lwowa do hotelu George'a i tam obaj położyli się spać. Zanim się obudzili, była już dywizja jego zlikwidowana przez Moskali, a on momentalnie przez dcę 3.armii austr. gen Brudermana zawieszony w urzędowaniu i wraz ze swoim szefem sztabu oddany pod sąd wojenny. Co się dalej z nim stało, nie wiem.

Tymczasem na Łysej Górze fortyfikowaliśmy jeszcze intensywniej, niż dotąd, aż nadszedł dzień 2 września.

Ewakuacja Lwowa w nocy z 2 - 3 panika pod prochownią w Brzuchowicach.

Pamiętam owego dnia jeszcze przed południem dostaliśmy już nie wiem po raz który od Gostischy zapewnienie o utrzymaniu Lwowa,"do ostatniej kropli krwi", i jeszcze kilka głupich patriotycznych frazesów, gdy nagle mniej więcej o godzinie 13-ej przychodzi rozkaz, zaczynający się od słów:" Lemberg wird geräumt"! i to tego samego dnia z zapadnięciem zmroku.

Można sobie wyobrazić, jak to podziałało na nas!
Spadło to na nas tak nagle i niespodziewanie, że nie mieliśmy nawet czasu porobić jakieś rzygotowania, by tyle kosztownego materiału, na Łysej Górze nagromadzonego, zarekwirowanymi podwodami itp. uratować. Trzeba było to wszystko zostawić na łaskę Bożą Moskalom, bo paląc, bylibyśmy dymem zdradzili Moskalom, że ewakuacja się zaczyna.

Wtedy dopiero poczułem, jak mój katar żołądka zżarł moją energię i zaufanie w przyszłość. Przyszedłem po tem do siebie fizycznie, ale moralnie byłem złamany, a ciąg dalszy kampanii 1914 roku, ciągłe odwroty i klęski nie przyczyniły się do moralnej rekonwalescencji.

(Przypomniałem sobie, jak w akademii wojskowej w Wiedniu jeden z wykładowców, omawiając ważność dla oficera dbania na wojnie o swoje zdrowie, specjalnie wskazywał na choroby żołądka, jako na źródło wszystkiego złego.Przytaczał nawet przykład z wojny francusko-pruskiej, w której jeden sztabowy oficer niem. który dał już liczne dowody dzielności i męstwa, nagle załamał się zupełnie, zapadłszy na ciężki-nieżyt żołądka. Teraz miałem sposobność wyprobowania tej tezy na sobie.).

Ale wracam w moich wspomnieniach na Łysą Górę. Cała grupa na Łysej Górze (tj. moja komp. saperów, jakiś kadrowy oddział 30.pp., który nie wiem w jaki sposób do nas się przyplątał i 4 oddziały uzbrojonych "Honwed-Arbeiter ableitungen") dostały rozkaz pod dtwem. podpułkownika Bośniaków,(który od 8 dni był dcą. naszego pododcinka) wycofać się z Łysej Góry przez Rzęsnę Polską na Janów, wzgl. za Wereszycę.

Uformowaliśmy się tak, że najpierw szły 4 oddziały "Honwed-Arbeiter- Abteilungen", potem moja kompania ze swoim kompanijnym taborem (4 dość ciężkich wozów) a na końcu kadrowy oddział 30.pp.

Chodziło o to, kto potrafi w nocy w lesie wyprowadzić najkrótszą

drogą ~~wyprowadzić~~ tę kolumnę na szosę Lwów - Janów. Węgierscy oficerowie z Honwed-Arbeiter-abteilung odrazu oświadczyli, że nawet z mapą nie są pewni, czy tam trafią w nocy i w lesie.

Ponieważ ja te drogi bardzo dobrze jeszcze z pokojowych czasów ~~b. dobrze~~ znałem, więc ofiarowałem się na ochotnika, że kolumnę poprowadzę.

Gdzieś między 19 -20 godziną była kolumna gotowa do marszu, który rozpoczęliśmy. Była cudowna, ciepła księżycowa noc, nie było mi więc trudno znaleść drogę.

Ogromnie deprymująco działał odgłos taborów innych kolumn, maszerujących innymi drogami wzgl. gościńcem, a który słychać było na wiele kilometrów.

Samo opuszczenie Lwowa było dla mnie b. przykre, bo było to przecież moje rodzinne miasto, z którem tyle wspomnień mnie łączyło. Zostawiałem tam także całe nasze mieszkanie przy Nabielaka 17 na łasce Bożej, a do tych mebli, obrazów itd. przyzwyczaiłem się przez 6 lat naszego małżeństwa. Bogu dziękowałem, że Irenka z dziećmi jeszcze przed moim wyjazdem do Szczerca, wyjechała do Łąkty wzgl. do Krakowa, byłem więc przynajmniej o nich spokojny.

Nie miałem sposobności się nawet z Wackami i Adasiami pożegnać. To wszystko razem nastrajało mnie bardzo niewesoło.

Kolumna maszerowała pod moim kierownictwem spokojnie i dość porządnie, choć rzadkie miny honwedskich robotników i żołnierzy jakoś wiele "bohaterskiej odwagi" nie wróżyły; tej jednak jeszcze nie było zupełnie potrzeba, bo do Rzęsny Polskiej włącznie maszerowaliśmy wewnątrz linii fortów i jakiś napad ze strony nieprzyjaciela był nieprawdopodobny.

Byłbym to opowiedział Węgrom, gdyby z tymi tumanami jakimś innym językiem, jak węgierskim można się było porozumieć:, niestety

nie było to możliwe przy ich znajomościach niem. języka, ja zaś po węgiersku ani słowa nie rozumiałem.

Właśnie czoło kolumny doszło do domku, w którym zawsze stała warta prochowni, gdy usłyszałem gdzieś we środku kolumny jekiś dość silny rozpaczliwy okrzyk "Halt"! kilkakrotnie powtórzony. Kolumna zaczęła się rwać, bo 4 oddziały robotnicze maszerowały dalej, a reszta nie wiedzieć dlaczego stanęła.

W tej chwili w szeregach węgierskich wrzasnął ktoś coś, czego nikt z nas nie rozumiał, wszczęła się między nimi panika, czego rezultatem było, że rozpoczęła się wzajemna wściekła strzelanina: jedni węgrzy w strachu, że wpadli w jakąś rosyjską zasadzkę zaczęli strzelać do swoich, tak, że dwie grupy wzajemnie do siebie na odległość może 200^x do siebie strzelały jak można najszybciej. Oficerowie węgierscy mając również pełne spodnie ze strachu nie starali się zupełnie o opanowanie paniki i o zmuszenie swoich robotników do zaprzestania ognia.

Moja kompania saperów dostawszy ogień od wartowni i poniósłszy już straty (zginął jeden z moich najlepszych saperów[1]), rozwinęła się błyskawicznie w tyralierę i rozpoczęła również b. skuteczny ogień w myśli, że koło wartowni jest jakiś nieprzyjaciel. W bardzo niemiłej sytuacji znalazłem się, stojąc na mojej "Hexe" niby tarcza dla obu ostrzeliwujących się stron. Tyle kul, co wtedy koło mnie gwiznęło, nie gwiznęło podczas całej wojny światowej! Cud Boży, że mnie żadna nie trafiła! Nie miałem wiele czasu do namysłu! Dałem "Hexie: parę ostróg i pognałem wyciągniętym galopem do grupy węgrów koło wartowni, wołając:"Jener einstellen!" "Nem szabad lőni", ale wszystko napróżno. Dopiero gdym wjechał między węgrów, kilku stratował, kilku po łbach ściągnął szpicrutą, zaczęła się ta banda uspokajać i w końcu obie strony zaprzestały ognia.

Zbeształem węgierskich oficerów równo z błotem i zacząłem porządkować kolumnę. Tu był bardzo smutny widok. Z mojej kompanii było kilku ludzi rannych i kilku zabitych. Gorzej było z Węgrami, bo tam było 40 chłopa zabitych, nie licząc rannych. Z moich oficerów był jeden lekko ranny, gdy się wszczęła strzelanina koń Kadela Panica spłoszył się i poniósł go do lasu i tam w gąszczu Panic spadł z konia uderzywszy głową o jakąś gałąź, koń zaś wraz z siodłem i juczkami poszedł w las i więcej go już nie widzieliśmy. Biedny Panic poniósł dużą ~~szkodę~~ materialną szkodę, bo wszystkie swoje pieniądze, jakie w czasie mobilizacji "wyfasował" (kilkaset koron) zmienił sobie na srebrne koronówki i umieścił w juczkach; gdy koń z juczkami przepadł, przepadły i pieniądze, bo nie było czasu za koniem szukać.

Zostawiwszy zabitych na miejscu, a rannych wsadziwszy na wozy dobiliśmy się w końcu do Rzesny Polskiej, gdzie nakazaliśmy wójtowi pochować nieboszczyków, a sami pomaszerowaliśmy dalej by jak najprędzej dobić się do gościńca janowskiego i włączyć naszą kolumnę do maszerujących tam już innych kolumn. Przedtem jednak wydał rozkaz podpułkownik Bośniaków powyjmować zamki z karabinów — robotników węgierskich i schować do plecaków, aby w ten sposób na wypadek jakiejś nowej paniki zapobiec strzelaninie. Rację miał podpułkownik, bo ci Węgrzy, to była istotnie niebezpieczna banda.

Gdyśmy przyszli do Janowa, gdzie trzeba było po całonocnym, tak emocjonującym marszu wypocząć i ludziom dać śniadanie, pozbyliśmy się Węgrów, którzy gdzieś na własną rękę pomaszerowali. W tym czasie naturalnie doszły nas różne panikarskie wiadomości na temat zbliżania się od północy jakiejś ros. kawalerii itp., ale wszystkie okazały się nieprawdziwe, Moskale bowiem zawsze w pościgu zachowywali niezwykłą ostrożność. Miało się nieraz wrażenie, że oni zmusiwszy

Austryjaków do odwrotu, umyślnie tak wolno za nimi maszerowali, by się z nimi nie zetknąć. O jakimś dziarskim, energicznym pościgu nigdy mowy nie było! Jakieś nocne napady ze strony Moskali nie trafiały się nigdy w r.1914! Na tym punkcie był to bardzo tolerancki przeciwnik.

W końcu przekroczyliśmy Wereszycę i tam-zdaje się-gdzieś koło Wielopola zakwaterowali; Linia Wereszycy, rzeki dość bagnistej, miała być trzymana wzgl. po nadejściu posiłków miała się rozpocząć kontrofenzywa na Lwów.

3 armia Brudermana obsadziła Wereszycę, porządkowała pułki i wcielała uzupełnienia, trwało to może dwa dni.

Bój o górę Stradcz, zdarzenie pod Wielopolem.

W tym czasie nadeszli Moskale i obsadzili lewy brzeg Wereszycy Na półn.wschód od Wielopola jest zalesiona dość wysoka góra Stradcz którą Austryjacy (XI korpus) postanowili najpierw jako wstęp do ofenzywy odebrać Moskalom.

Przygotowanie natarcia artyleryjskiego było wcale dobre, bo podciągnięto dywizjon 15 cm haubic, a także i innej artylerii i bój się rozpoczął. Teraz jednak pokazali Moskale, jak uparcie i mężnie potrafią bronić pozycji. Wszystkie szturmy Austryjaków zostały odparte z dużymi stratami.

Jeden major z pułku lwowskiej landwery, zresztą dzielny człowiek (żyd), ale próżny, postanowił w najgorszym ogniu artylerii ros ....ogolić się. Kosztował go ten kawał.... głowę, bo szklanka szrapnelowa obcięła mu głowę jak nożem przy samej szyi.

Całą tą bitwę obserwowaliśmy ze wzgórza na wschód od Wielopola Nad samą Wereszycą ostrzeliwały się obie strony ogniem ckm.i z armat. Chodząc po pozycji odkryłem baterię rezerwową polówek, której dcę. kapitana znałem z Techn.Wojsk.Komitetu w Wiedniu, zaczęliśmy

coś gwarzyć, bo bateria chwilowo nie strzelała, gdy nagle zajęczał rosyjski szrapnel i uderzył w ziemię na jakie 2 m. ode mnie, nie eksplodując. Gdyby był pękł w powietrzu byliby nas diabli wzięli, bo każdy z nas byłby dostał po kilkanaście kulek szrapnelowych. Opuściliśmy z por. Pokornym to fatalne miejsce, w słusznym przypuszczeniu,że nieprzyjaciel odkrywszy tą rezerwową baterię, zacznie ją ostrzeliwać.

Pobiegłem do mojej kompanii, która stała w jakiejś wyrwie i przesunąłem ją tak, że była zupełnie zakryta i zacząłem dalej obserwować co się będzie działo. Istotnie po chwili znalazła się rezerwowa bateria w dość silnym ogniu artyleryjskim.

Za moim stanowiskiem było około 1000 - 2000 czystego pola, a zanim jakiś brzozowy lasek, z którego wyjechał na koniu jakiś znajomy mi pułkownik, zdaje mi się Tertain z Przemyśla, który wprawdzie służył w inżynierii, czy nawet w budownictwie wojskowym, ale gdy wojna wybuchła zapragnął laurów wojennych i objął dtwo. jakiegoś pułku czy też brygady landsturmu. Na jego znak szablą zaczęły się z lasku wysuwać bataliony jego w t.zw. "Colonnenlinie", formacji najzupełniej przestarzałej, bo przedstawiającej zmasowane cele.

Widząc,że art. nieprz. jest doskonale wstrzelana w rez. baterię i potrzebuje tylko podnieść celowniki o 1000m, aby odrazu wziąć pod ogień te bataliony i zniszczyć je, siadłem na konia, pogalopowałem do niego i zrobiłem go na to uważnym, że jest w skutecznym ogniu artylerii.

Jakie on rozkazy wydał swoim baonom nie pamiętam, ale moje obawy miały się sprawdzić w kilka minut, bo ledwie odjechałem od niego, rozpoczęła nieprz. artyleria obrabiać jego bataliony. Powstał popłoch, jakiego nie widziałem dotąd; cała ta masa ludzi zaczęła wyrywać do lasku, co sił w nogach i mając dość duże straty. Co się dalej z nimi stało, nie wiem.

Bitwa pod Załużem (11.IX.1914)

W międzyczasie rozpoczęła się ofenzywa Austryjaków. Przyszły jakieś korpusy na pomoc i akcja ta zapowiadała się wcale pomyślnie; Austryjacy bowiem sforsowali Wereszycę i osiągnęli teren na 10-20km na lewym brzegu Wereszycy.

Właśnie odkryłem most na żelaznych dźwigach, zburzony a leżący na dość ważnej linji komunikacyjnej na zachód od wsi Załuże i zacząłem właśnie wydawać dyspozycje, by go zrekonstruować, gdy przypada jakiś zapasiony podporucznik rez. ułanów, niewątpliwie pochodzący "od naszej wiary", ze sztabu brygady gen. generała Goigingera, (którego znałem jeszcze z czasów Kriegsschule) i woła wielkim głosem: " Ist hier etwas von das regulären Truppen"?!

Wytłumaczyłem mu, że w Austro-Węgrzech nieregularnych wojsk nie ma, wszystkie są "reguläre Truppen", a irreguläre Truppen są między Serbami, Czarnogórcami itp. i zapytałem, czego pragnie od "reguläre Truppen." Pokazało się, że gen.Goiginger, dowodzący brygadą tyrolskich strzelców, dostał jako posiłki jakiś węgierski landsturm, który wiał z placu boju pod Załużem i nie stawiał żadnego oporu.

Odcinki mu przydzielone,były w najkrótszym czasie próżne, bo Węgry kryli się między płonącymi chałupami w Załużu.

Sytuacja taktyczna była tego rodzaju, że Moskale usadowili się na zachodniej lisierze Mazany i stamtąd mogli w każdej chwili przypuścić atak na Załuże.

Postanowiłem więc zostawić reperację koło mostu na później, a samemu z moją kompanią spieszyć na pomoc Goigingerowi.

Kompania wszedłszy do płonącego Załuża, posuwała się naprzód plutonami rozwiniętymi w tyraliery, ja zaś poszedłem do Goigingera by otrzymać jakieś konkretne rozkazy.

Goiginger był b. zadowolony, gdy mnie zobaczył i gdy mu zameldowałem, że przychodzę tak ochotnie, przyprowadzając mu moich około

200 chłopa.Scisły sztab gen. Goigingera znajdował się za jakąś stodołą i właśnie posilał się zsiadłym mlekiem i ziemniakami.

Goiginger przydzielił mi mój odcinek i ruszyliśmy w dalszą drogę. Po drodze nawinął mi się jakiś wiejący Węgier; dobyłem szabli i chciałem go płazem szabli zmusić do powrotu na linię bojową.Trafiłem jednak nieszczęśliwie w łopatkę piechociarską i klinga mi pękła. Uważałem to za zły omen, a na wojnie każdy staje się z czasem zabobonnym.

W końcu osiągnęliśmy bez strat linię bojową. Trzymali ją w bardzo rzadkiej obsadzie (na 10 kroków jeden człowiek) Tyrolczycy i tylko ich bardzo celnym strzałom zawdzięczać należy, że Moskale leżąc od austr linii bojowej o ca 500 nie mogli się zdecydować na natarcie.

Sama austr. linia bojowa była b. licho okopana. Składała się z pojedyńczych wnęków, chroniących leżących w nich Tyrolczyków dość problematyczne. Ci ostatni, jak wówczas cała austr. piechota, mieli wstręt do kopania.

Gdy przybyłem na tę pozycję, nakazałem bezzwłocznie moim saperom okopać się porządnie i zostawić miejscami trawesy, które w razie ostrzeliwania okopów granatami, ograniczają ogromnie działanie granatów. Miałem rację, bo niezadługo zaczęła ros. artyl. obrabiać okopy, jednak na szczęście tylko szrapnelami.

Po godzinnej pracy, były okopy jako tako gotowe, strat dotąd nie miałem żadnych, bo ilekroć usłyszeliśmy wycie szrapnela zaraz oficerowie dawali gwizdkami sygnał do krycia się w rowach, gdzie kulki szrapnelowe nie mogły nic zrobić.

Moi oficerowie, szczególnie por. Kordzik, lekceważąc dotąd tak bezskuteczny ogień nieprzyjacielski, wyleźli na okopy, by przez lornetki dokładnie zbadać, którędy idzie linia moskiewska.Zaraz też zaczęły co raz gęścieć, bzykać kule karabinowe i jedna z nich drasnę-

ła nawet lornetkę Kordzika. Wówczas dopiero wlazł do okopów i przestał kusić Opatrzność.

Zabawny epizod odegrał się koło mego stanowiska w rowach; mianowicie zauważyłem młodego strzelca tyrolskiego, który b. dokładnie celując strzelał zdaje się do jakiegoś upatrzonego Moskala, a dopiero po 4-ym strzale zawołał:" Endlich habe ich den Kerl gekriegt! Vier Schuss hat er mich gekostet"! Potem wyjął konserwę mięsną, otworzył ją bagnetem i podając mi ją spytał?! "Magst?! Naturalnie podziękowałem nie przyjmując tej ofiary i zapewniając go, że ja w południe jadłem obiad z kuchni polowej, podczas gdy on pewno od rana nic w ustach nie miał. Tyrolczyk spożył z największym spokojem całą zimną konserwę i zaczął dalej z całą flegmą strzelać.

Po pewnym czasie jednak zaczęło go w brzuchu wiercić i poczuł "natchnienie". Wylazł więc z rowu odszedł na czyste pole, kucnął i... ulżył sobie. Poczem zapiąwszy starannie spodnie, zaczął znowu dalej prażyć swoim celnym ogniem Moskali.

Moi saperzy wzięli także pilny udział w ostrzeliwaniu Moskali, i gęsta strzelanina z obu stron rozpoczęła się na dobre.

Nagle, gdzieś koło godz. 16^h czy 17^h usłyszałem jakieś inne wycie ros. pocisków artylerii. Ton głębszy i chichot pozwoliły mi poznać że to rosyjskie haubice 12.5 cm (doskonałe angielskie działo) zabrały głos. To było gorzej, bo okopy nasze zbudowane w szczerym polu i zupełnie niezamaskowane, dawały nprz. możność najdokładniejszego wstrzelania się.

Za kilka ~~minut~~ sekund uderzyły istotnie 4 granaty o jakieś 200^x za naszymi okopami. Sytuacja zaczęła być b. przykrą, bo trzeba się było liczyć z tym, że ros.art. w kilka minut przeprowadzi dwomą lub trzemą salwami korektury i zacznie potem z wielką dokładnością okopy obrabiać. Jedyny ratunek stanowiły trawezy co 6 metrów.

A tymczasem padła druga salwa z haubic i znowu wykwitły z ziemi niby trzypiętrowe kasztany, na szczęście jednak ciągle za pozycją naszą, ale dosyć blisko, może 100.

Następna salwa była już około 100 przed naszymi okopami. Dziwne przykre uczucie trwogi ogarnęło mnie, wiedziałem bowiem, że jeszcze jedna lub dwie salwy, a haubice będą najdokładniej wstrzelane w nasze okopy i rozpocznie się wśród naszych żołnierzy masakra granatami, czy w tym piekielnym ogniu wytrzymamy przy doskonałym działaniu angielskich granatów i jakie on nam straty przyniesie, trudno było przewidzieć.

Z austr. strony odpowiadała jakaś bateria polówek, czy skutecznie nie można było ocenić.

W tej tak krytycznej chwili usłyszałem nagle z austr. strony jakieś nagłe, b. silne wzmożenie ognia artyleryjskiego, mając ucho wyrobione na ostrem strzelaniu w Szczercu, poznałem zaraz, że to przemówiły lekkie (10cm) i ciężkie (15cm) haubice. Po chwili jakiś nowy nieznany szum pocisków, jak się potem pokazało była to bateria dalekonośnych oblężniczych armat z ruchomego parku artylerii wałowej, które Austryjacy, forsując swą ofenzywę na Lwów wszelkimi środkami, ściągnęli z Przemyśla.

Skutek wzgl. działanie tej przeważnej artylerii był fenomenalny, bo ros. haubice i polówki zaprzestały od razu ognia.

Duch w nas znowu wstąpił i zaczęła się jeszcze bardziej żwawa strzelanina karabinowa. Wskutek tego zaczęła moim saperom wychodzić zwolna amunicja, albowiem saperzy mieli tylko po 40 nabojów karabinowych, podczas gdy piechota miała po 120 na żołnierza.

Posłałem więc meldunek do dtwa, brygady z prośbą o przysłanie nam kilka skrzynek amunicji, jeśli mamy bronić dłużej naszego odcinka. Na to dostałem odpowiedź, że nasza obecność na odcinku bę-

dzie już bardzo krótka, albowiem przychodzi jako wzmocnienie rez. pp.58 (dowódca ppłk Neustadel, stary oficer pionierów, którego znałem jeszcze z Przemyskich czasów doskonale (ponoś żyd, a przytem bardzo dzielny oficer i w prywatnym pożyciu 100% gentelmen).

Po jakiejś 1/2 godziny nadszedł rozkaz od Goigingera, że sapersks kompania ma się wycofać na zachód od Załuża, a rez.58 pp. przychodzi na nasz odcinek, aby nas zluzować. Po drodze dowiedziałem się, że jest planowany nocny szturm na Mszanę.

Straty poniesione przez moją kompanię nie były duże, ledwie kilku rannych.

Wycofaliśmy się gdzieś około 17^{h}czy 18^{h}. Był to dla nas pierwszy prawdziwy chrzest bojowy, paniki i strzelaniny pod magazynem amunicji w lesie Brzuchowickim nie liczę.

Rozłożyliśmy się koło naszych taborów i zaczęli się pożywiać z kuchni polowej. Wtedy dopiero nastąpiło u nas tak oficerów, jak i żołnierzy pewne odprężenie napięcia nerwów: każdy rzucił się na trawę,(był prześliczny jesienny wieczór) i leżał odpoczywając.

Po godzinie trzeba było pomyśleć o jakichś kwaterach dla żołnierzy i dla nas,,było w bliskości kilkanaście zabudowań gospodarskich, więc podzieliliśmy je na 4 plutony, postawili tabory przy drodze, zalecili tak warcie przy nich, jak i dyżurnemu kapralowi, by czuwał i szczególnie uważał, co się na placu boju i na drodze od Załuża dzieje z tym, aby mi o każdym szczególe meldowano, poczem pokładliśmy się spać. Miałem moją kwaterę pod jakąś szopą.

Nie długo jednak danem nam było odpoczywać, bo gdzieś przed północą, wpadł do mojej"kwatery" dyżurny podoficer z meldunkiem, że wojska austr. są w pełnym odwrocie i że cała droga od Załuża do Wereszszycy zabita jest cofającym się wojskiem.

Mimo znużenia i senności rozbudziłem się odrazu. A był to dla

mnie potężny chok nerwowy, bo przecież wszystkiego należało się raczej spodziewać, niż tego, że tak świetnie zapowiadająca się ofenzywa takim fiaskiem się skończy. Sprawdziło się moje twierdzenie, że na wojnie zawsze jest inaczej niż kalkulecje, choćby najlogiczniejsze, pozwalają oczekiwać.

Nie było jednak czasu na filozofowanie, lecz trzeba było myśleć o wyratowaniu własnej kompanii; obawy pod tym wzgl. nie były płonne, bo na moście na bagnistej Wereszczycy, przez którą cofały się kolumny, siedział kapitan Schmidt ze swoimi saperami, dosyć nerwowy Czech i nie uważałem za wykluczone, że on ten most po przejściu artylerii i piechoty wysadzi w powietrze, nie wiedząc zupełnie o tym, że moja kompania także jeszcze musi ną tym moście przeprawić się na drugą stronę tj. na zach. brzeg Wereszczycy.

Pchnąłem więc któregoś z oficerów konno, by uprzedził Schmidta i nie ważył się prędzej burzyć mostu, aż 2/11 komp. saperów przez niego przejdzie.

Wysłany oficer przybył a tempo, bo Schmidt kazał już zakładać sznury zapalne, i moja kompania mogła spokojnie ze swoimi taborami przeprawić się przez Wereszczycę.

Przyczyna zaś, dla której Austryjacy tak nagle porzucili kontynuowanie tak pomyślnie rozpoczętej ofenzywy leżała w tym, że Moskale z przemożnymi siłami rozpoczęli ofenzywę od północy, zmuszając do odwrotu armię 4 a także 1.

Dla Austryjaków, którzy w swej ofenzywie posunęli się byli o więcej niż 100 km na wschód od linii Sanu, nie zostawało nic innego, jak szybko się cofnąć, bo w przeciwnym razie groziło im, że Moskale przejdą przez Wisłę i zajdą im tyły,. Stąd ten tak szybki odwrót.

Odwrót pod Gorlice.

Gdy przybyliśmy do Przemyśla, dostała 2/11 komp. rozkaz wysadze-

nia wszystkich mostów drogowych leżących na linii Przemyśl - Sanok - Jasło tj. na linii odwrotu 3 armii (Bazejewić) podczas gdy 1/11 komp. sap. (kpt.Schmidt) dostała anlogiczne zadanie odnośnie do mostów kolejowych.

Nie było to wesołe zadanie, każdy bowiem "Sprungdetachement" - zwykle 1 plutonu saperów pod dtwem oficera, musiał tak długo na moście siedzieć i czekać, by nie wysadzić mostu za wcześnie.

Oddziały bowiem cofające się, wlokły się (jak zawsze przy odwrocie)! w dość dużym nieporządku i nikt nie był w stanie ~~przewidzieć~~ powiedzieć, co i ile sił idzie jeszcze zadanym oddziałem, nawet przejścia kawalerii, który zwykle ostatnia maszeruje, nie dawała żadnej gwarancji, czy jeszcze jakiś spóźniony oddział, jakaś straż boczna lub kolumna bydła na rzeź przeznaczonego, nie zjawi się jeszcze.

Trzeba było czekać na podminowanym moście tak długo, aż się ukazali ....Moskale. Wtedy można było z czystym sumieniem wysadzić most w powietrze. Gdyby zamiast arcyostrożnych i bojaźliwych Moskali był jakiś bardziej energiczny i agresywny przeciwnik, mogliśmy w naszej roli kilka razy znaleźć się w przykrym położeniu, ale z Moskalami udawało nam się przebyś to zupełnie bez strat.

Ogromnie deprymująco na duchu oficerów i żołnierzy działał widok tych cofających się oddziałów: rozpięte płaszcze, pogubione tornistry nie rzadko bez karabinów, przygnębione wyrazy twarzy pozwalało na pierwszy rzut oka poznać, że jest to armia mimo b. dużego męstwa pobita i mimo krwawych ofiar, ulegająca tej przeklętej przemocy rosyjskiej, która często do 100% dochodziła.

W czasie tego odwrotu, miałem kilka charakterystycznych wyczynów austr. generalnego sztabu do zanotowania, których nie mogę pominąć milczeniem.

Właśnie wyruszyliśmy z Domaradza ku Wisłokowi, gdy zawołano mnie

do dtwa 30 dyw. i tam dostałem rozkaz-niezależnie od postawionego nam zadania burzenia mostów, maszerować jak można najszybciej na Odrzykoń i zbudować tam most prowizoryczny, bo rzekomo Moskale naciskają i dla skrócenia długości kolumny, będącej w odwrocie, skierowania na tą komunikację jednej dywizji.

Ważność zadania nie pozwalała stawiać jakichkolwiek objekcji na temat wykonalności tego zadania. Ale charakterystycznym jest, że ani w sztabie korpusu, ani dywizji nikt ani chwili nie zastanowił się nad tem, że akurat moja kompania rozrzucona od Dynowa niemal do Wisłoka ma największe trudności chwilowo, bo trzeba było pamiętać o zburzenie kilku mostów na drodze leżących.

Nie zostało mi nic innego, jak zostawić przy każdym moście "sprungdetachement" (oficer wzgl. podoficer starszy i kilku saperów) a resztę kompanii zbierać i na łeb na szyję maszerować do Odrzykonia, dla budowy mostu. Skąd na ten most wezmę materiału, o to się nikt nie pytał. "Już tam sobie zapobiegliwi saperzy jakoś poradzą" oto frazes, którym się "generalstablery" w sztabie pocieszały, gdy byli za leniwi do przemyślenia technicznego ~~wykonania~~ zadania, które z lekkomyślnością sztubaków stawiali.

Wydawszy zarządzenia do ściągania pojedyńczych oddziałów do Odrzykonia, a przede wszystkim do zadyrygowania taboru kompanijnego tamże, bo tam mieliśmy załadowane narzędzia do budowy mostu.

Gdyśmy na miejsce przyszli, pokazało się, że jeszcze przed wybuchem wojny nagromadzono tam belki i piloty, mając zamiar (gmina czy też wydział powiatowy) zbudować tam most dla celów gospodarczych Była to dla nas b. szczęśliwa okoliczność, bo uwalniało nas od szukania za materiałem, co by wiele czasu zajęło.

W ciągu przedpołudnia byliśmy z mostem gotowi; Później pokazało się, że jego budowa była zupełnie zbędna, bo Moskale wcale tak

bardzo nie parli i cały korpus przeszedł zwyczajnym mostem na drugą stronę. Widząc to postawiłem sobie pytanie, co właściwie robi i jaką rolę gra przy komendzie XI korpusu nasz smutnej pamięci dca. 11 batalionu saperów ppłk. Hugo Habouschka, który wedle obowiązujących przepisów, był technicznym doradcą komendanta korpusu ezgl. szefa sztabu korpusu. Grał on jednak tak śmieszną rolę, tak go każdy generalstäbler lekceważył i "per nogam" traktował ~~i tak~~ nigdy nie miał on nic do mówienia, że go w końcu gdzieś na końcu taborów korpuśnych umieszczono, gdzie był niepotrzebnym balastem. On sam, ogromny tchórz, przy swoim nikczemnym charakterze, widząc jak wielkie straty poniosła piechota nawet w sztabowych oficerach, bał się piekielnie tego, by go jako tego, który z piechoty do saperów przydzielony został, nie przydzielano z powrotem do piechoty, trzymał się z tyłu, nie pokazując się nikomu ze sztabu korpusu, a w szczególności dcy korpusu feldmarszałkowi Ljubicicowi i szefowi sztabu korpusu pułk. Riemlowi.

Jego obowiązkiem jednak było zrobić Riemla uważnym na to, że są wolne dwie kompanie pionierów podległe wprost dtwu. armii, które dotąd literalnie nic nie zrobiły od początku wojny, a każda z nich byłaby się najchętniej podjęła budowy mostu pod Odrzykoniem. A tak wycierano wszystkie kąty saperami.

O ile gen insp. saperów gen Gołogórski był niezwykle światłym i zdolnym oficerem, o tyle zmiany wzgl. obsada niektórych baonów saperów na początku jego regimu nie były szczęśliwe.

Gołogórski, przesłużywszy do pułkownika w sztabie inżynierii, przeszedł potem do piechoty, by awansować. Tu dosłużył się stopnia pułkownika na stanowisku dcy. pułku i piękne rezultaty, jakie na tym polu osiągnął spowodowały, że przy reorganizacji wojsk tech. na pionierów i saperów, właśnie jego mianowano generalnym inspektorem saperów.

On jednak, szczególnie z początku tej służby, nie znał się dokładnie na służbie saperskiej i pionierskiej i dopiero później dzięki swoim zdolnościom i wprost niesamowitej pilności opanował ten dział w zupełności.

Miał jednak do świeżo sformowanych saperów brak zaufania co się taktycznego wyszkolenia tyczy, żyjąc reminiscencjami ze swych podporucznikowskich czasów, spędzonych w "Genie-Regiment N°1, był przekonany że obecni saperzy, dobrzy do robót technicznych, są analfabetami pod wzgl. wiadomości taktycznych. Dlatego na wakujące stanowiska dców baonów saperskich, powołał z piechoty rozmaitych majorów, którzy ongiś, tak jak on w austr. "Genie regimenter" służyli. Mylił się tu grubo o tyle, że austr. pionierzy wzgl. z nich sformowani saperzy opanowywali fach piechoty doskonale; o tym on nie wiedział.

Na dcę.11 baonu saperów powołał właśnie Haluszkę,(zgermanizowany Czech z Oderbergu) bardzo marne indywiduum pod względem charakteru, a pod względem fachu piechociarskiego i pod wzgl. techn. zupełne zero. Był to duży błąd ze strony gen. Gołogórskiego. Haluschka był do tego stopnia nikczemnego charakteru, że np. nie wahał się przez swego ordynansa od koni szpiegować prywatne życie oficerów, nakazując mu zbliżyć się do ordynansa osobistego danego oficera. I to podłe indywiduum miało dowodzić jednym z najlepszych batalionów saperskich, jakie Austria miała!

Zburzenie mostu żelbetowego na Wisłoku w Strzyżowie.

Następny "kawał", godny uwiecznienia, to była afera ze zburzeniem mostu żelbetonowego w Strzyżowie. Mianowicie na linii odwrotowej VIII Korpusu, kt. przez Strzyżów prowadziła, był most żelbetonowy, nowa b. piękna konstrukcja, zaopatrzony już w czasie pokoju w komory minowe, a potrzebna amunicja i środki zapałowe były także już w czasie pokoju deponowane w najbliższym garnizonie, po mobilizacji prze-

wiezione je w pobliżu mostu i oddane dróżnikowi pod opiekę; W skrzyniach z amunicją był także "wyciąg z elaboratu minowego" przy pomocy którego mógł każdy mający choćby słabe wyobrażenie o minerstwie, założyć miny i wysadzić most w powietrze.

W 8 batalionie sap., który był w VIII korpusie, nie znalazł się nikt, ktoby się podjął był tego. Referentem techn. w sztabie tego korpusu był kpt. Albert Weber, nawet mój kolega z akademii wojskowej, wiedząc, że ja wysadzam na linii odwrotowej XI korpusu mosty, wpadł na pomysł ściągnąć mnie z niej automobilem do Strzyżowa i tam wręczyć mi rozkaz VIII korpusu (dca Colleras Geldern) zburzenia tego mostu.

Skląłem go po"koleżeńsku"od "Scheisskerl" itp, bo ja przecież miałem własne, również ważne zadania i powiedziałem mu, że powinien mieć na tyle wstydu i ambicji i nie blamować się taką nieznajomością minerstwa.Wypsioczywszy się, pojechaliśmy do Strzyżowa, Równocześnie zadyry-gowałem akurat wolny pluton chorążego Panica tamże.

Gdyśmy na miejsce przybyli, była gdzieś godz 2^h w nocy, wyszukałem dróżnika, który mi wskazał, gdzie są skrzynie z amunicją, znalazłem wyciąg z elaboratu minowego, przy pomocy którego znalazłem w ciągu kwadransa komory minowe, a gdy zaczęło szarzeć nadszedł Panic ze swoim plutonem i do godziny był most podminowany i gotowy do zburzenia. Zdaje mi się, że tak doskonale wszystko było przygotowane, że to zburzenie tego mostu może być przykładem, jak doskonale były w Austrii przez Tech. Komitet Wojskowy przygotowane wszystkie zabiegi do burzenia w najkrótszym czasie, a gruntownie wszystkich, choćby największych obiektów jak mosty, tunele itp.

Czekaliśmy z podpaleniem min gdzieś do 15^h, bo ciągle wlokły się jeszcze oddziały, tabory itp. dopiero o 15^h oświadczył nam oficer gen. sztabu, idący z ostatnim oddziałem kawalerii, że za nim już nie ma nic, i że oddziały kawalerii ros. mogą się każdej chwili zjawić.

Wiedząc, że miny były b. silne (około 500 kg ekrazytu) uznałem za stosowne zabezpieczyć mój pluton saperów, wysławszy go na 1/2 km naprzód, a sam z Panicem, ukryci za jakąś rozłożystą wierzbą zakorbowaliśmy zapał elektryczny i most wyleciał w powietrze.

Nie wzięliśmy jednak pod uwagę, że wyrzucone kawałki betonu wyleciały około 200 m w górę i potem posypał się koło nas istny grad kamieni rozmaitej wielkości, a każdy z nich, gdyby człowieka trafił, byłoby po nim. Szczególnie groźnym okazał się jeden odłamek, wielkości nocnej szafki, który z wysokości 150 m upadł na ziemię o jakie 20 m od owej wierzby.

Z mostu zostały tylko, jak dwa kikuty, szczątki 2 łuków, reszra znikła. Szkoda tego mostu! Były to 2 śliczne płaskie przęsła, każde po 60 m rozpiętości wsparte na wspaniałym kamiennym cokole we środku rzeki. Kosztował przed dwoma laty 2 miliony koron!

Zniszczenie mostu na Wisłoku koło Brzostku.

Jeden z ostatnich mostów, jaki miała moja kompania podminować i zburzyć, był most drogowy i kolejowy przez Wisłokę pod Jasłem. Tam zebrała się moja kompania, która dotychczasowe perypetie bez strat przebyła, podminowaliśmy oba mosty, postawili koło min posterunki i obserwowali przeciągające oddziały cofającego się XI korpusu.

Zakwaterowaliśmy się w domku dróżnika tuż koło drogowego mostu i coś ze dwa dni odpoczywali. Do nas przyplątała się jakaś kompania 12 baonu saperów (kapitan zdaje mi się Kraus, dość wielki amator alkoholu!) i tak w gromadce, racząc się gulaszem z kuchni polowej i komiśniackiej i ~~gwarzyliśmy~~ gwarząc o przebytych wydarzeniach i widokach na przyszłość, czekaliśmy, aż przyjdzie chwila wysadzenia mostów i dalszego marszu do Gorlic.

Mój zacny podoficer rachunkowy Alfred Dąbrowski, chcąc nam zrobić radość zakupił gdzieś u żydów dla nas beczułkę piwa, którego nie

widzieliśmy od czasów mobilizacji.

Rzuciliśmy się z pewną chciwością na to piwo, a ponieważ przedtem piliśmy i wódkę, na to wino, a teraz na to piwo, więc nic dziwnego, że zalawszy trochę pałki, pokładliśmy się na słomie i pozasypiali. Ja jednak nie mogłem zasnąć, bo ostatecznie na mnie ciążyła odpowiedzialność za wysadzenie mostów, a także miałem jakieś niewesołe przeczucia. Zdawało mi się, że to "dolce far niente" trwające 2 dni, skończy się czymś nieprzyjemnym. Nie myliłem się.

Około godz. 22^{h} doleciał mnie odgłos trąbki automobilowej, usłyszałem, że auto stanęło tuż koło domku dróżnika, po chwili wszedł oficer ordynansowy 30 dywizji, do której "de nomine" należeliśmy, z rozkazem:" Herr Hauptmann sofort zu Seiner Excellenz!" Wiedziałem już, że coś paskudnego nas czeka, ale od oficera ordynansowego niczego się dowiedzieć nie mogłem, bo on nic nie wiedział.

Excellencja feldmarschalleutnant Kaizer (mój nauczyciel geografii ze szkoły wojennej, bardzo zacny, choć narwany człowiek) przyjął mnie b.mile, uprzedził mnie jednak, że czeka moją kompanię trudne zadanie, ale nie mniej ważne, mianowicie w miejscowości Brzostek, na północ od Jasła jest most, który musi być za każdą cenę zburzony, bo nieprzyjaciel wykorzystując go mógłby ~~zagrxxxxx~~ zagrozić odwrotowi XI korpusu, a nawet przed nim osiągnąć Gorlice, co wszystko mogłoby spowodować katastrofalne następstwa.

Oczywiście odpowiedziałem mu, że zrobię się wszystko i że może być pewnym, że kompania jak zawsze, tak i teraz nie zawiedzie. Poklepał mnie po ramieniu, powiedział:"die Sappeure sind immer brav" a w końcu dodał:"Nur du muss acht geben, denn in Brzostek ist schon die russische kavallerie!"(Musisz uważać, bo w Brzostku jest już nprz. kawaleria).

Tableau! Serce opadło mi o dwa piętra niżej, bo jak tu wysadzać most w powietrze, gdy przy moście we wsi stoi nieprzyjacielska konni-

ca. Że most jest silnie obsadzony, o tym nie wątpiłem! W jaki sposób wywiążę się z mego zadania nie wiedziałem chwilowo, bo, aby most wysadzić w powietrze trzeba go najpierw zająć, a potem mieć jakiś czas potrzebny do podminowania. Czy to był most drewniany, czy murowany wzgl. żelazo-betonowy nikt w sztabie nie mógł mi powiedzieć, a tu każda minuta była drogą, bo najpóźniej z brzaskiem dnia może nprz. rozpocząć przejście i marsz do Gorlic.

Znaleźliśmy się tedy znowu w tzw. "sytuacji bez wyjścia" ("Scheissgasse!"), bo przecież nie mogłem z kompanią uderzać na most i zdobywać go, bo to byłoby zupełnie bez widoków jakiegokolwiek powodzenia.

Gdy tak autem jechałem do mojej kwatery i dumałem, co to robić, przyszła mi na myśl metoda burzenia mostów, używana w połudn. Afryce przez Burów w wojnie angielsko-Burskiej, a polegająca na tem, że Burowie dynamit, powiązany w pakiety w workach rzucali na mosty, wyparłszy ewentualną obsadę ogniem, zapalali i odjeżdżali galopem. Tej metody postanowiłem użyć.

Przyjechawszy do naszego domku dróżnika, zacząłem budzić zaspanych oficerów, wyznaczyłem porucznika Pokornego do tego zadania, choć bałem się, że wysyłam go na stracenie. Ale trudno! Na wojnie nie można z sentymentu dla jednostki narażać na szwank tak ważnej sprawy.

Pokorny gdy wytrzeźwiał z głębokiego snu i zrozumiał o co chodzi wziął się bardzo chętnie do dzieła, ufny, że "fortuna fortes adjuvat". Wybrał sobie 2 wozy taborowe i ustawił tz. "Sprengdetachement", biorąc ze sobą swego ulubionego podoficera plutonowego Łubkowicza, b. dzielnego chłopa i kilkunastu morowych saperów, naładował wózek ekrazytowymi puszkami, założył sznury zapałowe i wyruszył w drogę.

Dalszy ciąg wyprawy znany mi z jego meldunku.

Jechał możliwie szybko, bez wszelkiego ubezpieczenia, po drodze spotkał patrol tyrolskich strzelców pod dctwem. znajomego oficera, który właśnie z okolicy Brzostka wracał i potwierdził, że we wsi, odda-

lonej od mostu (drewnianego na szczęście)! o kilkaset kroków stoi szwadron ros. dragonów, a na samym moście stoi warta z dwóch ludzi.

Pokorny go zaprosił, by z nim razem w tej imprezie ze swoją patrolą wziął udział, na co on się chętnie zgodził.

Jechali wprawdzie z dużym chałasem, ale szybko, bo chodziło o to by dostać się do mostu, jak długo ciemno jest. Zajechali do mostu, z którego warta, zdaje się przerażona hałasem, z jakim zajechali, zwiała, nie zaalarmowawszy nawet wystrzałami swego szwadronu. W pobliżu mostu była chata, z której wybiegła jakaś mazurka, a widząc austr. żołnierzy. mówiących po polsku rzekła:" Uciekajcie, bo we wiosce pełno Moskali kwateruje"!

Tymczasem "Sprungdetachement" po b. pobieżnym oglądnięciu mostu rzucili na przęsło środkowego pola wór z ekrazytem, nawet nakryli go jakimiś darniakami, zapalili sznury zapałowe, siedli razem z Tyrolczykami na wozy i odjechali może 1 km., gdy nastąpiła potężna eksplozja.

Jak się potem pokazało przęsło zostało zupełnie zburzone, a graniczące z nim oba pola mostu zapadły się w wodę i pojechały Wisłoką do Wisły.

Tak tedy i tym razem " los sprzyjał mężnym", i cała impreza udała się znakomicie dzięki indolencji ros. kawalerii, która tak ważny operacyjnie ~~punk~~ obiekt, powierzyła opiece 2 tchórzliwych dragonów.

Zameldowałem to zaraz do dywizji i postawiłem wniosek na odznaczenie całego"Sprungdetachement". Wkrótce potem dostał Pokorny Militär Verdienst-Kreutz mit der Krone (jak na porucznika b. duże odznaczenie), plutonowy Łubkowicz duży srebrny medal za waleczność a inni saperzy mały srebrny medal.

Tak skończyło się wszystko nadspodziewanie szczęśliwie.

Zdaje mi się, że następnego dnia wysadziliśmy w Jaśle most drogowy i kolejowy i bez żadnych trudności doszli do Gorlic.

Pobyt w Gorlicach, ofenzywa austryjacka i odbicie Przemyśla.

W końcu dobiliśmy się do Gorlic, gdzie były ogromne rafinerie nafty a ropa, przygotowana do rafinady była umieszczona w kilku wykopanych na ten cel dużych jamach tuż przy rzece, której nazwy nie pamiętam (jakiś nieduży dopływ Wisłoki).

Otóż brygadier 60 brygady, zdaje mi się Diviš, chcąc się od Moskali gruntownie odgrodzić, zaprojektował spuszczenie wszystkiej ropy do tej rzeczki i... zapalenia jej. Był to arcygłupi pomysł, bo przede wszystkim byłoby to połączone z milionowymi stratami w ropie, której na ogół Austryjacy nie mieli wiele,Borysław bowiem i Drohobycz były już wówczas w rękach nprzla.

Dalej była wielka kwestia, czy ropa wylana do rzeki zechciałaby się palić. Na szczęście był na miejscu jeden z dyrektorów rafinerii (sprytny żydek), który zdołał wytłumaczyć Divišowi całą nonsensowność tego pomysłu.

Nie wesoły objaw braku dyscypliny zaczął się pokazywać wśród żołnierzy, mianowicie szeregowcy zaczęli nie salutować oficerów i podoficerów.

Normalnie było to w armii austr. nie do pomyślenia.

Wprawdzie żołnierz miał do demoralizacji dosyć powodów: bił się bowiem dzielnie, pułki ponosiły ogromne straty, a rezultatem było już coś 3 odwroty!

Każdy nabierał coraz bardziej przekonania, że wobec olbrzymiej liczebnej przemocy Moskali, żadna strategia nic nie pomoże i wojna musi być przegrana. Jedynie w oddziałach saperów i pionierów, oraz strzelców polowych i tyrolskich panowała dawna dyscyplina.

Aby karność w oddziałach przywrócić, trzeba było użyć drakońskiego środka tz. "słupka". Przywiązanie kilku specjalnych zuchwalców do "słupka" przekonało żołnierzy, że tu żartów nie będzie i że ewentualnie skończy się to rozstrzelaniem.

To poskutkowało, bo do 2 dni każdy żołnierz salutował, stał przed starszym i przełożonym na "baczność" i dyscyplina była przywrócona.

Za kilka dni zaczęły napływać z Kader uzupełnienia, wcielono je zaraz do oddziałów i kompanie liczyły znowu po 200 karabinów. Uzupełniono obuwie, mundury i pogubione tabory i do 8 dni 1.4.3. i 2 armia były już zdolne do operacji.

Conrad planował ofenzywę i słusznie, bo tylko ofenzywa mogła do czegoś pozytywnego doprowadzić. Moskale nic nie napierali, a przyszły wieści, że nie mają amunicji.

Ale cóż, kiedy wszystkie mosty drogowe i kolejowe były w myśl wydanych rozkazów gruntownie poburzone.

Wtedy znowu otrzymałem jeden z najgłupszych rozkazów, mianowicie wyruszyć z moją kompanią jako "przednia straż" i zacząć jeden most za drugim odbudowywać.

A przed nami była gwardyjska kawaleria i ta, gdyby była nieco dzielniejsza, powinna była nas zgnieść!

Wzruszająca głupota naszych "generalstäblerów" występuje w całym jaskrawym naświetleniu, jeśli się weźmie pod uwagę, że przecież kompania saperów, ma swój dosyć ciężki tabor z narzędziami do budowy mostu i już to samo powoduje, że ona nie nadaje się zupełnie do roli jakiegoś "oddziału wywiadowczego" wzgl. "przedniej straży".

Ale "Befehl ist Befehl", więc ruszyliśmy, polecając się opiece Bożej.Na szczęście nasze, kawaleria rosyjska cofała się prawie zupełnie bez walki. Odbudowa zburzonych mostów była prawie ponad siły jednej kompanii saperów, w dodatku mieliśmy ogromne trudności z dostaniem materiału do odbudowy mostów.

Przesunięto więc XI korpus na jakąś drogę bardziej na północ leżącą. Tymczasem puściły się deszcze, trwające więcej jak tydzień. Droga, po której posuwały się so Sanu coś 3 korpusy z ciężką arty-

lerią, wyglądała w najkrótszym czasie wprost okropnie. Szczególnie utkwiła mi w pamięci droga między Huciskiem i Nienadową. Było jej może z 8 km., ale stanowiła ona jedną gęstą zupę, w której wozy taborowe literalnie po osie się w błocie zapadały. Był to okropny widok tych ciężkich dział, porzuconych na drodze, a od czasu do czasu widać było duże ciężkie artyl. konie, siedzące wskutek paraliżu krzyża na zadzie, niby psy w tym błocie i nie mogąc się z miejsca ruszyć.

Naturalnie kompania saperów dostała rozkaz, (jak zawsze arcygłupi, bo niewykonalny) "natychmiast drogę do dalszego pościgu nieprzyjaciela naprawić"! O tym, jakby tp można zrobić i jakimi siłami, nikt nie pomyślał.

W rezultacie siedzieliśmy w Hucisku kilka dni, pospuszczali przy pomocy ludności cywilnej wodę i błoto z drogi do rowów i gdy nareszcie deszcz ustał i słońce trochę grzać poczęło, nieszczęsna to droga podeschła nieco. Można już było po niej maszerować i pomaszerowaliśmy dalej.

Był to jeden z najgłupszych rozkazów, na który się "generalstäblery" zdobyły, ot tak " ut aliquid fecisse videatur". Ale cierpliwości! Przyjdą jeszcze głupsze!

Opowiadam więc dalej!

Już nie pamiętam szczegółów, dość, że XI korpus a więc i moja (2/11) kompania oraz dwie inne mego batalionu zostały przerzucone na linię marszu, zdaje mi się VIII korpusu, ta bowiem nie była tak gruntownie zniszczona. Znaleźliśmy się w Jarosławiu; nie pamiętam już wśród jakich okoliczności przyłączyła się do nas 5/11 komp. (dca kpt Živković) i kompania, którą dowodził por. Stejskal, również z mego batalionu.

Austr. piechota zdołała przejść przez San w Jarosławiu po moście, którego już nie zdołali Moskale zburzyć. Moja komp. i komp.

kpta. Živkowića roztasowała się na rynku a my w magistracie. Właśnie szykowaliśmy się do obiadu po b. natężającym nocnym marszu, gdy nprz. art. zaczęła walić do nas granatami. Widocznie obserwator ros. dojrzał stojące na rynku nasze tabory i zaczął się nami"interesować".

Wykorzystaliśmy jakąś pauzę ogniową i wycofaliśmy się szczęśliwie, bo bez strat z miasta.

Tymczasem XI korpus przesunął się w okolicę Radymna.

Jako najstarszy z dców tych 3 komp. saperskich udałem się na odprawę do dtwa korpusu, chcąc otrzymać jakieś rozkazy, co kompanie saperskie mają ze sobą robić. Trafiam akuratnie na chwilę, w której szef sztabu korpusu pułk.Riemel dyktuje rozkazy operacyjne na dzień następny; słucham, i uszom nie wierzę! Mianowicie rozkaz korpusu nakazuje:"11 dyw z przydzieloną jej komp. sap. Stefskala forsować (!) San w rejonie Sosnica - Święte, 30 dyw. z moją komp. forsować tę rzekę gdzieś koło Walawy, a trzeciej dywizji (nie pamiętam już dziś numeru) z komp.5/11 (kpt.Zivković) gdzieś na północ od Walawy.

Włosy mi na głowie stanęły, bo znając doskonale bieg Sanu między Radymnem a Przemyślem, wiedziałem, że to jest zadanie chwilowo nie-wykonalne. Po pierwsze San, wskutek ciągłych deszczów miał b. wysoki stan wody i dużą chyżość prądu (około 1.50m), potem tuż nad brzegiem siedzieli Moskale i ostrzeliwali zupełnie odkryty lewy brzeg Sanu. Dalej nie było absolutnie żadnego materiału do budowy czy to mostu czy promu, bo Moskale cofając się przesunęli go na pr. brzeg rzeki. Było to więc zadanie w 100% niewykonalne!

Do czego może doprowadzić taki głupi, najzupełniej nieprzemyślany co do wykonalności rozkaz tych głupich „generalstäblerów" niech posłuży fakt, który się zdarzył w kilka dni potem na tym samym miejscu. Mianowicie, gdy XI korpus został na 2-gi brzeg Sanu przesunięty przechodząc przez mosty wewnątrz twierdzy i pomaszerował na Mierzyniec, zluzował go-zdaje mi się-pragski korpus. Jedna z jego dywizji

dostała rozkaz również przy pomocy jednej komp. saperów i przy zupełnym braku materiału forsować w tym miejscu (zdaje mi się pod Walawą) San. Mieli do swej dyspozycji tylko kilka pontonów.

Do tych pontonów wsadzono piechotę i odbito od brzegu. Moskale przypuścili ich na środek rzeki, a potem zaczęli z karabinów maszynowych prać. Podziurawione pontony zaczęły nabierać wody i iść na dno, masę ludzi się potopiło, no i w kilku minutach było "forsowanie" zlikwidowane! A przecież w taborach każdego korpusu wlokły się tabory z gotowym materiałem mostowym i kilka kompanii pionierów, których właśnie zadanie główne jest forsowanie mostów. Żadnemu z tych nieuków, generalstablerów na myśl nie przyszło podciągnąć je nad San, głównie dlatego, że cały szanowny sztab generalny nie znał organizacji wojsk technicznych i nie wiedział, jaka jest różnica między saperami i pionierami! a to był wielki skandal!

Ale wracam do odprawy XI korpusu i do rozkazu, kt. Riemel dyktował.

Słysząc ten idiotyczny rozkaz Rumla i wiedząc, czem to pachnie, postanowiłem zaryzykować, że popadnę w niełaskę jego i poprosiłem jednego of.gen. sztabu (kpt.Tinza), by mi wyrobił posłuchanie u dcy korpusu, gen. Ljubicica, bo mam coś bardzo ważnego w związku z zamierzonym forsowaniem zameldować.

Za chwilę stanąłem przed Ljubicicem i przedstawiłem mu niewykonalność tego rozkazu.

" Mein lieber Rieml! Das geht nicht! ohne Pontens und ohne Material kann man keine Forcierung riskieren!" powiedział Lubicić po wysłuchaniu mego meldunku.

Rozkaz został zawieszony aż do przyciągnięcia taborów z materiałem mostowym, pontonami itd. i dywizje, a z nimi i kompanie saperów uniknęły wykonania tego idiotycznego rozkazu, kt. gdyby przyszło do jego wykonania, byłby się nieudał a straty byłyby olbrzymie!

Dlatego tylko, że generalstablery były nieukami i niechciało im się przemyśleć rozkazu, który mieli z lekkomyślnością sztubaków, wydać. Za tyle seteki tysięcy zabitych i rannych nikt ich do odpowiedziałności nie pociągnął! Nie dziw więc, że przy takiej gospodarce materiałem ludzkim, zaczęło Austryjakom wkrótce brakować ludzi.

Rieml był naturalnie za kompromitację, na którą go naraziłem przez mój meldunek, na mnie wściekły! Wysłał mnie tedy zaraz na rekonesans w okolicę Walawy, bym "osobiście" stwierdził, czy na Sanie lub na jego brzegu nie ma istotnie jakiegoś materiału nadającego się do budowy tratew wzgl. mostu. Wyruszyłem na mojej wiernej "Hexe", sam jak palec, pełen nie dobrych przeczuć.Na zachód tuż przy szosie kolejowej stała austr. artyleria i ostrzeliwała słabo nieprz. brzeg.

Gdym wyjechał na wschód od szosy, znalazłem się na płaszczyźnie około 4 km. długiej i szerokiej, na której ani krzaczka, ani drzewka, ani żadnego zagłębienia nie było, tak, że nprz. obserwator musiał mnie absolutnie widzieć.

Przed sobą na półn.wschód widzę jakieś sady, ogrody i chałupy, które-jak mi się zdało-aż do rzeki się ciągnęły. Tam tedy zwróciłem się kłusując.

Wtem zajęczał mi wysoko nad głową szrapnel nprz i pękł nie daleko od linii kolejowej, w pierwszej chwili myślałem, że to pod adresem austr. artylerii, stojącej przy szosie kolejowej. Ba! Ale za chwilę nadleciał drugi pocisk już o wiele bliżej, a po nim w dość szybkim ~~tm~~ tempie dalsze strzały armatnie, coraz bliżej mnie. W tej chwili uprzytomniłem sobie, że to na mnie ~~pakuje~~ poluje nprz. artyleria. Po chwili nowa ~~seria~~ salwa, tym razem już i przede mną i ze mną, ostrzelali się więc doskonale!

Nie namyślając się już dłużej, ścisnąłem klacz ostrogami i ona, jakby przeczuwając, że z nami może być ~~źle~~ arcykrucho, pomknęła jak strzała! Jechałem umyślnie na wskos, by utrudnić nprzlowi dokładniej-

sze wstrzeliwanie się. Jadąc tak na złamanie karku i wziąwszy po drodze kilka dość szerokich rowów, dopadłem w końcu do tego przysiółka, zakryłem się za jakąś chałupę i zacząłem się na mapie orjętować.

Jak się ten przysiołek nazywał, już nie pamiętam.

Wtedy przyszła mi refleksja, co by się ze mną stało, gdybym np. został ranny? Przecież na tym pustkowiu nie było psa żywego, któryby mi mógł jakiejkolwiek pomocy udzielić. Poznałem wówczas, że oficer, jadący na tak niebezpieczny rekonesans nigdy nie powinien sam jechać, lecz mieć przy sobie jakiegoś porządnego konnego ordynansa.

Rozglądając się po przysiołku, zobaczyłem patrol strzelców austr pod dctwem jakiegoś kadeta, którzy ukryci za jakąś chałupą obserwowali pilnie teren w kierunku Sanu, podjechałem do patroli, powiedziałem dcy. jakie mam zadanie i zapytałem, jakby je wykonać. On mi zaraz powiedział, że o zbliżeniu się do brzegu rzeki mowy nie ma, bo nawet lewy brzeg Sanu jest obsadzony przez Moskali, którzy na Sanie zbudowali jeszcze przed kilku dniami kładkę na czółnach i obsadzili lewy brzeg przez kompanię piechoty. Również materiału do mostów nie ma ani trochę, bo nprz. każdą belkę i deskę przewiózł skrzętnie na prawy brzeg.

Teraz już wiedziałem, jak sprawa stoi i pojechałem z powrotem do Rimla.

Powrotna droga nie obyła się również bez przypadku, w obawie bowiem, że znowu gotowa mnie nprz. art. ostrzeliwać, jechałem nieco inną drogą i natrafiłem na dość szeroki rów odwadniający. Nie chcąc go objeżdżać, chciałem go przesadzić, ale moja biedna, b. zmęczona klacz wzięła go za krótko i wywaliła się razem ze mną do rowu.

Na szczęście zdołałem prawą nogę, na którą klacz się położyła wydobyć i uwolniwszy ją z mego ciężaru, pozwolić jej się podnieść i przeleźć na drugi brzeg rowu.

A co by się ze mną stało, gdybym był np. nogę złamał lub choćby

tylko nie mógł nogi z pod konia wyciągnąć? Przecież nie mogłem na żadną pomoc liczyć! Wówczas po raz drugi uprzytomniłem sobie, jak xx wielkim nonsensem są wszystkie rekonesanse w "singeltona".

W końcu dobiłem się do miejsca postoju XI korpusu.

Riml wysłuchawszy mego raportu, był wściekły, ale w końcu uznał niewykonalność planowanego rozkazu. Dał wyraz jednak swojej złości, nakazując mi w tej chwili i to bezzwłocznie wracać do mojej kompanii, mimo, że kpt.Tinz, mój b. dobry znajomy jeszcze z czasów wojsk. akademii chciał mnie u siebie przenocować.

Była gdzieś godzina 22^{h}, noc tak ciemna, że nie można było własnej pięści przed nosem zobaczyć, o jakiejś orientacji mowy nie było, latarki elektr. także nie miałem, tedy nie mogłem się na mapie orjętować. Wynająłem więc jakiegoś chłopa za 5 koron, który mnie z tej wsi wyprowadził i wskazał drożynę, którą już do kompanii się dobiłem.

Była gdzieś godz.2^{h}. Byłem śmiertelnie zmęczony, ale dumny ze sw swego dzieła. Ilu ludziom ocaliłem życie! Opowiedziałem moim oficerom, co ich czekało i od czego ich uratowałem i położyłem się spać.

(Jak późniejsze zdarzenia wykazały, Riml, gdy go pasja opuściła, umiał ocenić moje of/iarne poświęcenie się w interesie służby, bo w kilka miesięcy potem, zostałem na jego wniosek szefem inżynierii korpusu, ale o tym potem.)

Przemyśl został tedy odbity i cały l. brzeg Sanu z Jarosławiem jako ofenzywnym przyczółkiem mostowym dostał się w ręce Austryjaków

Walki pod Miżyńcem, Stroniowice. Wybuch cholery w armii austryjackiej.

Wobec tego, że forsowanie Sanu pod Radymnem a także i dalsza ofenzywa na pr. brzegu Sanu z Jarosławia była z dużymi stratami połączona wzgl. natrafiała na duży opór Moskali, więc Austryjacy zdecydowali się przesunąć XI korpus na mostach przemyskich na pr. brzeg rzeki i prowadzić ofenzywę z twierdzy Przemyśl w kierunku południo-

wo wschodnim na Miżyniec. Myśl ta była o tyle trafna, że przez tę operację, o ileby się udała, ułatwione byłoby ogromnie zadanie 2 armii austr.(dca. gen. Böhm-Ermolli), która tkwiła w Karpatach i przy silnym oporze ros. miała trudności z debuszowaniem.

Moskale jednak zorjętowali się, że debuszowanie z Karpat 2 armii austr. może zagrozić ich połączeniu ze Lwowem, bronili się więc zajadle.

Na tym miejscu nasuwają mi się znowu refleksje na temat zupełnej nieumiejętności austr. generalnego sztabu, który mając do swojej dyspozycji najlepsze wojska techniczne, nigdy ich właśnie dzięki swemu technicznemu nieuctwu, nie potrafił należycie użyć. A potrafili to zawsze Niemcy! Wszak, gdy Mackensen forsował Dunaj, uderzając na Serbię, oparł się głównie na austr. pionierach.!

Austr. sztab gen. nie umiał po prostu np. zadysponować porządne forsowanie jakiejś rzeki. Nigdy nie było nic należycie przygotowane (materiał pontonowy i mostowy) ,nigdy żaden rekonesans planowo przez of. pionierów wzgl.saperów, a przede wszystkim przez generalstäblerów i ofic. artylerii przeprowadzony. Nie było nigdy planowego przygotowania artyleryjskiego, wszystko zdane na dców. batalionów, pułków itp. Gdy generalstäblery siedziały w kwaterach wydawszy"rozkazy", oficer i żołnierz krwawił się w bezplanowej walce.

Tego sztubactwa nigdy nie było, gdy komenda spoczywała w rękach niemieckiego sztabu: tam stanowisko każdej baterii, każde miejsce skąd miały odbić pontony i inne szczegóły zrekognoskowane były zwykle przez samego generała, który forsowaniem dowodził i nie dziw, że ono się z reguły im udawało, szczególnie, gdy mieli do dyspozycji austr pionierów wzgl. saperów, bo niemieccy pionierzy, choć b. mężni, stali jednak daleko niżej, niż techn. wojska austryjackie.

Bliższych szczegółów ugrupowania XI korpusu już nie pamiętam, wiem tylko tyle, że 2/11 (tj. moja) i 5/11 komp. (Żywkovića) dostała

rozkaz przejścia przez San wewnątrz twierdzy i potem dołączyć się do 30 dyw. piech.(Kaiser), która gdzieś niedaleko Miżyńca stała już w boju z Moskalami.

Złączyliśmy się z nią gdzieś na zachód od Miżyńca, który był obsadzony przez Moskali (zamek ks. Marii Lubomirskiej). Rozpoczął się bój o Miżyniec; 5/11 komp. saperów zaczęła zaraz po zdobyciu go przez Austryjaków umacniać go i zamieniać w punkt oporu, podczas gdy moja kompania została podporządkowana 60 bryg. piechoty (gen. Divić).

Sama pozycja tej brygady była w lesie Δ 303 na półn. od wsi Stromiowice. Między naszą linią a ros. była odległość około 200 - 300 m. Ros. linia była również w lesie a między obu pozycjami był wąwóz zarośnięty.

Naszą pierwszą czynnością była budowa schronu dla dtwa brygady. Wykopaliśmy jamę 4x4m głęboką na 1.80m, nakryliśmy to belkami, na to chrust i trochę ziemi i Diviś był kontent. Naturalnie, gdyby tam wyrżnął granat, to nicby to Divisowi nie pomogło, ale przeciw kulom szrapnelowym wystarczało to.

Δ = „cota"

O tę Δ 303("Kapellenhöhe 303") trwał bój już dłuższy czas; zdobyli w końcu tyrolscy strzelcy (nie wiem już dziś, skąd się tam wzięli) ale silnie się skrwawili. Liczne trupy znajdowało się w lesie.

Ponieważ nprz. obserwator art. miał dość dobry wgląd w tę pozycję koło Δ 303, więc ciągle prał do nas szrapnelami. Wysypaliśmy więc rowy strzeleckie z trawersami dla załogi, a dla nas oficerów także coś w rodzaju schronu. Ten był jednak tak ciasny, że włącznie z obserwatorem naszych haubic ledwie mogliśmy się pomieścić, rozszerzyć zaś schronu nie można było, bo trafialiśmy co chwila na zwłoki tamże przed kilku dniami pochowanych poległych.

Było to jrdnak drobnostką wobec tego, co wkrótce nastąpić miało Mianowicie z zeznań jeńców dowiedzieliśmy się, że u Moskali wybuch-

ła silna cholera! A w tym czasie jeszcze nie istniała szczepionka przeciw cholerze, dopiero w kilka tygodni potem zaczęto jej używać.

Chodziło chwilowo o to, by tego choróbska nie zawlec w nasze szeregi. A tu jak na złość prowadził od pozycji rosyjskiej prosto do naszej pozycji potoczek, który nam istotnie cholerę przyniósł, bo żołnierze z 80 pp. należący do 60 brygady (przeważnie ruscy chłopi ze Złoczowa) mimo ostrzeżeń ze strony oficerów pili tę wodę(!) choć mieli w kuchniach polowych dosyć przegotowanej wody i dosyć wina. Przypominam sobie, że celem zdobycia pozycji ros. vis a vis położonej zrobił wypad 30 bat. strzelców. Dodano mu kilkunastu saperów, by ewentualnie zdobytą pozycję szybko okopać. Wypad nie udał się na ogół, ale saperzy przynieśli na noszach jakiegoś rannego Moskala, chorego na cholerę.

Rezultatem tego było, że i u nas cholera zaczęła grasować. Naturalnie nie oszczędziła ona i mojej kompanii, pierwszy zmarł na nią gefreiter Szebański, b. dzielny saper, a po nim szli inni.

Nasza sytuacja była okropna, bo o jakichś latrynach jeszcze wówczas u nas mowy nie było i pod każdym drzewem, pod każdym krzakiem były kupki kału. Nie można było kroku zrobić, by nie być narażonym na zawalanie się nim.

W końcu zrobiono coś w rodzaju szpitała dla choleryków w jakiejś samotnie stojącej stodole koło wsi Stroniowice, gdzie chorych na cholerę znoszono i gdzie oni zwykle marli. Chowano ich tuż obok.

Niezwykle przykrem było to, że baliśmy się myć; postaraliśmy się więc o różne wody kolońskie itp. preparaty spirytusowe i tym przemywali twarz i ręce. Również zażywaliśmy kwas solny w przegotowanej wodzie i dzięki temu jakoś nikt z oficerów nie zapadł na cholerę, a także i między żołnierzami coraz mniej było chorych.

Duch żołnierzy był w tym czasie zupełnie złamany; o tym by jakiś wypad zrobić i odebrać Moskalom wzgórze naprzeciw △ 303 nie było

mowy.

Tak pamiętam, że jakiś pułk z ciemno-czerw. wyłogami (zdaje mi się 9o-ty, dca ppłk Strańsky) uszykował się do takiego wypadu w ten sposób, że żołnierze złączyli się w jeden łańcuch, trzymając się wzajemnie za ręce i w tej formacji, urągającej wszelkim zasadom taktyki, mieli szturmować!

Rezultat tego idiotycznego pomysłu były olbrzymie straty, bo tak zbita gęsto gromada ludzi stanowiła znakomity cel dla Moskali i zupełne fiasko całego szturmu.

W końcu któryś głupi generalstäbler wpadł na pomysł, żeby probować tz. "Sappenangriff" tj. rodzaj aproszy, przy której to metodzie jest saper zupełnie przeciw kulom nprz. zakryty, ale posuwanie się naprzód idzie w ślimaczym tempie. Generalstäblery słyszały że gdzieś dzwonią, ale nie wiedziały gdzie! Jest to bowiem metoda używana w wojnie fortecznej (np. przy walkach o Sebastopol 1854) w terenie zupełnie odkrytym i równym, a nie w lesie.

Nakazano jednak saperom probować tej metody a poparł ją w komendzie XI korpusu, Holauschka, który przecież powinien był wiedzieć, gdzie ją można zastosować. Był on jednak zanadto "frontschau" i bał się cholery, jak diabeł święconej wody. Zamiast więc zrekognoskować odcinek i na tej podstawie wydać opinię, czy można zastosować ten tz. "Sappenangriff", przysłał nam kilka chłopskich łopatek do pogartywania kartofli i.... wypełnił swą rolę jako dca baonu saperów w korpusie.

Odesłaliśmy mu z powrotem te "sapki" i zaczęli inną metodą dobierać się Moskalom do skóry, mianowicie pojedyńczy saperzy w nocy wysuwali się na kikadziesiąt kroków w teren i tam okopywali się wycofując się z brzaskiem dnia. Następnej nocy, rozszerzano ten okop i po 3 - 4 dniach już tam mogło kilku żołnierzy, piechoty usadowić się i utrzymać nawet przez dzień.

W ten sposób utworzyliśmy rodzaj zwartych okopów i ~~w tem sposób~~ stworzyliśmy rodzaj "wysuniętej pozycji", zabierając teren Moskalom i zbliżając się ustawicznie coraz bliżej ich pozycji. Była to metoda b. praktyczna, bo saperzy mimo, że pierwsi szli, nie ponieśli wtedy żadnych strat a piechota, sadowiąca się w tych nowych okopach, tylko minimalne.

W tym czasie nadeszły uzupełnienia, pułki 60 brygady wypełniły swoje luki, okopy były już dosyć rozbudowane i właściwie rola saperów ukończona.

A tymczasem zaczął się październik, dalsze próby zyskania na terenie nie b. dopisywały, bo Mosk. w obawie o swoją dowozową linię Lw.-Przemyśl (kolej i gościniec) bronili jej bardzo mężnie.

W tym czasie gdzieś wypadły walki o Magierę. Magiera jest to dosyć duża góra, dominująca nad tą magistralą. Austryjacy postanowili ją zdobyć. Był to właśnie czas, w którym w piechocie dał się odczuć ogromny brak także zawodowych oficerów, Dtwo. armii skierowało tedy apel także do oficeró w innych broni, głównie kawalerii, by się dobrowolnie zgłaszali do piechoty. Między dość nielicznymi wyjątkami, którzy tego apelu usłuchali, znalazł się rotm. Władek Jagielski z ułanów landwerskich, jeden z najzdolniejszych oficerów i najbardziej wykształconych, z jakich w austr. kawalerii znałem.

Sławny był na kilka lat przed wybuchem wojny, spór literacki jaki na łamach "Kavalleristische Monatshefte" rozwinął się między kpt.gen.sztabu Hugonem von Kerchnare, wielkich Kapacytetem od historii wojennej, a rotm. Jagielskim.

Mianowicie Kerchnare wystąpił z szeregiem artykułów, w których usiłował wykazać, że zwycięstwo Turków pod Wiedniem w r.1683 było jedynie zasługą Staremberga i innych austr. dców, a rola Sobieskiego ograniczała się do roli widza. Było to nikczemne schlebianie "austryjackości"!

Władek Jagielski, kt- ukończył szkołę wojenną i był b. w historii wojen oczytanym, wyrżnął mu na to w tym samym czasopiśmie, czy też "Streiftezze" (również wojsk. czasopismo, doskonale redagowane) odpowiedź, w której zbija wszystkie zarzuty przeciw Sobieskiemu podniesione. Rezultatem tego braku lojalności wobec sztabu generalnego i "austryjackości" Kerchnarego było, że Władka Jagielskiego nie wzięto do korpusu ofic. gen. sztabu, lecz odsunięto do służby liniowej. Przy szturmie na Magierę padł biedaczysko, prowadząc swoich piechurów do ataku. Cześć jego pamięci!

Dopiero w r. 1918 - 1920 odczuliśmy w zmartwychwstałej Ojczyźnie brak takich jednostek, jak ten bohater, tak zmarnowany.

W tym czasie zarządzono skoncentrowanie 3 kompanii saperskich w folwarczku Drozdowice między Miżyńcem a Jaksmanicami i tam przez kilka dni odpoczywaliśmy, czekając na uzupełnienie. Tę idyllę w Drozdowicach zakończyła ros. artyleria, bo zaczęła z haubic ostrzeliwać folwarczek, który istptnie spłonął.

W tym czasie wezwał mnie do siebie dca 30 dyw. piech. eks Kaizer, do której były te 3 kompanie saperów przydzielone, i informując mnie o strategicznym położeniu, wyraził zapatrywanie, że dywizja na obecnych pozycjach będzie zdaje się zimować i nakazał rekwirować materiał na budowę baraków itp.

Zaczęliśmy pilnie zbierać materiał, ale nie trwało to zbyt długo, bo z powodu niekorzystnej sytuacji, jaka zaistniała na froncie niem. od ujścia Sanu do Wisły aż do Warszawy-zdecydował się tak Hindenburg, jak i Conrad na odwrót, i to aż w rejon Bochnia - Nowy Sącz.

Odwrót z pod Przemyśla.

Rozpoczął się znów odwrót, nie wiem który, w którym, jak zwykle saperzy szli jako ostatni w tylnej straży i burzyli mosty.

Pościg jednak na linii odwrotu mojej kompanii prowadzili tym razem Czerkiesi, bardziej energiczni i bitni, niż różne inne formacje ros. kawalerii.

I tak pod Grybowem trzeba było wysadzić most kolejowy, który jakiś cymbał - saper, nie mający pojęcia o zakładaniu sznurów zapałowych, podminował, zaś zapalenia min i zburzenia mostu miała dokonać moja kompania (pr. Kordzik ze swoim plutonem). Gdy nadeszła chwila wysadzenia, zawiodły źle założone sznury i tylko jedna czy dwie miny eksplodowały; inne miny zostały odrzucone ciśnieniem gazów i most się nie zawalił.

Kordzik musiał więc po raz drugi miny zakładać i przewody zapałowe tak uregulować, że most istotnie runął.

Tymczasem nadjechali Czerkiesi, zsiedli z koni i zaczęli ogniem karabinowym przeszkadzać tym pracom minerskim.

Kordzik znalazł się ze swoim plutonem w b. przykrej sytuacji, bo minować most przy akompaniamencie ognia, to rzecz trudna. Wywiązał się jednak ze swego zadania b.dzielnie, bo rozwinął część plutonu w tyraljery i powstrzymywał ogniem natarcie Czerkiesów, a z kilku podoficerami dokończył zakładania min i wysadził most w powietrze.

Czerkiesi natrafiwszy na opór saperów, zaprzestali po zburzeniu mostu dalszego pościgu. Kordzik wrócił bez strat do kompanii.

W czasie tego odwrotu zdarzył mi się ciekawy ~~wypadek~~ i charakterystyczny wypądek. Mianowicie przyszliśmy na noc do jakiejś karczmy; właściciel tej karczmy, jakiś żyd miał bardzo ładne dwie córki w wieku 17-19 lat. Ponieważ wiedziałem, że za nami idzie, ścigając nas ros. Kawaleria i biada byłaby tym dwom dziewczętom, gdyby się w ręce kozaków dostały, więc ostrzegłem żyda - gospodarza, że Moskale najdalej jutro w południe przyjdą, i że byłoby b. dobrze, gdyby swoje dziewczęta gdzieś ukrył lub wysłał, by je przed grożącym im niebezpieczeństwem uchronić. Żyd popatrzył na mnie, zdziwiony zdaje się życzliwością, jaką mu okazałem, ubrał na czoło 10 przykazań i zbliżywszy się do mnie, odmówił w hebrajskim

języku, coś w rodzaju modlitwy, czy błogosławieństwa. Nie przywiązywałem jednak do tego żadnej wagi, zajęty sprawami kompanii i odwrotu. Był jednak przy tej scenie mój kapral Hülsenrat, żyd, b. porządny człowiek i dzielny podoficer; przystąpił do mnie i powiedział mi, że żyd jest jakimś rabinem i że on udzielił mi błogosławieństwa, abym żywy i cały z wojny wrócił. W końcu z pełną wiarę w modlitwę rabina dodał:"Pan kapitan na pewno z wojny cało wyjdzie!" Utkwiło mi to głęboko w pamięci, bo człowiek każdy staje się na wojnie zabobonny, choć jak mówię, nie bardzo wiele wiary do tego przywiązywałem.

Przyszłość jednak miała wykazać, że Hülsenrat miał rację; byłem bowiem w dalszym ciągu wojny w różnych b. przykrych sytuacjach a jednak wyszedłem z nich cało.

Dalszy ciąg odwrotu w rejon Bochni aż do Myślenic.

Dalszy odwrót, to ciągłe gonienie saperów do sypania różnych stanowisk obronnych, które nigdy nie miały być na serio bronione. Nakazywały je sztaby, " ut aliquid fecisse videatur", ale pożytku nie było z tych okopów żadnego.

Tu zdarzył się taki epizod: dostaliśmy rozkaz po osiągnięciu gościńca Bochnia-Leszczyna znowu przy tej komunikacji wysypać jakieś okopy, aby zatrzymać ewentualny nacisk nprzla.od wschodu. Zaczęliśmy właśnie kopać, gdy ku wieczorowi podsunął się jakiś oddział wywiadowczy rosyjski i uderzył na moją kompanię. Ale moi ludzie, nosząc sztućce na plecach nie od parady, nie stracili głowy, lecz przyjęli Moskali gęstym ogniem. Moskale umknęli.

W dalszym odwrocie, srodze zmęczeni, dobiliśmy się gdzieś w okolicę Myślenic, gdzie już kilka dni odpoczywaliśmy w jakiejś wsi pełnej małych pięknych wil dla letników.

Dalszy odwrót został zastanowiony, bo tak Austryjacy, jak i Niemcy dostali jakieś poważne posiłki i miała się rozpocząć znowu ofenzywa.

Tymczasem moja kompania minąwszy Myślenice, zakwaterowała się w wyż. wymienionej wiosce, zdaje mi się była to wieś Pcim i tam odpoczywaliśmy i retablowaliśmy się, gdy nadeszła wiadomość, że maszeruje niemiecka 48 rezerwowa dywizja gwardii, którą wyładowawszy się w Myślenicach posuwała się na wschód do miejsca, skąd miała rozpocząć uderzenie. Przyjechali oni wprost z pod Verdun, gdzie 3 dni temu jeszcze brali w walce udział.

I tu zdarzył się charakterystyczny epizod, mianowicie wyszliśmy na gościniec, by się przypatrzeć tym posiłkom, zaś mój rach. podoficer Dąbrowski spytał się jadącego dumnie ogniomistrza artyl. skąd oni przybywają.

Arogancki Prusak odpowiedział w impertynenckim tonie: "Vom Verdun, wo wir keine Hilfe "gebraucht hatten!"

Przyszłość miała nauczyć dumnych Prusaków już w kilka dni potem, że to na wojnie różnie bywa, albowiem dyw. gwardii zakwaterowała się dość blisko Moskali, lekceważąc ich i nie ubezpieczając się należycie. Tymczasem Moskale, wbrew dotychczasowej praktyce, zrobili nocny atak i zadali gwardzistom dość poważną porażkę.

W dalszym ciągu tych operacji mieli Niemcy sposobność przekonać się, że to lekceważenie Austryjaków było całkiem nie na miejscu.

Bój pod Leszczyną. (12.XII.1914)

W ofenzywie, która się rozpoczęła, natknęli się Niemcy na poważnie umocnioną pozycję ros. pod Leszczyną. Tu spotkała ich nowa porażka, bo Mosk. właściwą pozycję umocnili byli nie w samej Leszczynie, lecz tuż obok, a pozorującymi umocnieniami Scheinbauten w samej Leszczynie zmylili Niemców, którzy główny atak skierowali na Leszczynę. Rezultatem tego było, że nieudałe to natarcie zostało z b. dużymi stratami odparte. Moskale trzymali się bardzo dzielnie, a ogień art. niem. był b. mało skuteczny. Walki 1-go dnia nie przyniosły żadnego rezultatu. Drugiego dnia nie było lepiej; na

pomoc ruszyła 30 austr. dyw. piech., poparta dywizjonem 15 cm haubic Skody (znakomite działo)!.

Ponieważ grunt na wybranym stanowisku był wilgotny i zachodziła obawa, że haubice po każdym strzale będą się zapadać, więc moja kompania wysypała rodzaj stanowisk pod działa i wyłożyła je deskami, belkami itd. po czem baterie zajechały i rozpoczęły swój morderczy b. celny ogień.

Tego ognia nie wytrzymali Moskale. Równocześnie ruszyła z flanki do ataku 30 dywizja piech. austr. W dość krótkim czasie została Leszczyna wzięta. Wiedziony ciekawością poszedłem oglądnąć palącą się Leszczynę.

Dużo krwawych pobojowisk widziałem dotąd, ale tak strasznego widoku, jak ten, jaki przedstawiała wówczas ta wioszczyna, nie widziałem dotąd.

Moc trupów ros. niem. i austr. do połowy popalonych; widocznie już w palącej się wiosce toczono bój wręcz.

W końcu Moskale wycofali się definitywnie, a Niem. i Austr. rozpoczęli pościg.

Mojej kompanii i komp. kpta. Živkovica przypadła rola osłony artylerii. Artyleria skommasowana pod dctem. pułk.bryg. Romera Jana złożona była z pułków lwowskich, z 3 baterii ciężkich 15cm. dział Skody, a także z bat. 10 cm. górskich haubic najnowszego modelu (działo o dużym portée i silnym działaniu). Dowodził nią kpt. Tadzio Łodziński, mój kolega z akad. wojskowej, doskonały artylerzysta.

Tej baterii, schodzącej z gór pod Wiśniową, udało się zaskoczyć Moskali, którzy właśnie okopywali się w Wiśniowej. W chwili, gdy ros. brygadier wydawał dyspozycję do okopywania się i cały sztab bryg. był zgromadzony na jednym miejscu, padł pierwszy szrapnel z górskich haubic i to tak szczęśliwie, że nakrył cały

sztab bryg. Padł brygadier, kilku oficerów i żołnierzy, w sumie 30 ludzi. Następne strzały były również skuteczne. Brygada ros. musiała się wycofać i pomaszerowała na Leszczynę, gdzie ją spotkał dalszy pogrom.

W ciągu dalszego odwrotu Moskali, ścigając ich, dobiliśmy się do Dunajca, przeszli przezeń koło Zakliczyna na pontonowym moście i wrócili się przez Siemiechów na Gromnik.

Był to akurat dzień wigilii (24/XII.1914). Zapadł wieczór i moi oficerowie gotowali się do wigilii, nawet jakieś maleńkie drzewko z kilku świecami znalazło się.

Mnie jednak trapiły jakieś niewesołe przeczucia. Mimowoli przyszła mi na myśl rodzina w Krakowie i stół wigilijny, przy którym mnie nie było. Również niepokoiło mnie to, że Moskale zaprzestali już bezładnego cofania się i zaczęli stawiać coraz silniejszy opór. Powiedziałem więc moim oficerom, by się zanadto nie roztasowywali, bo na wojnie nigdy nie wiedzieć, co najbliższa chwila przyniesie.

Właśnie chcieliśmy zasiąść do stołu, w jakiejś chłopskiej chałupinie przygotowanym, gdy wpada ordynans od pułk.Romera z rozkazem natychmiastowego odwrotu, bo Moskale zaatakowali Gromnik z powodzeniem i prą energicznie naprzód. Odwrót w kierunku na Smiechów.

Do Siemiechowa dobiliśmy się gdzieś nad ranem.

1915 r.

Pobyt w Siemiechowie od 24/XII.14 - 15/III. 15.

Zakwaterowaliśmy się na wsch. krańcu wsi w chłopskich chałupach i stodołach, aura była nienajgorsza, więc na ogół było nam tam nie najgorzej.

Mnie dtwo 30 dyw., które kwaterowało w środku wsi na plebanii, zaangażowało niby w roli doradcy technicznego, bo co dnia musiałem chodzić do dywizji na odprawę, co było mi o tyle na rękę, że będąc z szefem sztabu dyw. mjrem.Pitreichem (kolega ze szkoły wojennej)

na b. dobrej stopie, a także i z innymi oficerami sztabu, byłem zawsze dobrze poinformowany o tem, co się na froncie armii i wogóle na świecie dzieje.

Regulowałem rekwizycję drzewa i materiału budowlanego, wystawiając kwity rekwizycyjne i w ten sposób chłopi dochodzili swoich pieniędzy.

Oczywiście pracowała kompania nad umocnieniem pozycji, rozbudowując przeszkody i budując schrony, w których załoga nawet przy większych mrozach mogłaby zimować.

Na ogół pobyt w Siemiechowie, spokojny i bez żadnych ważniejszych ewenementów, pozwolił na gruntowne zretablowanie kompanii.

Jednak nie obeszło się bez ciekawych, zanotowania godnych epizodów.

Odwiedziny sztabu 30 dyw. przez arcyks. Józefa Ferdynanda.

W tym czasie został mianowany dcą. armii arcyks. Józef Ferdynand i spodziewaliśmy się, że zwiedzi odcinek dywizji. Istotnie pewnego popołudnia dowiedzieliśmy się, że tego dnia do Siemiechowa przyjedzie.

Naturalnie dostałem rozkaz, (zupełnie w tak krótkim czasie niewykonalny), by drogę przez Siemiechów w mig naprawić, by auto dcy armii mogło bez trudu do nas zajechać.

Sztab dywizji, do którego i mnie zaliczono, oczekiwał dcę armii na plebanii. W izbie, w której sztab dywizji miał mu być przedstawiony, wisiał b. piękny obraz Matki Boskiej.

Drzwi się otwierają i wchodzi szybkim krokiem jakieś małe indywiduum z długą brodą, dużymi niespokojnymo oczyma, ciągle uśmiechnięty, a z nim jego szef sztabu.

Po przedstawieniu mu sztabu, rozglądnął się po plebanii, zrobił jakąś mało sensu mającą uwagę, a widząc obraz Matki Boskiej powiedział na ten temat b. nieprzyzwoitą uwagę, chcąc być "dowcipnym" ("Der Erzherzog ist immer burschikos!" mawiano o nim).

Przypuszczał, że jego niechlujny dowcip na temat Matki Bos-

kiej spotka się z wiernopoddańczą salwą śmiechu, Pomylił się jednak grubo, bo wszyscy zachowali poważne twarze, nie reagując na jego "Burschikosität"

To go widocznie speszyło, bo zrobiwszy kilka stereotypowych uwag pojechał. Odetchnęliśmy. Odnieśliśmy najgorsze wrażenie! Tak dca. armii nie powinien wyglądać.

Co to za bestia była, przekonaliśmy się w kilka dni później: Mianowicie na lewym skrzydle jego armii sąsiadowała jakaś niemiecka armia, która jakimś śmiałym lokalnym wypadem, zadała porażkę Moskalom. Był to jednak epizod bez znaczenia.

Arcyks. gdy się o tym dowiedział, orzekł, że "wir dürfen auch nicht untätig bleiben" i zadecydował zdobycie wzgórza "Wał" na północ od Zakliczyna, obsadzonego przez Moskali i doskonale ufortyfikowanego. Właśnie wtedy pułk tyrolskich strzelców, kt. stał naprzeciw "Wał" otrzymał był uzupełnienie i liczył około 3000 bagnetów Ten pułk (b. dzielny!) otrzymał rozkaz zdobycia wzgórza.

Napróżno przedstawiano w sztabie armii arcyksięciu, że jest to rzecz b. trudna i przyniesie b. duże straty i doradzano, by zaczekać z wykonaniem aż do chwili, gdy most pontonowy pod Zakliczynem będzie zastąpiony przez silniejszą konstrukcję, po której będą mogły przejść 30.5 cm moździerze.

Wymiana mostu miała być w ciągu 3 dni ukończona i chodziło tylko o to, by na tych kilka dni odłożyć szturm na "Wał".

Arcyks. uparł się jednak i nakazano natarcie bez pomocy 30.5cm moździerzy. Dzielni Tyrolczycy ruszyli do ataku, zdobyli "Wał" lecz skrwawili się tak, że z 3000 ludzi zostało tylko....1000!

"Wał" był wszystkiego 24 godz. w rękach Austryjaków, Moskale bowiem zebrawszy się w kupę, odbili kontratakiem utraconą pozycję. Nie dziwmy się, że Austryjakom przy tego rodzaju lekkomyślnym i zbrodniczym wprost szafowaniem ludzkim materiałem, wyszły wnet siły

Nawet w sztabie armii panowało na arcyks. ogólne oburzenie. W tym czasie Moskale na naszym odcinku podsunęli się w nocy dzięki brakowi czujności austr. piechoty i okopali na kilkadziesiąt kroków od naszej linii bojowej, skąd b. skutecznie razili naszą załogę; wzmacniali zaś i rozszerzali swoje nowe okopy każdą noc. Sytuacja była przykra, bo byli już za blisko, by można było ogniem art. ich wypłoszyć, a wypad kosztowałby nas za wiele strat. Nie wątpiliśmy bowiem, że Mosk. będą zajadle bronić tak łatwo zdobytego kawałka terenu

Pierwszy występ "minenwerferów"

W tej niemiłej dla nas sytuacji przyszły nam na pomoc pierwsze "minenwerfery" przysłane przez ministerstwo. Były one b. prymitywnie skonstruowane i wyrzucały na odległość maksymalną około 200 bomby, nabite 1 kg. ekrazytu i ułamkami ołowiu. Działanie ich było więc b. skuteczne.

Dctwo dyw. nie wiedząc kogo by w ten nowy instrument bojowy ubrać, przekazało te 2 minenwerfery saperom. A wtedy akurat trzeba ich nam było na naszym odcinku. Postawiliśmy je naprzeciw miejsca gdzie Moskale się wryli i zaczęli czoło świeżej ros. pozycji okładać bombami. Skutek był nadzwyczajny, bo ros. załoga wycofała się b. prędko. W nocy prażyliśmy dalej, poczem nad ranem mały wypad! Saperzy zasypali rowy ros., a Moskale w przyszłości nie probowali już wkopywać się tak blisko.

Taki był 1 występ "minenwerferów".

Różne ciekawe zdarzenia podczas pobytu w Siemiechowie.

Pamiętam raz wyszedłem właśnie z dctwa dywizji z zamiarem skontrolowania kuchni polowej mojej kompanii, która stała w dolinie poniżej chatki, gdzie kwaterowałem. Widziałem doskonale żołnierzy moich pobierających obiad.

Wtem zaszła mi drogę jakaś żydówka, prosząc bym jej wystawił

kwit na zabrany jej materiał budowlany. Już chciałem ją odprawić z poleceniem, by następnego dnia się zgłosiła, ale coś mnie tknęło i postanowiłem jej wystawić zaraz kwit. Wypisałem go i żydówka zadowolona poszła. Trwało to opóźnienie może 5 minut tj. tak długo, jak długo trzeba było zajść do kuchni polowej. Ruszyłem znowu w jej ~~stronę~~ kierunku, gdy nagle padło kilka ros. szrapneli tuż nad nią. ujrzałem, jak kilku saperów padło na miejscu, inni ranni uciekali, co sił w nogach. Pospieszyłem tam zaraz, by się przekonać co się stało i zająć się rannymi. Smutny widok przedstawił się moim oczom: kilku ludzi było zabitych, kilku ciężej rannych, lekko ranni byli już zaopatrzeni przez patrol sanitarną kaprala Wojdyły.

Przy bliższej obserwacji zauważyliśmy, że nieprz. obserwator art. ma z góry Lichwin, położonej od Siemiechowa na około 10 km doskonały wgląd w dolinę Siemiechowa i stamtąd tak skutecznie ogniem kieruje.

Gdyby mnie ta żydówka swoją prośbą nie zatrzymała, byłbym doszedł do kuchni polowej, akurat w chwili, gdy nieprz. otworzył na nią ogień, i może byłbym między rannymi lub zabitymi.

Gdybym był bardziej zabobonnym, to bym upatrywał pewien związek między błogosławieństwem owego żyda w karczmie, a uniknięciem niebezpieczeństwa, które mi groziło.

W kilka dni później znowu nieprz. artyleria dała nam przykrą, na szczęście bezkrwawą lekcję. Właśnie siedziałem w mojej kwaterze, załatwiając bieżące sprawy kompanijne, gdy wysoko w powietrzu pękł nieprz, szrapnel. Nie zwracałem na to zbytniej uwagi, zapomniawszy, że art. posługuje się często tz."strzałem kierunkowym" (Richtschup). Właśnie był to taki "strzał kierunkowy" a wszystkie baterie nieprz. nakierowały swoje działa na jego chmurkę szrapnelową.

Po chwili zachychotał granat z 12cm. haubicy i pękł na kilka-

dziesiąt kroków przed chałupką, w której była moja kwatera. Jeszcze się nie zoriętowałem, pod czyim adresem był on wysłany, gdy zachychotało kilkanaście granatów i zaczęło się wkoło chałupiny naszej istne piekło! Lada chwila mógł granat haubicowy wyrżnąć w chałupę, któraby się pod jego działaniem rozparła, jak domek z kart.

Trzeba było więc wyrywać jak najrychlej!

Na szczęście dotykał do zagrody, gdzieśmy kwaterowali, lasek. Do niego więc schroniliśmy się, bo tam nas nprz. obserwator nie mógł widzieć.

Gdy po pewnym czasie ogień ustał, poszliśmy oglądać naszą kwaterę. Istotnie cudem nic się chałupie nie stało, ale 12 lejów było dokoła chałupy, nie ulega więc wątpliwości, że ogień nieprz. skierowany był pod adresem naszej chałupy, gdzie przypuszczano, że stoi tam sztab jakiś.

Jeden granat w chałupę, a byłoby po nas!

Mimowoli przyszedł mi znowu na myśl żyd w karczmie i jego błogosławieństwo.

Zorjętowawszy się, że te wszystkie niemiłe niespodzianki ze strony nprz. art. mamy do zawdzięczenia górze Lichwin i obserwującemu nas stamtąd obserwatorowi ros., prosiłem pułk. Romera, brygadiera artyl., by ogniem art. przepłoszył go, co się też stało i to z dobrym skutkiem, bo od tego czasu chałupa nasza miała spokój. Również dla ros. art. nastał czas, że zaczynało jej brakować amunicji i nie mogła ona zużywać jej na ostrzeliwanie pojedyńczych chałup.

Moja pierwsza dekoracja wojenna.

W tym czasie nastąpiło moje uroczyste dekorowanie w dtwie dywizji Krzyżem zasługi (Verdienstkreutz III klasse); byłem jeden z pierwszych dekorowanym tym,-jak na kapitana-wysokim orderem.

Ponieważ z Siemiechowa do Krakowa było b. blisko, ~~siedziało~~ siadało się bowiem na stacji Słotwina - Brzesko i za godzinę było w Krakowie, więc

prosiłem o 3 dni urlopu, aby rodzinę odwiedzić.

Z jednej strony ciągnęło mnie bardzo do niej, z drugiej zaś bałem się bardzo, że się do reszty "rozkuję". Myślami bowiem byłem co chwila przy mojej rodzinie i nieraz, gdym w samotności dumał nad moimi przyszłymi losami, łzy mi się do oczu cisnęły. Nie miałem zaś nikogo, przed kim mógłbym był odkryć, co się nieraz w mojej duszy dz działo. Bałem się najbardziej chwili pożegnania, bo człowiek nigdy nie wie, czy go jakaś zabłąkana kula lub szrapnel nie zgasi. Ile takich wypadków trafiało się?! Niemal co dzień!

Ale w końcu zdecydowałwm się prosić o 3 dniowy urlop, który mi dywizjoner nasz ekseelencja Kaiser chętnie udzielił, sytuacja bowiem na froncie nie wymagała mojej obecności: wszystko wlokło się sennym tempem nudnej wojny okopowej, do której ani Austr. ani Moskale nie mieli zbytniej ochoty.

Pojechałem tedy. Przybyłem na Grodzką 3 i z drżeniem wszedłem do mieszkania Sobolewskich. Właśnie dzieci Aba i Dzidek bawiły się pod opieką służącej, a Ireny nie było.

Na widok dzieci,—Aba miała już 6 roczek, a Dzidek 2-gi,—już chodził, a ja rozstałem się z nim był we Lwowie, gdy był w poduszeczce. Aba była jakaś zdziwiona mną, a Dzidek wyciągnął rączęta, wołając "ucio, ucio", każdego bowiem wojskowego oficera nazywał wujciem, mając ciągle w pamięci wujka Mieczka i Tadka, a także Felka w uniformach. Moja osoba wyleciała dziecinie z pamięci, co nie dziwne, bo niemal rok cały dziecko mnie nie widziało. Rozpłakałem się serdecznie, tuląc oboje do piersi.

Wtem weszła Irena. Przywitanie można sobie wyobrazić!
Te 3 dni upłynęły mi b. szybko. Pamiętam jednego wieczora położyłem głowę Irence na kolanach i usnąłem, będąc pewny, że mnie żaden alarm nie obudzi, to był prawdziwie pokrzepiający sen, jakiego, od wielu miesięcy nie zaznałem.

W końcu przyszedł ten 3-ci dzień urlopu i nastąpiła chwila rozstania; było to dla mnie coś tak przykrego, że ani silę się, ani chcę tę scenę opisywać.

Wróciłem do kompanii, gdzie wszystko w porządku i bez zmian zastałem. W Siemiechowie płynęło życie spokojnie, lecz pełne nudy. Wieczorami zabawialiśmy się grą w szachy.

Przeniesienie XI korpusu na Bukowinę.

Gdzieś z początkiem marca 1915 został XI korpus przeniesiony na front Bukowiński. Naturalnie dtwo. 30.dyw., zapomniało o swojej kompanii saperów i dopiero musiałem osobiście interweniować, by nas ze sobą zabrano.

Już nie pamiętam kto nas zluzował, dość, że zawagonowawszy się na stacji Słotwina - Brzesko, dojechaliśmy do Krakowa, gdzie jednak nasz transport miał odejść dopiero za 2 dni.

Wobec tego poszedłem na Grodzką do rodziny. Znowu wielka radość, ale po 2 dniach trzeba się było rozstać. Smutne to było.

Na Bukowinę jechaliśmy przez Marmaros - Sziget. Podróż trwała bez mała 2 tygodnie. Węgry przedstawiały obraz głębokiego spokoju i przedwojennego dobrobytu.

W Marmaros - Sziget odwiedziłem Felka Sobolewskiego, który jako legionista był tam w legionowej szkole oficerskiej.

Stamtąd pojechaliśmy dalej i w końcu wywagonowano nas w Nadwórnej Pomaszerowaliśmy przez Mołotków do dyw. księcia Schönburga 6 dp, gdzie przez 2 tygodnie reperowaliśmy drogi, a potem przeniesiono nas z powrotem do XI korpusu na Bukowinę i poddano równocześnie pod komendę gen. Marschala, niem. generała, który dowodził całym frontem wschodnim, idącym wówczas od granicy rumuńskiej wzdłuż dawnej granicy austryjackiej.

Dostała kompania jako zadanie zbudowanie mostu przez Prut koło Mamajowiec (Mamajestie), kilka km. na zachód od Czerniowiec.

Budowa ta trwała coś około 14 dni i zaliczam ten czas, spędzony pod niemiecką komendą za jeden z najmilszych okresów z całej wojny. Przede wszystkim przy pomocy władz etapowych był tam już nagromadzony materiał do budowy mostów. Rozkazy były przemyślane dokładnie w szczegółach i nie było ciągłych zmian rozkazów, charakteryzujących tak ujemnie wszystkie zarządzenia techniczne austryjackich generalstablerów.

W Mamajowcach spędziliśmy także okres świąt wielkanocnych obrządku gr. kat. Ludność poznosiła nam różne strucle, mięsiwa, placki itp mieli więc saperzy sposobność najeść się do syta.

Nas oficerów zaprosił na święcone tamtejszy gr. kat (a może prawosławny?) proboszcz. W ogóle przychylny nastrój do nas charakteryzował tamtejszą ludność. Gdy się ludzie dowiedzieli, żeśmy Polacy, byli jeszcze bardziej gościnni, bo Moskale srodze dali się jej odczuć, rabując, co tylko można było wziąć. Szczególnie zajadli byli Mosk. na dziewczęta i kobiety, które w tamtych okolicach odznaczają się urodą.

Jedna dziewczyna opowiadała mi, że musiała 2 tygodnie siedzieć ukryta w chlewku, tak zajadle na jej wdzięki polowano.

Legioniści polscy byli ~~wogóle~~ szczególnie tak przez ludność ruską, jak i rumuńską. życzliwie przyjmowani, bo pamiętała ona pierwszą ofenzywę II brygady legionów w r. 1914 i uważała Polaków jako zbawców przed Moskalami.

W końcu most był gotów, przyjechali niem. oficerowie, wyrazili nam swoje uznanie, i zadyrygowali nas na front do Dobronowiec.

Dobronowce.

Pobyt nasz w Dobronowcach zaliczam również do przyjemniejszych chwil w tej wojnie, bo tam miałem wreszcie sposobność zetknąć się z legionistami.

Linia bojowa austryjacka prowadziła wówczas prawie dokładnie

wzdłuż granicy austryjacko-rosyjskiej z wyjątkiem Zaleszczyk, będących w rękach Moskali. Między Prutem i Dniestrem (odcinek przydzielony XI korpusowi) było prawe skrzydło austr. Od Prutu tj. od granicy rumuńskiej przez Mahalę aż do Rażańczy wyłącznie obsadzone przez tz."Grupę ppłk. Pappa," zbieraniną różnych formacji z Bukowiny (wówczas jeszcze b. marny żołnierz).

Srodkową część odcinka począwszy od Rażańczy, przez Toporowce, i Czerniawkę zajmowała kombinowana grupa pułk. Köcka, złożona z brygady polowych strzelców (doskonały żołnierz) i II brygada legionów (2pułk leg.dca podpułk. Januszajtis)i 3.pułk, (dca. pułk. Zieliński Zygmunt)

Dcą III bryg. był Józef Haller, wówczas na urlopie; nie spotkałem się z nim na Bukowinie w ogóle nigdy.

Zadanie mojej kompanii sap. podsunięto nas na środkową część odcinka, by go umocnić, bo ani strzelcy austr. ani legioniści nie mieli wiele wyobrażenia o fortyfikacjach polowych. Pomoc fachowa była tam szczególnie potrzebna, bo linia obronna biegła niemal ciągle lasem, w terenie poprzerywanym licznymi wąwozami, a więc trudnym do obrony. Można sobie wyobrazić, jak miło było mnie i moim oficerom (dwaj polacy:por. Kordzik i pp.Pokorny, i dwaj Czesi ppr. Knezek i Panic) spotkać się w końcu z polskim wojskiem, o którym tyle lat marzyliśmy.

Również wszyscy podoficerowie Polacy i żołnierze podzielali te uczucia.

Pierwszy wieczór po przybyciu spędziliśmy razem z kilku oficerami legionowymi, prosząc ich do naszej kwatery na kolację.

Następnego dnia wyruszyłem, po zameldowaniu się u dcy odcinka, brygadiera Köcka, na obejście odcinka. Co się umocnień tyczy, to jak było do przewidzenia, były one b. marne: u strzelców trochę lepsze u legionistów gorsze.

Austr. dtwo.XI korpusu, a głównie dtwo armii (na czele stał osła-

wiony gen. Pflanzer - Baltin, specjalny wróg Polaków w ogóle, a legionistów w szczególności) nie bardzo ufało II brygadzie leg. i nakazało, by na tym odcinku były bataliony poprzeplatane tj. jeden baon strzelców i jeden baon legionistów. Był to - jak się później okazało, - zupełnie nieuzasadniony brak zaufania, a komplikował całe rozkazodawstwo (U legionistów służbowy język polski, którego ani brygadier Köck ani jego szef sztabu, antypatyczny porucznik o b. marnym charakterze, ani żaden z dców. baonów strzelców nie znali) a także godził w miłość własną legionistów, którzy mieli już za sobą boje w Karpatach, gdzie się okryli sławą.

Najpierw spotkałem się z "dziadkiem" Zielińskim, dcą.3.p. leg. inaczej bowiem nie nazywano ppłka Zielińskiego.

Jego"kwatera", to był jakiś szałas z gałęzi, o skromniejszą było trudno chyba, bo każdy deszcz przeciekał przez dach. Ale "dziadek" Zieliński był dla siebie niezwykle twardy, chcąc świecić swoim "chłopcom" dobrym przykładem, unikał celowo wszelkich wygód dla własnej osoby. Już tu muszę zaznaczyć, że dziadek Zieliński, to może najbardziej świetlana i szlachetna postać z całej braci legionowej, biorącej wówczas udział w I wojnie światowej.

Przyjął mnie bardzo serdecznie, gdym się u niego, - oczywiście po polsku - zameldował i darzył odtąd swoją życzliwością.

W dalszym ciągu obchodu odcinka legionów, doszedłem do ziemianki, gdzie rezydował dca 2.pułku leg. podpułk. Januszajtis.

Moim oczom ukazał się młody człowiek, robiący wrażenie 28 lat, mała okrągła głowa o b. sympatycznym wyrazie twarzy, pod nosem ledwie mały wąsik. Ubrany był w skórzaną kurtkę, uzbrojony w nieodłączny repetierowy pistolet Mauzer.

Nabrałem do niego od razu dużej sympatii, nie przeczuwając, że nas jeszcze losy w r. 1920 razem złączą i będziemy na Ukrainie wojować,

Obeszliśmy odcinek, udzieliłem poszczególnym dcom kompanii (wówczas zwanych w legionach "kompanijnymi") co jak i gdzie umacniać należy, jak przeszkody zakładać należy itp.

Jednak brać legionowa, co się tyczy robót ziemnych, zdaje się nie doceniała ich ważności i b. niechętnie brała się do łopaty, w końcu widząc potem, że tempo umocnień b. wolno idzie, odkomenderowałem ppka. Pokornego z jednym plutonem saperów i roboty fortyfikacyjne zaraz z miejsca ruszyły.

Co się wojskowego wyszkolenia tyczy, to legiony, jak każda ochotnicza formacja, która nie przeszła normalnego wykształcenia, nie miała o tych zasadniczych podstawach taktyki i służby polowej albo żadnego albo b. mętne pojęcie. Jeszcze tam, gdzie był dcą.plutonu lub kompanii jakiś oficer, który wojsk. służbę w armii austr. lub ros. przechodził lub był rezerwowym oficerem tj. miał ukończoną szkołę oficerską dla jednorocznych ochotników, tam było nieco lepiej. Lecz takich było b. mało.

Skutkiem tego służba polowa, taktyczne zachowanie się w boju, łączność, obowiązek meldowania itp., kulały bardzo, a braki te musiały być często drogo krwią okupione.

Klasycznym przykładem tego jest utrata baterii legionowej pod Bałamutówką w kwietniu 1915, co później dokładnie opisuję.

Utrata baterii legionowej pod Bałamutówką w kwietniu 1915 r.

Artyleria II bryg. legionowej przy przejściu przez Karpaty, składała się z 4 dział górskich wzór 1875 (najstarszy i na ogół b. nieudały model). Nośność jego wynosiła ledwie 3 km. kaliber 7cm., a miało tę kapitalną wadę, że gdy działo było nastawione na większą elewację, to kanonierzy musieli postronkami trzymać, by po strzale nie wywróciło koziołka. Z tym działem walczyli legioniści pod Mołotkowem w jesieni 1914 r., ale potem pozbyli się go, zamieniając na 37m/m "ekwadorski" (małe działka szybko palne, mające portée coś około 2 km i stosunkowo mały kaliber).Można było nim rozbijać stanowiska npr. karabinów maszynowych, ale nie można było nawet porów-

nywać je z 7.5 cm. szybko palnemi działami austr. w.05 lub rosyjskimi "trzycalówkami",które biły na 8 km. i miały przyrządy celownicze i optyczne, dozwalające na strzelanie z zakrytej pozycji.

Gdy legioniści przyszli na odcinek XI korpusu, zarządziło dtwo. korpusu bezzwłoczne przezbrojenie artylerii legionistów w te najnowsze działa. Zabrano więc "ekwadorki" a dano kompletne 4 działa wz. 05, z jaszczami zaprzęgami, amunicją, 16 krotną lunetą z peryskowem dla obserwowania z zakrytej pozycji, a obsługę dział ćwiczono gdzieś na tyłach, że by się umieli legionowi artylerzyści z tym cennym narzędziem walki obchodzić. (Osobiście miałem wrażenie, że to wyszkolenie w użyciu tych dział i instrumentów optycznych trwało za krótko.)

Dcą. baterii legionowej był kpt. Wojnar (z zawodu księgarz z Krakowa), człowiek mający wówczas około 45 lat, kt. służył w austr. art. przed 25 laty i już szereg lat nie miał nic wspólnego z zawodem artylerzysty. A tymczasem technika strzelania z armat poszła milowymi krokami naprzód: gdy dawniej strzelano "wprost" (tj. bateria musiała widzieć cel, do którego miała strzelać), to obecnie nikt nigdy już nie strzelał inaczej, jak zupełnie zakryty. Bateria stała zwykle w jakimś dole, a tylko obserwator bateryjny obserwował przez 16krotne szkła działanie strzałów i nadawał korektury. Ustawiało się baterię podług mapy.

Czy te wszystkie "Kunsztyki" artylerii nowoczesnej opanowali legioniści kanonierzy z Wojnarem na czele po 4 dniach szkolenia, wątpię bardzo.

Bateria wyruszyła na front w czasie, gdy dtwo. korpusu nie miało jeszcze wielkiego zaufania do legionistów i rozsiało pojedyncze bataliony między bataliony austr.strzelców koło "Kordon posten Sawokrynicznyj" i "Krasnopiesocznyj" itd., a baterię postawiono pod Bałamutówką, gdzie stali już domobrańcy 42 dywizji Kroackiej landwery, w której wówczas służyło wielu Serbów z Bośni i Hercegowiny.

a Ci wrogo do Austrii nastawieni, sprzyjali raczej Moskalom, dezerterowali, a w razie natarcia rosyjskiego, nie stawiali najmniejszego oporu, poddając się masowo.

Czy o tych moskalofilskich nastrojach w 42 dywizji wiedział Wojnar, nie wiem. W każdym razie urządził się prawdziwie po legionowemu, bo gdy baterie ustawił na pozycji, odesłał zaprzęgi na kilka km. na tyły do jakiegoś folwarczku, a także nie zabezpieczył sobie tz. "osłony artylerii" (Geschützbedeckung), ściągając choćby 1 kompanię legionową w pobliżu baterii. Zdał się zupełnie na "domobrańców", którzy obsadzili okopy przed baterią.

Moskale wywąchali jednak przez szpiegów, dezerterów, czy też przez własną obserwację sytuację baterii i postanowili ją zdobyć: przypuścili atak, wzięli szturmem okopy, nie bardzo bronione i zaczęli się dobierać do baterii. Zanim Wojnar ściągnął zaprzęgi, by wycofać baterię, Moskale już ją opanowali, mimo bohaterskiej obrony ze strony obsługi, a mając już na ten cel przygotowane zaprzęgi, uwieźli ją w mig na swoje tyły: bateria była stracona.

Pułkownik Januszajtis dowiedziawszy się o tej katastrofie, ruszył na pomoc bezzwłocznie robiąc wypad i chcąc odbić te armaty, ale to się już nie udało.

W II bryg. zapanowało wskutek tej blamaży głębokie przygnębienie brano tę stratę zanadto tragicznie. Dtwo korpusu jednak nie przejmowało się tym zbytnio. W armii austr., a także i innych utrata dział nie należała do rzadkości, trafiała się dość często. Nakazano dochodzenie, które wykazało, że główną winę ponoszą "domobrańcy" z 42 dyw bo nie stawili Moskalom należytego oporu i nie wyznaczyli osobnego oddziału jako "osłoną artylerii", a co było wykroczeniem przeciw postanowieniem regulaminu, Wojnar dostał "nosa", że za daleko trzymał zaprzęgi i nie ściągnął je na czas, i na tym skończyła się ta afera. W armii austr. nie brano utraty jednej baterii poważnie, prze

cież tyle ich potracono w licznych odwrotach!

Do 8 dni " wyfasowała" bateria Wojnara nowe 4 armaty i było po wszystkim! Czy Wojnar został nadal dowódcą baterii, czy wycofał się do kadry, tego już nie pamiętam.

Widzimy jednak na tym przykładzie najlepiej, jak się mści stawianie na stanowisku ważnym człowieka zupełnie się do tego nie nadającego (Wojnar), jak się mści to typowe legionowe lekceważenie regulaminowych postanowień (osłona artylerii), a w końcu brak doświadczenia wojennego.

Odwrót XI korpusu za Prut 13.V.1915

Sytuacja na północ od Dniestru i posuwanie się Moskali w kierunku na Niżniów, czemu nie mógł zapobiec korpus Marschala, uczyniła trzymanie pozycji na granicy ros- austr. przez XI korpus rzeczą zanadto ryzykowną. Trzeba się bowiem było z tym liczyć, że Moskale przejdą przez Dniestr i zajdą tyły XI korpusowi.

Dtwo. armii nakazało tedy odwrót XI korpusu za Prut, opierając znowu prawe skrzydło jego o granicę rumuńską. W dalszym ciągu szedł front nowy XI korpusu przez Czerniowce, Mamajesztie, Hlinitza, Dubontz itd, ciągle oparty o południowy brzeg Prutu.

Grupa ppłka Pappa, stanowiąca skrajne pr. skrzydło stała w Czernowcach, II.bryg. leg. w Mamajestie, a w dalszym ciągu 42 dyw. "domobrańców" i 10 bryg. kawalerii.

Jak dalej szedł front austr. tego już nie pamiętam. O ile dobrze pamiętam stanął sztab XI korpusu w Starszyńcu.

Odwrót ten, który w rezultacie odbył się bez większych strat, obfitował w pewne epizody, które zasługują, by je zanotować.

I tak grupa II bryg. wydzieliła tylną straż, którą dowodził sam Januszajtis. Jedną z ostatnich kompanii była kompania z 3pp. leg. dowodzona przez kapitana Załęskiego. Ze strony ros. prowadził pościg jakiś pułk dragonów. Specjalnie jeden dywizjon tych dragonów uwziął

się na tę kompanię, chcąc ją szarżą rozbić.

Niebezpieczeństwo było duże, bo zawsze 3 szwadrony dragonów to około 420 koni! Przemoc duża na jedną kompanię legionistów, liczącą ledwie 100 karabinów.

Wówczas kapitan Zaleski (stary, doświadczony oficer austr. lendwery, będący już na emeryturze,) nie widząc dla swoich ludzi innego ratunku, kazał im się rozwinąć w jedną linię tyralierów jednak tak, by żołnierz od żołnierza leżał nie bliżej niż 5 kroków. Nakazał nasadzić bagnety, spokojnie strzelać, żadną miarą nie podnosić się z ziemi i gdy nadjadą dragoni blisko, na kilkanaście kroków kiwać bagnetami; liczył on na to, że konie, które boją się wszystkiego co na ziemi leży i rusza się, będą przedzierały się interwałem między pojedyńczymi strzelcami, a do leżących nie zbliżą się.

Jego kalkulacja, oparta na znajomości natury końskiej, nie zawiodła; legioniści bowiem, zbrojni w "greki" (6m/m mauzer grecki wyrobu fabr. Stayer), prażyli spokojnie do szarżujących dragonów, a gdy ci blisko nadjechali, kiwaniem bagnetów płoszyli konie, które środkiem interwałów przegalopowały. Żaden dragon ani lancą, ani szaszką nie był w stanie dostać leżącego na ziemi piechura.

Wszystkie 3 szwadrony przegalopowały przez tyralierę legionistów, nawróciły i znowu od tyłu zaszarżowali ich. Ale legioniści nie w ciemię bici obrócili się do tego czasu i zaczęli znowu swoim celnym ogniem prażyć b. skutecznie dragonów, przekonawszy się, że metoda b. rzadkiej tyraliery zabezpiecza ich najlepiej przed wrażą szaszką lub lancą.

Dragoni znów przegalopowali przez tyralierę jeszcze z większymi stratami, niż przy pierwszej szarży, gdy się zaś zebrali, by ruszyć do trzeciej szarży, nie było już komu ją prowadzić, bo ani jeden oficer nie był żywy wzgl. bez ranny.

Potwierdzenie tego epizodu znalazłem w r. 1920, gdy byłem szefem sztabu 12.dp. na Ukrainie. Szefem sanitarnym dywizji był major Samuelowicz, ~~podchorąży~~ pochodzący z ros. armii, który jako felczer czy podlekarz był właśnie w tym dywizjonie i po tej szarży opatrywał rannych.

Swoją drugą klęskę ros. dragonów przypisać należy w dużej mierze marnemu dowodzeniu ich, bo przecież jeden szwadron, wyznaczony do uderzenia z flanki (!) na tyralierę legionistów mógł był łatwo zlikwidować ją. Podziwiać trzeba zimną krew legionistów Zaleskiego którzy ufni w znakomitą broń, jaką były "greki", b. celnie strzelali, a długi grecki bagnet dawał możność ukłucia jeźdźca wzgl. konia, podczas gdy ten ostatni swoją bronią nie był w stanie nic zrobić.

Tę szarżę obserwowałem z połudn. brzegu Prutu na jakie 2000[x] dokąd mnie Korda posłał, bym mu meldował, jak się odbywa odwrót II bryg. leg.

Legioniści, mając do dyspozycji tylko drewniany most w Mamajowcach, (zbudowany przez moich saperów przed kilku tygodniami) znaleźli się w trochę przykrej sytuacji, bo ktoś nakazał przedwczesne jego zburzenie, zanim wszyscy przezeń przeszli.

Wielu więc przebyło Prut wpław, pewne oddziały wróciły do Czerniowiec i przeszli przez most w Żuczce, niektórzy legioniści pochowali się u chłopów w Mamajowcach, którzy b. chętnie ich ukryli i z nastaniem nocy łódkami przeprawili na połudn. brzeg. Trzeba przyznać, że chłopi tamtejsi, przeważnie Rusini, b. się życzliwie do legionistów odnosili.

Ofenzywa z nad Prutu ku bessarabskiej granicy.

W dalszym ciągu całego odwrotu za Prut, ustabilizował się front tak po austr. stronie (połudn. brzeg), jak i po ros. stronie (półn. brzeg) i wzajemna akcja ograniczała się do przeprawiania się na nprz. brzeg pojedyńczych patroli celem zasięgnięcia języka.

Zabawna historia wydarzyła się na pododcinku grupy ppłka Pappa sięgającym, - jak to już zaznaczyłem, - od granicy rumuńskiej do Czerniowiec włącznie. Mianowicie na północnym brzegu Prutu prowadziła jeszcze w czasach głębokiego spokoju linia kolejowa do Nowosielicy, a stamtąd dalej przez Lipkany w głąb Rosji.

Tę kolej ~~zbudowano oczywiście~~ zburzono oczywiście, ale zapomniano poprzerywać druty telegragiczne. Wywąchał to oficer służby łączności Pappa i wysłał w nocy patrol, który bardzo cienkim drutem telef. połączyła druty telegraficzne ze stacją podsłuchową, którą chytry Papp umieścił pod masłem w Żuczce. Fortel udał się, bo patrol podsłuchowa słyszała i notowała wszystkie rozkazy rosyjskiego dtwa. (Gen.Graf Keller w Nowosielicy). Moskale byli ~~pewnie~~ bowiem za leniwi, by świeżą linię budować i posługiwali się drutami telegraficznymi starej kolei.

Ta sielanka nad Prutem trwała do 6.VI.1915. W tym bowiem okresie ponieśli Moskale ciężką klęskę pod Gorlicami (2.V.) i rozpoczął się ich odwrót na wschód.

Szczegóły odbicia Lwowa.

Ofenzywa z nad Prutu ku bessarabskiej granicy.

Wypad poza granicę bessarabską do Nowosielicy, Rokitny ku Chocimowi. 7.VI. - 15.VI. 1915.

W międzyczasie doszła nas wiadomość, że ofenzywa Austryjaków i Niemców posuwa się, że Przemyśl, który w marcu musiał się poddać z głodu, został z powrotem zdobyty.

Jakie to dziwne zrządzenie losu, że pierwsza dywizja Austryjacka, która do zewn. pierścienia fortów wtargnęła, była 10 dywizja przemyska! Padł zdobyty przez nią fort Prałkowce, a odznaczył się przy tym porucznik saperów Zachaczewski (albo Czernecki).

Fort Dunkowiczki padł pod ogniem 30.5 cm moździerzy austryjac-

kich. Jeden granat z tego działa, niewypał utkwił w sklepieniu betonowym kazamaty, i tkwił tam do r. 1918!

Po Przemyślu przyszła kolej na Lwów.

Odznaczył się tu gen.Rozwadowski, który na czele 43 dyw. piech. uderzył przez Rzęsnę Polską w kierunku na Łysą Górę, a wyczuwszy swoim nadzwyczajnym taktycznym zmysłem, że Moskale niezawodnie z dworca Podzamcze uskuteczniają ewakuację Lwowa, zaimprowizował był już naprzód i trzymał w pogotowiu kolumnę samochodów pancernych i ciężarowych pod dtwem. swego szefa sztabu kpt. Włodz.hr. Tyszkiewicza. Skoro tylko fort Rzęsna Polska padł i oddziały 43 dywizji do wnętrza wtargnęły, ruszyła kolumna samochodów od Brzuchowic, gościńcem zamarstynowskim na przedmieście Żółkiewskie i osiągnęła dworzec Podzamcze.

Moskale na wiadomość, że kolumna samochodów odcina im odwrót, opuścili Lwów w bezładnej ucieczce. Masa naładowanych pociągów wpadła w ręce zwycięzców.

43 dyw. ruszyła bezzwłocznie w pościg przez Zboiska.

Tymczasem zapragnął sięgnąć po laur "zdobywców Lwowa" jakiś wiedeński batalion landszturmowy z jakimś grubym, zapytym kapitanem na czele. Mianowicie, gdy Moskale opuścili Lwów i żywego ogona rosyjskiego tamże nie było, batalion ten wmaszerował uroczyście od Kulparkowa, ulicą Grodecką do miasta, witany przez nie orjętujących się w sytuacji mieszkańców entuzjastycznie. Nawet ubrano kapitusia w jakiś wieniec i co krok traktowano winem, piwem i wódką. Można sobie wyobrazić, jak ten"bohater"wyglądał !

Tymczasem Gen. Rozwadowski dowiedział się, że ma "konkurenta", zwrócił się więc bezzwłocznie do dcy Armii (Gen.Böhm - Ermolli, b. zacny człowiek i b. zdolny generał) w tej sprawie i spowodował, że części 43 dyw. piech., które nie były zaangażowane bezpośrednie w

pościgu, odbyły uroczyste ~~wjazd~~ wejście do miasta i defiladę-zdaje mi się-na mariackim placu.

Umyślnie odbiegłem na chwilę od zdarzeń na froncie bukowińskim, by te szczegóły odnośnie do odbicia Przemyśla a głównie Lwowa(!) jeszcze raz potomności przypomnieć, albowiem zauważyłem, że chlubny ten wyczyn gen. Rozwadowskiego przy ogólnej nagonce, jaką po r. 1926 na tego tak zasłużonego człowieka zaaranżowała banda Piłsudczyków, jakoś dziwnie szybko z pamięci Lwowian wyleciał.

Wracam na bukowiński front!

Ofenzywa z nad Prutu.

Ofenzywa Austryjaków na północ od Dniestru posunęła się już tak daleko ku wschodowi, że i armia Pflanzera mogła się ruszyć z miejsca.

XI korpus, stanowiący jej skrzydło ruszył 7.VI najpierw w kierunku na Kocmań, a potem zwrócił się na wschód operując między Dniestrem i Prutem.

Moskale stawiali albo minimalny opór, albo cofali się bez oporu.

Były to dla ros. armii czasy, w których ona cierpiała na duży, a chroniczny brak amunicji. Wedle zeznań jeńców uzupełnienia przychodzące na front przychodziły nieuzbrojone wzgl. uzbrojone w siekiery (!), a powiedziano im, że "broń i amunicję mają brać od poległych lub rannych". Bardziej naiwnego rozwiązania problemu dozbrojenia uzupełnień, nie można sobie wyobrazić!

Bardzo trafnie scharakteryzował jeden jeniec ros. który powiedział:" u nas wsio tak primitiwno".

Czerwiec 1915.

Bitwa pod Zadabrówką (11.VII. 1915)

Jeden z najbardziej interesujących okresów bojowych, stanowiących b. piękną wiązkę wawrzynu w bohaterskich wyczynach II Brygady Legionów, stanowi kampania w czerwcu 1915 na Bukowinie. Chcę ją

jako naoczny ich świadek opisać szczegółowo, bo zwolennicy Piłsudskiego i "literaci" z pod sztandaru I brygady b. gruntownie przysypali je prochem zapomnienia, co jest wielką krzywdą dla tych istotnych bohaterów.

W żadnych "Bojach Legionów" itp. niem ma o nich nawet wzmianki! Jak już nadmieniłem 7.VI.15 ruszyła ofenzywa Austryjaków z nad Prutu XI korpus miał zadanie odrzuciwszy Moskali od lewego brzegu Prutu, zwrócić się na wschód, biorąc jako "pivot" (punkt obrotu) swoje prawe skrzydło, oparte o granicę rumuńską.

Była to grupa ppłka Pappa.

Środek stanowiła II bryg.lg. (dca.pułk. Johann Küttner, szef sztabu węgier Farkas, porucznik, nie znający nawet dobrze niemieckiego języka, a o polskim (urzędowym języku w polskiej armii) nie mające cy najlżejszego wyobrażenia.

Dalej na zachód aż do przyczółka mostowego Hlinitza włącznie zajmowała 42 kroacka dywizja obrony krajowej (tz."Domobrańcy") dca. gen. br. Salis. Na samym końcu lewego skrzydła była 10 brygada kawalerii (dca pułk. dragonów Bauer).

XI korpus austr. wykonał w harmonii z operującymi od Kołomyi Niemcami (zdaje mi się korpus Marschala) zwrot na wschód, osiągnął Koczmań i parł Moskali, nie stawiających prawie żadnego oporu na wschód.

Przejście przez Prut odbyło się bez wielkich trudności. Dopiero na linii Zadąbrówka, stanęli Moskale, aby stawiać opór; tam bowiem mieli już przygotowane pozycje (głębokie rowy i zasieki z drutu kolczastego).

Pamiętam było to 11.VII. około 7^{h}.

Panowała tak szalona mgła, że na 10 kroków nie można było nic widzieć. Ścisły sztab generała ~~Korety~~ Kozdy stanął na jakimś pagórku, z któ-

rego możnaby było widzieć doskonale przedpole... gdyby nie ta szalona mgła.

Sztab Kordy stał na ca.1 km. za dywizją Kroacką "domobrańców". Zadąbrówka leżała na połud. wschód od naszego stanowiska około 3-4 km.. Naprzeciw niej ugrupowała się II brygada Legionów.

Mimo mgły legioniści uderzyli energicznie na pozycję Zadąbrówki, a silny ogień karabinowy dochodzący z tego kierunku, kazał przypuszczać, że tam się już poważny bój toczy i że legioniści, mimo mgły dzielnie nacierają.

Gen. Korda chodził tam i nazad, b. zniecierpliwiony tym, że "domobrańcy" nie ruszają się z miejsca, jak było nakazane; w końcu posłał jednego z oficerów ordynansowych, by się dowiedział, dlaczego nie ruszają do natarcia i kiedy wreszcie ruszą. Oficer ordynansowy wrócił z meldunkiem, że "dywizja już się grupuje do natarcia" (Muszę na tym miejscu zaznaczyć, że dywizja "domobrańców" składała się w znacznej ilości z Serbów, poddanych austryjackich, którzy nie mieli zbytniej ochoty bić się za Austrię z Moskalami, którzy rzekomo w obronie Serbii wypowiedzieli byli Austrii wojnę).

Upłynęło jednak znowu około godziny a "domobrańcy" ciągle się jeszcze "grupowali". Wówczas Korda zwraca się do kap. gen. sztabu Strassera (który pochodził z kroackich ułanów) ze słowami: "Die Legionäre verbluten nur, und diese beschiessenen Domobranzen gehen nicht nach vorwärts! Galopieren Sie hin u. schauen Sie, dass diese Scheisskerle endlich vom Fleck kommen!!"

Strasser pojechał i za pół godziny wrócił z meldunkiem, że "42 dywizja kroacka zaraz ruszy". Korda mruknął coś, zdaje się b. nieprzyzwoitego (może zacytował Cambronne'a lub Götza z Berlichingen) i zaczął znowu chodzić znowu tam i nazad, plując od czasu do czasu, co było u niego objawem wściekłości.

Tymczasem słońce się podniosło i mgła opadła. Ujrzeliśmy pozycje moskiewskie, które legioniści mężnie atakowali zupełnie bez wsparcia artylerii. (art. nie mogła przy tej szalonej mgle wiele pomagać, bo nie można było nic widzieć. Sytuacja legionistów była także z tego względu trudna i cięka, że za pozycję rosyjską zajechała jakaś dzielna 2 działowa bateria kozacza (dca porucznik Wołodkowicz, niestety Polak!) i prała, co mogła w tyraliery legionistów.

Korda był wściekły, widząc ten bohaterski wysiłek i obawiając się słusznie, że młódź legionowa się skrwawi. Nagle ujrzał że za pagórkiem, na którym staliśmy, stoi bateria jarosławskiego dywizjonu konnej artylerii.

Zwraca się do mnie:" Galopieren Sie hin und sparen Sie nicht mit den Sporen! Sie soll sofort in Galopp auffahren und die Kozaken baterie zum Schwiegen bringen." (Galopuj Pan do baterii, a nie żałuj ostróg. Niech ona natychmiast galopem zajeżdża i zmusi kozaczą baterię do milczenia!).

Można sobie wyobrazić, jak wypuściłem moją klacz "Hexe"! Mknęła jak strzała! Przypadam do baterii i poznaję dowódcę. Był to oberleutnant Wolkersdorfer, mój bardzo dobry znajomy z przemyskich czasów. Przekazałem mu rozkaz Kordy, który on b. chętnie i skwapliwie wykonał.

"Rechts schwenken! Galopp marsch! i bateria ruszyła z miejsca jakby ją coś poderwało! Co to był za widok! Gdyby to widział był i na płótnie unieśmiertelnił Wojciech Kossak, byłoby to arcydzieło jedno z ~~większych~~ największych, na jakie zdobyłby się ten może największy batalista świata.

Galopowałem tuż za baterią i słyszałem każde słowo komendy! "Feurlinie links vorwärts! Granaten! 39 Haalt! Kehrt Euch!

Po chwili czterej działonowi, zameldowali:" Fertig"! № 4! Schuss! Błysnęło z lufy, bo jeszcze było przy ziemi nieco mgły i

i huknął strzał. Jęknął granat i po kilku sekundach parł o jakie 20-40 m za kozaczą baterią.

"38,50! № 3 Schussa! Znowu huknął strzał i granat wpadł akurat między 2 rosyjskie działa!

Na następną komendę rozpoczął jeden pluton konnej baterii okładać rosyjską baterię granatami, a drugi szrapnelami. Ponieważ bateria była doskonale w cel wstrzelona, więc rezultat nie dał na siebie długo czekać: Oba działa nieprzyjacielskie zamilkły, a obsługa w popłochu wycofała się z piekielnego ognia.

Korda oglądał się ciągle, czyby jeszcze jakąś artylerię zaangażować do poparcia samego ataku a pozycje rosyjskie i odkrył baterię starych 9 cm. Uchatiusa wzór 1875, które wprawdzie nie miały takiej "portee", jak modne szybkopalne działa konnej baterii, ale zawsze do 4500m biły nadzwyczajnie precyzyjnie. Posiadały ~~a miały~~ tę wyższość nad innymi działami, że miały nadzwyczajnie precyzyjne wykonaną w czasie głębokiego pokoju amunicję, badaną b. skrupulatnie przez różne komisje artyleryjskie , wskutek czego ogień tej baterii starych 9cio centymetrówek okazał się bardzo skuteczny: ogień karabinowy z okopów rosyj. słabł niewątpliwie.

Nagle stało się coś, czego z początku nie mogliśmy sobie wytłomaczyć: mianowicie tak w okopach rosyjskich, jak i u legionistów nastąpiło przerwanie ognia, niby nożem uciął.

Natomiast po chwili ujrzeliśmy w okopach rosyjskich jakieś machanie niby białym prześcieradłem.

Na rozkaz Kordy połączyłem się telefonicznie z dtwem II brygady i dowiedziałem się, że Moskale w okopach poddali się i te ostatnie zostały już zajęte przez legionistów.

Jak się potem pokazało główną zasługą przy zdobywaniu Zadąbrówki miał podoficer ciężkich karabinów maszynowych Siczek. Umiał on

kochając się w tej broni, używać je nader sprawnie i skutecznie. Otóż, gdy pod ogniem starych poczciwych 9-centymetrówek załoga ros. okopów nie wystawiała tak bardzo głów i ogień jej był bardzo mało skuteczny, Siczek (z zawodu ślusarz, morowy chłop przy tym!) z trzema legunami i jednym ciężkim karabinem maszynowym obszedł pozycje rosyjskie z flanki i usadziwszy się gdzieś tak, że mógł pozycje rosyjskie ogniem flankowym na wzdłuż ostrzeliwać, rozpoczął b. skuteczny ogień. Rezultatem tego było, że już żaden Moch głowy nie pokazywał, legioniści posunęli się pod druty kolczaste, usunęli je i wdarli się do ros. pozycji. Moskale zaraz się poddali.

Tymczasem jednak art. austr. prała dalej w te okopy, nie wierząc, że te są już zdobyte.

Wówczas legioniści zaczęli machać białymi kocami, prosząc równocześnie przez gońców, by art. zaprzestała ognia.

Tę pauzę ogniową wykorzystała ros. bateria kozacza, bo zaprzęgi rosyjskie podjechały galopem, zaprzodkowały te dwa działa i wyjechały z ognia konnej baterii austryjackiej, której zdaje się wyszła była amunicja.

W dalszym ciągu kampanii, odznaczył się Siczek bojowo wielokrotnie, i mimo braku studiów, awansował i w końcu gdzieś między 1923-24 widziałem go w Warszawie w stopniu podpułkownika.

Wówczas wypowiedział Korda słowa, które mi dotąd, mimo, że tyle lat upłynęło, brzmią w uszach, mianowicie zwracając się do szefa sztabu korpusu, pułkownika Fritza hr. Becka (b. zacnego i b. wykształconego człowieka) rzekł:

"Heute kommt in den Korpskommando befehl, dass die Polen, kommandiert von den Dichtern, Malern, Profesoren u. Studenten die Heeres u. die Landwehr truppen beschämt haben"! (Dzisiaj ma być w rozkazie dziennym Korpusu ogłoszone, że Polacy, dowodzeni przez poetów,

malarzy, profesorów i studentów, zawstydzili wojska liniowe i obrony krajowej!").

A do mnie, jako do jedynego Polaka w sztabie, rzekł:" Jawohl mein lieber Panie! Braw und tapfer sind die Polen!" ("Tak mój kochany Panie! Dzielni i mężni są Polacy!).

Taka pochwała z ust tak wysokiego generała austryjackiego, Niemca, była dotąd czemś wprost nie do pomyślenia!

I istotnie w rozkazie korpuśnym z 11.VII.1915 było dosłownie to, co Korda pułkownikowi Beckowi podyktował.

Jaka to była dla mnie chwila, może sobie każdy łatwo wyobrazić! Uczucie dumy rozsadzało mi pierś formalnie. Potem siedliśmy wszyscy na konie i pokłusowali w kierunku Zadąbrówki.

Po drodze spotkaliśmy jeńców, około 700 głów, wszystko chłopy sybirskie, rosłe, jak dęby w swoich wysokich "papachach", które prowadził z przodu, jakiś mały legionista z długim "grekiem" na ramieniu, a z tyłu również, jeden taki sam chłopczyna, miał może 16 lat i ta powaga, malująca się w twarzyczce smarkatej!

Jedni w sztabie zaczęli się uśmiechać i robić mniej lub więcej głupie "witze", inni a przede wszystkim sam Korda patrzyli poważnie i szacunkiem na tych malców, a byli i tacy którym łzy się zaświeciły (np. rotmistrz rezerwy, ordynansowy oficer, mający lat 60, w cywilu radca dworu baron Posanner) a także i inni, wzruszeni tym widokiem.

Mnie, który jako szef inżynierii, miał dział fortyfikacyjny w swym referacie, posłał Korda naprzód, bym zrekognoskował dalsze pozycje rosyjskie wzgl. sprawdził stan okopów austryjackich, które zbudowaliśmy jeszcze w kwietniu 1915 trzymając odcinek wzdłuż granicy ros.-austr.

Przyłączyłem się do patroli ułanów legionowych, które prowadził

kadet Roztworowski. W dwa dni później brał on udział w szarży ułanów Wąsowicza pod Rokitną (13.VII.1915), gdzie ciężko ranny w głowę dostał się do niewoli. (w r. 1939 dowodził był 22 pułkiem naszych ułanów w Brodach).

Szarża, pod Rokitną 13.VII.1915.

Pościg za cofającymi się Moskalami, którzy żadnego oporu nie stawiając, cofali się na wschód, trwał przez cały 12.VII.Dopiero 13.VII., gdyśmy się zbliżyli do Rokitny natrafiliśmy na okopy rosyjskie, silnie rozbudowane i gęsto obsadzone.

Bój się rozpoczął z rana. Sztab XI Korpusu stanął na jakimś lekkim wzniesieniu, koło jakiejś studni z żurawiem. Przed nami widać było Kalinkowce, wieś położoną w jakimś wąwozie, zaś na stoku widać było gęste sady wiśniowe.

Przed nami atakowali legioniści.
Było to gdzieś koło południa, gdy obserwując binoklami teren zobaczyliśmy jakiś oddział kawalerii, który się nam mignął koło Kalinkowiec i znikł w sadach wiśniowych. Odległość od nas wynosiła około 3 km.

"Was ist das für eine Kawallerie?" zapytał mnie Korda.
Odpowiedziałem, że sądząc po mundurach, jest to jakiś szwadron legionowych ułanów.

Obserwowaliśmy dalej, tymczasem natarcie na pozycje rosyjskie trwało dalej: legioniści dzielnie atakowali.

Za jaką godzinę ujrzeliśmy nagle około 12 ułanów legionowych jadących stępa ku nam z prawej strony. Ale w jakim okropnym stanie Wszyscy ranni, obandażowani! Na czele jechał stary Łuszczewski obywatel w cywilu, który wraz z dwoma synami poszedł do legionów i wszyscy trzej służyli w szwadronie rotm. Wąsowicza (2-gi szwadron) Z nimi jechał także wachm. Sokołowski, również ranny uczestnik tej szarży.

Korda , zdziwiony tym widokiem, posłał mnie zaraz, bym się dowiedział, co to się stało i co to za rozbitki. Dowiedziałem się; sprawa przedstawiała się tak: rotmistrz Wąsowicz dostał rozkaz od szefa sztabu II brygady pr. Farkesa, aby obszedłszy flankę pozycji rosyjskiej, natarł na nią. Przy tym użył ten głupi Farkas, nie umiejący dobrze po niemiecku zwrotu "attaquiren".

Wąsowicz objechał ze swoim szwadronem skrzydło pozycji rosyjskiej pod osłoną sadów wiśniowych i zabudowań, a ponieważ dawniej służył w austriackich ułanach, więc wiedział, że słowo "attaquiren" oznacza atak konno z szablą w dłoni, podczas gdy zsiąść z koni i prowadzić natarcie manierą piechoty przy pomocy ognia karabinowego określa się słowem "zum Feuergefecht absitzen" i "angreifen".

Czy Wąsowicz był zanadto ambitny i otrzymawszy rozkaz "attaquiren" uważał, że musi atakować konno szablami, by mu ktoś nie zarzucił, że nie wykonał dokładnie otrzymanego rozkazu, czy też poniosła go brawura kawaleryjska, by dokazać czegoś, co by polską kawalerię okryło sławą, trudno dziś rozstrzygnąć.

Faktem jest, że szwadron, jak burza ruszył do ataku, przesadził dwa rzędy okopów i dopiero przy trzecim okopie załamał się dostawszy się w ogień rosyjskiego karabinu maszynowego. Ten zniszczył tak szwadron, że ledwie 12 ułanów wyszło z tego pogromu żywymi.

Rotm. Wąsowicz, por. Włodek i por. Topór-Kisielnicki zginęli bohaterską śmiercią.

Gdym to wszystko generałowi Kordzie, który był zawodowym kawalerzystą i musiał cenić takie wyczyny kawaleryjskie, zameldował, wściekłość jego nie miała granic.

"Wer hat diesen dummen Befehl zu dieser Attaque gegeben?" wrzasnął. Pokazało się, że to ten cymbał Farkas. Korda kazał go bezzwłocznie usunąć ze stanowiska szefa sztabu brygady i wytoczyć dochodze-

nie sądowe. Co stary Küttner od Kordy usłyszał, nie wiem, ale niezawodnie coś bardzo szpetnego, bo Korda nie mógł przeżałować straty tych 3 dzielnych oficerów i około 50 ułanów.

Moskale jednak zaskoczeni tym śmiałym atakiem i parci przez legionistów z frontu, trzymali wprawdzie pozycję aż do wieczora, ale gdy noc zapadła zwiali w kierunku na Ryngacze.

Tak przedstawia się szarża ułanów Wąsowicza pod Rokitną 13.VII. 1915 r.

Nowy szef sztabu II bryg. leg. oberleutnant Towarek.

Farkas został, jak już nadmieniłem, z miejsca zdjęty. Jakiś czas było stanowisko szefa sztabu w II bryg. leg. nieobsadzone, aż zjawił się wyznaczony przez dowództwo VII armii oberleutnant Towarek, czech, mający ukończoną szkołę wojenną w Wiedniu, władający jako tako językiem polskim, bo służył był w 9 pułku piech. austr. w Przemyślu, kt. mi się w swojej roli od razu b. niepodobał. Mianowicie wydało mi się odrazu b. podejrzanem, że robił on na pozór ogromnie wielkiego przyjaciela Polaków, obdarował mnie zaraz, gdy się z nim zetknąłem, różnymi odznakami legionowymi, a nawet mi własnoręcznie jakąś do czapki przypiął; sam miał ich na czapce także kilka sztuk. Znając go jednak bliżej z Przemyśla, wiedziałem, że to była tylko komedia, był to sobie taki przeciętny oficerzyna-karjerowicz, "mehr kaiserlich, als der Kaiser selbst". Moja nieufność nie była nieusprawiedliwiona, bo później się pokazało, że on był gdzieś w AOK, czy w sztabie VII Armii w tz."Kundschafts bureau" (tj. wywiad, w tym wypadku defenzywny), a do II bryg. leg. dano go, chcąc mieć zaufanego szpicla nastrojów w legionach. Tam się jednak legioniści-spryciarze b. prędko na nim poznali i zachowywali odpowiednią "rezerwę" wobec niego.

Ogólna sytuacja operacyjna nie pozwalała na dalsze ściganie

cofających się Moskali po bessarabskich stepach; najrozumniej było wycofać się tych kilkanaście km. z powrotem na granicę Austro-rosyjską, gdzie jeszcze było dosyć wiele dawnych dobrze w terenie uplanowanych okopów i ich rekonstrukcja nie kosztowałaby tyle pracy, co wytyczanie i sypanie nowych umocnień na ziemi bessarabskiej.

Odwrót nastąpił bez żadnych trudności ze strony nieprzyjaciela kt. po dotychczasowych porażkach musiał się przeorganizować, uzupełnić, uporządkować swoje oddziały i wyczekiwać na posiłki.

Lecz nie długo trwała ta pauza bojowa; ledwie zdołaliśmy "wy - sypać" wzgl. odnowić okopy a głównie założyć sieci kolczaste, zaczęli Moskale dość energicznie atakować i to głównie odcinek legionów na wschód Rarańczy.

Boje pod Rarańczą (15 -17 1915)

Moskale, których siły dotąd stanowili głównie "opołczeńcy" tj. rodzaj rosyjskiego pospolitego ruszenia, zluzowali ich, a na ich miejsce przyszła dzielna kawaleria (dowódca: gen. Artur Teodorowicz Graf Keller),która odniosła zwycięstwo nad austr. dywizją kawalerii gen. Zaremby w sławnej bitwie kawaleryjskiej pod Jarosławicami w sierpniu 1914.

Ugrupowanie sił XI korpusu austr. na zajętej pozycji między Prutem a Dniestrem było następujące od Prutu (granica rumuńska) przez Mahalę - Lui Gerilla aż do przedpola wsi Rarańcza to ostatnie (wyłącznie) zajmowała "grupa pułk. Pappa"; W dalszym ciągu przedpole Rarańczy aż do Toporowiec (wyłącznie) zajmowała II bragada legionów, a dalej przez "Kordon Posten Rżawińce, Kordon - Posten Krasnopiesocznyj - Granesti - Rzawieńcy - Bałamutówka - Omst aż do Dniestru 42 dywizja "domobrańców" i 10 brygada jazdy pułk. Bauera (patrz mapa 1:5000). Z dtwa. 42 dywizji "domobrańców" zrzucono za blamaż w dniu 11.VII generała Salisa a miejsce jego objął wściekły i okrut-

ny Kroat generał, Feldmarschalleutnant Jovo Liposzczak.

Ponieważ dywizja domobrańców składała się w dużej ilości z Serbów, którzy przy każdej nadarzającej się okazji sposobności dezerterowali do Moskali, więc Feldmarschalleutnant Liposzczak, chcąc temu radykalnie zapobiec, zastosował iście b. okrutny i niesprawiedliwy, ale skuteczny sposób (turecki czy bośniacki) mianowicie każdy Serb miał drugiego odpowiedzialnego za niego quasi "anioła stróża", który miał czuwać, by ten nie zdezerterował. Gdy mimo to Serb zdezerterował kazał generał Liposzczak bez pardonu rozstrzelać "anioła stróża", choć ten de facto był zupełnie nie-winny. Był to więc rodzaj zakładnictwa, okrutny, ale skuteczny, bo rozstrzelano kilku "aniołów stróżów" i dezercja ustała prawie zupełnie, gdy się przekonano, że tu żartów nie ma.

Nie wiem, dlaczego Moskale-tj. gen. Keller,-akurat upatrzyli sobie pododcinek legionowy na wschód od Rarańczy, jako cel ataków. Już 15.VII. zaczęli go wściekle atakować, może dlatego, że chcieli wziąć rewanż za Zadąbrówkę, a może spodziewali się, że najłatwiej rozbić im przyjdzie wolentariuszów, za jakich uważali legionistów.

Ale tu zrobili "rachunek bez gospodarza"! Legioniści bowiem dali im wstrętu, co się zowie, przypuszczając ich blisko i prażąc b. celnym ogniem karabinowym.

W końcu, porwali się Moskale na iście brawurowy kawał, bo konna bateria kozacza por. Wołodkowicza zajechała w galopie na kilkaset kroków przed pozycję legionistów i zaczęła prażyć " àbout portant" okopy polskie i w ten sposób wspomagać natarcie swej spieszonej kawalerii.

Wyczyn Wołodkowicza nie udał się jednak, bo zanim bateria mogła odprzodkować i oddać pierwszy strzał, dostała taki celny i skuteczny ogień, że ani z obsługi ani z zaprzęgów nikt żywy lub bez

rany nie wyszedł. Mało to! Legioniści widząc przed sobą 4 armaty zupełnie bez obsługi, a mając z Mochami jeszcze porachunek za baterię Wojnara, którą pod Bałamutówką wzięli w maju 1915 legionistom, zrobili wypad, wzięli por. Wołodkowicza do niewoli (zdaje się rannego) i chcieli także działa uprowadzić. To się im jednak nie udało, bo nie mieli przygotowanych zaprzęgów, a "mikrusy" nie mieli na tyle sił, by je o własnych siłach przyciągnąć.

Trzeba się było znowu wycofać na własną pozycję, bo Moskale zebrawszy się w kupę, zaczęli energiczny kontratak. I rzeczywiście udało się im podjechać galopem z zaprzęgami i 3 działa wycofać na tyły, ale jedno zostało i wszelkie wysiłki ich celem zbliżenia się do tego działa udaremniał celny ogień legionistów. Zdaje mi się, że Siczek-bohater z pod Zadąbrówki-także skutecznie prażył z karabinów maszynowych, dość, że kto się do działa zbliżył padał ranny lub zabity.

Ten silny i skuteczny ogień był przyczyną, że Moskale znajdujący się blisko działa, musieli się wycofać, a ponieważ było ono w ogóle b. wysunięte naprzód, więc nastąpiła sytuacja taka, że stało ono zupełnie opuszczone, między linią polską a rosyjską.

Gdy nadeszła noc, postanowili dwaj legioniści, a to 15-letni Antek Januszajtis, (najmłodszy brat ówczesnego pułkownika Mariana Januszajtisa, dcy 2 pułku legionów), i jeszcze jakiś drugi legionista, zdobyć to działo. Niedoświadczeni wybrali się we dwójkę, nie licząc się z tym zupełnie, że działo jest ciężkie i ledwie zaprzęg konny z miejsca je ruszyć potrafi. Jak oni to sobie wyobrażali, Bóg jeden wie, dość że wyruszyli na tę wyprawę, dostali się do działa, i oczywiście nic mu zrobić nie mogli. Wyjęli więc zamek, co stosunkowo łatwem było i chcieli przynajmniej unieść to jako zdobycz, ale z jednej strony okazało się, że jest to ponad ich

siły a z drugiej, że Moskale coś zwąchali, że koło działa ktoś manipuluje i otworzyli b. silny ogień. Zadźwigali więc ten zamek, ważący około 60 kg do bagienka, leżącego między pozycjami i tam go utopili. Za ten wyczyn dostali obaj duży srebrny medal waleczności ("grosse, silberne Tapferkeits medaille").

A tymczasem działo, w ten sposób uszkodzone stało,-zdaje mi się, do nocy z 17 na 18 VI i nikt nie mógł do niego przystąpić; dopiero w noc tę, dość chmurną i ciemną, udało się Moskalem przywiązać linę do niego i przy użyciu zaprzęgu ściągnąć działo.

Wszystkie ataki na pozycje legionów przed Rarańczą zostały odparte przy bardzo krwawych stratach ze strony Moskali. W końcu Keller, widząc całą bezowocność swoich ataków i biorąc pod uwagę duże straty, zdecydował się już ich nie powtarzać, lecz przejść do wojny okopowej: Moskale okopali się, odrutowali i tak stały dwie pozycje, jedna naprzeciw drugiej na kilkaset kroków i obie strony dokuczały sobie, wystrzeliwując wzajemnie pojedyńczych żołnierzy po jednej i drugiej stronie.

Do jakiego stopnia z początku Moskale (kawaleria Kellera) lekceważyła legionistów, uważając ich za "malczyków" (smarkaczy) niech posłuży następujący przykład: oto jakiś olbrzymi kozaczysko zaczął uprawiać sport porywania pojedyńczych legionistów, stojących jako"czujki". Mianowicie podchodził nie uzbrojony do takiego chłopczyny, stojącego samotnie (zamiast we dwójkę!) i udając, że się chce poddać, zręcznym wyuczonym chwytem wyrywał karabin nic nie przeczuwającemu chłopcu, zarzucając go niby barana na plecy, i taszczył do niewoli.

Ten"kawał" udał mu się coś ze dwa razy, ale legioniści, spryciarze wnet zwąchali, że tu jest coś w nieporządku i zrobili zasadzkę, stawiając znowu niby na przynętę jednego żołnierza jako "czujkę"

podczas gdy dwaj inni ukryci w bezpośredniej bliskości, czatowali w pogotowiu.

Zasadzka udała się doskonale, bo kozaczysko przyszedł, rozbroił i chwycił "czujkę" na plecy, gdy dwa bagnety niby żądła zastąpiły mu drogę: wzięto "heroja" w "plen" i zabawka w porywanie czujek legionowych skończyła się!

Ale tuż za pozycją rosyjską, był pagórek (⌀404), z którego obserwator rosyjski najdokładniej widział Rarańczę i całą dolinę. Widział więc cały ruch kuchen polowych, mógł policzyć wszystkie oddziały legionowe i całe dnie bez przerwy obserwować, co się w Rarańczy dzieje. Mógł także każdej chwili ogniem artyleryjskim nękać legionistów. Jedynie noc zakrywała mu obserwację, ale to było na dalszą metę trudne do zniesienia.

Wówczas pułkownik Januszajtis powziął myśl, świadczącą b. dodatnio o jego talencie taktycznym: postanowił zrobić wypad, zająć ten pagórek ⌀404 i w ten sposób położyć koniec temu nieznośnemu stanowi rzeczy.

Odległość od pozycji legionów do pagórka ⌀404 wynosiła około 400 kroków. Pułk. Januszajtis zrobił wypad tak nagle i niespodziewanie, że zajął ⌀404. Legioniści, choć do łopaty nie bardzi skłonni, okopali się jako tako, potem przyszedł im na pomoc pluton moich saperów, którzy zarzucili przed te okopy najpierw przeszkody druciane ("kozły hiszpańskie") i uzupełnili fachowo same okopy.

Powstała więc tz. "wysunięta pozycja" ("vorgeschobener Posten") w której zawsze załogą była jedna kompania piechoty 2 pp. i jakiś ciężki karabin maszynowy.

Moskale usiłowali kilkakrotnie wyrzucić legionistów z ⌀404, ale im się to nie udało:, ponieśli tylko duże straty.

Siedzenie jednak na tej ⌀404 było o tyle uciążliwe, że za dnia

nie było możności wskutek ognia nprz. ani z tego szańca dostać się do głównej pozycji przed Rarańczą, ani z gł. pozycji do szańca, co było przykre, bo nieraz sytuacja wymagała natychmiastowego połączenia (np. odstawienie na tyły rannego, dowóz amunicji, wzmocnienie załogi szańca itd.)

Saperzy więc wykopali głęboki rów dobiegowy, szeroki tak, że od biedy i kuchnia polowa mogła tam dojechać. Również pracowano b. intensywnie nad samą rozbudową szańca, stworzeniem schronów, a przede wszystkim wzmacniano przeszkody z drutu kolczastego.

Do tygodnia "szaniec Januszajtisa" (w sztabie korpusu zwany "Januszajtis - Schanze") już przedstawiał się tak, co się obronności tyczy, że o zdobyciu jego bez użycia ciężkiej artylerii mowy nie było; Moskale zaś, którzy w ciągu całej wojny światowej nie rozporządzali nią, wzgl. tylko w znikomej ilości i mieli tylko 12 cm. haubitze, w tym czasie cierpieli na chroniczny brak amunicji, a gen. Keller rozporządzał na odcinku między Dniestrem i Prutem ledwie kilku bateriami zwykłych "trzycalówek". Dlatego " szaniec Januszajtisa" był nieprzerwanie w ręku polskim aż do odejścia II bryg. pod Maniewicze.

Na tym kończę moje wspomnienia odnośnie do bojów pod Rarańczą 1915.

Pogrzeb legionistów padłych pod Rokitną w czerwcu 1915.

Jak już wspomniałem Rokitna a nawet Ryngacza zostały zajęte przez legionistów i mniej więcej 2 dni były w ich posiadaniu; mieli oni jednak za wiele pietyzmu i koleżeńskości dla padłych bohaterów i dlatego zwłoki wszystkich zostały przewiezione i prowizorycznie pochowane na cmentarzu prawosławnym w Rarańczy.

Równocześnie zaczęli legioniści pod egidą kapelana ks. Panasia budować w Rarańczy cmentarz wyłącznie dla poległych Polaków.

Wybrano odpowiednie miejsce i ozdobiono je ogromnym dębowym krzyżem, do którego przybity był wspaniały orzeł polski i-zdaje mi się,-umieszczony napis: " Dla Ciebie Polsko i dla Twojej chwały".

Na pogrzeb zaprosiła II brygada przez specjalną delegację sztab XI korpusu z gen. Kordą i szefem sztabu pułkownikiem gen. sztabu Trautweilerem. (Mianowicie w tym czasie nastąpiła zmiana w szefostwie sztabu korpusu, bo odszedł zacny pułkownik Fritz hr. Beck powołany na jakieś wyższe stanowisko, a jego miejsce zajął Trautweiler, człowiek również b. szlachetny, dobry gentelmen od głowy do pięty, a dla Polaków bardzo przychylnie usposobiony.)

W dniu, oznaczonym na uroczyste przewiezienie trumien z cmentarza prawosławnego na cmentarz legionistów, wyruszył ścisły sztab XI korpusu z Kordą i Trautweilerem na czele do Rarańczy. Wzięli w tym pogrzebie udział ~~ci~~ wszyscy oficerowie sztabu, którzy byli dla Polaków przychylnie usposobieni, a więc np. pułk. intentedt Komora i inni.

Przy pięknie ozdobionym choiną etapu ~~cmentarzu~~ polowym odprawił ks. kapelan Panaś mszę polową i wypowiedział b. podniosłe kazanie, poczem rozpoczęto składać trumny ze zwłokami padłych bohaterów do wykopanych grobów.

Gdy mogiły zostały usypane i chór legionistów zaśpiewał:"Spij kolego w ciemnym grobie, niech się Polska przyśni Tobie"! a w oczach legionistów i starego Küttnera ukazały się łzy szczerego żalu, *Potem ~~(wy~~stąpił dowódca korpusu gen. Korda i zwrócił się do księdza Panasia z następującymi słowy:

"Leider becherrsche ich die polnische Sprache zu wenig, um den Legionären das auszudrücken, was mein Soldatenherz in diesem feierlichen Moment empfindet. Ich bitte Sie Herr Kapelan aber in meinem N Namen die Legionäre zu versichern, dass wenn dieser weisse Adler wiederum freie Schwingen enttalten wird, ich werde zu jeben angehören, die sich darüber am meisten freuen werden!"

* a pułkownik Trautweiler płakał, jak bóbr! Potem . . . -

~~[illegible]~~ (" Niestety opanowuję polski język za słabo, ażeby Legionistom to wyrazić, co moje żołnierskie serce w tej tak uroczystej chwili odczuwa. Proszę jednak księdza Kapelana aby w moim imieniu zapewnił Legionistów, że gdy ten biały orzeł znowu rozwinie skrzydła wolne, ja będę do tych należał, którzy się z tego najbardziej cieszyć będą"!)

Były to słowa w ustach austryjackiego generała wprost nie do uwierzenia, a świadczące jakim Korda, czystej krwi Niemiec, którego ostatecznie nic tak dalece ze sprawą polską nie łączyło, był zacnym, szlachetnym i sprawiedliwym człowiekiem! Jego głęboka sympatia do Polaków polegała przede wszystkim na uznaniu dla ich męstwa i dla ich ofiarności, gdy szło o sprawę polską. Miał zaś tyle cywilnej odwagi, by dać wyraz swoim uczuciom bez wzgl. na to, co o tym AOK, Pflanzer-Baltin, Conrad etc. sobie pomyślą!

Gdyby ks. Panaś, cierpiący wprost chorobliwie na austrofobię i nienawidzący każdego oficera austryjackiego bez wyjątku, był bardziej obiektywny i wykonał polecenie Kordy, byłby w wysokim stopniu pogłębił sympatie, jakie legioniści dla Kordy w ogóle żywili. Ks. Panaś był jednak wściekłym ludowcem (pochodził z włościańskiej rodziny) i zajadłym "partyjnikiem" i tego nie uczynił. Faktem jest, że to tak charakterystyczne powiedzenie Kordy, jakoś milczeniem, a potem zapomnieniem zostało pokryte. Tylko niektórzy oficerowie legionowi, znający język niemiecki, którzy te słowa słyszeli, pamiętali je i nieraz o tym przy okazji spotkania się i pogawędki mówiło się. Natomiast w żadnych wspomnieniach legionowych wzmianki o tym nie ma! Przynajmniej ja, choć je wszystkie pilnie czytałem, nigdy się z nimi nie spotkałem.

Tak odbył się pogrzeb ułanów Wąsowicza. Cmentarzyk polski w Rarańczy przyjął w ciągu dalszych walk jeszcze wielu innych tych

zacnych żołnierzyków, którym wszystkim można by napisać na nagrobku,(parafrazując napis Spartan, którzy pod wodzą Leonidasa pod Termopilami za wolność Grecji polegli): "Przechodniu! Powiedz Ojczyźnie, że posłuszni Jej prawom, w walce za Jej wolność, oddaliśmy nasze młode życie" Na taki epithaphion zasłużyli w całej pełni.

Nastroje w sztabie XI Korpusu dla legionistów

Oficerów austryjackich odnośnie do ich nastrojów i traktowania legionistów możnaby podzielić na 2 grupy: jedną stanowili oficerowie, którzy osobiście w bojach udział brali. Do niej np. należał Korda, ranny kulą szrapnelową gdzieś pod Kielcami, czy Radomiem; do nich należał pułkownik Trautweiler, kt. dowodził chlubnie 6.pp na froncie serbskim, i inni. Ci umieli ocenić męstwo i poświęcenie w boju legionistów i cenili ich bardzo. Pułk. Küttner, dca II brygady, rodowity Niemiec z krwi i kości, kochał ich, jak własne dzieci.

Była jednak druga grupa, składająca się głównie z"generalstäblerów", którzy się ciągle przy sztabach pętali, a koło których nigdy żadna kula nie gwiznęła. Ci z zazdrości, że legioniści tak świetną sławę bojową mają, okazywali im swoje lekceważenie, drąc nosy do góry, a nie umiejąc nawet ocenić własnej marnoty na każdym punkcie; przy tym nieuki na każdym polu, zarozumialcy, tylko we frazesach "mocni".

Najlepiej ich scharakteryzuję, gdy naszkicuję moralny konterfekt np. takiego kapitana gen. sztabu Strassera: młody facet, służył nim poszedł do szkoły wojennej (osławionej "Kriegschule we Wiedniu") w jakimś Kroackim pułku landwerskich ułanów w Zagrzebiu, a w XI Korpusie był referentem taborów (Train referent). W wojnie okopowej, która się na froncie bessarabskim rozwinęła, nie miał literalnie nic do robienia. Gonił po Czerniowcach za dziewczętami, interesował się gdzieby to jakiego dobrego konia dostać, i na tym koniec.

Ten szczekał niby rozżarty foxterier ciągle na legionistów, używając najordynarniejszych epitetów. To, że taki młody Januszajtis był już pułkownikiem, to mu spać nie dawało.

Pierwsza awantura, jaką z nim miałem, miała następujące podłoże wzgl. przebieg: gdy w maju 1915 musiał nastąpić z wyższego rozkazu odwrót z granicy bessarabsko-austryjackiej za Prut, zdarzyło się, że do brygady kawalerii honwedów, która stała obok pr. skrzydła legionistów, przyszło uzupełnienie koni (kilkadziesiąt sztuk). Przyszły one w tak niefortunnej chwili, że dotyczący pułk szykujący się do odwrotu, nie miał już czasu je przyjąć, Husarzy, którzy z tymi końmi przybyli, słysząc słowo "Rückzug" spłoszyli się, zostawili konie na łasce Bożej, a sami uciekli. Konie rozbiegły się po lesie toporowieckim i tam zobaczyli je legioniści, tworzący tylną straż.

Czy je wyłapali i użyli do uzupełnienia własnych braków (mieli bardzo marne habety), czy nie, tego nikt nigdy nie mógł im udowodnić, choć na donos polowej żandarmerii wdrożono ostre sądowe dochodzenie. Głównym inicjatorem tego dochodzenia był naturalnie nikt inny, tylko "Trainreferent" kpt. Strasser, który na punkcie koni był niezmiernie zachłanny, a gdy padło podejrzenie, że te konie są gdzieś w II brygadzie, huzia na legionistów, nazywając ich "diese Bagage, diese polnische Diebe, Schweine, Hunde, Rebellenarmee itp.

Raz przy obiedzie (długi stół na czele siedział Korda) zaczął znowu szczekać, używając powyższych epitetów.

Tego mi było już za dużo! Rzekłem tedy w dość poirytowanym tonie dość głośno:" Herr Hauptmann Strasser! Ich möchte nur doch ausbieten, dass in meiner Anwesenheit über meine Landsleute, die sich so tapper schlagen diese gemeinen, beleidigenden Schimpfworte ange-

wendet werden!" (" Panie kapitanie Strasser! Muszę sobie przecież wyprosić, by w mojej obecności o moich rodakach, którzy się przecież, tak dzielnie biją, używane były te ordynarne, obraźliwe wyrazy!")

Nastała chwila ciszy grobowej przy stole, a mój wściekły wygląd wskazywał na to, że przyjdzie do dalszej awantury.

"tem daje się słyszeć głos Kordy:Herr Hauptmann von Strasser! Bis jetzt ist es nicht erwisen worden, wo diese Pferde hinkamen —am allerwenigsten ist es erwiesen worden, dass gerade die Polen sie sich angeignet haben. Und was Ihre Ausdrücke ausbelangt welche Sie über Legionäre gebrauchen, so muss ich nur das eine bemerken: dort wo die Legionäre stehen, dort kommen mir die Russen nie in die Stellung, und dort, wo diese beschiessenen "Domobranzen" stehen dort sind sie alleweil in der Stellung drinnen! Merken Sie sich das Herr Hauptmann!" ("Panie Kapitanie von Strasser! Dotąd nie zostało udowodnione, gdzie się konie podziały, a już w żadnej mierze nie zostało udowodnione, że Polacy je sobie przywłaszczyli. A co się tyczy wyrazów których Pan w stosunku do legionistów używa, to muszę choćby to jedno zauważyć, że tam, gdzie legioniści na pozycji stoją, tam nigdy Moskale do pozycji nie mogą się wedrzeć, podczas tam, gdzie ci zasrani domobrańcy stoją, tam są co chwila w naszych okopach! Proszę to sobie zapamiętać Panie Kapitanie!)

(Uwaga odnośnie do "zasranych domobrańców" była aluzją do tego, że Strasser pochodził z Kroackich landwerskich ułanów.) Był to tak potężny "nos" dla Strassera, jakiego jeszcze nigdy nie miałem sposobności słyszeć.

Po tych słowach zacnego Kordy zapanowała w dalszym ciągu obiadu cisza,Strasser zamknął swą frechowną buzię, a gdy wstaliśmy od

stołu, wszyscy porządni oficerowie przyznali mi rację:"Recht hast Du gehabt, dass Du diesem eckelhaften Kerl über die Schnautze gefahren bist! Korda hat ihm auch genz gründlich seine Meinung gesagt" (" Rację miałeś, żeś temu obrzydliwemu gałganowi przejechał się po buzi! Korda mu także gruntownie swoje mniemanie wypowiedział")

Czy w przyszłości ten tak jawnie i szczerze objawiany przez Kordę polonofilizm nie miał mu zaszkodzić, to pytanie; trzeba bowiem wziąć pod uwagę, że dca armii gen. Kawalerii Pflanzer-Baltin, Kordy w ogóle nie lubił. Były to dwa zupełnie sprzeczne charaktery, bo ile Korda był w każdym calu gentelmen i człowiek szlachetny, o tyle Pflanzer był mściwy, bezwzględny, szafujący krwią ludzką, bez najmniejszego skrupułu, by tylko cel swój tj. swoją ambicję zadowolnić.

Nie należy więc wątpić, że wszystkie słowa uznania, wypowiedziane pod adresem legionistów, były skrupulatnie przez różne osobniki àla Strasser et consortes pilnie denùncjowane do Kołomyi, a stamtąd do AOK.

"Nos", który w tak wyraźnej formie oberwał kpt. Strasser z okazji awantury ze mną, nie był ostatnim! Jego jednak beztaktowne i ordynarne uwagi i powiedzenia na innym polu prowokowały formalnie rugi i napomnienia w b. drastycznej formie.

I tak przypominam sobie raz taką scenę. Strasser zaczął przy obiedzie sławić swój dawny pułk wzgl. jego korpus oficerski, jako taki, który na punkcie erotyki i kobiet w Zagrzebiu był po prostu ponad wszelkie wyobrażenie. Między innymi opowiadał, że był w jego pułku jakiś rotmistrz, który szedł o zakład, że każda kobieta w Zagrzebiu, choćby z najlepszego towarzystwa, przyjdzie do jego mieszkania i odda mu się. Koledzy tego rotmistrza, którzy się z nim

o upadek danej panny, czy pani zakładali, czatowali gdzieś tak, ~~tak~~ że widzieli daną damę, wchodzącą do mieszkania rotmistrza.

Strasser, opowiadając takie rzeczy, nie zdawał sobie zdaje się ~~sprawy~~ zupełnie z tego sprawy, że tego rodzaju zakłady, mające na celu skompromitowanie damy, są ordynarnym wykroczeniem przeciw zasadzie gentelmeńskiej, że "dyskrecja wobec kobiet ze strony mężczyzn jest rzeczą honoru".

Tego rodzaju postępowanie w każdym przyzwoitym oficerskim korpusie kończyłoby się dochodzeniem honorowym i utratą stopnia oficerskiego.

Słuchaliśmy tych przechwałek Strassera z głębokim obrzydzeniem. Gdy skończył, dał się nagle "od wielkiego ołtarza" słyszeć głos Kordy: "Nun! Sagen Sie mir Herr Hauptmann von Strasser, hat sich in diesem Regiment kein offizier gefunden, der diesem Mann gesagt hätte, er wäre ein Schweinehund?!"

(No! Niech mi Pan Kapiten von Strasser powie, czy się w tym pułkunie znalazł ani jeden oficer, któryby temu panu powiedział, że jest świntuchem?!)

Tableau! Znowu cisza grobowa! Strasser, tak gruntownie "zgaszony", milczał, nie mając nic do powiedzenia. O ile ta tak b. wyraźna admonicja poskutkowała nie wiem, ale od tego czasu stał się Strasser skromniejszy, mniej arogancki i przeważnie milczał przy stole.

Jednak po za oczy szczekał ciągle na legionistów, podając między innymi w wątpliwość szczegóły ataku, a głównie przeskakiwanie szerokich rowów okopowych pod Robitną.

Korda musiał się w jakiś sposób dowiedzieć o tych nikczemnych powiedzonkach, a może tylko naumyślnie, by dać mu okazję oglądnięcia terenu walki własnymi oczyma, dosyć, że wysłał jego i mnie zaraz na

drugi dzień po szarży, abyśmy oglądnęli teren, gdzie atak się odegrał i abyśmy mu osobiście relacjonowali.

Pojechaliśmy; Na miejscu leżały jeszcze trupy końskie, a ślady kopyt wskazywały w jakim tempie szła szarża. Trzy rzędy okopów stanowiły zagięte skrzydło, ale nie były odrutowane, więc można je było na b. dobrych koniach i należycie wskakanych przesądzić, wiele koni leżało jednak w rowach. Rowy były głębokie, bo na stojących strzelców wykopane. Szerokość ich dochodziła prawie do 2 m. Nie dziw więc, że niektórzy legioniści powalili się do rowów. Do trzeciego rowu dopadło ledwie kilka koni, ale żaden go już nie przeskoczył. Musiała to być chwila, gdy zaczął prażyć ros. karabin maszynowy i ten wysiekł do reszty szwadron Wąsowicza.

Strasser oglądnął to wszystko, spoważniał, i od tego czasu zaprzestał dalszego szkalowania kawalerii legionowej. Zdaje się, że ruszyło go sumienie i przyszedł do przekonania, że co innego jest w Zagrzebiu robić "lwa salonowego" i uwodzić dziewczęta, a co innego brać konno okopy nieprzyjacielskie, okopy w ogniu karabinów maszynowych.

Po powrocie zdaliśmy raport Kordzie, głównie mówił Strasser, jako fachowy kawalerzysta; oczywiście, że musiał dać świadectwo prawdzie, choćby ze względu na moją obecność, ja bowiem byłbym w tej chwili każde odchylenie od istotnego stanu rzeczy sprostował.

W jakiś czas potem znikł Strasser z XI korpusu, przeniesiony zdaje się na życzenie Kordy, na jakieś inne stanowisko.

Tak,jak Strasser wyglądali i inne łaziki z austr.generalnego sztabu, było jednak bardzo wielu, którzy tak jak Korda żywili dla Polaków szczere sympatie.

Np. co się zaopatrzenia tyczy, to legioniści mieli wszystko

zawsze, nieraz nawet w znaczniejszej ilości, niż inne oddziały. Przypominam sobie, gdy raz XI korpus dostał pewną ilość dużych, znakomitych 7^x krotnych lornetek Zeissa, nadających się specjalnie do obserwacji w czasie zmroku, lub księżycowych nocy; legioniści byli pierwsi, którzy dostali kilka sztuk, a był to rarytas b. cenny.

Takich przykładów mógłbym więcej przytoczyć!

Intrygi antyaustryjackie w II brygadzie leg.

Gdy się front na granicy austro-bessarabskiej ustabilizował i zaczął należeć do tz. "spokojnych frontów" (sierpień, wrzesień 1915) zaczęły się i nudy w okopach. Żołnierz legionowy, inteligentny i chciwy ciągle świeżych wrażeń nie zadawalniał się już wypadami, patrolami, polowaniem na pojedyńczych Moskali itp. Ten moment nudów, który w wojnie okopowej wyprowadza nerwy ludzi inteligentnych z równowagi, wykorzystały jakieś indywidua, którzy zdaje się przyszli z "uzupełnieniem" do pułków legionowych ze stacji zapasowych i zaczęły usiłować szerzyć myśl buntu między pojedyńczymi legionistami, a nawet dezercji do nieprzyjaciela. Mówiono, że byli to Piłsudczycy I-szo brygadowcy, którym sława bojowa II brygady spać nie dawała; dowodu jednak na to nie było żadnego.

Można sobie wyobrazić, jaką hańbą okryłaby się II brygada, gdyby istotnie podłe ziarno zdrady zaczęło kiełkować i gdyby się były zdarzyły choćby pojedyncze wypadki dezercji, czy to do "Hinterlandu", czy nawet do nieprzyjaciela. A był to właśnie czas, w którym w armii rosyjskiej za inicjatywą wielkiego księcia Mikołaja Mikołajowicza, naczel. wodza ros. armii, zaczął Garczyński formować "legiony polskie" pod sztandarami rosyjskimi, o czem Moskale podrzucanymi ulotkami starali się poinformować legionistów.

Na szczęście do tego nie przyszło, bo polska żandarmeria polo-

wa (dca Okołowicz) b. prędko wpadła na ślad tej propagandy i jej kark ukręciła. Ale zawsze takie osobniki, jak Strasser et consortes mieli na jakiś czas temat do poufnych rozmówek i siania nieufności do legionistów.

Odjazd II bragady leg. z frontu bessarabskiego do Maniewicz.

Gdzieś w końcu września lub października 1915 r. przyszedł rozkaz, luzujący II bryg. leg. i przesuwający ją na północ gdzieś w okolicę Maniewicz.

Dla wyjaśnienia muszę podać, że w tym czasie po porozumieniu się austr.AOK z Dtwem Nacz.Armii Niem. zostały wszystkie brygady legionowe złączone pod jedną komendą; Był to rodzaj dywizji piechoty legionowej. Dcą. został mianowany pułk. (a może już wówczas generał) Puchalski, b. dobry Polak i b. dzielny dowódca pułku z r. 1914.

Było legionistów 3 brygady: I brygada, dca Józef Piłsudski, II brygada dca. pułk. Johann Küttner i III brygada: pułk. Grzesicki.

Dla mnie osobiście było odejście II bryg. leg. z zespołu XI Korpusu bardzo przykre. Czułem się jakoś osamotniony; brak mi będzie tego ciepła, jakie daje szczere i otwarte obcowanie z rodakami, gdy byłem na ich odcinku. Przecież legionistom zawdzięczałem tę podniosłe chwile pod Zadąbrówką, Rarańczą a choćby pod Rokitną. Dotąd bowiem w zespole czysto austryjackim nigdy nie miałem wrażenia, że należę do zwyciężającej armii; zawsze było tak, że ten żołnierz austryjacki, choć się na ogół wcale mężnie bił, ulegał liczebnej przemocy Moskali: zawsze został przez nich oskrzydlany i trzeba było przeżywać odwrót, który żeby nie wiem jak po mistrzowsku wykonany, zawsze szalenie demoralizuje żołnierza i oficera. Jako oficer saperów, siedzący z reguły na moście jakimś i czekający aż Moskale przyjdą, i mający zaś zadanie dopiero wtedy wysadzić go w powietrze-miałem właś-

nie sposobność obserwowania stanu zewnętrznego i moralnego cofających się oddziałów, i to było to, co na długie tygodnie i miesiące łamało moralnie człowieka. Nic bowiem tak nie demoralizuje żołnierza i oficera, jak każdy odwrót, a boje armii austr. dotąd składały się z samych odwrotów.

Odejście II brygady żałował bardzo XI korpus i niezadługo, bo akurat na samo Boże Narodzenie 1915 poczuł jej brak, o tym później.

Rzeź brygady kawalerii honwedów Łubieńskiego przez Czerkiesów w lesie w Toporowcach w lecie 1915.

Na odcinek leśny w lesie toporowieckim, przybyła jakaś brygada Czerkiesów, czy też tz. "płastunów"(rodzaj piechoty złożonej z samych Czerkiesów),Byli oni o tyle bardzo niebezpieczni, że byli wprost mistrzami w czołganiu się, w bezszelestnym podsuwaniu się i nocnych napadach. W ręcznej walce byli b. groźni, bo uzbrojeni w długie sztylety, kłóli nimi po mistrzowsku.

Brygada doskonałych strzelców Köcka została właśnie wtedy zluzowana przez dcę.armii gen. Pflanzera i zastąpiona brygadą kawalerii honwedów, którą dowodził hr. Łubieński.

Zanim jednak ta zmiana w obsadzie nastąpiła, nastąpił gdzieś na północ od lasu toporowieckiego mały incydent: jakieś książątko czerkieskie młody chłopak chciwy wawrzynów, sławy i b. ambitny, podsunął się ze swoim oddziałem w nocy pod austr. okopy, wdarł się do nich i szerząc popłoch już się dobierał do wykłucia zaprzęgów artyleryjskich. Była chwila paniki, ale zjawił się na czas jakiś spieszony szwadron 8 .p. ułanów, wytłukł i wybił co do nogi czerkiesów i przy tej sposobności padło tam także od uderzenia kolbą karabinka to książątko czerkieskie. Incydent był zlikwidowany, dwaj jeńcy, których wzięto, nie chcieli ani słowa zeznawać (widziałem ich, tak za-

jadłych bestii nie prędko można było widzieć!) i można było przejść nad tym do porządku dziennego.

Jednak wywiad XI korpusu dowiedział się, że Czerkiesi, chcą się za śmierć książątka zemścić, planują poważniejszy nocny napad, a nawet podał godzinę, w której miał ten napad nastąpić i oczywiście uwiadomił brygadę Łubieńskiego, że ona z nim się ma w pierwszej linii liczyć.

Ale trzeba znać indolencję i lekkomyślność Madyarów, a specjalnie kawalerii węgierskiej: tam każdy oficer miał w swej ziemiance wygodne łóżko, do którego kładł się spać <u>rozebrany</u> (!), ufny, że obsada okopów atak nieprzyjacielski tak długo zatrzyma, aż on będzie miał czas ubrać się i uzbroić.

Gdy awizowana przez wywiad korpuśny godzina minęła i ono nie nastąpiło, Węgry powiedzieli sobie, że "angesagter Angriff komt nie zu stande" (zapowiedziane natarcie nigdy nie ma miejsca) i pokładli się spać.

Zrobili jednak znowu rachunek bez gospodarza, nie licząc się z tym, że rosyjski czas różni się od austryjackiego o pełną godzinę! Za godzinę uderzyli Czerkiesi, wdarli się do okopów, wykłuli huzarów i parli dalej. Dobrali się do ziemianek oficerskich i tam wyrżnęli wszystkich oficerów, choć ci się mężnie bronili. Między innymi zginął tam młody hr. Seczeny, kadet czy podporucznik, znaleziono w piersiach wbity sztylet czerkieski, obok leżał czerkies z rozwaloną głową, uderzony kolbą karabinka przez wiernego ordynansa, który broniąc swego pana również poległ.

Sztylet tkwiący w piersiach biednego Szeczenyiego dostałem na pamiątkę i przechowywałem z pietyzmem do września 1939, w którym to czasie komuniści rykowscy zabrali mi go wraz z całą moją zbrojownią.

Natarcie Czerkiesów wtargnęło w głąb aż do dtwa. brygady i Łubieński dostał się do niewoli.

Ta awantura,trwała gdzieś do południa; dopiero jakieś 2 baony rezerwy korpuśnej uderzyły porządnie na Czerkiesów i w końcu wyrzuciły ich z okopów.

Ale bragada Łubieńskiego poniosła duże straty, szczególnie w oficerach. Największy skandal był, że brygadier dostał się do niewoli.

Już nie pamiętam, jak tam dtwo. XI korpusu tę dziurę załatało, ale historia z wziętym do niewoli Łubieńskim miała jeszcze przykry ciąg dalszy. Łubieński został odstawiony do jakiegoś obozu jeńców w Finlandii czy Estonii, skąd dzięki pomocy rodziny, którą miał po stronie rosyjskiej, udało mu się uciec do Szwecji. Był zaś o tyle lekkomyślny i nieostrożny, że opowiedział to jakiemuś reporterowi dziennikarskiemu i ten ogłosił to wszystko w swojej gazecie, podając nawet nazwiska (!) tych z Rosji, którzy mu do ucieczki dopomogli.

Rezultatem tego było, że żandarmeria rosyjska poaresztowała tych, którzy do tej ucieczki pomogli, i wszyscy zostali powieszeni!

Ogólnie wzięto Łubieńskiemu jego długi język i lekkomyślność bardzo za złe!

Bitwa na Boże Narodzenie 1915/16.

Jesień 1915 po odejściu II brygady upływała dość spokojnie, był to tz. "spokojny front". Ale nie długo to miało trwać; zaczęły przez szpiegów i konfidentów nachodzić coraz częstsze wiadomości, że Moskale wzmacniają swe siły na odcinku naprzeciw XI austr. Korpusu.

Tymczasem po odejściu legionistów nie dostał XI korpus żadne-

go wzmocnienia, trzeba było z tymi siłami, jakimi rozporządzał, zatkać dziurę powstałą przez ich odejście.

Uskuteczniła to "grupa pułk. Pappa" rozciągając swe lewe skrzydło aż po Rarańczę włącznie; obsada stała się wskutek tego jeszcze bardziej słaba.

Wprawdzie pułk. Papp, nadzwyczajnie zdolny i dzielny oficer sztabu inżynierii, ogromnie dużo na swoim odcinku zdziałał w kierunku jego fortyfikacyjnego umocnienia, prowadząc bardzo umiejętnie trasę okopów, tak aby można z jej załomów ostrzeliwać przedpole ogniem flankującym (stąd pochodziła nazwa "der flankierende Papp", jaką mu nadali dowcipnisie w szatbie korpusu). Wzmacniał ustawicznie zasieki druciane, doglądając osobiście zawsze szczegółów. Również bardzo umiejętnie poumieszczał nieliczne działa, które posiadał.

Należał on niewątpliwie do tych dowódców, którzy swoim osobistym wpływem, niby hypnozą, wszczepiali w swoich oficerów i żołnierzy zaufanie we własne siły.

Silnie zalesione wzgórze Mahala, leżące w jego pozycji, ufortyfikował tak, że nawet schrony betonowe tam pobudował. Moskale w ogóle już się przestali kusić o jego zdobycie.

Sami tz. "papiści" tj. oficerowie i żołnierze, to była zbieranina różnych starych landszturmistów bukowińskich, tz. "Freiwilliger Bataillone", a rolę podoficerów odgrywali przeważnie starzy żandarmi, ~~gám~~ głównie jako dowódcy plutonów.

Pod względem bojowym były to więc bardzo marne elementy. Każdy będąc żonatym i dzieciatym, myślał ciągle o domu i rodzinie i odmawiał różaniec.

Jako dcy. kompanii wzgl. batalionów, funkcjonowali głównie oficerowie żandarmerii, których mu dostarczył pułk. żandarmerii Fischer

z Czerniowiec, główny komendant żandarmerii na Bukowinie. Ci oficerowie, to trzeba im przyznać, byli b. dzielni i wielu z nich poległo bohaterską śmiercią.

Że z taką zbieraniną mimo wszystko potrafił Papp utrzymać swój pododcinek, jest tylko wyłączną jego zasługą i jego dowódców batalionów.

Gdy padło na Grupę Pappa zadanie rozszerzenia się i objęcia odcinka legionistów trudno było tej jeszcze bardziej "rozwodnionej" załodze utrzymać się na nim.

Tamczasem nadeszły dość pozytywne wiadomości, że na odcinek między Dniestrem a Prutem przybyły dwa sybirskie korpusy.

Pflanzer jakoś się tym nie przejmował i żadnej pomocy XI korpusowi nie nadsyłał. Albo nie miał żadnych rezerw, albo nie doceniał ważności meldunku na temat wzmocnienia sił rosyjskich.

Jedynie co się artylerii tyczy, był XI korpus dobrze zaopatrzony. Dcą całej artylerii między Dniestrem i Prutem był generał-zdaje mi się-Alscher (ale nie wiem pewnie) doskonały artylerzysta, który umiał baterie tak ustawić i tak telefonicznie połączyć, że mógł każdej chwili na każdy punkt przedpola skoncentrować ogień kilkunastu baterii. Umiał po mistrzowsku dobierać "punkty obserwacyjne".

Miał on do swej dyspozycji dużo ciężkiej artylerii (15cm. haubice Skody wz.15, znakomite działo), a nawet jeden 30.5 moździerz. Ten ostatni, zmotoryzowany i mogący się szybko poruszać i zmieniać pozycje, to była prawdziwa plaga dla Moskali a w szczególności dla ich baterii. Precyzja bowiem jego była nadzwyczajna, a skuteczność wprost fenomenalna. Moździerz ten był w stanie cały dzień strzelać z jednej pozycji, podczas gdy część jego obsługi już jechała motorami na inną, przygotowywała ją kładąc tz. "Rettung", gdy zmierzch zapadł moździerz zbierał się, jechał na nową pozycję i z brzaskiem dnia otwierał ogień z nowej pozycji.Moskiewskie baterie

nie mogły mu nic zrobić, bo miał on większe „portée" niż każde działo rosyjskie (tj. 11km.) Najbardziej peszyło Moskali to, że dłuższy czas nie mogli się zorjętować ile Austryjacy właściwie tych moździerzy mają? Działanie zaś tego działa było dla Moskali tak deprymujące, że nie mogli przez dłuższy czas nigdzie skoncentrować sił do natarcia, bo zawsze wszystkie przygotowania rozbijał ten moździerz, a także i inne baterie.

Tak trwało to do 24 grudnia 1915.

Właśnie siadł ścisły sztab korpusu do Wilii, Korda przemówił do nas b. ciepło i serdecznie, i zaczęliśmy ją spożywać.

Wtem nadszedł krótki meldunek z grupy Pappa z Mahali, że Moskale ruszyli poważnie do natarcia, a główny ich wysiłek kieruje się na Rarańczę. Gen. Alscher brygadier art. zaawizował wszystkie baterie, by były gotowe do otwarcia ognia.

Zrozumieliśmy, dlaczego akurat w sam wieczór wigilijny Moskale na nas ruszyli: liczyli, że od placówek i czujek przy drutach począwszy, a na rezerwach skończywszy wszystko, co żyje odda się nastrojowi, jaki budzi wieczór wigilijny i czujność będzie bardzo mała.

Było to jednak nie bardzo trafne obliczenie, mając bowiem doświadczenie z zimy 1914/15 i Wielkanocy 1915, liczyliśmy się prawie na pewne z tym, że Moskale właśnie Święta Bożego Narodzenia wykorzystają, by nam jakąś niespodziankę urządzić.

Główne natarcie kierowało się na pagórek 404 na wschód od Rarańczy; "papiści" nie bronili go dosyć energicznie i on pierwszy wpadł w ręce nieprzyjacielskie. Tu jednak austryjacka artyleria zabrała głos i prała tak skutecznie Moskali, że w rezultacie mimo zajadłych i b. odważnie prowadzonych szturmów nie udało się im nigdzie indziej wtargnąć do austr. okopów. Gdy zaczęło świtać ogień austr. artylerii stał się jeszcze skuteczniejszy. Tysiące Moskali rannych lub zabitych leżało przed drutami. Ale myliłby się ten, ktoby sądził,

że ta porażka ostudzi zapał Moskali, przeciwnie te dwa korpusy sybirskie i reszta oddziałów gen. Kellera szturmowali przez całe święta Bożego Narodzenia do Nowego Roku włącznie, ale na ogół bez skutku, wszędzie przeważająca pod każdym względem art. austr. kierowana doskonale, niszczyła wszelkie próby koncentracji sił i ugrupowania Moskali do szturmu, zawsze wczas, zadając im ogromne straty.

Rezultatem tej bitwy było zupełne zniszczenie tych dwóch korpusów sybirskich prawie wyłącznie przez austryjacką artylerię, dlatego tę bitwę nazwano "Artilerie schlacht zu Neujahr 1915/16".

Pflanzer-Baltin opamiętał się, że à la longue nie może odcinka między Prutem a Dniestrem zostawić z tą słabą załogą i przysłał celem jej wzmocnienia 202. brygadę piechoty honwedów, którą dowodził pułk. Savoy (szef sztabu:kpt. Uhlig). Byli to wyjątkowo dzielni żołnierze. Zajęli odcinek Rarańcza i część lasu toporowieckiego.

Dalsze losy XI korpusu na granicy bessarabskiej.

W tym czasie przyszedł do Komendy Korpusu na rozkaz A.O.K. na stanowisko szefa inżynierii podpułkownik Weingärtner ze sztabu inżynierii; wskutek tego stałem się przy dtwie korpusu zbędny. Zresztą zawsze zdawałem sobie z tego sprawę, że na tak wysokie stanowisko, jakim jest "Geniechef" korpusu, byłem-jako kapitan-za małą figurą.

Poszedłem więc najpierw na miesiąc urlopu, który mi się słusznie należał, bo przecież przez 21 miesięcy nie brałem żadnego urlopu, a tylko 2 razy widziałem się z moją żoną i dziećmi po 1-2 dni, przy czym chwila rozstania była zawsze dla mnie i dla nich tak nad wszelki wyraz przykra!

Czas ten spędziłem w Krakowie, gdzie wykorzystałem sposobność i odszukałem grób szwagra śp. Tadzia Sobolewskiego, który 2.V. 1915 padł był pod Siedliszowicami przy forsowaniu Dunajca.

Gdzieś w pierwszych dniach maja wróciłem z urlopu do Sadagóry do XI korpusu. W międzyczasie prowadził mój referat (fortyfikacja

frontu i dyspozycja wojskami saperskimi, oraz oddziałami robotniczymi) podpułk. Weingärtner. Urządził b. rozległy aparat techniczny i-to muszę mu przyznać-w skali odpowiednej do licznych zadań, jakie były między Prutem a Dniestrem do wykonania.

Jednak mimo wszystko nie potrafił on sobie zaskarbić sympatii ani gen. Kordy ani szefa sztabu Trautweilera. Dziwny swoją drogą antagonizm panował między gen. sztabu, a sztabem inżynierii (Geniestab) Trudno mi precyzyjnie wydać sąd, jaka była tego przyczyna. Przypuszczam jednak, że ze strony generalstäblerów austryjackich panowała pewna zawiść i obawa, że wobec rozwoju na każdym froncie wojny pozycyjnej generalstäblerzy obawiali się, że władza ich w dużej mierze przejdzie w ręce sztabu inżynierii, co byłoby zresztą zupełnie słuszne.

Mam także subiektywne wrażenie, że grała tu rolę także zawiść na punkcie wiadomości fachowych: nie ulega bowiem żadnej wątpliwości, że to, co umiał i wiedział w kierunku wiedzy wojskowej oficer generalnego sztabu, to w równej mierze opanowywał oficer sztabu inżynierii (np. taktyka, strategia itp.), ale generalstäbler przeciętny był rekordowym ignorantem w kierunku techniczno-wojskowym. Mogę coś o tym powiedzieć, bo miałem więcej niż 1.5 roczne doświadczenie: tyle arcygłupich, zupełnie niewykonalnych rozkazów, jakie ja na moim stanowisku otrzymałem w tym czasie, to przechodzi wszelkie wyobrażenie. Taki austryjacki generalstäbler wydając jakiś rozkaz, nigdy ani sekundę nie zastanowił się nad tym, czy są warunki, aby ten rozkaz mógł być wykonany. Wydawało się rozkazy, by być osobiście krytym w razie niepowodzenia i aby została zawsze wymówka, że to i owo "zostało nakazane, lecz ci, którzy mieli rozkaz wykonać nie dość energicznie i nie dość dzielnie zabrali się do wykonania".

Wskazywanie na niewykonalność spotykała się z zarzutem, że się robi"trudności"("Sappeure machen immer Schwierigkeiten!").

Mania generalstäblerów austr. było ciągle wydawanie jakichś rozkazów, by saperów "zatrudnić". Rozkazy te, gdy już wszystko było w ruchu, by je wykonać, były z reguły odwoływane, co w wysokim stopniu demoralizowało saperów, przyzwyczajonych, że dostają wykonalne rozkazy i te muszą być wykonane.

Tam, gdzie miał geniestabler głos, tam tego rodzaju rozmach"rozkazodawczy" był trochę hamowany, a treść rozkazów poddawane pewnej kontroli odnośnie do celowości i wykonalności (harmonia między siłami roboczymi, czasem i środkami technicznymi, o czem generalstäbler nie miał najlżejszego wyobrażenia).

Ale wracam do sytuacji w XI korpusie w pierwszych dniach maja 1916 r.

Korda jakoś z pewnym niedowierzaniem odnosił się był do zamierzeń Weingärtnera w kierunku rozbudowy odcinka frontu między Dniestrem a Prutem do tego stopnia, by był twierdzą nie do zdobycia. Mnie zaś, z którym mu się od roku tak wygodnie pracowało, nie chciał się pozbywać.

Hr. Stefan Tisza, premier węgierski i Juliusz hr. Andrassy odwiedzają XI Korpus.

Gdzieś po"bitwie artyleryjskiej" na Boże Narodzenie 1915/16 został XI korpus-jak już nadmieniałem-wzmocniony 202 brygadą honwedów, żołnierzami naogół dobrymi z okolic Budapesztu, Bcą. był pułk. Savoi, zdaje się osobisty przyjaciel Stefana hr.Tiszy i mający w Budapeszcie dużo wpływowych znajomości.

W tym to czasie przypadł XI korpusowi zaszczyt goszczenia u siebie kilka godzin dwóch potentatów węgierskich,-choć pod względem politycznym tak krańcowo różnych kierunków-tj.Stefana Tiszy i Juliusza Andrussego.

Podczas gdy St.hr. Tisza, zwalczał zasadniczo (a bardzo potężnie!) wszelką myśl austrofilskiego rozwiązania problemu przyszłej Polski, idąc na rękę polityce niem. reprezentowanej przez Ludendor-

ffa a w austr. przez Conrada. Odbiło się to fatalnie na przyszłości Węgier i Austrii, w obawie, że z dualizmu "przejdzie Austria na "trializm" i dominujące wpływy Węgier doznają uszczerbku na rzecz słowiańskiego elementu, który przyszedłby do bezwzględnej większości), o tyle hr. Juliusz Andrassy popierał całym swoim wpływem właśnie takie rozwiązanie sprawy (z arcyks. Stefanem z Żywca jako przyszłym królem polskim w ramach austro-węg. monarchii). Był to człowiek wolny od tego wściekłego szowinizmu węgier., jaki cechował Tiszę a patrzący daleko dalej i trafniej w przyszłość, niż Tisza, widział on, że Węgry nie potrafią się àla longue utrzymać przy swoim dominującym stanowisku i że prędzej czy później Słowianie w Austrii do głosu przyjdą, wolał więc by na czele austryjackiej Słowiańszczyzny stali Polacy z arcyks. Stefanem na czele, niż kto inny (np. Czesi z Kramarzem i rossofilem Beneszem).

Gdy tedy zapowiedziano w sztabie ich przyjazd, byliśmy niezmiernie ciekawi na te dwie osobistości. Hr. Stefan Tisza zrobił na mnie b. niesympatyczne wrażenie, zdaje się dlatego, że znałem jego polityczne nastawienie wobec Polaków, a także i dlatego, że był to człowiek tak odrażająco brzydki, że już to samo wzbudziło we mnie pewien rodzaj antypatii do niego. Raziła mnie także jego nerwowość (rażą mnie zawsze ludzie nerwowi!), a także ta pewna prepatencja w słowach i manierach.

Zewnętrznie prezentował się Tisza b. dobrze, słuszny, szczupły, (najlepszy szermierz z całych Węgier!) tylko miał tak okropnego zeza, że nie mogłem się na niego dłuższy czas patrzeć. Nosił jakieś grube szkła, co wszystko razem tworzyło z twarzy jego do pewnego stopnia karykaturę.

Zamienił ze mną kilka nic nie znaczących frazesów i na tym koniec

Jakże innym był Juliusz hr. Andrassy!? Przede wszystkim b. piękny, starszy, jednak doskonale się prezentujący pan, na którego twarzy rysowało się arystokratyczne pochodzenie i tradycja kilkunastu pokoleń

Gdy mu zostałem przedstawiony, zaraz zorientował się, że jestem Polakiem i w dodatkowej rozmowie, którą mnie zaszczycił, nadmienił z lekka tematu austrofilskiego rozwiązania problemu Polski,-naturalnie w b. ograniczonym zakresie,-bo był zanadzo dobrym dyplomatą, by się ze mną, skromnym kapitanem saperów zapuszczać a jakieś szersze dysputy polityczne i "robić po sztabach politykę".

Jakże łatwo byłoby z człowiekiem tak inteligentnym, tak daleko Wwzrocznym, a tak liberalnym dogadać się, w przeciwieństwie do hr. Tiszy, który zwykle w dość brutalnej formie narzucał przy dyskusji swoje zdanie i nie znosił opozycji. (Nic mi go też żal nie było, gdy gdzieś w r. 1919 czy 1918 został przez dwóch węgierskich żołnierzy w swoim mieszkaniu zastrzelony.)

Tymczasem na pododcinku 202 brygady honwedów pułkownika Savoya, roboty fortyfikacyjne jakoś bardzo ślimaczym tempem szły, jako że, Madyarzy nie b. ochoczy są do łopaty. Także brakło im technicznego kierownika robót fortyfikacyjnych.

W tę rolę, ubrano mnie i pojechałem do Karańczy jako kierownik robót technicznych. Zacny Savoy przyjął mnie bardzo gościnnie i serdecznie i zaraz wziąłem się do roboty, chcąc najpierw wybudować potężne betonowe obserwatorium dla artylerzystów, którego by Moskale nie mogli ze swoich "3-calówek"zburzyć. Wybrałem na krańcu lasu Toporowieckiego punkt zakryty drzewami, skąd po odpowiednim ostrożnym usunięciu niektórych gałęzi można było stamtąd doskonale obserwować całe przedpole, o co właśnie tak bardzo artyleryjskim obserwatorom chodziło. Grube, bo "2 metrowe betonowe ściany dawały dostateczną pewność przed ros. Granatami. Sciany wzmocniłem jeszcze sztabkami żelaznymi, tworząc rodzaj żelbetonu.

Chcąc we właściwym miejscu i we właściwej wysokości umieścić otwory dla peryskopów, musiałem się posługiwać niwelacyjnym instrumentem, co było o tyle ryzykowne, że musiałem całe zdjęcie robić, narażony na obserwację i ogień ewentualny ros. artylerii, ale jakoś szczęśliwie

udało mi się zrobić zdjęcie, zamaskować miejsce pracy i mogliśmy głównie pod osłoną nocy i mgły pracować.

Wszystko się zapowiadało całkiem dobrze a pułk. Savoy, podpłk. Weingärtner, głównie zaś gen. Alscher i jego artylerzyści cieszyli się na to obserwatorium, które za kilka dni miało stanąć a beton do 8 dni stwardnieć

Ofenzywa Leszyckiego w czerwcu 1916 i pogrom armii Pflanzera - Baltina.

Już od dłuższego czasu nie było dla sztabów austr. tajemnicą, że Moskale kroją pod wodzą Brusiłowa potężną ofenzywę.(od Łucka aż po Prut!) Południ. skrzydłem ros. od Dniestru do Prutu dowodził gen. Leszycki. Austryjacy wiedząc o tym wzmacniali swe siły; na odcinku między Dniestrem a Prutem, stanął najpierw korpus gen. Benigniego (od Dniestru do lasu Toporowieckiego), a w dalszym ciągu XI korpus razem w sumie 240000 bagnetów z potężną artylerią.~~korpusów~~

Dtwo nad całą artylerią obu korpusów objął gen. Alscher. Wewnątrz każdego korpusu było rodzaj "centralnego obserwatorium", skąd telefoniczne połączenie szło do wszystkich baterii, wstrzelanych doskonale w przedpola, tak, że w razie potrzeby można było momentalnie na dany punkt skierować ogień co najmniej kilkunastu baterii.

Miejsce gdzie było to"centralne obserwatorium" korpusu Benigniego nie było ani szczęśliwie wybrane, ani dosyć mocno zbudowane, dość, że Moskale przygotowując natarcie na odcinek tego korpusu zaraz pierwszymi granatami trafili w miejsce, gdzie schodziły się wszystkie druty telefoniczne, tak, że porozumienie się z pojedyńczymi bateriami stało się momentalnie niemożliwem:baterie nie widząc celów, czekały na rozkaz do strzelania i milczały, a tymczasem piechota rosyjska masowo(!) pchała się pod pozycje austryjackie. Gdyby artyl. Austr. M nie miała była tego pecha z drutami telefonicznymi i rozpoczęła była ogień, to byłoby się powtórzyło pod Dobronowcami to, co na Boże Narodzenie miało miejsce pod Rarańczą: zmasowana piechota ros. byłaby

była zniszczona.

To się jednak nie stało; Moskale mieli szczęście, podeszli pod pozycje austr. z b. małymi stratami, nakrywając okopy austr. ogniem z artylerii, i zdobyli pierwszą linię.

Jeszcze teraz istniała możność zniszczenia ich ogniem artylerii, ale trzeba było połączenia telef. do porządku dprowadzić. To się jednak również nie stało.

Zdaje się musiała panika ogarnąć korpus Benigniego, który zaczął się wycofywać na "2-gą linię". Ta była doskonale założona i wytrasowana przeze mnie gdy jeszcze XI korpus zajmował cały odcinek od Dniestru po Prut i można było się na niej utrzymać, gdyby tam zanim (!) się cofanie rozpoczęło była jakaś choćby słaba obsada. Ale nie było jej ani w 2-giej linii ani w 3-ciej" również doskonale wykopanej i odrutowanej.

Między 2-gą i 3-cią linią były dość liczne rowy dobiegowe i odrutowane "zaryglowania", pozwalające na trzymanie się w części np. 2-giej linii nawet wtedy, gdyby jej część wpadła w ręce nieprzyjacielskie i urządzenia skutecznego przeciw natarcia.

Ale do tego wszystkiego trzeba było najpierw znać(!) położenie "2-giej" i 3-ciej" linii, znać taktyczną myśl, jaka kierowała fortyfikatora przy ich zakładaniu(!) i jakąś choćby małą ale mężną załogę.

Mimo, że Benigni dostał był ode mnie plany umocnień, nikt się nimi nie zainteresował, nikt nie kazał sobie wytłomaczyć taktycznej myśli (a ta nie była głupia!); Benigni(b. komendant jakiejś szkoły wojskowej) nie był zdaje się nigdy wielkim taktykiem i miał za mało rutyny w roli obrońcy odcinka. Nakazać bowiem natarcie to potrafi każdy przeciętny oficer, ale prowadzić obronę odcinka, zaatakowanego przez przeważne siły, na to trzeba być doświadczonym " "wygą" w wojnie pozycyjnej. Tym nie był Benigni, nieraz zastanawia-

łem się nad tym, skąd taki słabeusz taktyczny, jak Benigni został dowódcą korpusu p i przyszedłem do przekonania, że były tu w grze jakieś protekcje i względy osobiste.

Rezultat dalszej bitwy był dla korpusu Benigniego fatalny: zaczęło się ogólne cofanie, kompanie poddawały się nie stawiając żadnego oporu, baterie, gdy żadnych rozkazów ani do strzelania, ani do wycofywania się nie dostawały, dostawały się również do niewoli i sytuacja Benigniego stała się beznadziejna, gdy w "3-ciej linii" ukazała się ros. kawaleria.Korpus ogarnęła ogólna panika, którą nikt nie był w stanie opanować.

Przez to gwałtowne cofanie się wzgl. ucieczkę korpusu Benigniego, został b. poważnie zagrożony XI korpus, bo nieprzyjaciel zaczął zagrażać jego tyłom.

Gdyby Pflanzer - Baltin i cały jego sztab z pułkownikiem Zajnekiem na czele miał więcej talentu operacyjnego i nie spuszczał się wyłącznie na opór oddziałów stojących na 1.linii, powinien był mieć jakąś zorganizowaną rezerwe armii, tej jednak nie było i nie było czym wesprzeć uciekający korpus Benigniego. A przecież "wielki" Pflancer powinien był pamiętać o fundamentalnej zasadzie że "kto nie ma rezerw, ten przestaje automatycznie być dowódcą i wpada w rolę widza, nie mając żadnej możności wywierania jakiegokolwiek wpływu na tok bitwy".

Pflanzer wprawdzie nakazał był, gdy już sytuacja zaczęła być krytyczna, tworzenia jakiejś "rezerwy armii",wyrywając z pojedyńczych dywizji tu pułk, tam batalion itp., ale to wszystko było już za późno! Tu dopiero wyłazi, niby szydło z worka, że taki Pflanzer jak i jego szef sztabu pułk.Zeinek całe życie siedzieli przy zielonym stoliku i nigdy żadnymi jednostkami nie dowodzili, bo przecież takie tworzenie "rezerwy armii" wymaga jej organizacji wewnętrznej.

Musi być mianowany dca., podległy tylko dcy. armii, musi być zorganizowany cały aparat rozkazodawczy wewnątrz "rez. Armii", czyli sztab jej, choćby w ~~najskrajniejszej~~ najskromniejszej ilości. Musi być zorganizowana służba <u>łączności</u> (!), zupełnie niezależnie od służby łączności korpusów. W końcu,—i to jest najważniejsze,—dca. rezerwy armii musi po zapoznaniu się z terenem i z istniejącymi umocnieniami oraz ich celem, rozważyć rozmaite ewentualności, z jakimi musi się liczyć i te z dowódcami swoich pułków w terenie i na mapie omówić, Takie "ćwiczenie aplikacyjne", obejmujące teren między Dniestrem a Prutem (50 km.) wymaga dobrych 8 dni czasu.

To wszystko nie stało się wzgl. zostało zaniedbane.

Biorąc sprawy te powierzchownie możnaby tak korpusowi Benigniego jak i XI korpusowi zrobić zarzut, że nie wyłączyli z podwładnych im sił każdy dla siebie rodzaj "rezerwy korpusu", by nią w razie potrzeby załatać dziurę, powstałą na froncie.

Ale w armii Pflanzera było wszelkie tworzenie rezerw o tyle niebezpieczne, że Pflanzer, gdy tylko zwąchał gdzieś jakieś "rezerwy", zaraz nimi zatykał miejsca zagrożone i dca. korpusu mógł być pewnym, że gdy wydzieli sobie jakąś "rezerwę" to Pflanzer mu ją w najbliższych dniach zabierze dla siebie: osiągnie więc tylko <u>osłabienie</u> własnych sił, które w porównaniu z Moskalami były <u>zawsze</u> słabsze. Dlatego w armii Pflanzera żaden dowódca nie wydzielał odwodów.

Trudne zadanie przypadło XI korpusowi, bo musiał Korda na własną odpowiedzialność powziąć jakąś decyzję. Aby poważnie uderzyć z jakąś rezerwą w kierunku północnym we flankę rosyjską ścigających rozbitki Benigniego Moskali, na to nie miał sił. W dodatku w tym czasie zaczęło stanowisko Rumunii wobec Austrii być więcej jak wątpliwe: trzeba się było liczyć z tym, że Rumuni mimo zawartych przez króla Karola traktatów zaczepno-odpornych, uderzą na Bukowinę; to podkreśliłoby odrazu posiadanie przez Austrię Gali-

cji wschodniej a także Węgry byłyby poważnie zagrożone.

W tej tak ciężkiej chwili zdecydował się Korda opuścić tak doskonale ufortyfikowany swój odcinek i wycofać się ze swoimi wszystkimi siłami za Prut, aby bronić Bukowiny.

Było to jedynie trafne postanowienie, bo XI korpus, stojący za Prutem w ufortyfikowanej pozycji, nie dozwalał do zajęcia Bukowiny i podania ręki Rumunom, a także stojąc na flance Moskali, wdzierających się w głąb Małopolski Wschodniej, zagrażał im, bo mógł każdej chwili przejść do kontrofenzywy w kierunku północnym i zagrozić tyłom armii Leszyckiego.

Odwrót nastąpił we względnym porządku, ale dużo materiału wojennego przepadło. Panika bowiem, która ogarnęła korpus Benigniego, udzieliła się częściowo oddziałom XI korpusu, głównie dlatego, że tak zupełnie niespodzianie spadła. Żołnierz nie mógł z początku zrozumieć, dlaczego musi opuszczać pozycję tak doskonale ufortyfikowaną, za którą czuł się zupełnie bezpieczny.

Na odcinek XI korpusu zaczęli w chwili przygotowań do odwrotu naciskać Moskale a nawet wdarli się w niektórych miejscach do okopów, bo żołnierz nie myślał już o obronie, lecz o odwrocie a nie miał jasnego pojęcia, co się właściwie stało. Dochodziły go tylko przesadne wieści o upadku Łucka i klęsce armii arcyksięcia Józefa Ferdynanda, co wszystko razem tworzyło nastrój arcypanikarski. I istotnie przyszło do kilku przykrych panik taborów i wiele oddziałów dostało się do niewoli.

W końcu zajął XI korpus pozycję wzdłuż Prutu (pr. brzeg), oddawna ufortyfikowaną. Pozycja ta miała przyczółek mostowy Żuczka (na l. brzegu Prutu), który miał nawet zasieki druciane, naładowane prądem elektrycznym.

Wartość zasieków drucianych, nabitych prądem elektrycznym.

Na tym miejscu uważam za stosowne poświęcić kilka słów przesz-

kodom, nabitym prądem elektrycznym, które w tym czasie wynalezione x zostały. Polegały one na tym, że po załączeniu prądu (o sile 700 XBX Volt o ile dobrze pamiętam) każde dotknięcie się drutu kolczastego powodowało śmierć dotyczącego, podobnie, jak gdyby usiadł jako delinquent na elektrycznym krześle lub dotknął się przewodów tramwaju. Moskale bali się szalenie tego nowego środka passywnej obrony, mimo gumowych rękawiczek itp. izolatorów, jakie żołnierzom, mającym druty przecinać da ano.

Jednak używanie tego prądu było uzależnione od pewnej sprawności w jego używaniu i zrozumieniu technicznym całego urządzenia: trzeba było wtedy załączać prąd, gdy nieprz. już doszedł do zasieków drucianych, co wymagało stałego doskonale funkcjonującego połączenia telef. między mechanikiem obsługującym mechanizm załączeniowy, a dowódcą pododcinka, oraz zimnej krwi.

Tymczasem np. na froncie bessarabskim wyobrażali sobie głupi "domobrańcy", że wystarczy załączyć prąd i można się spać położyć, bo nprz. nie będzie się ważył przejść linię zasieków drucianych.

Były nawet inne przejawy bezdennej głupoty ludzkiej i panicznego strachu przed tym prądem elektrycznym: znalazł się bowiem jakiś pułkownik, dca pułku, który w obawie o swoje życie i życie podległych mu żołnierzy, kazał... poprzecinać kable doprowadzające prąd do zasieków! Inny znowu, gdy Moskale już przez zasieki przełazili i była najwłaściwsza chwila puszczenia prądu, a nawet mechanik prosił go, by pozwolił załączyć prąd, on się na to nie zgodził;nie dziwić się, że Moskale wtargnęli do pododcinka .

W nocy ciągłe iskierki, błyskające z zasieków, zdradzały, że w nich jest prąd, z czem trzeba się było liczyć, bo nieprz. unikał błyskających zasieków, a szedł na inne.

Długiej mowy krótki sens, że taka nowość, tak skuteczna przy umiejętnym jej użyciu, w ręku laików, przejętych panicznym strachem

przed prądem elektrycznym, nie mogła oddać tych przysług, jakie mogłaby oddać, gdyby jakiś fachowiec,(np.pułk.Papp) miał je w ręku. Mimowoli przypomina mi się powiedzenie:"Mit der Dummheit der Menschen kämpften selbst die Götter umsonst!!

Naturalnie, że kable i cała instalacja były b. narażane na ogień ciężkich haubic, który mógł je poprzerywać; również ogień karab. maszynowych mógł poprzerywać druty i czasowo unieruchomić funkcjonowanie prądu, ale zawsze można było w czasie pauz walki naprawić to wszystko.

Instalację tych elektr. przeszkód przeprowadził niezwykle umiejętnie pułk. inż. Wiktor Niesiołowski, jeden z największych fizyków w Europie, profesor w Techn. Akademii Wojskowej w Mödling.

Dalsze cofanie się XI korpusu w głąb Bukowiny.

Wracam jednak do dalszych losów XI korpusu w lecie i jesieni 1916. Rezultaty strategii Pflanzera - Baltina były wprost przerażające, bo z 240,000 bagnetów zostało mu ledwie 80.000! To była ciężka klęska!

XI korpus wycofawszy się z pewnymi stratami za Prut, obsadził ten odcinek, a wzmocniony Krakowską dywizją piechoty (5 dywizja, dca generał v. Habermann, szef sztabu: mjr.Uriel, głupi, zarozumiały austryjacki generalstäbler).

Dokładnie nie pamiętam ówczesnego składu dywizji z jakich składał się XI korpus; wiem tylko, że między granicą rumuńską, a Czerniowcami stał pułk. Papp ze swoją grupą, Czerniowce, przyczółek mostowy Żuczka - Mamajowce zajmowała 5 dyw. piechoty. Co dalej na lewo stało nie pamiętam. Prawdopodobnie "domobrańcy" (42 dyw. landwery). Sztab XI korpusu stał w Stożyńcu.

Moskale osiągnąwszy ten sukces, że XI korpus musiał się wycofać za Prut, spoczywali jakiś czas na laurach. Bali się zaś piekielnie przyczółka mostowego Żuczka, bo tam były zasieki nabite prądem elektr

nym, dostarczanym z centrali z Czerniowiec.

Wszelkie ich próby przejścia przez Prut nie udawały się. Po pewnym czasie jednak zaczęli ściągać posiłki, Przyszła im na pomoc brygada sybirskich strzelców, który w piękną noc księżycową wzdłuż Prutu idąc od Nowosielicy, dostała się pod przyczółek Żuczki. Tylko dzięki temu, że austryjaccy obserwatorzy artylerii spali i żadnym telefonowaniem nie można się było ich dobudzić, przeszła ta brygada, defilując na 2.000 m nie straciwszy ani jednego żołnierza; gdyby ją była austr. artyleria zauważyła i otwarła ogień, byłaby ona zniszczona. To jednak nie stało się dzięki niedołęstwu i nieobowiązkowości kilku artyleryjskich obserwatorów. Rezultatem tego było potężne uderzenie na Żuczkę i Czerniowce, przy którym znowu Moskale mieli ogromne szczęście; mianowicie most drogowy przez Prut z Żuczki na jego prawy brzeg, leżący mniej więcej w centrum przyczółka, był na wszelki wypadek podminowany i sznury zapałowe założone, by na wypadek, gdyby trzeba było (np. w razie zdobycia przyczółka mostowego Żuczki) wysadzić go w powietrze, mogło to być w jednej chwili uskutecznione. Otóż pech chciał, że jakiś granat rosyjski wyrżnął w sznur zapałowy czy też spłonkę i spowodował eksplozję min; most runął i załoga Żuczki (13 pułk piechoty krakowskiej) znalazła się w fatalnym położeniu, mając odciętą drogę odwrotu. W rezultacie zdecydowało się dtwo.XI korpusu opuścić Żuczkę i wycofać 13 pułk na pr. brzeg Prutu, co zostało uskutecznione przy pomocy jakiejś ad hoc zbudowanej kładki.

Zachęciło to jednak Moskali do przeprowadzenia generalnego szturmu na całą pozycję austryjacką nad Prutem.

Pamiętam tę noc, bo właśnie miałem nocną inspekcję w sztabie korpusu. Najpierw zatelefonowała grupa Pappa, zapytując czy dtwo korpusu coś o tym wie, że Moskale sforsowali Prut wpław i są już na prawym brzegu.

Szef sztabu, nie mogąc się porozumieć z dtwem w Czerniowcach a chcąc wiedzieć, co się tam właściwie dzieje, wysłał ordynansowego oficera, porucznika Proskowetza autem do Czerniowiec. Ten znalazł tam obraz paniki i chaosu. Jedna centrala telefoniczna świeciła się, ale w niej żywego ducha nie było; wszyscy telefoniści zwiali. Dopiero udało mu się całkiem przypadkiem spotkać 2 panienki, telefonistki, które zdołały dostać połączenie telef. z pojedyńczymi grupami i dywizjami.

Zostały za waleczność dekorowane.

Meldunek sytuacyjny, por. Proskowetza brzmiał bardzo ponuro; potwierdziły zaś jego trafność meldunki pojedyńczych grup i dywizji. Z nich wynikało, że Moskale z przeważającymi siłami sforsowali w licznych miejscach Prut i wdarli się w austryjackie pozycje, rezerw zaś dostatecznych, by ich za Prut wyrzucić nie miał Korda.

Chcąc uniknąć dalszego rozgromienia XI korpusu, zdecydował się Korda z ciężkim sercem na dalszy odwrót n. G. za wiedzą i aprobatą dcy VII armii gen. Pflanzer- Baltina.

Sztab XI korpusu w Kirlibabie.

Korpus cofnął się więc bardziej na południe zajmując pozycję kilka km. na północ od Kirlibaby, sam sztab korpusu stanął w Kirlibabie. Zaczęło się na gwałt fortyfikowanie odcinka; ponieważ Weingärtnera już nie było, więc ja znowu objąłem szefostwo inżynierii i kierownictwo robót fortyfikacyjnych. Teren nadawał się bardzo dobrze do umocnień, bo skały i strome urwiska utrudniały Moskalom natarcie, a w dodatku dowóz amunicji i żywności dla Moskali wisiał na jednej tylko drodze, wiodącej od północy do Kirlibaby. Gdy ta była pod obserwacją i obstrzałem dalekonośnych dział, to istotnie trudno się było nieprzyjacielowi przygotować i ugrupować do jakiegoś poważniejszego natarcia.

Obchodząc i wytyczając linie, które miały być umocnione, dożyłem kilku ciekawych epizodów. I tak na półn.-zachód od Kirlibaby wznosi-

ła się wysoka b. stroma góra, do której szczytu prowadziła tylko jedna wąziutka ścieżynka . Oczywiście, że jako fortyfikator, obowiązany do szczegółowej znajomości całego terenu, wygramoliłem się na sam szczyt i znalazłem tam na płaszczyźnie około 500 m w kwadrat sadybę huculską, której mieszkańcy (baba, kilkoro dzieci i dziadek-staruszek) od r.1914 nie schodzili na dół, żyli zapasami uzbieranymi, gdy mąż baby poszedł na wojnę, i o całej wojnie światowej literalnie nic nie wiedzieli. Szczęśliwi!

Drugi epizod, rzucający charakterystyczne światło na mentalność ówczesnych niemieckich oficerów, był następujący: ponieważ cały front od Złoczowa aż po rumuńską granicę przeszedł pod komendę arcyksięcia następcy tronu Karola przeforsował Hindenburg że szefem sztabu arcyks. Karola został pułk. niem. gene von Seeckt, jeden z najtęższych oficerów niem. szatbu, prawa ręka Hindenburga i Ludendorffa, co było dla Austrii bardzo korzystne, bo arcyks. Karol nie miał przy najlepszych chęciach tego doświadczenia i rutyny, by takim potężnym odcinkiem dowodzić. Taki von Seeckt był tedy na tym stanowisku bardzo potrzebnym.

V.Seeckt, chcąc być zawsze dokładnie i obiektywnie poinformowanym, co się na odcinkach poszczególnych korpusów dzieje, miał w każdym korpusie tz."łącznikowego oficera".

Takim oficerem łącznikowym przy XI korpusie był rotm. von Ritter, człowiek b. elegancki b. dobrze się prezentujący; był kilka razy ranny i dlatego obecnie użyto go do służby łącznikowej.

Z nim wybrałem się na rekonesans linii okopów austryjackich, które właśnie saperzy i piechota rozbudowywali. Linia okopów nie była jeszcze gotowa i były w niej liczne luki. Również rowów dobiegowych nie było. Będąc poniekąd moralnie odpowiedzialny za osobiste bezpieczeństwo rotm. Rittera i nie chcąc go narażać na jakąś przypadkową kulę ros., prosiłem go, by pozostał chwilę z tyłu, a ja tymczasem pój-

dę naprzód i zbadam, jaką drogą możnaby bezpiecznie dojść do samych okopów. On jednak gorąco przeciw temu zaprotestował mówiąc:" O! Nein Lieber Herr Hauptmann! Mein Leben ist nicht um einen Pfenig mehr wert als das Ihrige!" Wir gehen zusammen!"

No i poszliśmy! Ale ten rycerski gest jego bardzo mnie dla niego ujął. Był to typ dzielnego oficera, u którego honor oficerski stał zawsze wyżej, niż troska o osobiste bezpieczeństwo. Nie dziw, że był w sztabie ogólnie szanowany i lubiany.

Moje pierwsze zetknięcie się z następ. tronu arcyks. Karolem i pułk. v. Seeckł.

Gdy w r. 1916 arcyks. Karol objął był dtwo. frontu od Złoczowa do rum. granicy, objeżdżał pododcinki podległych mu korpusów i przybył także do Sadagóry. Poprzedzała go nieszczęśliwa opinia: uważano go za pijaka, człowieka małej inteligencji i absolutnie nie nadającego się na cesarza Ausro-Węgier. Opinia ta była niesłuszna, a opierała się głównie na fatalnej opinii, jaką mu zostawił jego ojciec arcyks. Otto, człowiek zresztą dobry i szlachetny, ale lubiący szampan nad życie i prowadzący hulaszczy i b. rozpustny żywot.

Jakież było miłe nasze zdziwienie i rozczarowanie w dodatnim kierunku, gdyśmy się zetknęli z człowiekiem młodym, b. przystojnym, z opalonym na czerwono obliczem od jazdy w otwartym aucie, człowiekiem b. skromnym, interesującym się wszystkim, stawiającym b. rozumne pytania, a znajdującym dla każdego w sztabie jakieś słowo uznania.

Jak mile odbijało to od wyuzdanych manier, powiedzeń i"Burschikosität" arcyks. Józefa Ferdynanda, tak niechlubnej pamięci dcy. armii IV nad Stochodem (klęska pod Łuckiem w czerwcu 1916)!

Do obiadu podano skromnie zwyczajne wino, arcyks. Karol wypił 1-2 kieliszki, rozmowa przy stole b. miła i interesująca, nie zauważyliśmy niczego, co by świadczyło o jakiejś tępości umysłu.

Z nim przyjechał jego szef sztabu pułkownik von Seeckt. Już wów-

czas wiedzieliśmy, że jest to prawa ręka Hindenburga i Ludendorffa. Słuszny, szczupły, doskonale się prezentujący oficer. Interesując się sprawami ufortyfikowania odcinka XI korpusu, zwrócił się do mnie i wtedy miałem sposobność dłużej, niż inni z nim rozmawiać. Zrobił na mnie b.poważne a dodatnie wrażenie, przejawiając b. wiele fachowych wiadomości z dziedziny inż. wojskowej, co mnie bardzo zdziwiło.

Arcyks. Karol także się wmięszał w tę rozmowę i obiecał, że przy najbliższej wizytacji frontu oglądnie także i fortyfikacje.

Po tym skromnym obiedzie odjechali obaj dostojnicy.

Ustąpienie generała Kordy z dtwa XI korpusu.

Pflanzer, który Kordy nie lubił, nie mógł mu zapomnieć utraty Czerniowiec wzgl. części Bukowiny i rył ciągle pod nim w A.O.K., zarzucając mu brak energii i brak zdrowia do sprawowania tak ważnej funkcji, jak dtwo korpusu. Korda cierpiał wprawdzie na astmę, ale był to umysł niezwykle trafnie oceniający operacyjne sytuacje, a także charaktery i inteligencję ludzi, z którymi się stykał. A przy tym był to prawdziwy gentelmen od głowy do pięty, czego tylokrotne dowody mieliśmy. W końcu Pflanzer go wysadził, bo Kordę ze względów zdrowotnych przeniesiono w stan spoczynku.

Gdy się rozeszła wiadomość, że Korda ze swego stanowiska ustępuje, opanowało nas w sztabie oburzenie na Pflanzera -Baltina i głęboki żal owładnął nasze serca, bo byliśmy do niego szczerze przywiązani.

Również pułk. Trautweiler, jego szef sztabu, człowiek b. rycerskiego i szlachetnego sposobu myślenia, ustąpił ze swego stanowiska, uważając, że jako porządny człowiek powinien był podzielić los swego dowódcy.

Można śmiało twierdzić, że w armii austryjackiej mimo destrukcyjnego dla charakterów wpływu sztabu generalnego, było jeszcze b. wielu zacnych i porządnych ludzi.

Cicho, bez żadnych hałaśliwych uczt pożegnalnych, usunęli się ci

dwaj ludzie ze swoich stanowisk, Do łez nas wzruszyły krótkie a serdeczne słowa pożegnania ich.

Korda przeszedł bezzwłocznie w stan spoczynku i zamieszkał w Wiedniu, Trautweiler został szefem sztabu "des Militärkommandos in Wien".

Następcą Kordy został mianowany feldmarschalleutnant Hugo Śliwon Habermann, dotychczasowy dca 5 dyw. piechoty (krakowskiej) Był moim nauczycielem w szkole wojennej w Wiedniu, gdzie wykładał wojskową organizację. Poznałem go już wtedy z najlepszej strony. Jako b. oficer inżynierii miał dość duże zrozumienie dla spraw techn. i fortyfikacyjnych. Był człowiekiem spokojnym, zrównoważonym, z którym można było o wszystkim mówić.

Nowym szefem sztabu XI korpusu został podpułkownik Redlich. Nie był to oficer gen. sztabu, lecz zdaje się, jako ongiś przydzielony do gen. sztabu miał szaloną ambicję, aby z powrotem uzyskać definitywne przydzielenie do generalnego sztabu. Dla tej idei poświęcał wszystkę swą energię, by w dtwie Armii wykazać, jak to on doskonale pracuje, chcąc przez to w możliwie złym świetle przedstawić swego poprzednika pułk. Trantweilera. Był to typ tz. w armii austr. "Strebera". Oficerowie, którzy znali stosunki zakulisowe i mieli cichą łączność z A.O.K. twierdzili, że pochodził on z żydów i że dzięki temu, a także dzięki właśnie tej swojej "Streberei" nie został jako kapitan przydzielony do gen. sztabu. Mimo całej swojej "Streberei" był to typowy nieuk wojskowy: wyłapałem go nawet na tym, że popełniał grube błędy w czytaniu map. Wydawał całą kupę zarządzeń, często zbędnych, a także niewykonalnych, szczególnie, gdy się rozchodziło o rzeczy techniczne.

Mnie jednak darzył dość dużą sympatią, nie wiem dlaczego, bo dość często musiałem jego techniczne rozkazy rektyfikować wzgl. wogóle redresować. Zdaje mi się, że miał do mnie zaufanie.

Ktoś czytający "Luźne Karty" gotów pomyśleć, że niema bardziej bezpiecznego miejsca na wojnie, jak być przy sztabie korpusu szefem inżynierii. Tak jednak nie jest, do takich mniej miłych a dość niebezpiecznych czynności szefa inż. odpowiedzialnego za dobre i celowe prowadzenie trasy linii fortyfikacyjnych - należy korrektura pozycji, które zwykle powstają w kontakcie z nieprzyjacielem i których położenie jest najczęściej dziełem przypadku: każdy piechur okopuje się, gdzie może wzgl. gdzie mu najwygodniej, często w rażącej sprzeczności z istotnymi potrzebami taktycznymi. Obchodząc pozycje frontu musiałem każdą nową, w ten sposób powstałą linię poddać weryfikacji i np. zarządzić jej przesunięcie naprzód. Tu natrafiałem na dosyć dużą passywną rezystencję ze strony załogi (tj.dców.komp.wzg. baonu), którym się poprostu nie chciało nową linię rekognoskować, kopać i trzymać.

Ile razy np. była pozycja bez należytego obstrzału przedpola (kapitalny błąd!) lub nie dosyć powyginana i nie pozwalająca na skuteczny ogień flankowy. Nie zostawało mi nic innego,jak osobiście wyłazić z okopów przez przeszkody w przedpole i tam rekognoskować i wytyczać nową linię. Tu byłem naturalnie narażony na ogień rosyj. czujek, a musiałem to robić w dzień, bo w nocy nie można było należycie w ciemności wybrać nową pozycję.

Takich rekonesansów na przedpolu odbyłem b. wiele i cud Boży, że mnie przy tym nie ustrzelono lub do niewoli nie wzięto.

Pamiętam raz znalazłem na odcinku "domobrańców" pododcinek jakiejś kompanii, kt. nie miał nawet 100x obstrzału, przesunięcie linii na pagórek zarosły drzewami a leżący tuż przed pododcinkiem kompanii było rzeczą nieodzowną. Na moje zapytanie, czy kompania ma na tym pagórku swoją "czujkę" zapewnił mnie dca.komp. (jakiś porucznik) że mogę śmiało i bezpiecznie podejść do czujki i dał mi nawet jakiegoś piechura za przewodnika. Tymczasem, gdy dochodzę do szczytu pa-

górka słyszę rozmowę prowadzoną po rosyjsku! Oczywiście wycofałem się jak najprędzej z powrotem: zdaje się, że albo tej czujki wcale tam nie było, albo ją Mosk. zagarnęli, o czym dca komp. zdawał się nic nie wiedzieć. Trzeba było więc zrobić załodze wypad na ten pagórek, zająć go, okopać się i wtedy dopiero przeprowadzać potrzebne korrektury trasy!

Takich niemiłych niespodzianek dożyłem b. wiele tam, gdzie trasę wytyczano bez pomocy oficerów saperów.

Wojna podziemna na froncie bessarabskim.

Jeszcze w r. 1915, gdy ustabilizował się front XI korpusu wzdłuż bessarabskiej granicy rozpoczęła się wojna podziemna, owa najobrzydliwsza forma walki pozycyjnej, o której słusznie zdaje mi się pułk. v.Seeckt powiedział, że "raz rozpoczęta, nigdy się nie kończy".

Rozpoczęli ją Moskale naprzeciw Dobronowiec (456). Mianowicie na tym odcinku, obsadzonym wówczas, o ile sobie przypominam, przez jakiś pułk "domobrańców", wzięto do niewoli kilku jeńców (czy zbiegów). którzy złożyli równobrzmiące zeznania, że Moskale pod wodzą jakiegoś "praporszczyka" rozpoczęli robić podziemny chodnik, by nim podjechać austr. pozycje na △456 i wysadzić je w powietrze.

Jak było do przewidzenia opanowała oddziały austr., stojące na pozycji w 1 linii, trwoga, granicząca z paniką: każda placówka imaginowała sobie, że słyszy uderzenia oskardów i zbliżające się podkopy i w obawie, by nie wylecieć w powietrze, alarmowała odcinek, ten znowu dtwo. dywizji i w końcu opierał się każdy taki meldunek o dtwo korpusu.

Nie można było w żadnym razie lekceważyć takich meldunków.

Oczywiście oparła się w końcu sprawa o mnie, jako szefa inżynierii.

Przypadek tak zrządził, że akurat wśród oficerów saperów armii austro-węg. ja jeden o tej formie wojny miałem jakie takie wyobra-

żenie, poświęciwszy jej pewnej zimy przed wybuchem wojny pod wrażeniem lektury dzieła Nörregarda pt. "Oblężenie Portu Artura" kilka miesięcy studiów,

Wojna podziemna była tematem do tego stopnia w armii austr. zapomnianym, że nawet nie istniał żaden przepis, wykładający zasady wedle których ją prowadzić należy.

Odkomenderowałem tedy zaraz 1/2 komp. saperów pod dtwem. porucz. Pokornego, i przeprowadziwszy osobiście rekonesans na miejscu i wyznaczywszy kierunki trzech chodników, którymi zamierzałem zetknąć się wzgl. oskrzydlić nieprz. chodniki, rozpoczęliśmy roboty. Teraz dopiero wyczuliśmy na własnej skórze, jak przykrą jest taka wojna podziemna: trwa ona bowiem bez przerwy; dzień i noc ryje się te chodniki, które im dłuższe, tym mniej powietrza mają. Saperzy w nich pracujący, wyglądali mimo częstych zmian jak stwory. Oczy nabierały wskutek braku tlenu jakiejś niesamowitej barwy zielonkawej, cera stawała się ziemista, a saperzy, którzy dotąd okazywali silne nerwy, popadali w stan dziwnego zdenerwowania.

Nie należy się temu dziwić, bo kuć chodnik podziemny a równocześnie pilnie nadsłuchiwać, czy nieprz. minerzy prowadzą roboty dalej, to straszna próba nerwów. Trzeba się co chwila liczyć z tym, że nprz. nabije swoje chodniki i wysadzi je, grzebiąc naszych pracujących saperów żywcem.Na to trzeba bohaterskiej odwagi i ogromnej dozy poczucia obowiązku.

Chciałem w jakiś sposób ulżyć naszym saperom w ich tak ciężkim obowiązku; mianowicie udało nam się na podstawie zeznań zbiegów i obserwacji patroli, wysłanych w przedpole, stwierdzić miejsce, gdzie nprz. założył swoje wejście do podziemia (tz."Minenlogement").

Postawiłem wniosek, by artyleria ciężka obłożyła to miejsce ciężkimi granatami; lecz artylerzyści nie mogli gwarantować, czy pod tym ogniem nie ucierpią i własne okopy wzgl. własne "Minenlogement".

Lecz właśnie ~~xxxxxxx~~ wtedy przysłano nam z "Hinterlandu" 22cm-miotacze min, wyrzucające miny o 14 kg ekrazytu. Chcąc je wyprobować ściągnąłem baterię takich dwóch "minenwerfów" na Δ 456 (Stützpunkt Dobronowce) i zacząłem przypuszczalne nprz." Minenlegement" okładać tymi ciężkimi minami.

Gdy pierwsza "Wurfmina" wzgl. bomba wyleciała w górę, widać było jak ona koziołkowała w powietrzu, poczem spadła dość blisko zdaje się nprz. "minenlogement."

Ponieważ miała zapalnik z dość długim "opóźniaczem" więc upłynęło kilkanaście sekund nim nastąpiła aksplozja. Kilku ciekawych Moskali podbiegło do niej, by oglądnąć ten nowy nieznany dotąd pocisk, przypuszczając, że to był "niewypał" (Blindgänger). W tej chwili eksplodowała Wurfmina. Działanie jej było wprost straszne, bo trzydziestoletnie drzewa koło miejsca wybuchu wyleciały ponad 20 m w górę, a z nimi i ciała ciekawych Moskali.

Nie pamiętam,ile takich bomb wyrzuciliśmy wtedy, ale działanie ich osiągnęło swój skutek: wedle zeznań zbiegów nprz. "menenlogement" zostało poważnie uszkodzone i nieprz. roboty minerskie na kilka dni przerwane. Cel więc został tą bombardacją osiągnięty. W międzyczasie nasze chodniki podziemne zrobiły zawsze skok naprzód na kilkanaście metrów.

Ten kontratak minowy z naszej strony zainteresował cały odcinek; wszystkie sztaby zaczęły się nim interesować, szczególnie gdy doszła nas wiadomość, że we Francji w Argonach, czy Wogezach rozszalała się walka podziemna na wielką skalę, a także i na włoskim froncie zaczęli włoscy "minatori" ryć i kuć w skałach chodniki.

Korda kilka razy zwiedzał te roboty podziemne i był świadkiem pierwszego bombardowania z 22 cm "minenwerferów"; był b. zadowolony. Raz nawet spuścił się do chodników podziemnych, lecz nie długo mógł tam wytrzymać, bo z powodu braku tlenu zaczęła go astma dusić.

Wojna podziemna przejęła go jednak obrzydzeniem. Zdaje się, że był to jeden jedyny komendant korpusu, który zaryzykował osobiście zwiedzenie podziemnych chodników, nabrał przy tym wielkiego uznania dla naszych biednych minerów i ich pracy.

Prace kontrminowe postępowały naprzód; prawie codzień wzgl. co drugi dzień byłem w Dobranowcach na △ 456 osobiście, rekognoskując, wysłuchując sam pod ziemią i dając poruczn. Pokornemu wskazówki, co dalej czynić.

Trzeba było zacząć pomału myśleć o nabiciu chodników i wysadzeniu ich, by zgnieść nprz. chodniki. Nabiliśmy najpierw środkowy chodnik Nr. II, obliczając siłę min tak, by nam one w przedpolu nie zrobiły żadnych lejów. Te bowiem mógłby nprz. wykorzystać do okopania się w nich i zbliżenia w ten sposób do naszej linii oporu.

Udało się nam doskonale, bo naszą miną zaskoczyliśmy Mochów. Jej eksplozja zburzyła nprz. chodnik w dość dużej długości. Ten głupi "praporszczyk", który rozpętał na naszym odcinku tę nieszczęsną wojnę podziemną stanął wobec faktu tego bezradnie, zaprzestać zaś nie mógł jej, bo w takim razie my ryjąc dalej bylibyśmy podjechali nprz. okopy i wysadzili je w powietrze.

Obie strony kontynuowały więc dalej rycie pod ziemią.

Nareszcie i "praporszczyk" zdobył się na zapalenie swojej miny; nie miał jednak widocznie najmniejszego pojęcia w obliczaniu ładunków.

Zdarzył się wówczas taki wypadek: właśnie pracował w chodniku zdaje mi się prawym Nr. III gefreiter Pawłyszyn i jeszcze jeden saper, gdy mina ros. eksplodowała. Jednak za słaba mina nie zdołała zawalić chodnika, lecz tylko uszkodziła go na kilka m. długości.

Pawłyszyn i jego towarzysz byliby zginęli, gdyby nie ta okoliczność, że brusy, które stanowiły obramowanie chodników wyskoczyły wprawdzie z fug, ale położyły się tak na wskos profilu chodnika,

że stworzyły rodzaj wąziutkiego schronu, w którym się Pawłyszyn i saper skryli i nim w końcu na świat boży wydostali.

Opowiadał mi Pokorny, że, gdy nastąpiła eksplozja miny ros. buchnął z chodnika czarny dym i wszyscy myśleli, że obsada zburzonego chodnika zginęła zasypana lub uduszona trującymi gazami miny (CO!) Jakież było miłe zdziwienie i radość, gdy po kilku minutach wylazły na powierzchnię ziemi dwa stworzenia, okopcone na czarno i obdarte, ale żywe!

Naturalnie wycofałem tych dwóch dzielnych saperów bezzwłocznie do Sadagóry, dając im przydział przy kolumnie parkowej, tak, że odtąd już żaden z nich więcej chodnika podziemnego nie oglądał. Korda zaś kazał natychmiast postawić wniosek na ich odznaczenie. Dostali obaj duży srebrny medal za waleczność.

Wojna podziemna niby zaraza rozpętała się teraz na pododcinku pułk. Pappa pod Mahalą (patrz szkic). Kontratak prowadziła druga połowa 2/11 komp. saperów pod dtwem. por. Kordzika, mając przydzielonego podpor. Panica.

Tu już nie powodziło się naszym saperom tak, jak na 456, bo Moskale sprowadziwszy sobie kompanię saperów dość szybko a niepostrzeżenie rozpoczęli ryć chodniki i podsunęli się mniej więcej na 50-60^x od odrutowań Pappa. Nie mieli jednak dosyć zimnej krwi, by ryć dalej, a może źle obliczyli odległość, którą osiągnęli, dość że nabili chodnik b. silnie i wysadzili go.

Przed drutami Pappa powstał lej na może 10 m głębokości a 20-25 m średnicy, było dużo strachu, czy inne chodniki nie zostaną również nabite i wysadzone, ale ros. "sapiery" jak z zeznań jeńców wzgl. zbiegów wynikało, mieli tylko jeden chodnik (co świadczy, że ros. kierujący robotami podziemnymi oficer nie miał wielkiego wyobrażenia o wojnie podziemnej.)

Ta obrzydliwa wojna podziemna trwała dalej; obie strony usiło-

wały przechytrzyć się, co kosztowało dużo pracy, dużo krwi, a efekt był nikły.

Dla mnie osobiście miała ta głupia wojna podziemna jednak pewny b. dodatni skutek: mianowicie nabrałem przekonania, że cały austr. korpus ofic. saperów, jako też oficerowie ze sztabu inżynierii nie mają o całej wojnie podziemnej żadnego wyobrażenia. Postanowiłem tedy napisać broszurkę p.t. " Abwehr des Unterirdischen Angriffes" i posłać do Techn. Komitetu Wojskowego, który takie rzeczy nawet podczas wojny drukował. Dane ku temu miałem, bo - jak to już wspominałem - jeszcze na kilka lat przed r. 1914 studiowałem dużo dzieł na ten temat, a obecnie zbierałem praktyczne doświadczenia w wojnie podziemnej pod Dobronowcami i Mahalą.

Myśl napisania takiej instrukcji wzgl. rozprawy wprowadziłem w czyn podczas pobytu sztabu w Kirlibabie. Chcąc, by w techn, komitecie wojsk. tę moją literacką pracę życzliwie traktowano i wydrukowano, przedłożyłem ją gen. Habermanowi, wówczas już dcy.XI korpusu na miejscu gen. Kordy, który jako, że służył jako podporucznik i porucznik w inżynierii wojsk., miał dla niej zrozumienie i uznał, że wydanie jej jest b. na czasie.

Zaopatrzył więc ją we własnoręcznie napisaną "opinię" i praca poszła do Techn. Wojsk. Komitetu, który ją bezzwłocznie wydrukował, a mnie w armii austr. zrobił opinię specjalisty w wojnie podziemnej.

Sprawa tej ostatniej stawała się z każdym dniem bardziej aktualną, bo wojna podziemna na froncie włoskim rozwijała się coraz bardziej: gdzie odległość okopów austr. od włoskich nie była większa niż 150 m. można było być pewnym, że rozpoczną się podziemne operacje.

Na czele wojsk saperskich w Austrii stanął wówczas generał Emil Gołogórski, jako generalny inspektor saperów, człowiek ze

wszech miar znakomity, fachowiec pod wzgl. techn. jakiego ani Niemcy ani Austria lepszego nie miała, w swoich zamierzeniach daleko wzroczny a w służbie niezmiernie wymagający i twardy.

Ten widząc co się na froncie włoskim dzieje i zorjętowawszy się, że włoscy" minateri" absolutnie górują nad austr. saperami, postanowił radykalnie ten brak uzupełnić, zakładając w Mautern nad Dunajem "Kurs minerstwa" (Mineurkurs). Miał to być zakład, w którym w 6-tygodniowych kursach mieli się oficerowie saperów zaznajomić z wojną podziemną w ogóle, a specjalnie z najnowszymi wynalazkami techn. na tym polu, a równocześnie miano w tym zakładzie poddać próbom i opiniować setki wynalazków i pomysłów, jakie na polu minerstwa się obecnie pojawiły.

Komendantem mianował pierwotnie niejakiego kapitana Gyukowicza, który prowadząc wojnę podziemną na włoskim froncie, osiągnął był wcale ładne rezultaty. Lecz był to na tym polu samouk, bez jakichkolwiek teoretycznych podstaw, a przy tym dość wielki alkoholik. Nie popasał więc długo na tym stanowisku i prosił się z powrotem na front, czując zdaje się za wielką odpowiedzialność, jaka zaciążyła na nim, jako na komendancie kursu minerów.

Wówczas gen. Gołogórski, którego uwadze nie uszła moja broszurka, zamianował mnie komendantem tego kursu i spowodował, że Ministerstwo Wojny ściągnęło mnie z frontu i odszedłem 4.XI.1916 do Mautern.

Jakkolwiek stanowisko, jakie zajmowałem w XI korpusie było dla mnie i b. zaszczytne i stosunki służbowe miłe, to jednak b. chętnie odszedłem do "Hinterlandu" będąc bez przerwy 27 miesięcy na froncie. Nie wielu było takich, którzyby tyle służby frontowej zakosztowali jednym ciągiem bez przerwy, co ja.

Rumunia wypowiada wojnę Austrii i Niemcom

W Kirlibabie stał sztab XI korpusu około 2 miesięcy, gdy stano-

wisko Rumunii w obec Austrii zaczęło być b. podejrzanw. Parła na rząd rum. Rosja (Aleksiejew) a głównie Francja i Anglia, by porzuciła swą dotychczasową neutralność i wystąpiła czynnie przeciw Mocarstwom centralnym.

Rząd rumuński,-premier Bratianu,-dał się w końcu namówić i Rum. zobowiązała się do 28 sierpnia 1916 wystąpić orężnie przeciw Austrii O tym dowiedzieli się jednak sztaby mocarstw central. wcześniej, wyłapawszy i odszyfrowawszy depeszę Bratianu i zaczęły bezzwłocznie czynić przygotowania do sparaliżowania tej akcji, która była ze strony Rosji i Rumunii na potężną skalę zakrojona, Rum. zmobilizowała około 800.000 żołnierza, podzielonego na 4 armie i zamierzała z trzema uderzyć na Siedmiogród i połudn. Węgry, a czwarta stanowiła rezerwę na wypadek, gdyby Bułgaria, dotąd neutralna, zechciała Rumunii od południa (Bukareszt) zagrozić.

Sytuacja stała się dla Austrii b. przykrą a szczególnie XI korpusu, bo trudno było i odpierać potężne natarcia ros. z północy (Brusiłow i Leszczycki) i bronić Bukowiny od wschodu i południa przed inwazją rumuńską.

Ale tu jakoś szczęście sprzyjało Austryjakom, mianowicie dcy. rumuńscy okazali się tak do niczego, zwlekali tak długo z zaczęciem operacji, że Austryjacy i na pomoc im spieszący Niemcy zdołali zgromadzić na czas dwie armie: armię Arcta i armię Falkenhayna i przez tę zwłokę utracili Rumuni sposobność wkroczenia do Siedmiogrodu i Węgier południowych.

XI korpus musiał jednak,-zanim armia Arcta i Falkenhayna zaczęły operować,-dostosować się do sytuacji jaka na Bukowinie wzgl. w Rumunii zaistniała, zmienić front, cofając się najpierw do Jacobeny a potem do Dorna Candreny (tj. w Siedmiogrodzkie góry).

Z epizodów, w których osobiście brałem udział pamiętam następujący: Oto jakiś pułk huzarów austryjackich na prawym skrzydle korpusu

wykonał rajd na teren rumuński. Przerażenie ludności nie da się opisać. Ponieważ jechałem konno tuż za huzarami, chcąc teren rumuński nadgraniczny pod wzgl. fortyfikacyjnym zrekognoskować i byłem w kilku wioskach, więc widziałem to wszystko na własne oczy.

Z wyjątkiem krów i koni zostawiali przeważnie Rumuni wszystko! Nawet psy łańcuchowe nikt nie uważał za stosowne pospuszczać. Masa kur, gęsi, kaczek, a także trzody chlewnej błąkało się po pojedyńczych gospodarstwach. Wszystko to zarekwirowały oddziały, które tam wkroczyły. Ale ani jednego człowieka!

Huzarom zdarzył się tam taki wypadek: w jednej piwnicy znaleźli olbrzymią beczkę wina, pełną. Chcąc się do wina dostać, a nie mając lewara wpadli husarzy, widocznie już dobrze podchmieleni, na pomysł strzelić z karabinka do beczki. Ta jako że była pełniusieńka, pękła i cała jej zawartość, (czerwone wino) rozlała się po piwnicy. Husarzy położyli się na podłodze i zaczęli chłeptać. Skutek był ten, że się popili do zupełnej nieprzytomności, i utopili w winie!

Miła choć niechlubna śmierć!

Gdy znowu drugi raz rekognoskowałem, była już tam jakaś austr. piechota. Natomiast wszystkie rowy strzeleckie, były wyścielone b. pięknymi kilimami (!), które szabrowano w chałupach. Co za iście wojenna rozrzutność! Co za marnotrawstwo! A przecież te kilimy były zrobione z najlepszej wełny! A tymczasem w kraju wyrabiano mundury dla wojska z różnych pokrzywianek, cajgów itp.

Jakaś dziwna chęć niszczenia tkwi w psyche żołnierza; mentalność jego idzie po linii:"gdy ja jako żołnierz narażam życie, to niech cywil, będący zdala od niebezpieczeństwa, choć materialną szkodę ponosi"!

Inspekcja frontu przez następcę tronu arcyksięcia Karola.

W tym czasie przyjechał arcyksiążę Karol na inspekcję frontu XI korpusu, który był obecnie pod jego komendą. Przyjechał bez swe-

go szefa sztabu pułk. v.Seeckta.

Objawił chęć dojścia do pozycji najbliżej położonych od ros. rowów strzeleckich i tu musiała się stać jego wola. Nie można było odradzać mu tego ze wzgl. na osobiste niebezpieczeństwo, bo czułby się obrażonym, mając także swoje żołnierskie ambicje. Któż miał go po pozycji prowadzić? Naturalnie ja, jako szef inżynierii, znający cały system naszych rowów doskonale.

Wyruszyliśmy więc we dwójkę, miałem o tyle strachu wiele, bo przecież każdej chwili mogli Moskale urządzić tz."napad artyleryjski", (artillerieüberfall) nakryć dotyczący kawał rowów granatami i szrapnelami i gdyby arcyks. miał pecha, mogło go spotkać nieszczęście Cała moja troska leżała w tym, by nie wzbudzić niczem podejrzenia ros. obserwatorów artyleryjskich.

Również nie można było własnych oddziałów awizować, że tak wysoki dostojnik będzie po rowach chodził, bo to mogłoby także-zdradą przez jakiegoś dezertera,-sprowadzić ogień artylerii.

Poszliśmy tedy, kierując się do wystającego, a na pagórku położonego kawałka rowu. Arcyks. Karol był b. miłym towarzyszem, rozmawiało się z nim jakby z jakimś zwyczajnym oficerem; nic się nie czuło, że się idzie w towarzystwie człowieka, kt. za kilka miesięcy miał zostać cesarzem Austrii.

Stawiał różne, b. rzeczowe pytania i tak gawędząc doszliśmy do rowów. Podeszliśmy, nb. ze wszystkimi ostrożnościami, niemal do stanowiska placówki i tu najpierw przy pomocy peryskopu, a potem wprost przez zwykłe polowe lornety, obserwował arcyksiążę Karol pozycję austr. i rosyjską. Widać je było, jak na dłoni, prawie do Dorna Watry.

Mieliśmy szczęście, bo nprz. art. milczała; było to zresztą zaraz popołudniu, a więc w czasie, wktórym czujność obserwatorów jest najmniejsza, jak praktyka uczy.

Byłem,-wyznaję szczerze,-b. kontent, jak się cała eskapada

na front bez przypadku odbyła; a trzeba wziąć pod uwagę, że nprz. placówki były od naszych ledwie 100 kroków oddalone, więc i ogień karabinowy mógł być niebezpieczny.

Podziwiałem spokój i zimną krew arcyksięcia Karola, z jaką oglądał nprz. pozycję; o jakiejś trwodze nie było mowy. Podniosło to w moich oczach szacunek dla jego osoby, krzywdzonej tak niesłusznie przez różne indywidua "hinterlandu"; rozsiewające najniegodziwsze wieści o tym człowieku.

Zdobycie wzgórza na wschód od Dorna Watra.

Opiszę je dlatego, bo stanowiło ono doskonały przykład, jak piechota, poparta planowym i skutecznym ogniem artylerii, może prawie bez strat wedrzeć się i zająć nprz. odrutowane okopy.

Mianowicie na wschód od wioski Dorna Watra, od naszych stanowisk około 2 km. wznosiła się wzgórze formy głowy cukru, na którym stała b. piękna cerkiew prawosławna. Tam usadowił się ros. obserwator, mając jak na dłoni pozycje austryjackie i-ostrzeliwując ogniem art. każdy oddział, każdą kuchnię polową itp.-uniemożliwiał austr. wzgl. niem. oddziałom, znajdującym się w okopach spokojną egzystencję.

W skład XI korpusu wchodziła wówczas-zdaje mi się-40 /15 reg. dywizja piechoty (dca. gen. Nagy) a także jakaś niem. dywizja, w której składzie był 16 pułk bawarskiej piechoty (tz. "Bayern Sechzehn"), b. mężny. Ten pułk otrzymał zadanie po przygotowaniu artyleryjskim ruszyć do ataku i zająć wzgórze z cerkwią.

Plan natarcia artyleryjskiego wypracował kpt. Geng ze sztabu XI korpusu, doskonały artylerzysta.

O godz. 15 ^{h} rozpoczęła austr. artyl. ogień, będąc już przedtem doskonale wstrzelaną i mając dobrze wypośrodkowane elementy strzału.

Najpierw zagrały polówki, zmuszając załogę okopów do krycia się;

potem zagrały 10 cm i 15cm haubice, waląc w okopy granatami, a na końcu przemówił 30.5 cm moździerz Skody. Zaraz pierwszy jego granat uderzył tak doskonale w cerkiew, że widzieliśmy tylko chmurę dymu a gdy ta opadła, z cerkwi nie było śladu.

Wówczas ruszyli Bawarscy do ataku: doszli do okopów zupełnie bez strat, bo przemożny ogień artylerii zmusił załogę do wycofania. Jeden tylko batalion Bawarów nieostrożnie zapędził się za daleko i tam go złapał jakiś ros. karabin maszynowy, zadając mu straty kilkudziesięciu zabitych i rannych.

Pozycja ros. była zdobyta i zajęta i kilkuset jeńców przyprowadzili Bawarzy. W ręcznym starciu byli straszni, bo każdy z nich miał za cholewą krótki ostry nóż, którym siali okropne zniszczenie.

Dtwo. korpusu, wiedząc, że Bawarzy po bitwie mają pragnienie, dostarczyli im kilkanaście beczek piwa (narodowy ich trunek)! a Bawarzy ochłonąwszy z "furror teutonicus" także i jeńców gościnnie piwem potraktowali.

Cała potyczka trwała wraz z przygotowaniem art. może godzinę.

Był to piękny widok!

Moje odejście do Hinterlandu tj. do Mautern n.Dun.

Proklamacja państwa polskiego przez cesarza Franc.Józefa I i Wilhelma II.

Nie miałem najlżejszego przeczucia, że się co do mojej osoby coś kroi. Raz tylko szef sztabu korpusu, ppłk. Redlich rzekł do mnie:" "Mein lieber Panie! Du wirst demnächst eine Überraschung erleben!" (Mój kochany! Niezadługo spotka Cię wkrótce niespodzianka!).

Co te słowa miały znaczyć, nie mogłem odgadnąć, a nie wypadało mi się pytać i być natrętnym.

Aż tu gdzieś w połowie października 1916 pękła bomba: zostałem na wniosek gen. inspektora saperów, gen. Gułogórskiego ściągnięty z frontu i odkomenderowany na komendanta kursu minerów w miejsce kapi-

tana Gyurkovicä.

Dtwo. korpusu uczciło odejście moje wieczorem pożegnalnym, na który także zaproszony został dca pułku Bawarów Gen. Habermann, który mnie b. lubił i cenił, dał wyraz w b. pięknej przemowie, jak mu przykro jest, że ze sztabu odejdzie najdłużej w nim służący oficer, jednak ze wzgl. na mój tak długi pobyt na froncie, należy mi się ten wypoczynek dłuższy w "Hinterlandzie".

Przemawiał także szef sztabu ppłk. Redlich dziękując mi za tak długą a owocną pracę w sztabie, a wkońcu zabrał głos pułkownik Bawarów, mówił krótko, b. wyraźnie i b. serdecznie.

Po pożegnaniu z moją kompanią, która przeszła w pewne ręce porucznika Kordzika i z moimi oficerami, odjechałem autem do najbliższej stacji kolei w Siedmiogrodzie, a stamtąd najpierw do Budapesztu, gdzie mnie zaskoczyła podana we wszystkich gazetach wiadomość, że obaj cesarze proklamowali niezawisłe Państwo Polskie! Uderzyło to we mnie, jak grom z jasnego nieba, bo jakoś nie miałem nadziei, żeby problem Polski został tak rychło i wedle mego ówczesnego zapatrywania, tak korzystnie rozwiązany. Raczej przypuszczałem, że dopiero po zwycięskiej wojnie sprawa ta rozstrzygniętą zostanie.

Po przeczytaniu tej proklamacji byłem pewny, że po wojnie, o ile zwyciężą centralne mocarstwa i ja z wojny żywym wyjdę, będę w polskim wojsku służył! Spełni się moje najśmielsze marzenie!

Nie byłem wówczas poinformowany o różnych podziemnych prądach i intrygach, które będą konsekwentnie dążyć do tego, by to rozwiązanie obalić. O ile stary cesarz Franc.Józef I miał szczere w tym kierunku zamiary i do żadnej dwulicowej gry nie był zdolny, o tyle Conrad i jego partia a także Węgrzy z Tiszą na czele zwalczali to. Tym razem jednak zwyciężyła polityka i wpływ Bilińskiego, a także Koła Polskiego w Wiedniu, a Niemcy zgodzili się na to, bo chodziło im by dostać rekruta z Polski (Kongresówki) i uczynić wojnę z Moska-

lami popularną między Polakami. Jakie obiekcje mieli Niemcy przeciw austrofilskiemu rozwiązaniu problemu polskiego, nie wiedzieliśmy wówczas, dopiero po wojnie wylazły te wszystkie intrygi, jak szydło z worka.

Pełen najlepszych nadziei na przyszłość pojechałem na 14 dni urlopu do Krakowa, kt. spędziłem w gronie rodziny, a potem do Mautern.

Kap. Gyjurkiewica już nie zastałem, bo odszedł na front, a wszystkie agendy przekazał mi w jego imieniu jeden porucznik, nazwisko wypadło mi z pamięci.

W kursie minerstwa.

Nie było dla mnie niespodzianką, że Kurs Minerstwa, kreowany w czasie wojny dorywczo i organizowany przez Gyurkovica, człowieka bardzo energicznego, ale raczej "wojennego" i nie bardzo nadającego się do pracy pozafrontowej, nie był doskonale zorganizowany.

Brakło mu było myśli przewodniej i wytycznej, w jakim kieruku pracować należy. Wszędzie przebijała się dorywczość i brak solidnej organizacji. Z wyjątkiem zwyż wymienionego porucznika i jeszcze jednego podporucznika landszturmu inż. Meyersberga, nie przedstawiała reszta oficerów wielkiej wartości.

Byli oni przeważnie b. zadowoleni, że dostali się do Hinterlandu i uważali swój pobyt w Mautern jako zasłużony wypoczynek i doskonały pretekst do dłuższego "dekowania się".

Zorjentowałem się więc b. szybko, że będę miał dużo pracy nim tę stajnię Augiasza wyczyszczę i porządnie zorganizuję. Bardzo szedł mi na rękę gen. inspektor, gen Gołogórski, który wróciwszy z frontu, gdzie dowodził chlubnie 10 dyw. piech. czas dłuższy, poznał wszystkie braki austr. saperów na polu minerstwa, a rozumiejąc się na rzeczy, dawał mi cenne wskazówki i kierował moją pracą.

Dzięki jego poparciu w Min. Wojny został kreowany "oficerski Kurs Minerstwa," na który powoływano na 6 tygodni po 15-20 oficerów saperów. ooo uzupełnienie na załączonej kartce

196a

Ta współpraca na Kursie minerstwa między oficerami z frontu a pracą świata technicznego Hinterlandu (Politechnika we Wiedniu Tech.Komitet Wojskowy) wyłoniły nowe metody i wytyczne dla wojny podziemnej, różniące się o całe niebo od metod prymitywnych używanych w r. 1855 pod Sebastopolem.

Rezultaty pracy na Kursie Minerstwa, uwieńczone kilku świetnymi wyczynami austr. saperów na froncie zwróciły uwagę na tę instytucję niem. sztabu generalnego; przyjechała nawet do Mantern komisja z jakimś generałem pionierów na czele, oglądnęła dość szczegółowo naszą pracę i wyraziła się o niej bardzo pochlebnie ("Ach wissen Sie Herr Major! Das müssen wir bei uns auch so was haben!").

Drugi dział, kt. obejmował ten kurs, to były próby z rozmaitymi wynalazkami, poczynionymi przez różnych ludzi w najlepszej chęci służenia sprawie.

Wiele z tych wynalazków i pomysłów okazało się zupełnie bez wartości, niektóre jednak dały się uzgodnić z wymaganiami frontu i oddały duże ~~korzyści.~~ przysługi

Wszystkie jednak musiały być na Kursie Minerstwa gruntownie wypróbowane. Odpowiedzialnym za wszystko byłem ja.

Że ta odpowiedzialność była duża, niech wyjaśni następujący wypadek. Rektor politechniki wiedeńskiej i sławny chemik prof. dr. Baumberger wpadł na pomysł, aby używać mięszaniny nafty i ozygenium (b. silny rozczyn) jako środka wybuchowego zamiast ekrazytu, dynamitu itp. bardzo drogich preparatów wybuchowych.

Zrobiliśmy próby. Wypadły one przy kruszeniu szyn i kostrukcji żelaznych doskonale, krusząc żelazo z siłą ekrazytu.

Chodziło o ich zastosowanie w chodnikach podziemnych.

Nabiliśmy więc 3 chodniki, każdy po 100 kg. i mieliśmy je następnego dnia przed komisją z Wiednia wysadzić.

Było to w południe, gdy ukończyliśmy nabicie i zatkanie min.

Jakież było moje przerażenie, gdy gdzieś około godz. 16 nadbiegł posterunek, postawiony u wejścia do chodników celem pilnowania, by ktoś niepowołany nie manipulował koło przewodów zapałowych, z meldunkiem, że jeden chodnik sam bez żadnej widocznej przyczyny eksplodował, a on ledwie z życiem uszedł.

Pobiegliśmy na miejsce wybuchu, lecz zanim tam doszliśmy nastąpiły nowe dwa wybuchy. Działanie było b. silne; leje potężne. Przyczyny jednak tych wybuchów nie zdołaliśmy sobie wytłomaczyć.

Gdy następnego dnia przyjechał prof.dr. Baumberger odbyliśmy drugą naradę, a także i nowe próby, które wykazały, że przyczyna "samozapalenia" tego preparatu leży w tym, że nie znosi on szczel-

nego zamknięcia, (niezbędnego jednak w minach podziemnych), mianowicie temperatura jego, gdy jest szczelnie zamknięty, podnosi się samoczynnie, wywołuje zapalenie się a potem zaraz eksplozję.

Wynalazek więc, zasadniczo dobry, okazał się w praktyce nie do użycia.

A teraz coby się było ze mną stało, gdyby np. ktoś był przy tym życie utracił lub gdybyśmy, nie dosyć gruntownie właściwości "peroxyditu" (tak się bowiem nazywał) badając, uznali go jako odpowiedni do wojny podziemnej, a miny nim nabite eksplodowały w niewłaściwym czasie i spowodowały jakąś katastrofę?! Byłbym niewątpliwie postawiony przed sąd wojenny i w najlepszym razie utracił doskonałą opinię, jakiej zażywałem w armii austr. jako oficer saperów.

Ten jeden przykład dokumentuje najlepiej, jak pełne ciężkiej odpowiedzialności było moje stanowisko.

W dodatku, jak już nadmieniłem, zespół podwładnych mi oficerów nie odpowiadał zadaniu, jakie na ich barki spadło, Trzeba bowiem było być nie tylko b. dobrym znawcą wojny podziemnej, ale także dobrym wykładowcą danego przedmiotu tj. znać ten przedmiot doskonale. Z frontu bowiem przychodzili na kurs minerstwa oficerowie zwykle b. tędzy, znający się na rzeczy, którym można było imponować tylko b. realną wiedzą.

Tymczasem z wyjątkiem kilku oficerów ci, których mi na kurs minerstwa w roli wykładowców wzgl. moich pomocników przysłano, to były wybiórki. Łatwo bowiem zrozumieć, że front oddawał do Hinterlandu najsłabszych i najgorszych oficerów, zachowując sobie najlepszych, najdzielniejszych.

Zacząłem tedy z wrodzoną mi bezwzględnością i dokładnością kontrolować ich pracę i "stawać opieszałym na nagniotki". Ten system okazał się nienajgorszy, bo taki łazik, który na front się nie bardzo spieszył wzgl. unikał go, jak diabeł święconej wody, wolał

zadać sobie trudu w swoim resorze i zestawić porządnie wykłady, niż wylecieć z kursu.

Szczególnie na jednego przypominam sobie b. niemile, był to landsturmoberleutnant inż. Jambor, Wiedeńczyk, robiący ogromnego niemieckiego patriotę, który ze specjalnym zamiłowaniem opowiadał mi o różnych rzekomych skandalach na terenie Galicji, przypisując wszystko przekupności, protekcjonalizmowi i nepotyzmowi tamtejszego świata urzędniczego. W końcu było mi tego za dużo i zmyłem mu kilka razy głowę. Jednak ta jego swada, jego niepowściągliwy język a przede wszystkim fakt, że utrzymywał on w Mautern dość liczną rodzinę, (w tym 2 panny na wydaniu) zwróciły moją szczególniejszą uwagę na niego. Miał on do wykładania coś z wytrzymałości mostów (już nie pamiętam co) a oprócz tego był quasi prezesem komisji, która zakupywała w Wiedniu różne aparaty, przyrządy itp. do przeprowadzania prób. Przez jego ręce przechodziły tysiące koron. To mi nasunęło pewne podejrzenia, widziałem bowiem przy kolacjach itp okazjach, że Jambor żyje absolutnie nad stan.

Jako za wszystko odpowiedzialny, zestawiłem komisję i kazałem przeprowadzić scontrum kasy. Moje przypuszczenia okazały się-niestety-aż nadto słuszne, bo Jamborowi.... brakowało kilku tysięcy koron!

Naturalnie zawiesiłem go z punktu w urzędowaniu i zrobiłem doniesienie do Inspektoratu Saperów i do Militärkommando Wien i w ten sposób pozbyłem się tego gałgana. Co sąd wojsk. z nim zrobił już nie wiem.

Dekoracja orderem Żelaznej Korony III klasy-Awans na majora.

XI korpus z zacnym Habermanem na czele pamiętał jednak ciągle wdzięcznie o swoim dawnym szefie inżynierii. Bowiem poczyniono skuteczne kroki, by mi AOK przyznało do moich wojennych dekoracji (Militärverdienst" kreuz III kl. i Verdienstmedaille) "miecze",

a potem zrobiono wniosek na odznaczenie mnie orderem Żelaznej Korony III kl. Było to b. duże odznaczenie, które wzbudziło w Mautern i Krems ogólną sensację, Kapitanów bowiem z Żelazą Koroną nawet w 4 roku wojny było stosunkowo mało. Przyznaję się, że mi to zrobiło szczerą radość.

Wkrótce potem awansowałem na majora, co znowu bardzo poprawiło moje materialne położenie, które-jak długo byłem kapitanem w Hinterlandzie-(a więc nie pobierającym dodatku polowego), było dość kruche.

Każdy odznaczony Żelazną Koroną miał prawo(!) prosić o przeniesienie go do stanu szlacheckiego (Ritter von) dla mnie niepotrzebne!

Nowy inspektor Saperów gen. Skvor.

Gen. Gołogórski, ustąpił był swego czasu tylko dlatego z frontu, ponieważ wysiłki na froncie włoskim były nad jego siły i zaczął z sercem niedomagać.

Gdy jednak przez dłuższy czas (zdaje mi się 1.5 roku) wypoczął sobie przy pokojowej pracy w Inspektoracie Saperów, przyszedł znowu do siebie i wybrał się z powrotem na włoski front, co naturalnie AOK z największą radością powitało, mając w pamięci jego wyczyny przy forsowaniu rzek od Isonzo aż po Piave przy 12 ofenzywie na froncie włoskim.

Na miejsce gen. Gołogórskiego mianowano gen. insp. Saperów generała Skwora, który to wybór uważałem za bardzo fatalny.

Skwor bowiem, kt. całe życie służył w sztabie inżynierii i dopiero jako generał dowodził na froncie jakąś brygadą, nie miał wielkiego wyobrażenia o służbie frontowej, a już żadnego o saperskiej służbie, całą zaś wojnę podziemną,-nie mając z nią na froncie do czynienia,-lekceważył, mimo, że właśnie w tym czasie tak na froncie włoskim, jak i na framcuskim rozszalała się wojna podziemna w niebywałych rozmiarach.

Jego negatywne stanowisko wobec pracy na Kursie Minerstwa i jego sceptyczne i ironiczne uwagi zraziły cały dość już zgrany zespół moich oficerów i mnie także. Widzieliśmy, że dano nam przełożonego, który nie miał najmniejszego zrozumienia dla naszej pracy, a cały KursMinerstwa uważał za jakieś tyłowe przedsiębiorstwo, wydmuchane do rzekomo ważnej roli, a wedle jego zdania służące do "dokowania się" oficerów.

Od razu się zorjętowałem, że czasy owocnej pracy pod Gołogórskim minęły i że Kurs Minerstwa pod Škworem zostanie zlikwidowanym. Škwor był to typowy nieufny czech, wietrzący wszędzie tylko chęć oszukania go, dla mnie wstrętny charakter.

Zacząłem się tedy pomału za innym stanowiskiem oglądać.

Wrzesień 1918.

A tymczasem wskazówka na dziejowym zegarze posuwała się bez przerwy naprzód. Mieliśmy już 4 lata wojny Austr. i niem. sztab generalny oraz prasa tutejsza i niem. umiała w swoich komunikatach tak przedstawiać położenie mocarstw centralnych, że choć to co podawano odpowiadało ~~prawdzie~~ istotnemu stanowi rzeczy, to jednak było tak umiejętnie naświetlane, że na ogół ludzie wierzyli w zwycięstwo mocarstw centralnych. Rosja bowiem załamała się zupełnie, Austryjacy i Niemcy zajęli całą Ukrainę, by ją eksploatować, Rumunia leżała na obu łopatkach pobita sromotnie dzięki nieudolności rumuńskiego kierownictwa wojny, przez Arzta, Falkenhajma i Makenzena, koroną zaś wszystkiego było "lanie", jakie w marcu i kwietniu 1918 sprawili Anglikom i Francuzom Niemcy, przełamując front na 75 km szerokości i stojąc od Paryża o 40 km. To była porządna klęska Ententy!

Mówiło się wówczas, że Niemcy, gdy postanowią gdzieś dziurę wywalić to robią to umiejętnie i zawsze z powodzeniem, choć nieraz ich siły są bardzo małe.

Byli oni istotnie mistrzami w błyskawicznym koncentrowaniu sił, na dany cel przeznaczonych, mając genialnego wprost kierownika transportów polowych gen. Grönera. U niego nie było wypadku, by się jakiś pociąg spóźnił lub jakaś kolumna aut nie była na czas na miejscu. Mieliśmy liczne tego przykłady!

W ogóle należy w niem. sztabie generalnym podziwiać, jak dla każdego resortu był jakiś niezwykły specjalista (np. artylerzysta 2Bruchmüller", zwany "Durchbruchmüller", którego używano do kierownictwa artylerią). Było to wszystko rezultatem 150 letniej mądrej tradycji i planowej pracy niem. sztabu generalnego.

Nie dziw więc, że stojąc wobec takich faktów, trudno było ogółowi uwierzyć, że sprawy mocarstw centralnych stoją źle. W Austrii było główną troską wyżywienie ludności i wojska, wszyscy się jednak pocieszali, że z Ukrainy nadpłynie zboże potężnym strumieniem. Że to miało w przyszłości zawieść, o tym nikt nie myślał.

Przypominam sobie jedną moją rozmowę na temat wyniku wojny, jaką miałem w lecie 1918 z śp. Wackiem Wolskim, który dla jakichś spraw właśnie do Wiednia przyjechał. On mając informacje o sytuacji zagranicznej od posłów parlamentu, jak np. Głąbiński twierdził, że mocarstwa centralne muszą wojnę przegrać. Ja znowu, opierając się na faktach (klęska Rosji, Rumunii, Włoch a w końcu Francji i Anglii na wiosnę 1918), zbijałem to twierdzenie. On miał rację, jak w kilka miesięcy się pokazało.

Do jakiego stopnia żyliśmy w Mautern bez trosk i obawy o najbliższą przyszłość, niech posłuży fakt, że chodziłem tam dość pilnie na polowania na kuropatwy i zupełnie nie myślałem o tym, by moje sprawy w Mautern zacząć likwidować, a przede wszystkim zacząć moje rzeczy (ubranie, bieliznę, buty itp) odsyłać do Krakowa.

Październik 1918.

I ten miesiąc zaczął się pod znakiem beztroski, jaka "Hinterland" w owych czasach charakteryzowała. Ale już około połowy tego miesiąca zaczęły się mnożyć pewne niepokojące oznaki.lud zaczynał się burzyć, Przyszło do demonstracji robotników w fabryce tytoniu w Krems. W Mautern był jednak spokój.

Aż tu nagle ku końcowi miesiąca (daty nie pamiętam) ukazała się proklamacja cesarza Karola, zwalniająca z przysięgi wszystkich oficerów i żołnierzy; każdy mógł się udać do swojej ojczyzny.

Nie spodziewaliśmy się tego: była to likwidacja Austrii.

Do tej Austrii wzgl. do dynastii było przecież ogromnie wiele ludzi szczerze przywiązanych; sam widziałem żołnierzy np. z Moraw, którzy na tę wiadomość zalewali się łzami, choć im ta proklamacja zapowiadała koniec wojny i powrót do domu. Jedni Czesi okazywali demonstracyjnie swoją radość, pozdzierawszy emblematy F.J.I z czapek i przyszywszy czerwono białe kokardki (czeskie narod. barwy).

Nawet nieliczni Rusini, w tym mój Iwan, ordynans od koni, ozdobili swe czapki niebiesko-żółtymi kokardkami. Oczywiście nie można było przeciw temu remonstrować, bo byli orędziem cesarza do tego upoważnieni. Zresztą ja także czekałem z utęsknieniem na chwilę, gdy bączka austr. zastąpię orzełkiem polskim.

Trzeba się było wziąć do likwidacji Kursu Minerstwa, w którego magazynach i podziemnych chodnikach znajdował się materiał, przyrządy podsłuchowe, maszyny wiertnicze itp. wartości kilku milionów koron.

Proletariat z Mautern myślał, że już można rabować te podziemne składy i zaczął się do nich dobierać. Wybiegliśmy obaj z por. Pokornym i zaczęli ich ze sztucerów ostrzeliwać; gdy kilka kul koło nich gwizdnęło, umknęli naturalnie.

Najzabawniejszy był komendant posterunku żandarmerii w Mautern,

który na odgłos tej strzelaniny przyleciał w pełnym rynsztunku ale z hełmem przykrytym już austryjackimi barwami narodowymi (czerwono -białe) i zaczął mi morały prawić na temat, że nie należy ludu drażnić i prowokować, bo mogłoby przyjść do zaburzeń.

Wyrzuciłem go za drzwi, zbesztawszy na odchodnym, że zamiast pomagać mi w uratowaniu państwowego, tak kosztownego majątku, on bierze w obronę złodziei i włamywaczy, nazwałem to postępowanie tchórzostwem.

Likwidacja Kursu Minerstwa szła b. sprawnie. Cały majątek, akta itd. oddałem za szczegółowym pokwitowaniem komisji złożonej z 3 oficerów, niem. narodowości, co zresztą w protokole zostało uwidocznione. Żołnierzy i podoficerów zebrałem i przedstawiłem im zaistniałą sytuację, obiecując, że każdy dostanie dokument podróży do swej ojczyzny, pieniądze, chleb i konserwy na drogę, zażądałem tylko, by żadnych ekscesów nie wyprawiali i odeszli do ojczyzny swej w spokoju, jak na porządnych żołnierzy przystało.

Tak się też stało: Kurs Minerstwa rozwiązał się wzorowo, żadnych demonstracji przeciw oficerom itp. objawów, jakie w innych garnizonach miały miejsce, nie było.

Dla mnię osobiście przykre było bardzo rozstanie się z moją klaczą "Hexe", której nie mogłem do Polski wziąć, bo by mi ją Niemcy albo Czesi skonfiskowali, choć była ona moją prywatną własnością (zapłaciłem za nią 160 koron). Nabył ją ode mnie restaurator Zwicker w Mautern i pewnie poszła przy ogólnym braku mięsa w tym czasie.... na kiełbaski.

Z moimi oficerami pożegnałem się w kancelarii, prosząc, aby mnie ze względu na lewicowy nastrój ludności nie żegnali w żaden uroczysty lub demonstracyjny sposób.

W domach, w których bywałem, porobiłem pożegnalne wizyty i następnego dnia rano postanowiłem nie jechać do Lundenburga przez Wiedeń

lecz przez Hadersdorf. Powód dla którego Wiedeń omijałem był ten, że-jak mnie autentyczne wieści doszły,-w mieście tym wyrostki socjalistycznie nastrojone napadały oficerów i zrywały im gwiazdki i odznaki oficerskie. A przecież byli to oficerowie, którzy swój zaprzysiężony obowiązek spełniali zwyż 4 lata, ponosili rany i byli w każdym razie b. zasłużonymi obywatelami państwa i gentelmenami. Tego ta proletariacka swołocz nie rozumiała wzgl. nie chciała rozumieć, i hulała, pewna bezkarności, panującej wówczas w całym Wiedniu.

Napad zbuntowanych żołnierzy w Hadersdorfie. 6.XI.1918.

O ile do żołnierzy odkomenderowanych do Kursu Minerstwa w Mautern można było mieć zaufanie, o tyle mało wzbudzali pewności na punkcie dyscypliny żołnierze i podoficerowie z kadry 2 baonu saperów, stacjonowani w ~~Kraus~~ Krems. Przede wszystkim było tam dużo Czechów a także szumowin podmiejskich z okolic Wiednia tj. elementów w ogóle trudnych-nawet w czasie pokoju-do utrzymania w karności, a tymbardziej w czasie wojny i to tak długotrwałej.

W Krems była też Kadra jakiegoś czeskiego pułku piechoty, również zarażona rewolucyjnym duchem. Tam t.j. tak w 2 baonie saperów jak i w tym pułku piechoty byli najgorszym elementem tz."zupaki" tj. podoficerowie zawodowi służby czynnej, którzy dzięki różnym machinacjom umieli tak manipulować, że wielu z nich albo b. krótko, albo wcale nie byli na froncie. Na nich był wściekły żołnierz, który całe 4 lata tłukł się po wszystkich możliwych frontach, narażając się, i te "zupaki" ("fazikin") musieli się z tym liczyć, że na nich wywrze swój gniew żołnierz frontowy, słusznie rozżarty.

By temu zapobiec i własną skórę ocalić, stanęli oni na czele zrewolucjinizowanych i konspirujących elementów, wysuwając się na czoło "rad żołniersko-robotniczych" i szczując głównie przeciw oficerom, którzy przecież w armii austr. w 99% stanowili element porządku i po-

szanowania praw. W dodatku te "zupaki" i "łaziki" mieli grube pieniądze, zdobyte różnymi łapówkami i malwersacjami i chcieli je za każdą cenę uratować.

Z tych kół rekrutowali się ci wszyscy, podburzający, lud a w końcu także bandy rabusiów, napadający na mieszkania oficerów, innymi słowy najgorsza "swołocz", jaką przegrana wojna mogła wyprodukować. A mogli oni hulać przy ogólnym chaosie, jaki zapanował i przy tchórzostwie i indolencji władz, głównie zaś austr. żandarmerii!

Również policja wiedeńska, licząca przecież kilka tysięcy ludzi okazała się nie lepszą od zdemoralizowanej żandarmerii. Przecież zdarzały się w Wiedniu wypadki zdzierania gwiazdek i odznak za waleczność zasłużonym oficerom w tramwajach i na ulicach i to przez kilkunastoletnich łobuzów. Publiczność była do tego stopnia podszyta tchórzem i zdemoralizowana, że nikt z niej nigdy nie ujął się za pokrzywdzonym oficerem, lecz przypatrywała się obojętnie. A przecież wystarczyłoby kilka potężnych razów laską, by tej swołoczy (również tchórzowskiej) udowodnić, że takich łajdactw robić nie wolno.

Wszędzie widać było bezdenne tchórzostwo i brak odwagi. Mimowoli przychodziły na myśl słowa Macchiavellego,"że rewolucja udaje się z reguły nie dlatego, że zrewolucjowani są silni, lecz ponieważ ci, przeciw którym się rewolucja zwraca, słabi są."

Wobec tych nastrojów nie miałem co dłużej w Mautern robić i postanowiłem jak najprędzej wyjechać. Nie chciałem jadąc przez Wiedeń narażać się na zdarcie gwiazdek przez bandę jakichś łobuzów, postanowiłem ominąć go, jadąc do Hadersdorf, a tam przesiąść się do pociągu, idącego do Lundenburga.

Wyjechałem dość wcześnie rano; na dworcu w Krems nie zauważyłem nic podejrzanego. Jechał ze mną Iwan mój ordynans od koni i ordynans osobisty, którego nazwisko zapomniałem. Wieźli oni każdy po swoim

przepisowym kufereczku, a także moją walizkę i kuferek.

Gdyśmy w Hadersdorfie na stacji wysiedli i czekali na pociąg do Lundenburg, zjawiła się na peronie garstka zrewolucjonizowanych podoficerów (jeden sierżant, jeden kapral saperów z Krems) i kilku innych żołnierzy, którzy zaczęli szukać awantury, wołając w żargonie wiedeńskim: "Mir brauchen hier koanen Majuren itp.!"

Widząc co się święci zdecydowałem się bez wzgl. na dalsze konsekwencje palnąć w łeb każdemu, ktoby usiłował mi zerwać gwiazdki lub jakiś czynny gwałt zadać.

Nadszedł naczelnik stacji, jakiś b. porządny człowiek, doradził mi bym widokiem mojej osoby nie drażnił tej bandy i poprosił mnie do poczekalni I klasy, gdzie miałem czekać na przybycie pociągu.

Udałem się tam. Po kilkunastu minutach, usłyszałem jakiś wrzask na peronie, uspokoił mnie jednak jakiś kolejowiec, że to pijani żołnierze krzyki wyprawiają.

Jak się później dowiedziałem, było jednak inaczej. Mianowicie ta banda zrewolucjonizowanych, który ze mną szukała awantury, napadła na moich ordynansów i porozbijała wszystkie kuferki i walizki i nawet chleb moim ordynansom zabrała. Zabrali mi wszystkie wartościowe rzeczy (nesseser do golenia od Winternitza, mój repetierowy pistolet, bieliznę, buty itd.) tak, że zostały tylko szczątki drewnianych kuferków i moja skórzana waliza, którą mi wraz z poduszeczką w niej się znajdującą, jakaś zacna kobieta przyniosła, opowiadając o napadzie i radząc, bym się skrył. Byłem wściekły.

Po chwili przyszedł naczelnik stacji i jeszcze jakiś kolejarz, potwierdzili fakt napadu i radzili mi przebrać się w mundur kolejarza i w ten sposób ratować się.

Tego było mi jednak już za dużo! Oświadczyłem tedy, że w łeb wypalę każdemu, kto próg poczekalni przekroczy, dobyłem rewolweru (b. dobry Gasser) położyłem na stole, zdecydowany moją groźbę

w czyn wprowadzić.

Po chwili naczelnik i kolejarz wyszli, zostałem sam. Naturalnie o jakiejś interwencji ze strony żandarmerii lub warty kolejowej mowy nie było. W Austrii po wybuchu wojny i to zaraz dnia mobilizacji zostały wszystkie dworce, mosty itp. ważne obiekty obsadzone przez t.zw. "Bahnhofwachen, Brückenwachen itp., a niektóre większe mosty kolejowe w Galicji miały na obu brzegach rodzaj małych fortyfikacji na pluton piechoty, Zdaje się dzięki temu zarządzeniu nie trafiło się nigdy, by jakaś banda dywersyjna zburzyła jakiś most.

Również naczelnik stacji mając do dyspozycji "Bahnhofwache" miał siłę wykonawczą, by awanturujących pijanych żołnierzy itp. doprowadzić do rezonu.

Kosztowało to dość dużo landszturmistów, ale przynajmniej tyły i etapy były zabezpieczone. Że tam się dużo ludzi, zdolnych do frontowej służby "dekowało", to inna rzecz! Są to jednak rzeczy nie do uniknięcia!

Żandarmeria nosa nie pokazywała, a warta kolejowa (podoficer i około 10 landszturmistów) zostawiła karabiny w kancelarii, a sami rozeszli się do domów.

Po jakichś 10 minutach otwarły się drzwi poczekalni z trzaskiem i jakaś głowa ukazała się. Zmierzyłem do niej z rewolweru, i jeszcze szybciej znikła! Cały epizod zaczynał nabierać posmaku humorystycznego. Jak się później dowiedziałem, znikła również banda zrewolucjonizowanych, zabrawszy skrzętnie "zdobycz".

Jak się później dowiedziałem, banda ta uplanowała była napad na mnie już w Krems i wsiadła ze mną razem do tego samego pociągu. Wysiadłszy w Hadersdorf dokonała napadu, a powąchawszy pismo nosem i widząc moją zdecydowaną na wszystko postawę, uważała, że zdrowiej jej będzie unikać starcia ze mną. Każdy bandyta bowiem

jest podszyty tchórzem! Jest to jednym dowodem więcej, że jeden energiczny i śmiały żandarm i jako tako funkcjonująca warta kolejowa zdołałyby utrzymać porządek i nie dopuścić do żadnych ekscesów.

W końcu nadjechał pociąg, wsiadłem do jakiegoś wagonu, gdzie siedzieli podoficerowie dragonów, jacyś przyzwoici ludzie, nie solidaryzujący się zupełnie z tym ruchem rewolucyjnym i spokojnie zajechałem do Lundenburga.

(Podziwienia godne, jest, że mimo rozpadnięcia się Austrii i tysięcy żołnierzy, spieszących z frontu do domu, koleje funkcjonowały b. dobrze wszędzie. W ogóle kolejnictwo w Austrii, które tak znakomicie przez 4.5 lata wojny funkcjonowało, zdało i w tej może najcięższej dla niej chwili egzamin doskonale.)

Tam już rządziły czeskie władze i panował wzorowy porządek.

Dużo przyczyniały się do tego porządku 2 ciężkie karabiny maszynowe ustawione między torami tak, że mogły "kosić" z obu stron każdy zajeżdżający pociąg.

W Lundenburgu, zjadłszy jakiś obiad w restauracji kolejowej, przesiadłem się do pociągu, który z Wiednia przyjechał idąc do Krakowa. Znalazłem się w przedziale, w którym jechali oficerowie Polacy wracający z frontu do Ojczyzny. Potwierdzili oni moje obawy, tyczące się przejazdu przez Wiedeń, gdzie na dworcu kolei północnej miały się dziać wprost obrzydliwe ~~xxxxx~~ sceny, obrabowywania oficerów i żołnierzy pod pretekstem, że np. ubrania (bluzki, spodnie, buty itp.) stanowią własność ~~nadaną~~ rządową ("ärarisches Eigentum"), głównie rozchodziło się jednak o rabunek zegarków, pieniędzy, pierścionków itp. Rabunku dokonywali chłopcy kilkunastoletni i zrewoltowani żołnierze i podoficerowie.

Gdy pociąg ruszył z Lundenburga, przyszła czeska patrol oficerska, by dokonać rewizji za bronią; rewolwer mój ukryłem pod ławką a szabli mi nie odebrano, bo uważano, że nie stanowi ona "broni"

w ówczesnym tego słowa znaczeniu. Wogóle cała rewizja odbyła się w b. przyzwoitej i grzecznej formie.

Miło gwarząc dojechaliśmy do Chrzenowa. Ten palił się, bo jakieś łobuzy podpalili domy żydowskie, od czego się cała mieścina zamieszkała przeważnie przez żydów zapaliła.

Gdy pociąg ruszył wlazło nagle do przedziału dwóch kilkunastoletnich łobuzów z karabinami i oświadczyli nam,"że będą robić rewizyjom za bronią".

Popatrzyliśmy się my oficerowie na siebie i odrazu wiedzieliśmy, co z tymi drabami robić. " To wy sk... syny ważycie się na polskich oficerów w odrodzonej Polsce!!" Momentalnie rzuciliśmy się na nich, wydarli karabiny, a ich samych... wyrzucili przez okno. Czy karki połamali nie wiedzieliśmy; pociąg był w dobrym ruchu, więc jest prawdopodobne, że sobie trochę gnatów nadłamali.

O godz. 7^{h} byliśmy w Krakowie, który już był od dni kilku zupełnie w polskich rękach. Na odwachu sprawował służbę oddział z 13.pp. piechoty krakowskiej.

Moi ordynansi prosili zaraz, bym im pozwolił udać się do domu. Ordynans od koni Iwan Lewicki udał się do Zapytowa pod Lwowem. Czy dojechał nie wiem, bo wtedy już Ukr. opanowali Lwów i jego niezawodnie zabrali do ukr. wojska. Od tego czasu nic już o nim nie słyszałem.

W domu naturalnie ogromna radość, żem nareszcie wrócił.

Na tym kończę ten tom wspomnień, który zawiera wszystkie moje przeżycia aż do końca wojny Światowej tj. do 7.XI 1918.

Charakterystyki.

Przeglądając powyższą II część moich "Luźnych Kart" widzę różne braki, tyczące się głównie charakterystyki ludzi, nastrojów politycznych itp., a która to charakterystyka daje daleko lepszy

obraz ówczesnej epoki, niż opisy starć, bitew itp.; ona jest niby tłem, na którym dopiero we właściwym świetle występują te opisy.

Z góry zaznaczam, że materiał ten pamiętnikarski nie będzie systematycznie uporządkowany i będzie dla czytelnika do pewnego stopnia chaotycznym, ale jak już we "Wstępie" zaznaczyłem, nie mam zamiaru publikować moich "Luźnych Kart"; chodzi mi głównie o to, by cała masa ważnych epizodów nie została przysypaną prochem zapomnienia.

Charakterystyka legionistów.

Jak już to nadmieniłem mieli legioniści wszystkie cechy wolontariuszów. A więc ogromne męstwo, przejęcie się ideałami, dla których walczyli, ogromne zaufanie do posiadanej broni i gotowość poświęcenia się dla sprawy dla której służyli. Nie mniej odznaczali się dumą, że są legionistami i mieli na tym punkcie, głębokie poczucie honoru. To wszystko, łącznie z wysoką inteligencją, którą się odznaczali, robiło z nich świetny materiał, żołnierski.

Mieli jednak,-co jest zupełnie naturalne,-wiele wad i braków, które starali się zrównoważyć innymi swymi zaletami, choć się to nie zawsze udawało.

Przede wszystkim brak im było tego podstawowego wyszkolenia xxx wojskowego, które daje gruntowne wyszkolenie rekrutai ten tz. " "dryl Kasarniany", tak niesłusznie przez laików i ignorantów ośmieszany, a jednak-jak praktyka wykazała,-dla dobroci żołnierza niezbędny.

Legioniści,(zapewne pod wpływem Piłsudczyków) odznaczali się pewną "austrofobią" i wskutek tego wprost karygodnym lekceważeniem przepisów (ustalonych stuletnią praktyką), ponieważ były one "austryjackie".

Przypominam sobie kilka epizodów, doskonale cechujących te

stosunki.

I tak obchodząc linie fortyfikacyjne w lesie koło Dobronowiec (pozycja ciągnęła się w gęstym lesie) chciałem zbadać przedpole i otrzymawszy od dowódcy (tz."Kompanijnego") zapewnienie, że na przedpolu są wysunięte "czujki", wyszedłem przed zasieki. Rekognoskując warunki obstrzału i konfigurację terenu, znalazłem w końcu jednego (!) legionistę, kt- był ową "czujką", ale był pogrążony w głębokim śnie! A był to właśnie czas, w kt. na odcinek rosyjski przyszła brygada "plastunów" tj. czerkieskiej piechoty; Czerkiesi zaś odznaczali się ogromnym osobistym męstwem i ogromną sprawnością w bezszelestnym podchodzeniu, czołgania się itp. Byli więc właśnie w terenie zalesionym bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem. Taką legionową "czujkę" podejść, obejść i wziąć do niewoli lub zakłuć sztyletem (charakterystyczna broń Czerkiesów!) było dla "płastunów" rzeczą b. łatwą, szczególnie, że legionowa czujka zamiast regulaminowo składać się z 2 żołnierzy, była reprezentowana przez jednego! O tym przepisie odnośnie do siły czujek nie miał w legionach nikt wyobrażenia, bo nikt regulaminu nie czytał. Również nie było w modzie obchodzenie "czujek" przez inspekcjonujące organa i kontrola ich czujności. Przepisy austryjackie nazywano " głupim austryjackim gadaniem".

Raz znowu obchodząc przedpole w lesistym terenie słyszę dźwięki mandoliny! Podchodzę i widzę "czujkę", znowu tylko jednego „leguna"! Tak jakby chciał zwabić włóczącą się po przedpolu patrole „plastunów!" Robiłem na to uważnym panów Kompanijnych, ale czy to miało jakiś skutek nie wiem, bo i moje życzliwe chyba uwagi traktowała brać legionowa jako "austryjackie gadanie".

Również nie można było ani rusz dostać od p. Kompanijnych szkiców sytuacyjnych fortyfikacji pojedynczych pododcinków, skutkiem czego nie można było nigdy sprawdzić, o ile roboty fortyfikacyjne

postępują naprzód, a przede wszystkim-przy zluzowaniu danej kompanii przez inną-nie można było obznajomić nowego dowódcę pododcinka, jaka taktyczna myśl była miarodajną przy prowadzeniu i rozbudowie trasy. Skutek tego był b. często ten, że nowy dowódca uznawał w swojej nieomylności, że linię rozbudowaną (po b. dojrzałym namyśle ludzi fachowych!), należy "poprawić" i palił w swej głupocie i zarozumiałości głupstwo!

Również na kwaterach nie przestrzegała brać legionowa zupełnie porządku.

Przypominam sobie, że jeden z moich podoficerów znalazł przy jakiejś chałupie na gnoju! karabin "Grek", w który to system był uzbrojony 3 pułk legionów, i przyniósł mi go. Nie można było w żaden sposób dopytać się, kto zgubił swój karabin.

Podobnie działo się z ekwipunkiem żołnierskim (manierki, menażki, plecaki itp.) a także z umundurowaniem. Przyczyna leżała w braku kontroli przez szefa kompanii wzgl. innych podoficerów, którzy-zdaje się-zupełnie nie wiedzieli, że kontrola kompletu i stanu tak ekwipunku, uzbrojenia, jak i mundurów należy do ich kardynalnych obowiązków.

Drugim powodem tej opieszałości była łatwość, z jaką legioniści, przynajmniej w XI korpusie, od szefa intendentury korpusu "fasowali" wszystko co chcieli. Szef intendentury płk. Komora a po nim intendent płk. Schrabeck nie odmawiali nigdy żadnej prośbie legionistów.

Dużą wadą legionistów było tz. "łazikowanie" objawiające się w ciągłym chodzeniu na " urlop" lub na "odpoczynek". Na "odpoczynek" szły zwykle całe ~~oddziały~~ oddziały (np. cała II brygada po chlubnych bojach Karpackich). Było to w wielu wypadkach wskazane, nie wolno bowiem zapominać, że legioniści byli to chłopcy zwykle między 16 a 20 lat mający, a więc materiał ludzki nie zdolny na dłuż-

szą metę znosić trudy wojny. Słusznym więc było, by po serii cięższych operacji i bojów, dać tej młodzieży wypoczynek.

(Praktyka wojenna wykazała, że żołnierze nie mający 21 lat skończonych nadmiernie szybko się na wojnie pod wzgl. fizycznym a także i psychicznym zużywają; asenterowanie więc do służby wojsk. młodszych roczników jest lekkomyślnem marnowaniem ludzkiego materiału.)

Na tle urlopów działy się dość duże nadużycia, każdy bowiem legionista, udający się na urlop, dostawał tz. "marschrutę" lub "Offene Ordre", uprawniające do używania gratis wszystkich pociągów cywilnych i wojskowych. Oprócz tego wypłacano dotyczącemu za cały czas urlopu tz. "relutum" tj. "strawne". Stąd nazwa "reluton".

Do jakiego stopnia sięgał tupet niektórych legionistów w kierunku "wykiwania" Austryjaków" niech posłuży fakt, że zrobili sobie oni pieczęć "K und k Łazikenkommando", pieczętowali nią "Offene Ordre", zaopatrując jakimś fikcyjnym podpisem i z takim dokumentem jeździli, gdzie chcieli. Władze bowiem kolejowe austr. wzgl. węgierskie, nie rozumiejąc ani polskiego języka ani znaczkowania tej pieczęci, nie bardzo się o to troszczyły: na dworcu przy kasie przystęplowano dany "Offene Order" i legun jechał przez nikogo nie zaczepiany, dokąd chciał, korzystał ze wszystkich przywilejów, jakie ten dokument dawał (np. gratis kwatery, korzystanie ze stołowni, bufetów itp.)

Trwało to tak długo, aż w końcu żandarmeria polowa austr., czy też wywiad sztabu gen. wpadł na trop tego, nakrył kilku jadących za dokumentem "K u k. Łazikenkommando" i położył koniec temu nadużyciu.

Opowiadał mi major audytor II bryg. leg. Dr. Dunikowski, że był taki typowy łazik legionowy niejaki „Pigułeczka," kt. na polu łazikostwa i naciągania Austryjaków był wprost nieprześcigniony.

Miał nawet raz tupet wsiąść do dworskiego pociągu(!), tam się w osobnym pół coupé zakwaterować i jechać do Wiednia. Ten Pigułeczka był to indywiduum, znane we wszystkich pułkach legionowych.

Opowiadano o nim niezliczone anegdoty ("si non e vero, e ben trovato"), aż go w końcu nakryto i przymknięto.

W legionach było w ogóle w dobrym tonie naciągać władze austr. gdzie tylko można było ("fasunki"). To wszystko jednak razem wzięte, nie przyczyniało się do umocnienia dyscypliny wojskowej, która przecież tworzy podstawę dobrego wojska.

Te wszystkie ujemne strony równoważyły cnoty żołnierza i oficera legionowego.

Na pierwszym miejscu należy wymienić ich bezprzykładne męstwo, które jak już nadmieniłem, w połączeniu z głęboką inteligencją i umiłowaniem sprawy, dla której walczyli, robiło z nich najlepszych żołnierzy.

Autentyczny jest fakt, że jedna niemiecka komenda, której zaproponowali Austryjacy - jako wzmocnienie skrzydła - jakiś pułk węgierskich honwedów, odpowiedziała:" Schicken Sie uns ein Batallon Legionäre" . W dalszym ciągu przytoczę kilka przykładów tego męstwa, o którym pamięć nigdy nie powinna w Polsce zaginąć np. bitwa pod Zadąbrówką (11.VI.15), atak ułanów Wąsowicza pod Rokitną (13.VI.15) i wiele innych, których nie cytuję, bo nie byłem przy nich obecny. Epizody jednak, przy których byłem obecny lub znam je z ust uczestników i bezstronnych świadków, opisałem ze szczegółami we właściwym miejscu "Luźnych Kart", by pamięć o nich nie zaginęła.

Męstwo legionistów objawiało się tak w natarciu jak i w spokojnym wytrzymaniu i odparciu nieprz. natarcia, a panika była na ogół obca legionistom.

Legioniści odznaczali się ogromną wprawą w strzelaniu, ich celny ogień karabinowy zadawał nieprzyjacielowi ogromne straty a w leg

gionistach wzmacniał zaufanie do broni, którą byli wyposażeni. Wprawa w strzelaniu pochodziła stąd, że przeważna część legionistów uprawiała przed wstąpieniem do szeregów jużto polowanie, jużto ćwiczyła się "con amore" w strzelaniu na wojskowych austryjackich strzelnicach, a władze wojsk. już na kilka lat przed wybuchem wojny światowej dostarczały wszystkim zrzeszeniom, uprawiającym wyszkolenie wojskowe, tak karabinów, jak i amunicji "ad libitum".

Tak np. opowiadał mi kpt. leg. Słuszkiewicz, kt. brał udział w bitwie pod Mołotkowem w r. 1914 w Karpatach taki fakt: wyszedł on na patrol zwiadowczą z 5 legionistami, którzy byli wówczas jeszsze uzbrojeni w jednostrzałowe karabiny system Werndel (gruby błąd ze strony Austryjaków!) a tylko jeden legionista był uzbrojony we własnego mannlichera. Nagle zaatakowała ich silna patrol kozacka, ów legionista zrepetował 5 razy, 5kozaków spadło z koni, inni umknęli. Jestem przekonany, że gdyby to była patrol jakiegoś węgierskiego "landsturmu", a nie legioniści, to byliby się wszyscy poddali.

Stosunek dowódców austryjackich do legionistów.

Tu możnaby zrobić podział na dwie grupy a to: grupa oficerów i dowódców austr., którzy mieli sposobność "ad oculos" poznać ich cnoty żołnierskie i grupa oficerów sztabu, specjalnie oficerów sztabu generalnego i dtwa. Armii, którzy bawiąc zdala za frontem i nie wąchając zupełnie prochu, znali wyczyny pojedyńczych oddziałów tylko z meldunków i nie mieli miary właściwej do trafnej oceny.

Na ogół austr. sztab generalny odnosił się do legionistów przeważnie z dużą nieufnością i był w ogóle dla całego ruchu, kt. legioniści reprezentowali (np. austrofilskie rozwiązanie kwestii polskiej, tryjalizm w Austrii itp) wprost wrogo usposobiony. Przyznaje to zresztą otwarcie sam Conrad v. Hötzendorf, szef sztabu armii austr. w swych pamiętnikach. Austr. sztab gen. widział chętnie, gdy

legioniści się za Austrię krwawili, ale w poufnych enuncjacjach nazywali legionistów "eine Rebellenarmée" itp.

Nieco inna była sytuacja w I bryg., leg którą dowodził Piłsudski. Był on wprawdzie zajadłym wrogiem Moskali, ale nie mniej nienawidził Austryjaków; mam wrażenie, że raczej wolał Niemców. O Piłsudskim wyrażę moją opinię później, charakteryzując pojedyńcze kierujące osobistości legionowe.

Głównym rysem charakterystycznym I bryg. leg., a wedle mego zdania dość dużą wadą, było, że tam się za dużo "politykowało", a za mało biło. Dyscyplina w I bryg. wykazywała duże braki, co łatwo jest zrozumiałe, biorąc pod uwagę, że na jej czele stał nie zawodowy, wykształcony wojskowy, lecz dyletant i laik pod wzgl. wojskowym, wściekły lewicowiec, a przede wszystkim " maitre en intrigue", jak go trafnie Francuzi scharakteryzowali. Był to niepoprawny konspirator, a konspiratorstwo było jego drugą naturą.

Stosunek zawodowych oficerów Polaków do legionów.

Zdawałoby się, że z chwilą, gdy pod egidą Austryjaków powołano do życia legiony, - to pierwsze nasze wojsko polskie, - że z armii austr. wszyscy zawodowi oficerowie, Polacy masowo zaczną się zgłaszać do legionów. Tymczasem tak nie było, a było ku temu wiele powodów.

Głównym powodem - wedle mego zdania, - była tak zw. "legionowa gospodarka". Oficer zawodowy, wychowany w pewnych zasadach, nie mógł się zgodzić na wiele rzeczy, które w legionach uchodziły za rzecz naturalną (np. różne "kawały" à la Pigułeczka, różne nadmierne "fasunki", reluta itp.)

Drugim powodem było chwiejne zachowanie się rządu austr. bez jednej, - raz wobec legionowego kierunku wytkniętej - jasnej linii postępowania: dwór, dynastia, ministrowie, - Polacy a także i niektórzy ministrowie Niemcy - byli za austrofilskim rozwiązaniem kwestii

polskiej i popierali idee legionów.

Zwalczali zaś ją Niemcy austryjaccy, urząd niemiecki, a także i Węgrzy ze Stefanem Tiszą na czele, ci ostatni, obawiając się tryjalizmu i przewagi żywiołu słowiańskiego w przyszłej Austrii.

Nie na ostatnim miejscu były także względy oportunistyczne przyczyną, dla której Austr. zawodowi wojskowi polskiej narodowości nie spieszyli się w szeregi legionowe. Wielu miało obawy i wątpliwości, jak się skończy ich kariera wojskowa, obawa, że po wojnie, której rezultat był wątpliwy, pójdą przedwcześnie na emeryturę itp. Wielu wolało jeszcze wyczekiwać, aż się coś pewnego wyklaruje. Jednak absolutnie największym hamulcem wstępowania do legionów były władze wojskowe austryjackie, od A.O.K. począwszy, w obawie, że przy braku oficerów w ogóle, a specjalnie zawodowych (bo ich dzięki głupiej taktyce za wielu już w r. 1914 zginęło) armia austr. jeszcze bardziej będzie brak ich odczuwać, gdy część ich odejdzie do legionów. Każdy dca. pułku, czy brygady lub dywizji pisał na podaniu "przeniesienie do legionów":unentbehrlich, aus Dienstesrücksichten nicht befürwaret" itp. i używali osobistego wpływu, namów itp., by ten ruch powstrzymać.

Moim zdaniem był ten brak zawodowych oficerów w leg. z wielką szkodą dla nich. Im więcej bowiem by ich było, tym bardziej różne "kierunki" "~~[illegible]~~ orientacje" itp. a także i "kawały" w rodzaju Pigułeczki byłyby albo niemożliwe, albo przynajmniej do minimum zredukowane. Legiony byłyby przez przypływ tego, że tak powiem "praworządnego" elementu zyskały na dyscyplinie, na fachowym kierownictwie i uniknęłyby wielu krwawych strat, spowodowanych przez laików i dyletantów, jacy debiutowali w rolach dowódców na różnych szczeblach.

~~[illegible]~~

Polityka austr. władz wojsk. przy obsadzie stanowisk dowódców brygad i dowództw w legionach.

Polityka ta, której główną sprężyną było A.O.K. w Cieszynie (Armée- Ober Kommando) była wobec legionów,-jak już nadmieniłem- wskroś dwulicową i nieszczerą. Łatwo to zrozumieć, gdy się zważy, że szef sztabu gen. Conrad był wrogiem legionów, jak również jego zastępca, szef biura operacyjnego (który nawiasem mówiąc pochodził ze Lwowa i był Polakiem de facto, choć się do tego nie przyznawał).

2 Metzger!

Aby się Conradowi przypodobać, wyznawała kierunek wrogi legionom także cała zgraja "generalstäblerów" z AOK.

Ten nastrój znajduje swój najlepszy wyraz w obsadzie stanowisk dców. brygad legionowych, których było na początku w r. 1914 dwie tj. I brygada pod Piłsudskim, na którego -jako na rzekomego twórcę legionów Austria musiała się zgodzić-i II brygada, której pierwszym dcą. był gen. austr. Trzaska Durski, Polak i to dobry Polak, (służył w austr. artylerii). (Jego dwaj synowie, będący jeszcze w t techn.akademii wojsk. w Mödling, uciekli do legionów do II brygady, gdy się dowiedzieli, że się tworzą legiony) Zdaje mi się, że gen. Durski był już na emeryturze, gdy wojna wybuchła i został reaktywowany na stanowisku dcy. II bryg. leg. Był to jednak człowiek stary, ani zbyt energiczny, ani organizator nadzwyczajny (a to byłoby wówczas bardzo potrzebne!) ani żaden wybitny talent taktyczny, jak przeważnie liniowi artylerzyści w armii austr., znający się b. dobrze na sprzęcie i rzemiośle artyl. w ogóle, ale dosyć słabo się orientujący w ogólnych problemach taktycznych i operacyjnych. Feldmarszałek-porucznik Durski, mając pod swoją komendą II bryg. leg. nie zaprawioną jeszcze bojowo, nie mającą wówczas tj. na początku kampanii 1914 r. żadnej artylerii, uzbro-

joną w staromodne, jednostrzałowe karabiny Werndla (naboje z dymnym prochem) zetknąwszy się pod Mołotkowem z przeważającymi siłami moskiewskimi, musiał mimo wszystko tę bitwę przegrać, choć obfitowała ona w liczne epizody, świadczące chlubnie o wartości moralnej młodego żołnierza legionowego.

Gen Durski ustąpił i nie wiem co się z nim stało.

Dtwo.II bryg. Objął ~~był~~ po nim zastępczo Józef Haller i prowadził b. dzielnie ofenzywne uderzenie przez Karpaty (Pantypass) w zimie 1914-15.

Co potem było nie wiem, dość, że, gdy II bryg. poszła na wiosnę na odpoczynek (b. słusznie jej się należący) do Kołomyi, mianował dca. VII armii austr. gen. Pflanzer-Baltin (specjalnie wrogo usposobiony wobec legionistów) dca II bryg. leg. pułkownika "Miecislausa" (!) von Zalewskiego z general.sztabu, wprawdzie pochodzenia polskiego i władającego polskim językiem, ale nie poczuwającego się do polskości w zupełności. Było to indywiduum złośliwe, pełne t tendencji dokuczenia legionistom na każdym kroku, pokazania im, jak on to potrafi nagiąć ich do "prawdziwej dyscypliny wojskowej", sekant bez charakteru. Nie dowodził nigdy żadną jednostką, będąc cały czas swej służby zawsze w general. sztabie. Przy tym dość miernej ogólnej inteligencji. To był osobnik wybrany i proponowany na brygadiera przez gen.Pflanzer-Baltina, który chciał mieć na tym stanowisku człowieka absolutnie oddanego, któryby także prowadził "wywiad" nastrojów w podległej mu brygadzie!

Ów Miecislaus von Zalewski zaczął od tych komiśnych, ~~Kaprals-~~ ~~kich~~ kapralskich sekatur, jak np. porządek w koszarach, równomierność ubrania, punktualność w powracaniu do koszar itp., co jest wprawdzie w wojsku niewątpliwie potrzebne, ale czem można żołnierzowi w czasie pokojowym służbę wojskową gruntownie obrzydzić, a

cóż dopiero w czasie wojny! –

A trzeba wiedzieć, że ~~założenie~~ żołnierze II bryg. po chlubnym ukończeniu kampanii karpackiej, który ich chwałą okryła i w której dowodnie wykazali, że są w każdym razie więcej warci, niż wszystkie landsturmy, austryjackie i węgierskie oraz różne "rumänische", "ruthenische" freiwilligenbatalione, z których się składała armia gen. Pflanzer-Baltina, odrazu się zorjętowali, co to za facet ten Miecislaus von Zalewski i zaczęli mu robić na każdym kroku opozycję, co im się b. udawało przy wysokiej ich inteligencji, a tępocie i głupocie Miecislausa. Na ten temat opowiadano setki doskonałych anegdot, w których w b. marnym świetle wychodził tak Miecislaus, jak i Pflanzer-Baltin.

W tym to czasie wybuchła w II brygadzie awantura na temat "łazanek". Mianowicie oficerowie legionowi uważali się za uprawnieni do noszenia na kołnierzu, tak jak oficerowie austryjaccy z gwiazdek. Mógł jakiś głupi lejtnant z "Landsturm-Arbeiterabteilung", kt. się całe życie "dekował", kopiąc gdzieś daleko na tyłach (np. w Siedmiogrodzie lub pod Wiedniem) rowy, koło którego nigdy żadna kula nie gwiznęła, nosić oficerskie gwiazdki i mieć przy szabli oficerskie portepee, to chyba zasłużyli na te odznaki oficera bardziej oficerowie legionowi!

Tymczasem w sztabie gen. Pflanzer-Baltina w Kołomyi wpadł-albo on sam albo Miecislaus von Zalewski albo jakiś inny kundel ze sztabu Baltina-na pomysł zakwestionowania oficerom leg. odznak oficerskich i zastąpienia ich tz."łazankami" tj. kwadratowymi naszywkami formy □ . Wyszedł więc rozkaz z dwa armii Baltina, że oficer. i podoficer. mają zależnie od stopnia, nosić na kołnierzu takie "łazanki" (oficerowie austr. byliby musieli pierwsi salutować oficerów legionowych, stopniem starszych, gdyby oficerowie leg. mieli na kołnierzach zamiast "łazanek" gwiazdki).

Powstało naturalnie ogromne rozgoryczenie i legioniści odpowiedzieli na ten arcygłupi i nietaktowny rozkaz, w ten sposób, że zaprzestali w ogóle nosić jakiekolwiek oficerskie wzgl. podoficerskie odznaki. Również znikła tytulatura "porucznik","kapitan" itp. a nazwano dcę. komp. "kompanijnym", dcę. baonu "batalionowym" itp.

Powstał przez to nowy, zupełnie niepotrzebny ferment, który przepaść między armią austr. a legionami tylko pogłębiał.

Zalewski w końcu zorjętował się, że jego stanowisko-jako dcy brygady legion.-jest niemożliwe do utrzymania i gdzieś ku końcowi pobytu brygady na odpoczynku w Kołomyi, znikł, odchodząc na jakieś inne stanowisko.

Już nie wiem dokładnie, jak sprawa obsadzenia dtwa. II bryg. załatwiona została; Zdaje się, że pułk. Józef Haller, mający przy formowaniu legionów tyle zasług, był brany b. poważnie pod rozwagę na dcę. Brygady, czy też może nawet został nim mianowany, ale na froncie bukowińskim (odcinek między Dniestrem a Prutem) nigdy się z nim nie zetknąłem. Zdaje mi się, że poszedł na dłuższy urlop zdrowotny.

A tymczasem dtwo. bryg.-jako takie-nie było czynne, a ponieważ na froncie bukowińskim zaczęli Moskale coraz bardziej napierać, więc wysłano pojedyncze pułki (tj. 2.pułk pod pułkow. Januszajtisem i 3. pułk pod pułk. Zielińskim na front koło Dobronowiec i Toporowiec.

Do dość dużego chaosu, który w legionach panował, przybyła tedy jeszcze jedna troska tj. obsadzenia dtwa. bryg., który ten chaos jeszcze bardziej powiększała. Faktem jest, że w czasie ciężkich bojów w kwietniu, maju i czerwcu 1915 nie było dtwa. brygady, Mam wrażenie, że-o ile oba pułki były razem złączone, to pułk. Zieliński, sprawował automatycznie pod wzgl. taktycznym agendy dcy. brygady. A przecież tak łatwem i doskonałym rozwiązaniem tego

problemu byłoby definitywne oddanie właśnie jemu tego stanowiska. Ale polityka AOK. wzgl. Pflanzera-Baltina chodziła innymi drogami!

Pewnego bowiem poranku zjawił się na odcinku legionów koło Mamajowiec jakiś pułkownik austr. ze swoim ordynansem i przedstawił się jako pułkownik Johann Kütner, zamianowany dcą brygady.

Był to Niemiec z pochodzenia, który służył b. długi czas przy jakimś galicyjskim pułku i władał polskim językiem b. słabo, ale był zasadniczo bardzo zacnym i porządnym człowiekiem o pięknej przeszłości bojowej na serbskim (!) froncie, mający dla legionistów dużo serca, dużo taktu i delikatności, oraz zrozumienia, że legioności są armią ochotniczą i że całkiem inaczej ich traktować należy, niż żołnierza z poboru, który przeszedł trzy wzgl. dwuletnie wyszkolenie i dryl kasarniany.

Na tym miejscu opiszę arcyzabawny epizod, jaki się zdarzył przy objęciu stanowiska przez pułk. Kütnera.

Sztab brygady był wówczas "Kadłubowy", bo składał się z kilku łazików, którzy w myśl zasady "nur im Stabe, weit vom Grabe", woleli trzymać się klamki sztabowej, niż słuchać świstu kul na froncie.

Był tam porucznik ułanów Grabowski Tadeusz, a także porucznik Dr.Merwin Bertold, żydek, legionista, który był tz. "Kriegsberichtserstatler der Neuen Freien Presse für die Legionsfront".

Kütner wchodzi, zaznajamia się ze sztabem "kadłubowym", przy ~~xx~~ czem Dr. Merwin Bertold gra rolę tłomacza i zaczyna dyktować rozkaz powitalny, zapowiadający objęcie przez niego dtwa. brygady i zapewniający legionistów o swej sympatii. Ponieważ był to dzień b. gorący, otyły Kütner spocił się bardzo, zdjął więc buty i chodząc w skarpetkach tam i nazad po izbie dyktował swój rozkaz. Ten kończył się apelem "Bringt mir dieses Vertrauen entgegen, welches ich Euch gegenüber hege"(Ufajcie mi tak, jak ja Wam ufam)!

Rozkaz ten Dr. Merwin przetłomaczył na język polski i wszystko

było w porządku.

" Aber wo sind meine Stiefel!? (Gdzie są moje buty?) pyta Kütner, który je koło drzwi postawił. Butów jednak nie ma, gdzieś znikły i nikt nie był w stanie dać co do nich wyjaśnienia. Wszystkie zapytania pod adresem ordynansów kancelaryjnych i innych łazików zostały bez rezultatu.

Sprawa coraz bardziej zaczynała nabierać posmaku silnie kompromitującego i pachnącego wprost skandalem, bo nowemu brygadierowi, gdy on właśnie zapewniając o swej sympatii, wzywa," by mu tak ufano jak on legionistom ufa", zginęły w godzinę po jego przybyciu... buty! Nie było innej rady, trzeba było ~~xxxxxxx~~ zażądać interwencji legionowej żandarmerii polowej, bo buty musiały się znaleźć; Kütner bowiem nie miał w plecaku drugiej pary. Dcą, żandarmerii był Okułowicz, był chłop sprytny i b. energiczny, ten zaczął indagację od tak grutownego prania po mordach łazików, aż się buty znalazły. Swisnął je mianowicie ordynans osobisty Dra Merwina, typ w rodzaju Pigułeczki.

Kütner zaprowadził z wrodzonym mu taktem porządek wojskowy w brygadzie i wkrótce polubili go wszyscy, jak ojca.

Sylwetki znakomitszych oficerów II brygady legionów.

Jak już nadmieniłem, mówiąc o moim pierwszym spotkaniu z legionami, był Zygmunt Zieliński w całym tego słowa znaczeniu świetlaną przepiękną postacią, z której tak legiony, jak i cała Armia Polska może być dumną!

Czysty, kryształowy charakter, bezgraniczna miłość Ojczyzny, dla której zawsze wszystko poświęcić był gotów, oficer bezprzykładnie waleczny, a jako zawodowy wojskowy najgruntowniej w sztuce wojennej wykształcony, był śp. Gen. Zygmunt Zieliński zawsze pod każdym wzgl. wzorem dla swoich podwładnych.

Pochodził, zdaje się, z jakiejś góralskiej rodziny, służył w

armii austr. o ile wiem, w 20 pułku (nowosądeckim) piechoty, a może i w 13 (krakowskim) pułku piech. i dosłużył się stopnia podpułkownika. Potem przeszedł w stan spoczynku i oddał się zupełnie przygotowaniu młodzieży do zawodu wojskowego, chcąc przysposobić jak największą ilość do służby w przyszłej Armii Polskiej. Już bowiem na, kilka lat przed r.1914 było jasnym, że między Rosją a Austrią przyjdzie do orężnej rozprawy.

(Mimo liczebnej przewagi Rosji nie uważano ją za tak groźną przeciwniczkę, bo wojna japońska dostarczyła dość dowodów, jak gliniane były nogi tego kolosa, a ruch w r. 1905 wykazał, jak na wylot zanarchizowana, skorrumpowana i zgniła była jej istotna wartość. Wszak w Rosji było wśród inteligentnych sfer bardzo wielu przeciwników carskiej Rosji i każdy porządnie myślący Rosjanin życzył sobie za wszelką cenę radykalnej zmiany tych stosunków.)

Jak już wspomniałem, zetknąłem się ze śp. podpułk. Zielińskim w r. 1915 pod Dobronowcami; jakie wrażenie odniosłem nakreśliłem również.

Miał on niesłychanie wielki wpływ na swych podwładnych i umiał także na ogół niedojrzałe elementy, jakie się w legionach spotykało, w ryzach utrzymać. Nawet takiego Berbeckiego (uosobienie braku poczucia dyscypliny i wielki ulubieniec Piłsudskiego, wściekle zarozumiały ex praporszczyk z rosyjskiej armii), z którym sobie żaden nawet dca. armii nie mógł dać rady, zdołał w r. 1920 nagiąć do posłuszeństwa.

Pułk. Zieliński, jako dca.3.dywizji w r. 1919 w armii Iwaszkiewicza, dowodził nią chlubnie, a w r. 1920 na stanowisku dcy.armii okazał się również na wysokości zadania.

Zmarł po wojnie z bolszewikami, przedwcześnie sterawszy zdrowie w twardej służbie żołnierskiej i zwłoki jego spoczywają na cmentarzu rakowickim w Krakowie obok grobów oficerów i żołnierzy, ułanów, któ-

rzy polegli na plantach 6.XI.1923 z ręki tamtejszych lewicowych elementów.

Marian Żegota Januszajtis. Należy go również postawić na jednym z czołowych stanowisk, gdy się mówi o oficerach legionowych, a specjalnie o oficerach II brygady.

Był to człowiek predystynowany na żołnierza, a przede wszystkim na dowódcę: niezwykle odważny, nie liczący się z żadnym osobistym niebezpieczeństwem, gdy chodziło o jakąś ważną sprawę, nie tracący nigdy głowy w najbardziej groźnej sytuacji, a przytym zdolny do szybkiej i trafnej decyzji; zawsze gotów wziąć odpowiedzialność i wydać samorzutne zarządzenia, nawet wbrew otrzymanym rozkazom, gdy sytuacja tego wymagała, miał doskonały taktyczny zmysł; służyłem pod jego dtwem. Kilka miesięcy jako szef sztabu 12 dyw. w r. 1920 (od 20.III 1920 aż do mego odejścia na szefa sztabu II armii) i przechodziłem dosyć b. krytycznych sytuacji, Decyzje pułk. Januszajtisa były zawsze trafne(!), co przypisać należy jego nadzwyczajnemu uzdolnieniu wrodzonemu w kierunku wojskowym.

Przy wszystkich swych zdolnościach nie popadał w żadną zarozumiałość, nie spoczywał na laurach, lecz ciągle uczył się i studiował, Rezultatem tego była, że posiadał istotnie wielkie wiadomości wojskowe.

Posłuszny i b. zdyscyplinowany żołnierz (u legionistów raczej rzadka rzecz, szczególnie gdy się miało tak piękną przeszłość bojową) miał jednak zawsze na tyle cywilnej odwagi, by przełożonemu, żądającemu rzeczy niemożliwych i niewykonalnych, powiedzieć bez ogródki verba veritatis.

Krótki szkic jego kariery wojsk. wygląda tak: Januszajtis po ukończeniu agronomii w Dublanach, oddał się całą duszą formowaniu "Drużyn Bartoszowych" i ich szkoleniu i osiągnął tu wcale piękne rezultaty. Sam doskonały strzelec, kładł słusznie ogromną wagę na

wyszkolenie strzeleckie. Pierwszy raz zetknął się z nieprz. jako dowódca jednego z batalionów 2-go pułku piech.leg. Prowadził baon doskonale tak pod Mołotkowem, jak i podczas całej kampanii Karpackiej i dotarł aż do Stanisławowa, który legioniści na kilka dni zajęli byli.

Gdzieś w tym czasie został dcą.2 pułku i został przesunięty na stopień podpułkownika i z nim poszedł na odpoczynek II brygady do Kołomyi, a potem na front besarabski w Dobronowcach.

Gdy legioniści (kpt Wojnar) stracili swoją baterię w r. 1915 pod Dobronowcami Januszajtis na własną rękę, nie pytając nikogo, zrobił wypad, by dognać uchodzących z baterią Moskali i odbić ją. Niestety nie udało mu się to, bo Moskale, gdy coś zdobyli, ściągali możliwie szybko zdobycz na tyły i odbicie baterii już się nie udało.

Januszajtis wyznawał jako kardynalną zasadę, że dca ma być przy natarciu możliwie na przodzie, by ocenić sytuację na podstawie osobistej obserwacji, a przy odwrocie zawsze przy tylnej straży, np. przy cofnięciu linii austryjackiej w maju 1915 za Prut. Idąc z tylną strażą używał b, chętnie swego 10-strzałowego repetjerowego pistoletu Mausera z kolbą, strzelając b. celnie do Moskali i imitując nim doskonale "krótkie" salwy karab. maszynowego.

Zdaje się, że nie wielu takich zuchów znajdziemy między sztabowymi oficerami! Nie dziw więc, że żołnierz czując blisko siebie dcę. pułku inaczej się bił, niż pozostawiony samemu sobie, musiał własną niedoświadczoną głową pracować, nie znając zwykle całokształtu ogólnej sytuacji.

Kampania na wiosnę 1920 na Ukrainie, gdy objąłem szefostwo sztabu 12 dyw., którą Januszajtis już jako pułkownik dowodził, była z początku łatwa, gdyśmy parli bolszewików zwycięsko gdzieś aż do Krzyżopola. Potem nastąpiła pauza w posuwaniu się naprzód i tylko albo my robiliśmy wypady, albo bolszewicy, utrzymując jednak na ogół pierwot-

nie zajętą linię.

To trwało tak długo aż na nasze prawe skrzydło przyszła armia ukr. Pawlenki. Wtedy bowiem Petlura, przestawszy wierzyć w Denikina, zdeklarował się definitywnie po stronie Polski, zdając się na "federacyjną" ideę Piłsudskiego.

Gdy jednak bolsz., zebrawszy się w kupę, odebrali nam zajęty przez Rydza-Smigłego Kijów, a konna armia Budiennego (12.000 szabel) rozbiła naszą II Armię, dowodzoną przez gen. Listowskiego pod Równem, przecinając ten bardzo cieniutki, a długi odcinek jej, zaczęło Nacz. Dtwo myśleć o odwrocie.

VI Armia (gen. Iwaszkiewicza) w składzie" ukr. armii Pawleńki (ledwie kilkaset szabel i kilka armat), 12 dyw. pod Januszajtisem, 13 dyw. pod Pawlikiem i 5 dyw. pod gen. Jędrzejewskim) cofały się mniej więcej w kierunku na Podwołoczyska. 12 dyw. dostała, cofając się w porządku i w harmonii z Pawleńką. i 13 dyw. nagle z dtwa.VI Armii (Iwaszkiewicz) arcygłupi rozkaz trzymania Żmerynki (do której właśnie dochodziliśmy)" przez 24 godziny i w tym czasie ewakuować stację Żmerynkę z pociągów i zapasów tamże nagromadzonych".

Autorem tego arcygłupiego i niewykonalnego rozkazu, był nikt inny tylko ten błazen kpt. Władek Rozwadowski, kt. w VI Armii objął był tz."oddział IV" (zaopatrzenie, dyrygowanie pociągów i w ogóle dysponowanie tyłami). Gdyby ten nieuk i fantasta znał się był choć trochę na służbie etapowej i kierowaniem "tyłów", byłby zarządził ewakuację Żmerynki już na 8 dni przedtem, ale cymbał zupełnie o tym nie myślał, a był zanadto zarozumiały, by się jakiegoś kolejowca lub fachowca poradzić. Szef sztabu VI Armii pułk. Kessler był także tuman, ufający kpt. Rozwadowskiemu i także zupełnie w tym kierunku nie ingerował.

Gdyśmy po otrzymaniu tego głupiego rozkazu przybyli z Januszajtisem do Żmerynki, włosy nam na głowych stanęły, bo na olbrzymim dworcu tamże były nagromadzone pociągi tak, że o rozwikłaniu tego

chaosu i wprawienie w dalszy ruch na Podwołoczyska w ciągu 24 godzin mowy nie było.

Samych pociągów z rannymi było około 50! Dalej moc pociągów pełnych zapasów, moc pociągów przepełnionych uciekinierami z Ukrainy! A tu nprz. ścigając nas, nacierał chwacko i groziło nam, że obejdzie skrzydła 12-ej dyw. i ją od dalszego odwrotu odetnie.

Każdy inny dca.dyw. byłby, mając wzgląd na uratowanie dywizji, wykonał ślepo rozkaz 24-godzinnego trzymania Żmerynki, wycofał w mig co było można, a resztę zostawiając na opiekę Opatrzności i bolszewików,-i rozpoczął w myśl rozkazu dalszy odwrót.

Jednak nie Januszajtis! Zadecydował on na własną odpowiedzialność trzymać Żmerynkę trzy dni, biorąc na swe barki losy 12 dp. i zdając sobie zupełnie jasno sprawę z niebezpieczeństwa jej grożącego przez oskrzydlenie.

(Takie wielkoduszne i w skutkach tak niezmiernie ważkie postanowienie honorowała np. Austria orderem Marii Teresy!)

Setki a nawet tysiące rannych i uciekinierów zawdzięcza temu postanowieniu Januszajtisa swoje życie, bo bolszewicy nie bardzo bawili się w branie jeńców.

Na dworcu w Żmerynce zjawili się z dtwa.VI Armii kierownicy oddziału IV-tego z Władkiem Rozwadowskim i jeszcze jakimś pułkownikiem generalnego sztabu, którego nazwisko wypadło mi z pamięci. Ile oni obaj grubiaństw od Januszajtisa i ode mnie usłyszeli! Przy czym epitety, jak osioł i dureń sypały się jak z rogu obfitości. "Zhepawszy" ich należycie i gruntownie, zaczęliśmy wydawać rozkazy celem powstrzymania napierającego nprzla i mające na celu równoczesną pospieszną ewakuację, oczywiście pociągi z rannymi w 1 linii.

Niezmierne usługi oddał nam wówczas brygadier Wolgwer i porucz. Sas-Nowosielski, mający w 12 dyw. referat zaopatrzenia.

Szczęście, które na wojnie b. wiele znaczy, dopisało Januszajtiso-

wi i tym razem, bo w ciągu 3 dni i nocy nadludzkiej pracy i wysiłków udało się wszystkie pociągi pchnąć ku Podwołoczyskom. Zostały tylko próżne wagony i lory, oraz nie nadające się do użytku lokomotywy, które podpaliliśmy.

Wówczas dopiero zaczęła 12 dyw. kontynuować odwrót, kt. się dość porządnie odbywał, bo nprz. widocznie zbałamucony naszym trzymaniem Żmerynki, nie naciskał nadmiernie, rekognoskując ostrożnie, co się tam dzieje.

Tak tedy wielkoduszny wyczyn Januszajtisa skończył się zupełnym powodzeniem! Czy dtwo VI Armii zdobyłoby się na tyle odwagi i postawiło wniosek, by mu nadać order Virtuti militari, choć IV klasy nie wiem. Wątpię jednak, bo przy tym musiałoby się przyznać do swego niedołęstwa pod wzgl. operacyjnym. Wiem tylko tyle, że Januszajtis daleko później, bo dopiero po wojnie dostał order Virtuti militari V klasy (najniższy)!

Gdy osiągnęliśmy z 12 dyw. linię Zbrucza, odszedłem z 12 dyw. na stanowisko szefa sztabu 2.Armii (dca.gen. Raszewski) i nie byłem już świadkiem dalszych, chlubnych wyczynów tej dyw. Wiem tylko z meldunków sytuacyjnych, że bardzo się dzielnie na terenie Wsch. Małopolski spisywała, co było wyłączną zasługą pułk. Januszajtisa.

Po zawarciu pokoju w Rydze w r. 1920 osiadł pułk. Januszajtis w Tarnopolu, sprawując do r.1924 dtwo 12 dyw.

W jesieni tego roku otrzymał od gen. Sikorskiego, kt. wówczas był premierem telegram tej treści:" Proponuję Panu stanowisko wojewody nowogródzkiego, odmownej odpowiedzi nie przyjmuję ,do wiadomości"

Był to dla pułk. Januszajtisa rodzaj poważnego awansu. Choć on w administracji nigdy nie pracował, objął przecie to stanowisko i wywiązał się na nim ze swych obowiązków doskonale. Powodem, dla którego właśnie na pułk. Januszajtisa padł wybór gen. Sikorskiego było to, że w Nowogrodzkim, na Wileńszczyźnie, a nawet we Wsch. Małopolsce

zaczęły grasować bolszewickie oddziały dywersyjne, a także i zwyczajni bandyci, a ani władze administr. ani b. marna i przekupna wczesna "straż graniczna" nie mogły sobie ani dać z nimi rady, ani opanować sytuacji.

Pułk. Januszajtis wziął się do robienia porządku z wrodzonym sobie sprytem i energią, dowodził osobiście kilku wyprawami przeciw dywersantom, i wkrótce zapanował tam spokój!

A tymczasem zbliżał się r. 1926 i smutnej pamięci maj 1926. Jak długo gen. Sikorski był premierem, potrafił zawsze w czas sparaliżować wysiłki Piłsudskiego, mające na celu zamach stanu.

Ostatni raz w jesieni 1925 sparaliżował osobiście przygotowany już przez piłsudczyków zamach. Piłsudski sam siedział ciągle "bez teki" w Sulejówku, niby szwab za listwą i stamtąd kierował "akcją."

Gdy wskutek intryg Piłsudskiego, a głównie naiwnych a doktrynerskich "endeków" ustąpił ze stanowiska premiera Sikorski, a objął je hr. Skrzyński, grawitujący do socjalistów, Sikorski został... dcą ok. VI we Lwowie. Ministrem spraw wojsk zrobiono gen. Żeligowskiego, śmieszną figurę z ros. armii, a nie mającego na to stanowisko żadnych kwalifikacji.

W tym czasie pułk. Januszajtis, jako wojewoda nowogródzki, pojechał do Warszawy i spotkał się był z pułk. Młodzianowskim, kt. do niedawna był komendantem korpusu Kadetów w Warszawie, a obecnie w nowym składzie gabinetu, objął był jakąś tekę. Januszajtis, którego z Młodzianowskim, jako starym legionistą łączyły raczej stosunki dawnej przyjaźni, zapytał go rozmawiając o wichrzeniach Piłsudskiego w korpusie oficer, (aby sobie zjednać zwolenników). "No! Kiedyż Wy raz skończycie z tym Piłsudskim?"

Nie przeczuwał, że Młodzianowski, choć do niedawna jako komendant Korpusu Kadetów, wszczepiał był w nich najszlachetniejsze hasła i pod względem moralnym doskonale tę uczelnię prowadził (co mu bezstronnie

trzeba przyznać!), zmienił się był gruntownie, objąwszy tekę ministerialną: stał się bezwzględnym zwolennikiem Piłsudskiego. Słowa, które od Januszajtisa usłyszał, doniósł do Sulejówka i tym przypieczętował los jego, albowiem po zamachu stanu w maju 1926 zaraz go usunięto ze stanowiska wojewody, wypłacając jedynie 3 miesięczne pobory i nie przyjmując z powrotem do wojska(!), choć miał na piśmie ze strony rządu, (jeszcze, gdy na czele stał Sikorski) zapewnienie, że "na wypadek, gdyby ustąpił ze stanowiska wojewody, będzie każdej chwili z powrotem do wojska przyjęty" Rezultatem tego, że go z powrotem do wojska nie przyjęto, (ministrem spraw wojsk. był ten Nikczemny fujara Żeligowski) było, że nie chciano mu wypłacić pensji jako ex wojewodzie, bo za krótko był na tym stanowisku, a ministerstwo spraw wojskowych nie wypłacało mu także żadnych poborów emerytalnych, stojąc na stanowisku, że gdy Januszajtis przeszedł ~~był~~ do służby administracyjnej , to to ministerstwo nie ma żadnych obowiązków wypłacania mu jakichkolwiek poborów emerytalnych. Było to ze strony Żeligowskiego, a właściwie Piłsudskiego wielkie łajdactwo w ogóle, a szczególnie wobec tak świetlanej postaci, jaką w historii legionów i w r. 1919-1920 był Januszajtis. Rumienić się trzeba ze wstydu, że wówczas w Polsce tego rodzaju ciemne indywidua, jak Piłsudski i Żeligowski kierowali losami Zmartwychwstałej Ojczyzny! Mimo dosyć dużego wzburzenia opinii publicznej, przez szereg długich miesięcy człowiek ten, tak niezwykle zasłużony Ojczyźnie, ten wzór (!) dzielnego oficera polskiego, musiał zarabiać na chleb powszedni w Warszawie, występując w roli agenta(!) sprzedaży aparatów radiowych jakiejś zagranicznej firmy, a żona żyła z handlu wędlinami, które jej matka z Suwalszczyzny przysyłała. Był to skandal, jakich mało!

Dopiero przyjaciele Januszajtisa, chcąc mu koniecznie dopomóc, wykorzystali czas, w którym ten nikczemny Żeligowski był na urlopie i zastępował go gen. Konarzewski,(również głupia i tępa figura z ros.

armii) i wyłudzili od niego podpis na arkuszu pensyjnym Januszajtisa, i on odtąd zaczął pobierać jakieś skromne pobory emerytalne. Przeszedł jednak eo ipso definitywnie w stan spoczynku, mając około 40 lat i mogąc jeszcze dziesiątki lat pracować z wielkim pożytkiem dla Ojczyzny. Historia Januszajtisa, a szczególnie jej epilog to najlepszy przykład, jak mściwym bez krzty sumienia i sprawiedliwości był Piłsudski!

Januszajtis usunął się na swą działkę w Szyłach (koło Łanowiec) i już na żadne stanowisko nie wrócił.

Gdy się duma nad jego losem, przypominają się mimowoli dzieje bohaterów starej Grecji, którzy za bezcenne zasługi wobec Aten, zostali ostracyzmem skazani na wygnanie, lub wychylili puhar... cykuty.

Generał Eugeniusz Władysław Sikorski

Jego sylwetkę monograficzną powinienbym umieścić właściwie przed sylwetką Januszajtisa, bo był on przecież większą i potężniejszą indywidualnością, niż Januszajtis. Nie ujmuje to jednak w niczym zasługom tego ostatniego, bo gen. Sikorskiego muszę zaliczyć do ludzi może największych, co się zdolności tyczy, z jakimi się w życiu a szczególnie w 1 wojnie światowej spotkałem. A przecież spotykałem z takimi ludźmi, jak Conrad v.Hötzendorf, sławny niemiecki Seeckt, gen.hr. Beck (szef sztabu armii austr. przed Conradem), gen. Kraus Alfred (dca.armii austr. pod Monte Grappa) gen. Korda (dca. XI austr. korpusu) i wielu innych ludzi, o których historia jeszcze wiele będzie miała do powiedzenia. Także z naszych generałów nie wolno mi pominąć milczeniem śp. gen. Emila Gołogórskiego, który przecież decydującą rolę odegrał w 12 ofenzywie austr.,forsując Isonzo, Brentę, aż do Piave i biorąc pod Latissaną 60.000 Włochów do niewoli.

Jeden umysł przewyższał może gen. Sikorskiego, a to gen. Rozwa-

dowski Tadeusz, ale trzeba wziąć pod uwagę, że gen. Rozwadowski, pr- prawdziwy mąż opatrznościowy Polski w r. 1920,-był o jakie 20 lat starszym od gen. Sikorskiego i miał doświadczenie życiowe, ocierając się po dworach europejskich panujących, znał służbę dyplomatyczną doskonale, mówił obcymi językami, znał się na polityce, czego gen. Sikorski wówczas jeszcze nie mógł wiedzieć i sobie przyswoić, by był jeszcze za młody i nie miał jeszcze czasu i sposobności osiągnąć wyżyny genialnego Rozwadowskiego.

Był jednak bezwarunkowo najzdolniejszym i najszybciej i najtafniej się orientującym w najbardziej zawiłych i najtrudniejszych sytuacjach, jakich znałem.

Był to pierwszorzędny talent organizacyjny, człowiek niezwykle ujmujących manier i zyskujący momentalnie sympatię ludzi, z ktątymi się zetknął, spokojny, zrównoważony, a przede wszystkim wprost nieprawdopodobnych zdolności taktycznych i operacyjnych.

Szybkość decyzji zawsze trafna, żelazna konsekwencja w raz powziętej decyzji i jaźń, zdolna wziąć na swoją odpowiedzialność osobistą wszystko, jeśli tego wymagała sytuacja,-oto zalety umysłu generała Sikorskiego!

A teraz przystępuję do nakreślenia okoliczności wśród których go poznałem.

Było to właśnie po zawarciu przez Czermina, austr. ministra spraw zagranicz., pokoju brzeskiego, zdaje mi się 10.II.1917 (tz. "Brotfrieden"). Byłem właśnie we Lwowie na urlopie z żoną na ślubie Dziodzi Wolskiej z Józiem Obertyńskim i poszedłem do gen. Rozwadowskiego, by go prosić o radę i pomoc przy ewent. wstąpieniu do legionów. (Chwila ta była przeze mnie dość niefortunnie wybrana, bo za kilka dni nastąpiło przejście Hallera Józefa pod Rarańczą, tylko częściowo udałe,-rozbrojenie i uwięzienie części legionistów, przewiezienie ich do Huszt itd., o czem zresztą jeszcze szczegółowo we

właściwym miejscu będę opowiadał).

U gen. Rozwadowskiego, zastałem pana, około lat 30-tu o niezmiernie inteligentnym i sympatycznym wyrazie twarzy, w szarym żołnierskim mundurze, bez żadnych odznak, któremu mnie gen. Rozwadowski przedstawił. Był to pułkownik Sikorski.

Pracował on dotąd niezwykle dzielnie i pożytecznie w N.K.N. (Nacz. Komitet Narodowy), który opiekował się legionami i kierował ówczesną polityką polską.

Na czele jego (N.K.N.) stali tacy ludzie, jak prof. Jaworski, dr.Leo i inni.(Piłsudski był wrogiem N.K.N. i zwalczał go, gdzie ~~mógł~~ tylko mógł).

W tym czasie,jednak jeszcze przed owym fatalnym pokojem brzeskim, formowano w Bolechowie tz."polnisches Hilfskorps" podczas gdy Niemcy pod Besselerem w Warszawie tworzyli tz."poln. Wehrmacht" Piłsudski był już wówczas-zdaje się-za swoje intrygi i knowania wywieziony wraz z Sosnkowskim do Magdeburga, zaś oporni Piłsudczycy z I brygady do obozu w Szczypiórnie.

Sikorski pracował w Bolechowie.

Gdy nastąpiły w związku z przejściem Hallera aresztowania i odstawienie ich do obozu w Huszt, Marmaros Sziget i Bustyahaza, Silorski wraz ze swoim adiutantem poruczn. St. Kochanowskim, chcąc dzielić los kolegów, zgłosili się obaj dobrowolnie do Huszt i oddali władzom austr.Oczywiście uwięziono ich. Ile miesięcy przebywał tam Sikorski, nie wiem już dzisiaj. Myliłby się jednak, ktoby sądził, że Sikorski będzie próżnował. Przeciwnie! Wziął się do studium języka francuskiego, w czym był mu bardzo pomocnym adj.por. Kochanowski, władający nim dobrze. Przytaczam ten szczegół, bo to charakteryzuje pracowitość Sikorskiego w kierunku kształcenia się i rozszerzania zakresu swych wiadomości w każdym kierunku.

Jakie były dalsze jego losy w Huszt, nie wiem.

Osobiście zetknąłem się z nim bliżej dopiero w r. 1918/19 tj. w czasie walki o Lwów. Mianowicie przy organizowaniu Armii "Wschód" był on kwatermistrzem Armii. W lutym 1919 zdaje mi się postanowił pułk Sikorski objąć odcinek zachodni w obronie Lwowa z miejscem postoju w Gródku Jagiellońskim. Był to "najdłuższy i najtrudniejszy do obrony odcinek. Jedynie bagna Hereszycy stanowiły miejscami rodzaj przeszkody, ułatwiającej do pewnego stopnia obronę.

Mnie odkomenderował gen. Rozwadowski na stanowisko kwatermistrza Armii i pułk. Sikorski oddał mi kwatermistrzostwo, zapoznając ze wszystkim, co dotąd w tym kierunku zrobił. Znam się, zdaje mi się, dość dobrze na służbie kwatermistrzowskiej i mogłem więc ocenić doskonałą organizację tego, co w tym kierunku dla Armii "Wschód" uczynił Sikorski: dla wszystkich zapotrzebowań Armii były potworzone już to wytwórnie, jużto warsztaty reparacyjne, jużto magazyny itp. tak, że wszystko było istotnie wzorowo zorganizowane. Nawet takie na pozór drobne, a jednak niezwykle ważne sprawy, jak np. przerabianie i ponowne nabijanie łusek do nabojów karabinowych było w nich uprawiane.

A była to rzecz b. ważna, bo załoga Lwowa cierpiała ciągle na brak amunicji w ogóle, a specjalnie karabinowej, podczas gdy npr. miał jej pod dostatkiem, mając w swoich rękach źródła nafty w Drohobyczu i Borysławiu i handlując nią z Węgrami, miał z Budapesztu w bród wszelkiej amunicji, broni itp. ile chciał.

Jak chlubną rolę odegrał Sikorski w obronie Lwowa wspomnę szczegółowo, opisując w dalszym ciągu i ten rozdział w epoce walk o zmartwychwstanie Ojczyzny.

Dalsze losy pułk. Sikorskiego od czasu, gdy nieudolny gen. Iwaszkiewicz objął dtwo.Armii Wschód nie są mi znane, chyba tylko jako pojedyńcze epizody, kt. również we właściwym miejscu opowiem. (Piłsudski, zazdrosny o rolę, jaką gen. Rozwadowski odgrywał przy

obronie Lwowa, a przede wszystkim dzielność, jaką rozwinął, organizując odsiecz Lwowa w marcu 1919, usunął go 18.III 1919 z Dtwa. Armii Wschód i oddał je Iwaszkiewiczowi, gen. Rozwadowski został wydelegowany na konferencję do Spaa, gdzie położył olbrzymie dla Polski zasługi, o czym później. Do upadku gen. Rozwadowskiego przyczynili się również "endecy" z ks. arcybiskupem Teodorowiczem na czele.

Jedną tylko sprawę poruszę, którą Sikorski dokonał w r. 1919 a to obalając koncepcję tz. "linii Curzona". Jest to jego olbrzymia zasługa wobec nowo tworzącego się Państwa Polskiego, a tak nikczemnie przez Piłsudskiego i jego bandę zauszników przysypywana prochem zapomnienia. A było to tak:

Jak wiadomo w r. 1919 w lecie dzięki takiemu bałwanowi, jakim był Iwaszkiewicz, powodziło się nam w walkach na terenie Wschodniej Małopol. dość marnie. Nasza dyplomacja z głupim Grabskim Władysławem na czele zabiegała w Spaa o interwencję Anglii i Francji, by zawrzeć rozejm z Ukraińcami za wszelką cenę.

Wówczas wystąpił ze strony angielskiej lord Curzon z projektem zawarcia rozejmu na linii Bugu. Curzon nie miał najlżejszego wyobrażenia o stosunkach we Wsch. Małopol. Nie wiedział, że tam żyje 50% Polaków, a między Ukraińcami jest co drugi żonaty z Polką, a bardzo wielu Polaków i Polek wśród chłopów z powodu nieuświadomienia narodowego, albo przechodzili na gr.Kat. obrządek, dzieci chrzcząc w cerkwi bo "to wszystko jedno, jeden Pan Bóg i jedna wiara" , a w domu mówiąc wyłącznie po rusku. Tą metodą uprawiali gr. Kat. księża "duszpasterstwo" z ogromnym rezultatem.

"Linia Curzona"byłaby oczywiście zaczątkiem niezawisłej Zach. Ukrainy i cała ludność polska, za linią Curzona żyjąca, (około 3.5 miliona) byłaby dla Polski przepadła.

Piłsudski, kt. w swej idiotycznej "polityce federalistycznej" nie dbał zupełnie o Wsch. Małopolskę, byłby chętnie Ukraińcom jesz-

cze i Lwów ofiarował, bo go nie cierpiał, zazdrosny o sławę, jaką się obrońcy Lwowa okryli.

Gdy więc Curzon wystąpił ze swoją "linią" (która leżała w interesie polityki angielskiej, wiernej zasadzie "divide et impera") xx rząd Piłsudskiego i Grabski Władysław już się byli na rozejm na tej linii zgodzili i już zostały wysłane rozkazy(!), by wojska polskie nie przekraczały tej linii wzgl. wycofały się za nią, o ile ją przekroczyły.

Pułkownik Sikorski, stojący ze swoją grupą gdzieś na wschód od Brzeżan, zorjętował się błyskawicznie, znając stosunki we Wsch. Małopolsce, czem to pachnie ta "linia Curzona" i zdecydował się na własną rękę odpowiedzialność(!) nie usłuchać tego rozkazu Piłsudskiego.

Zerwał swoją grupę, pośpiesznym marszem nocnym dotarł aż do Trembowli i zagroził linii odwrotowej Ukraińców: Tarnopol, Skałat, Grzymałów.

Rezultatem tego ze wszech miar znakomitego pociągnięcia było, że Ukraińcy w dość dużym nieładzie i nie orientując się w sytuacji, zaczęli się wycofywać ku Zbruczowi. Reszta naszych wojsk VI Armii (3 dp.leg. Zielińskiego,5 dp. Jędrzejewskiego i dyw. Aleksandrowicza) nie widząc przed sobą nieprzyjaciela, wzgl. widząc, że Ukraińcy zamiast trzymać"linię Curzona" cofają się bez walki, poszła w ślady gen. Sikorskiego i zaczęła napierać na nieprzyjaciela. Ukraińska armia (dca. gen. Pałenko) wycofała się za Zbrucz i tak dzięki politycznej dalekowzroczności i decyzji Sikorskiego działania na własną rękę odpowiedzialność i wbrew (!) otrzymanym rozkazom, ten arcygłupi projekt "linii Curzona" został udaremniony. Nie sądźmy jednak, że on został definitywnie zlikwidowany: w głupiej konserwatywnej polityce angielskiej pokutuje on do dziś? (1943) i może być każdej chwili wznowiony. Również blagą jest, jakoby Wsch. Małop. tylko na 25 lat

została Polsce przyznana, a potem miał być jakiś plebiscyt. Może być, że w ~~Spaa~~ może taka myśl pokutowała, ale nigdy przez Rząd Polski do wiadomości nie została przyjętą. Tego rodzaju koncepcjom ukręcił kark a limine gen. Rozwadowski.

Chciałbym widzieć tego dcę,, pochodzącego np. z armii carskiej a nawet austryjackiej (zwyjątkiem gen. Rozwadowskiego), któryby się na takie bohaterskie postanowienie zdecydował. Zdaje się, że ze świecą ani jednegobym nie znalazł!

Rezultatem tego było, że Małop.Wsch. przypadła definitywnie Polsce, nie mówiąc już o tym,że około 300 zakładników-Polaków (prof.Dr. Włodz. Lenkiewicz, Jaruzelski i inni), którzy byli uwięzieni w Tarnopolu i mieli być w kierunku Skałatu wywiezieni i rozstrzelani(!), zostało uwolnionych, gdy przyjęli na siebie zpbowiązanie, że nie dopuszczą do masakry rodzin ukr. oficerów i urzędników przez wkraczające wojska polskie. Łatwo było dać takie zobowiązanie, bo nikt nie myślał o takich represjach.

Istotnie żadnych aktów zemsty nie było, choć 22 Polaków zupełnie niewinnie na Zamku w Złoczowie rozstrzelanych i wiele innych ~~mf~~ ofiar okrucieństw ukraińskich mogłyby odwet usprawiedliwić.

O działalności gen. Sikorskiego, jako dcy V Armii w walkach z bolszewikami w r. 1920 nie będę szczegółowo wspominał, bo jest to wszystko dokładnie i prawdziwie opisane w dziele gen. Sikorskiego "Nad Wisłą i Wkrą", a także w broszurce "Rok 1920 w świetle prawdy" Kto jednak zna się na taktyce strategii i zada sobie trudu przestudiować choćby pierwsze dzieło z mapką w ręku, ten musi dojść do wniosku, że te pociągnięcia taktyczne i operacyjne Sikorskiego były wprost genialne. Były to wszystko operacje na tz. "wewnętrznej linii"(bez porównania daleko trudniejsze od"oskrzydlających" operacji na "zewnętrznej linii), a przeprowadzone tak po mistrzowsku i z taką zimną krwią, że dzić obejmując całokształt operacji nazwanych słusznie

" Cudem nad Wisłą" można śmiało twierdzić, że fundamentem ich były operacje V Armii, dowodzonej przez Sikorskiego. Jak one były trudne, niech posłuży jako przykład, że bolsz., mając przeważające siły i dążąc do oskrzydlenia lewego skrzydła V Armii, przeszli byli już Wisłę, zdaje mi się pod Płockiem i zaczęli zagrażać poważnie V Armii. Sikorski nie stracił głowy, lecz nie tylko, że ~~tak~~ ich zmusił do odwrotu z powrotem na prawy brzeg Wisły, lecz operując dalej na "wewnętrznej" linii, poparł niezwykle skutecznie operacje głównych sił polskich, walczących pod Warszawą. Gdyby Sikorski był małodusznym wodzem i cofnął się, mając zagrożoną lewą flankę i tyły (co byłoby do pewnego stopnia usprawiedliwionym), to ~~by~~ cały "Cud nad Wisłą" nie byłby się prawdopodobnie udał.

Po ukończeniu kampanii 1920 i zawarciu pokoju w Rydze, został nareszcie ten tak zasłużony człowiek generałem i przyznano mu ledwie order "Virtuti Militari....V klasy.

Wszystko to była robota Piłsudskiego i jego szajki, zazdrośny o chwałę jaką okryli się Rozwadowski i Sikorski.

Po wojnie wypłynął gen. Sikorski na arenę polityczną, sprawując urząd ministra spraw wojskowych, Rozwadowski był wówczas,-o ile pamiętam-szefem gen. sztabu, podczas gdy Piłsudski usunął się do Sulejówka, nie piastując żadnego urzędu.

Miał gen. Sikorski jako minister spraw wojsk. olbrzymie zasługi przy rozbudowie i reorganizacji Armii Polskiej.

Usunął on najpierw różnych oficerów-darmozjadów z byłej carskiej armii, a także austryjackiej (około 1000 osobników, biorących pełne pobory, a nie dając za to nic, lub b. mało.)

Drugą jego zasługą było założenie i rozbudowa przemysłu wojennego, a więc fabryki prochu w Pionkach, fabryki karabinów w Warszawie i Radomiu, fabryki armat i amunicji artyl. w Starachowicach i wiele innych.

Stworzył "Centrum wyszkolenia w Rembertowie", które musiał przejść każdy oficer, mający aspiracje na majora.

Za czasów jego ministerstwa została założona "Szkoła Sztabu Generalnego" w Warszawie, prowadzona pierwotnie przez wyższych, tak i bardzo doświadczonych oficerów francuskich, dalej uczelnie dla wykształcenia młodzieży na zawodowych wojskowych, jak np. Korpusu Kadetów i szkoła oficerów piechoty w Warszawie, szkoła oficerów artyl. w Toruniu, szkoła ofic. kawalerii w Grudziądzu, szkoła ofic. inż i saperów w Modlinie i służby łączności w Zegrzu itp. Pepinierą lotnictwa był Dęblin. Z lotnictwem stała sprawa o tyle trudniej, że było ono wówczas w ogóle jeszcze raczej "in statu nascendi" a napchało się do niego b. wielu mało wartościowych elementów. Lotnicy z wojny światowej byli-niestety-osobnikami o przeważnie zniszczonych nerwach, z których każdy prawie był kokainistą.

Również w lotnictwie (jak i w całej armii) weszło w modę pijaństwo (głównie zalewanie się ordynarną wódką) co jest zresztą objawem każdej dłuższej wojny. W tym kierunku wiedli prym oficerowie z b. armii carskiej, choć i inni także za kołnierz nie wylewali.

Z narkomanią i alkoholizmem rozpoczął gen. Sikorski zdecydowaną, a dosyć skuteczną walkę.

W dalszym ciągu założył gen. Sikorski "Wojskowy Zakład Geograficzny", który produkował mapy, najlepsze jakie dotąd były na świecie! Słynny na cały świat był "Militär geografisches Institut" b. dobre były mapy niemieckie, ale co się dokładności i przejrzystości tyczy, to polskie mapy 1:100000,(czterokolorowe!) i 1:200000 i inne nie miały sobie równych. Na czele stał generał Jaźwiński, który ten zakład doskonale prowadził, a potem po zamachu majowym został przez Piłsudskiego usunięty i zamknięty w Antokolu pod jakimś błahym pozorem (rzekomo nie dość dobry, czy nie dość tani papier)(!) do map). Mapy jednak były wykonane na b. dobrym papierze.

Piłsudski siedział podczas regimu gen. Sikorskiego w Sulejówku i tam niby pająk snuł sieć intryg i konspirował, dążąc do przygotowania zamachu stanu.

W międzyczasie został powołany gen. Sikorski na stanowisko premiera zachowując stanowisko ministra spraw wojsk.

Tak doszło aż do jesieni 1925 roku. Gen Sikorski śledził już od dawna ruch rewolucyjny Piłsudskiego i jego knowania, i wpadł na to, że w późnej jesieni tego roku miał być dokonany zamach stanu. Głównie zakonspirowany był garnizon warszawski. Gen. Sikorski, ufny w swój osobisty wpływ na korpus oficerski, objechał wszystkie pułki w Warszawie, zwołał wszędzie zgromadzenie oficerów, przedstawił im, że wszystko było mu wiadomym i mógłby z tym dowodowym materiałem, jaki posiadał, od razu wszcząć śledztwo przeciw konspiratorom. Nie czyni jednak tego, lecz upomina oficerów, by pamiętając na przysięgę i na honor oficerski, zerwali z tym ruchem konspiracyjnym i wrócili na drogę praworządności, jak to porządnemu korpusowi oficerskiemu przystało.

Rezultat jego wystąpienia był b. dobry, bo cały, na jesień wzgl. początek zimy 1925 planowany zamach stanu wziął w łeb; zdawało się, że wszystko spaliło na panewce. Ale Piłsudski knuł dalej! Postanowił wysadzić gen. Sikorskiego z premierostwa i obalić jego gabinet. To zresztą b. sprytne pociągnięcie było przez bezdenną głupotę i utylitaryzm ówczesnego naszego sejmu ogromnie ułatwione. Zmiany gabinetu były u nas na porządku dziennym, choćby dlatego, że można było nawet ludziom, nie mającym w danym fachu najmniejszego wyobrażenia dostać jakąś tekę ministerialną, zostać wojewodą lub dostać jakąś lukratywną synekurkę. Zaś kto raz był ministrem, choćby krótki czas (kilka tygodni) miał prawo po ustąpieniu pobierać pensję emerytalną, około 3.000 złp miesięcznie.(Była to szkoła Piłsudskiego, który np. swego czasu tekę ministra oświaty oddał doktorowi med.

Dobruckiemu ze Stanisławowa, który był.....specjalistą , hypnotyzerem!).

Obalono tedy gabinet gen. Sikorskiego, przy czym dużo pomogła "endecja", bo rzekomo "Sikorski był masonem!" (charakterystyczne dla "endeków" jest, że gdy nie mogą komuś zrobić jakiegoś realnego zarzutu, to mu zarzucają należenie do masonerii, co jest zawsze tylko gołosłownym frazesem, bo należenie do jakiejś loży wolnomularskiej nie da się nigdy wobec doskonale zakonspirowanego charakteru masońskiego nikomu udowodnić.)

Premierostwo objął hr. Skrzyński, wprawdzie arystokrata z rodu, ale silnie lewicowych przekonań; stał on również b. blisko Piłsudskiego i jego kliki.

Ministrem spraw wojskowych został za poparciem Piłsudskiego —risum teneatis! -ten bałwan Żeligowski, stupajka z carskiej armii. Ze stanowiska interesów Armii nie można było dokonać gorszego wyboru, bo Żeligowski (nie mając sam żadnej orientacji politycznej!) na śliskiej arenie dyplomatycznej nie umiał się poruszać i na niczym się nie znał, nie mając żadnego wyższego wykształcenia. Wprawdzie chadzał pilnie przedtym na "kurs wyższych dowódców", którym kierowali oficerowie francuscy, ale ilekroć się z czemś wyrwał, wzbudzał swoją naiwnością zawsze.... uśmiech politowania. Tego osobnika wybrał nasz "czcigodny sejm" na ministra spraw wojskowych! O bardziej niewłaściwego trudno było!

Był on zupełnie w ręku Piłsudskiego i działał "piśla prykazu", co mu w Sulejówku nakazano, a dokąd prawie co wieczora jeździł niby na"odprawę".

Swoje urzędowanie zaczął od tego, że generała Sikorskiego, który w swej karierze wojskowej był na stanowisku inspektora piechoty i szefa sztabu generalnego, pomijając już to, że był ministrem wojny, -zdegradował, poruczając mu.... dowództwo.... korpusu we Lwowie!

Jest to mniej więcej tak, jakby ktoś, kto był dowódcą pułku, został.. ~~został~~ dowódcą kompanii!

Gen. Sikorski, chcąc dać Armii dobry przykład dyscypliny i posłuszeństwa wojskowego, przyjął bez szemrania to stanowisko, witany wprawdzie we Lwowie przez swoich prawdziwych i serdecznych zwolenników serdecznie, przez zauszników Piłsudskiego z "Schadenfreude", i znosząc swój los z podniesioną głową i godnością właściwą wielkim ludziom.

Aby generałowi Sikorskiemu dokuczyć, mianował Żeligowski, podszczuty przez złośliwego Piłsudskiego, inspektorem armii we Lwowie (stanowisko, które powinien ~~był~~ był dostać gen. Sikorski) generała Norwid -Neugebauera, jednego z największych głupców, jakich w życiu znałem. Wskutek tego został Norwid-Neugebauer przełożonym(!) gen. Sikorskiego. Także i to nikczemne, a złośliwe pociągnięcie Piłsudskiego zniósł on wielkodusznie z zupełną pogodą umysłu.

A tymczasem Piłsudski i z nim sprzysiężeni (Prystor et consortes) knuli dalej plan zamachu stanu, aż przyszedł 12 maja 1926, w którym to dniu wybuchł był bunt garnizonu obozu ćwiczebnego w Rembertowie, który w całości stanął po stronie Piłsudskiego, a także część garnizonu warszawskiego.

Generałowi Sikorskiemu czyni "endecja" zarzut, że "powinien był zebrać oddane sobie pułki i praworządnych oficerów i pospieszyć do Warszawy, by pomóc stłumić bunt". Łatwo to się gada, ale trzeba wziąć pod uwagę, że bolszewicy, którzy nie mogli zapomnieć roku 1920 i czyhali tylko na sposobność, by wkroczyć do Polski, wiedzieli doskonale, co Piłsudski wyprawia i ściągnęli masę kawalerii na granice Małopol. Wschodniej, głównie z obu stron magistrali Płoskirów -Tarnopol i mogli, wprawiwszy się w marsz wieczór, na rano być w Tarnopolu.

Do tego nie mógł gen. Sikorski, jako dca. Kresowego(!) korpusu

dopuścić.

Trzymał więc podległe mu dywizje: 12.dp. w Tarnopolu, 5.dp. we Lwowie i 11 dp. w Stanisławowie w pogotowiu. O los Warszawy mógł być o tyle spokojny, że byli tam ludzie, jak gen. Rozwadowski (wówczas generalny inspektor kawalerii), gen. Włodzimierz Zagórski, szef lotnictwa (trzymał je dzielnie w garści!) gen. Kukiel, brygadier Boruta-Spiechowicz, pułk. dr. Modelski i wielu innych.

Cała szkoła podchorążaków pod dtwem. dzielnego i prawego pułkownika Paszkiewicza, stała po stronie prawowitego Rządu, również wszystkie kursa oficerskie, jak np. saperów itp. Jedynie paskudny wyjątek stanowiła Szkoła Sztabu Generalnego, gdzie nastąpił podział: jedni karjerowicze i utylitariusze, już zwąchani z Piłsudskim, lub należący od dawna do sprzysiężenia, byli po stronie buntowników, reszta pozostała wierną prawidłowemu Rządowi.

Generał Sikorski, będący ciągle w telef. porozumieniu z prorządowcami w Warszawie, kładł im ustawicznie w uszy, by główną wagę kładli na mosty na Wiśle i nie wpuścili za żadną cenę buntowników do Warszawy, aż do chwili, gdy nadejdą posiłki z Poznania (tamtejsza dywizja piechoty niestety pod dowództwem b. marnego generała z b. armii austryjackiej).

Dalsze losy Warszawy i walk tamże, opiszę we wspomnieniach r. 1926. Generał Sikorski pozostał na swoim stanowisku i pilnował granic Państwa przed ewentualną inwazją ze wschodu .

Gdy Piłsudia objęła rządy (Prystor et consortes) nie śmiano ruszyć generała Sikorskiego, dodano mu jednak na szefa sztabu pułkownika Koca, dość marne indywiduum z szeregu Piłsudczyzny, stąd ten głupi dowcip, że"Piłsudski nakrył Sikorskiego Kocem"

W doborze osoby szefa sztabu korpusu nie miał gen. Sikorski szczęśliwej ręki, bo od czasu objęcia DOK VI aż do przyjęcia Koca był nim pułk. Antoni Kamiński, indywiduum, które już za czasów walk o Lwów ciągle się kręciło koło gen. Sikorskiego, Był to facet na ogół dość tępy, (były nauczyciel ludowy o dość lewicowych przekonaniach) ale

intrygant pierwszej klasy! Musiał on jakoś gen. Sikorskiemu iść na rękę, żona jego umiała się wkraść w łaski pani Sikorskiej, a gdy przyszedł bunt w r. 1926, - to - jak mi opowiadali oficerowie służby łączności DOK VI, - Kamiński łączył się po północy telef. z Piłsudczykami w Warszawie i referował im, co się we Lwowie dzieje. Fałszywa i dwuznaczna rola Kamińskiego nie była dla nikogo tajemnicą.

Kamiński nienawidził oficerów z b. armii austr. i rył pod nimi, gdzie tylko mógł.

Przypominam sobie np. inspekcję gen. Sikorskiego, jako dcy OK VI w Brzeżanach, gdzie dowodził 51 pułkiem pułk. Franciszek Goliński. Pułk był znakomicie wyszkolony, a jego szkoła podoficerska (komendant por. Wasilkowski) była wzorem(!) nie tylko pod wzgl. wykształcenia wojskowego, ale i obywatelskiego uświadomienia. Generał Sikorski odniósł najlepsze wrażenie. Jeden tylko pułk. Kamiński szukał "dziury na całym", robiąc dosyć głupie, nierzeczowe uwagi i krytykując wszystko w czambuł. Było mi w końcu tego złośliwego paplania za dużo! Wyprosiłem sobie kategorycznie tę złośliwą, a stronniczą krytykę, a gen. Sikorskiego prosiłem, by ile możności, przy następnych inspekcjach pułk. Kamiński mu nie towarzyszył, bo swą krytyką i złośliwymi uwagami zabija dobrego ducha panującego w 51 pułku i zniechęca oficerów do dalszej, jak dotąd b. owocnej pracy. Generał Sikorski uznał słuszność mojej prośby i zostawiał Kamińskiego w domu, gdy jechał do moich pułków na inspekcje.

Opisując życie gen. Sikorskiego na stanowisku dcy. OK VI we Lwowie, muszę opisać jego pierwszą inspekcję w ~~Tplu,~~ Tarnopolu, gdzie wówczas byłem dcą 12 dp.

Było to w zimie 1926 r.

Gdy rozeszła się wieść, że ma zjechać do Tpla. Gen. Sikorski, powstał wśród tamtejszego społeczeństwa ogromnie silny odruch, by jakoś specjalnie uczcić tego człowieka, któremu zawdzięcza ono, że

Tarnopolszczyzna przynależy do Polski, bo on swym śmiałym wystąpieniem przy przekraczaniu linii Curzona spowodował przyłączenie jej do Polski, a także kilkuset Polakom,-jak już wspominałem,-więzionym przez Ukr. uratował życie.

Nie tylko Polacy, ale także Żydki i Ukraińcy,-ci ostatni w dość dużej liczbie,-przyłączyli się do tego planowanego hołdu. Również wszystkie sfery społeczeństwa, a więc ziemianie, patriotycznie czujący, Podkreślam "patriotycznie czujący", bo b. wielu ich brakowało, szczególnie tych z arystokracji, którzy nie umieli dotąd rozróżnić Sikorskiego od Sosnkowskiego. Sic! Jołopy! Świat urzędniczy, rzemieślniczy, okoliczne włościaństwo, kler rzym. Kat. a nawet,-o ile sobie dobrze przypominam,-był przy tym powitaniu także gr. kat. dziekan tarnopolski.

Ten odruch społeczeństwa tarnopolskiego był b. znamiennym wyrazem nastrójów w Polsce w ogóle: ruszyło się w całym lepiej i uczciwiej myślącym społeczenstwie sumienie i pełna świadomość, że bunt majowy był przecież zbrodnią, a nie mniejszą było to, że pokazano żołnierzom, jak to można bezkarnie łamać przysięgę żołnierską, a oficerom, że krok taki da się pogodzić z honorem i stanowiskiem oficerskim (!). Pokazało się przy tym, jak arcyszkodliwym było wciąganie korpusu zawod. oficerów i podoficerów do "politykierii" (Dotąd bowiem, jak zresztą w każdej porządnej i dobrym i zdrowym duchem przejętej armii, zawód wojskowy stał zawsze zdala od polityki i stanowił ten filar, o który się państwo zawsze oprzeć mogło.)

Ale wracam do uroczystości!

Gdy rano mniej więcej o godz. 7^h zajechał pociąg ze ścisłym sztabem i gen. Sikorskim, w poczekalni,-odpowiednio przez kolejowców udekorowanej-i czekały już deputacje z wojewodą Zawistowskim na czele. Gen. Sikorski, po obejściu frontu kompanii honorowej i po przyjęciu mego meldunku, jako dcy dyw. udał się do poczekalni, gdzie wojewoda

Zawistowski i wszystkie delegacje powitały go, dając wyraz swej radości, że mogą oglądać na swojej ziemi tego Męża. Szczególnie pięknie przemówił reprezentant gminy izraelickiej, doskonały mówca.

Gen. Sikorski odpowiedział krótko, ale tak ciepło i serdecznie, że wszystkich ogarnął szczery entuzjazm: grzmiący okrzyk "Niech żyje generał Sikorski!" trwał w sali i na ulicy, a jego jazda do swej kwatery, którą miał u wojewody Zawistowskiego była jedną owacją zgromadzonej tam tłumnie publiczności.

W kasynie oficer. 54 pp. odbył się uroczysty obiad, na który byli zaproszeni - oprócz wojewody i korpusu oficerskiego - także wszyscy reprezentanci społeczeństwa, a który, - choć może skromny pod wzgl. dań i win, - wypadł wspaniale!

Przemawiałem jako pierwszy: podniosłem z całym pietyzmem jego bezdenne zasługi wobec Małopolski Wsch., która tylko jemu zawdzięcza, że należy do Polski. Dalej podniosłem, że "był on dla nas oficerów zawsze wzorem zdyscyplinowanego generała; raz tylko nie usłuchał wydanych rozkazów, a to - gdy depcząc linię Curzona poszedł na wschód aż po Zbrucz, porwał za sobą całą Armię VI-ą, wywalczył przynależność tej połaci kraju do Polski".

Po mnie przemawiał wojewoda, a po nim zabrał głos w imieniu więźniów politycznych tarnopolskich z r. 1919 złotousty Dr. Włodz. Lenkiewicz, dyrektor tutejszego III gimnazjum:, był on bowiem także więziony.

Gdy zakończył swoje istotnie prześliczne przemówienie słowami "Tyś nam życie ocalił! Tyś nas powrócił na Ojczyzny łono"! w oczach wielu ujrzałem łzy a i moje oczy zwilgły.

O ile sobie dobrze przypominam, przemawiał po nim Xawery Jaruzelski i Leon Podlaski, imieniem ziemian, ks. dziekan Ratuszny imieniem duchowieństwa rzym.kat., reprezentent ruskiego społeczeństwa, (po rusku, b. ładnie i serdecznie) a w końcu przełożony gminy izrael.(świetny mówca.

O godz. 15 nastąpił alarm garnizonu i jakieś małe ćwiczenia na którym zauważyłem, że gen. Sikorski ma dość silną gorączkę, jak się potem pokazało z powodu zapalenia migdałków. Byłem o niego b. niespokojny, bo wiem że z zapalenia ~~gardła~~ migdałków może łatwo ~~przy~~ przyjść zapalenie nerek, a zdrowie tego prawdziwego Męża Opatrznościowego było przecież nam wszystkim tak drogie!

Wieczorem była w małym gronie wieczerza u Zawistowskich, generał poszedł jednak wcześnie do łóżka.

Następnego dnia czuł się nieco lepiej, tak, że się mogła odbyć zapowiedziana gra wojenna, którą prowadziłem. Chcąc wykazać "ad oculos", że między oficerami zawodowymi i oficerami rezerwy panuje ścisły związek i współpraca, zaprosiłem na tę grę wojenną wszystkich oficerów rezerwy, którzy w roli słuchaczów i widzów w dość dużej liczbie się zjawili i co gen. Sikorski b. pochwalił, bo w innych dywizjach tego nie praktykowano.

Końcowe omówienie gen. Sikorskiego dało mi znowu sposobność podziwiać, jak on, mimo gorączki trwającej jeszcze ciągle, szybko zorjętował się w samej "poincie" gry i jak trafnie i rzeczowo, a przy tym przychylnie ją skrytykował.

Po obiedzie, zdaje mi się u Wojewody, pojechał z powrotem do Lwowa. Byłem z tego o tyle kontent, że obawiałem się o jego zdrowie, Lwów zaś mający wówczas tylu istotnie znakomitych lekarzy, no i opieka domowa, dawały dużą gwarancję rychłej rekonwalescencji.

W ciągu lata 1926 podczas obozu ćwiczebnego w Denysowie zaszczycił ~~[illegible]~~ gen. Sikorski jedno większe ćwiczenie (forsowanie rzeki) swoją obecnością. Było na nim dwóch zagranicznych oficerów: jakiś Anglik i jakiś Holender. Miałem znowu sposobność podziwiać, jak szybko i trafnie ogarnął całe dwustronne ćwiczenie ten człowiek, jak subtelnie wyczuł wszystkie słabe strony biorących udział i jak rzeczowo, a życzliwie prowadził omówienie.

Tymczasem zbliżała się zima 1926/27.

W tym czasie Piłsudski wyeskomotował był od naszego krótkowzrocznego, a w partyjnictwie ciągle zacietrzewionego sejmu ustawę, zezwalającą wbrew"Pragmatyce oficerskiej" (tj. zbiór podstawowych ustaw i praw oficerskich) na przedwczesne (Wedle pragmatyki oficerskiej miał każdy oficer prawo tak długo służyć, aż wysłuży swoje pełne lata służby, o ile choroba, pijaństwo, wyrok sądowy lub sądu honorowego nie nakazywały jego wcześniejszego pensjonowania)" pensjonowanie oficerów, co do których zdolności i wiadomości wojskowych nabrali przełożeni przekonania, że się nie nadaje do awansu" Chcąc im jednak rekompensować lata służby, któreby mogli jeszcze przesłużyć i otrzymać wyższą emeryturę, dozwolono doliczać im 7 lat służby. Naiwny Sejm nie liczył się jednak z tym, że zezwalając na przedwczesne pensjonowanie rzekomo nie nadających się do awansu oficerów, dał w ręce Piłsudskiego broń, którą on mógł usunąć z Armii kogo chciał! Bo przecież o tym, kto się nie nadaje z powodu rzekomego braku uzdolnienia lub fachowych wiadomości do awansu, rozstrzygał.... Piłsudski! Naiwny Sejm sądził, że Piłsudski nie poważy się nadużywać tej ustawy i nie będzie śmiał usuwać z czynnej służby i pensjonować istotnie wartościowych oficerów, będących jeszcze w sile wieku i mających doskonałe kwalifikacje.

Tymczasem stało się zupełnie przeciwnie!

Piłsudski, wyznający zasadę "kto nie jest ze mną, ten jest przeciwko mnie", a mający podczas buntu majowego 1926 doskonałą sposobność poznać, kto z nim trzymał, a kto był "praworządnym", nie wahał się ani chwili i rozpoczął "czystkę" usuwając z armii czynnej zaraz 5.II.1927 (Dziennik Rozporz. M.S.Wojsk) prawie do 1000(!) najzdolniejszych, ale jemu niesympatycznych oficerów,-na samym czele generała Rozwadowskiego, który wtedy miał około 60 lat i mógł jeszcze dobrych 10 lat pracować ku pożytkowi Armii. (Ja byłem na samym końcu

39

wykazu generałów, idących na pensję a miałem 52 lata, miałem najwyższe studia, najlepsze kwalifikacje, dekorowany orderem "Virtuti militari" V kl. i 4-krotnie nadany Krzyż Walecznych, i chlubną przeszłość z wojny światowej, ukraińskiej i bolszewickiej!)

Piłsudski miał wielką ochotę także generała Sikorskiego spensjonować, ale tu natrafił był na b. poważny sprzeciw ze strony francuskiego i angielskiego sztabu Generalnego wzgl. rządów tych państw, które znając wartość gen. Sikorskiego, a licząc się z przyszłością (2.wojna światowa!) użyły całego swego wpływu, by temu zapobiec. Także opinia publiczna w Kraju, gdy opary kadzidła na cześć Piłsudskiego, jako rzekomego autora "Cudu nad Wisłą" trochę się pod wpływem zamachu majowego i jego dalszych skutków (nadużycie ustawy o pensjonowaniu oficerów, więzienie gen. Rozwadowskiego i gen. Zagórskiego na Antokolu, śmierć tego ostatniego itp. "kawały") rozeszły, zaczęła b. sarkać i trzeba się było liczyć z przykrymi interpelacjami i stanowiskiem potężnego odłamu prasy, dotąd przeciwnie Piłsudskiemu nastrojonej.Nie miał więc on odwagi spensjonować gen. Sikorskiego, ale w inny sposób przesunął go na "martwy tor", a to odebrał mu dtwo. OK VI. i nie dał mu żadnego innego przydziału. Gen. Sikorski pobierał więc pensję, jako czynny generał, ale nie sprawując w Armii żadnej funkcji, był istotnie poza nawiasem.

Tak marnował się ten tak niezwykły człowiek od r. 1927 do 1939 nie mając żadnej możności pracy dla Ojczyzny.

Rzucił się więc na pole piśmiennictwa wojskowego, pisząc "Nad Wisłą i Wkrą", dalej dzieło w kt. przepowiada przyszłą wojnę z Niemcami (po polsku i po francusku), a także jemu przypisują broszurkę, wydaną gdzieś w Poznaniu p.t. "Piłsudski jako wódz i ~~dzogdzie~~ dziejopisu". Wprawdzie jako autor figuruje jakiś nikomu nieznany Pomorski, ale zanadto wiele jest tam fachowych wiadomości wojskowych i szczegółów, by można było wątpić o tym, że autorem broszurki nie był jakiś wybitny

wojskowy, doskonały znawca istotnej wartości Piłsudskiego.

W czasie, gdy gen. Sikorski mieszkający w Warszawie Aleje Belwederskie Nr.8 bawił w stanie nieczynnym, było kilka jakichś zagadkowych wypadków, rzucających bardzo charakterystyczne światło na te z czasy i na mentalność zgrai, otaczającej Piłsudskiego.

I tak razu pewnego był gen. Sikorski zaproszony do angielskiej czy francuskiej ambasady na obiad na godz. 21^{h}. O godz.20^{h} zajeżdża jakiś wspaniały automobil i ordynans czy służący melduje generałowi Sikorskiemu, że "przyjechało auto z ambasady, by go zawieść na ten obiad".

Generałowi Sikorskiemu wydało się to jakoś podejrzane, bo nie było w zwyczaju posyłania auta na godzinę przed obiadem. Zadzwonił więc do ambasady, dziękując za przysłanie auta i zapytując równocześnie, czy co do godziny nie zaszła jakaś pomyłka. Tu dowiedział się że z ambasady żadnego auta nie wysyłano. Gdy chciał wobec tego osobiście stwierdzić numer auta i przynależność,auta już nie było! Znikło bez śladu! Wygląda cały ten epizod arcypodejrzanie, przypominając porwanie generała Kuliapowa w Paryżu w kilka lat później.

Raz znowu ostrzeżono generała Sikorskiego, żeby niezwłocznie wyjeżdżał za granicę, bo planuje się na jego osobę znowu jakiś zamach. Miał ledwie tyle czasu, że mając-jak zawsze-w pogotowiu paszport zagraniczny, wsiadł do pociągu i wyjechał-zdaje mi się-do Paryża, w ten sposób uniknął znowu jakiegoś nieszczęścia.

Od tego czasu mieszkał zdaje się aż do śmierci Piłsudskiego za granicą (Paryż i Londyn), gdzie dał się poznać miarodajnym ludziom w swej prawdziwej wartości.

Gdy nadszedł nieszczęsny wrzesień 1939 i Polska, pchnięta zdradziecko nożem w plecy, runęła, gen. Sikorski pojechał do Londynu i tam, wykorzystując dużo osobistych znajomości i powołując się na zawarte przymierze zaczepno - odporne między Francją, Anglią i Polską (sierpień 1939)

utworzył Rząd Polski na emigracji, analogicznie, jak Belgia, Holandia, Dania, Czechy, Norwegia i inne.

Zwalczał on zawsze nikczemną, krótkowzroczną a egoistyczną politykę lorda Edena, i zginął(4.VII.22) [redacted] dziwnym trafem na Gibraltarze wraz z córką Zofią, gdyż angielski aeroplan, prowadzony przez ~~angielskiego~~ czeskiego pilota, zawiódł, rozbiwszy się o skały. Chwilowo pochowany pod Londynem na cmentarzu lotników.

Na tym kończę sylwetkę tego tak zasłużonego Męża. Zgon jego okrył żałobą całą Polskę, aliantom ubył zaś niezwykły talent wojskowy, jakiego żadna z wojujących stron nie miała i nie ma.

Sylwetki innych ważniejszych osobistości w legionach.

Moje spostrzeżenia i zapatrywania opierają się nie tylko na obserwacjach z r. 1915 ale także na obserwacjach z r. 1918-19, 1920 a potem na wrażeniach jakich doznałem, stykając się z nimi już po zawarciu pokoju ryskiego aż do r. 1927, w którym to poszedłem w stan spoczynku, usuwając się w zacisze domowe w Rykawie.

Józef Piłsudski.

Jeśli jest mowa o najważniejszych osobistościach w legionach, to oczywiście nie można pominąć na czołowym miejscu Piłsudskiego.

Pierwszy raz usłyszałem jego nazwisko we Lwowie, na Zaświeciu u Wolskich w r. 1913.

Tam schodzili się młodzi Szczepanowscy, Jareccy (chłopcy i dziewczęta), wszystkie biorący czynny udział w formowaniu oddziałów Związku Strzeleckiego wzgl. Sokoła, który to ruch rząd austr. popierał, licząc się na pewne z wybuchem wojny z Rosją z powodu definitywnego przyłączenia przez Austrię do monarchii Bośni i Hercegowiny (dotąd tylko przez Austrię okupowanych). Rządowi wzgl. sztabowi general. austr. chodziło głównie na wypadek wojny o wywołanie powstania polskiego w Kongresówce i w zaborze rosyj. w ogóle, by tą drogą ułatwić sobie wkroczenie do tych prowincji i osłabienie sił rosyjskich.

Na terenie Galicji powstały więc oddziały Strzelca, Sokoła, Drużyn Bartoszowych, Drużyn Akademickich itp. Rząd austr. dostarczał więc amunicji karabinowej, dawał do dyspozycji strzelnice wojskowe, pozwalał na zakup broni w rządowych fabrykach karabinów, jak Steyer i Budapeszt i pozwalał uzbrojonym oddziałom odbywać ćwiczenia w terenie.

Austria również pomagała przy tworzeniu różnych kursów wyszkolenia wojsk., pozwalając oficerom-Polakom wykładać na nich, drukując podręczniki wojskowe w polskim języku (tłomaczenia austr. regulaminów, jednak w strasznej wprost polszczyźnie).

Młodzież gimnazjalna, rzemieślnicza a także i uświadomione części młodzieży wiejskiej, wychowana przeważnie na literaturze Sienkiewicza (w tym olbrzymia dotąd nie dość doceniana zasługa tego genialnego pisarza!) garnęła się do tych formacji całym sercem, przejęta miłością Ojczyzny i nadzieją, że spełni się marzenie jej służenia w wojsku polskim.

Gdy tak pewnego popołudnia gwarzyłem z Jareckimi i Szczepanowskimi o wyszkoleniu tych formacji, usłyszałem po raz pierwszy nazwisko "Piłsudski", zdaje mi się z ust jednego Szczepanowskiego, który potem - jako legionista - zginął.

Od niego dowiedziałem się, że właśnie przyjechał do Lwowa Piłsudski, człowiek ze wszech miar znakomity, doskonały wódz, który całe swe życie przepędził na walkach z rządem rosyjskim, świetny organizator i twórca ruchu powstańczego na terenie Kongresówki i na tym polu niezwykle czynny, krótko mówiąc "mąż opatrznościowy" dla przyszłej Armii Polskiej.!

Przyjechał on do Lwowa, by naocznie przyjrzeć się nowo tworzącym się formacjom i skontrolować ich ilość i stopień wyszkolenia. Miał on w tym celu kierować osobiście "dwustronnym ćwiczeniem" gdzieś w okolicach Brzuchowic.

Mnie osobiście peszyło trochę nazwisko "Piłsudski", bo zalatywało brzmieniem, jakby pochodziło z rosyjskiego lub białoruskiego, ale zapewniano mnie, że "Piłsudcy to stara dobra szlachta polska"

Byłem ogromnie ciekawy na przebieg i wynik zapowiedzianego dwustronnego ćwiczenia i przy najbliższej sposobności spytałem się Szczepanowskiego, jak ono wypadło.

Tu doznałem rozczarowania, usłyszawszy, że "dwa oddziały, wypuszczone przeciw sobie, nie spotkały się ze sobą zupełnie!" Osłabiło to we mnie bardzo zaufanie do rutyny Piłsudskiego w kierowaniu ćwiczeniami wojskowymi i do jego eksperiencji wojskowej, bo dla kierownictwa ćwiczenia nie ma większej blamaży i kompromitacji, jak ta, gdy oddziały operujące przeciw sobie, w myśl jego założenia... nie natrafią na siebie!

Widocznym było, że " mąż opatrznościowy" nie miał wielkiego wyobrażenia o prowadzeniu świczeń w terenie. To podkopało we mnie bardzo zaufanie, jakie chętnie (!) żywiłbym dla niego.

Wyobrażaliśmy sobie wszyscy, że gdy pod zaborem austr. tak pięknie rozwija się akcja formowania oddziałów przyszłej Armii Polskiej, to w Królestwie, gdzie Piłsudski znał stosunki doskonale i stąd ciągle w kontakcie z zakonspirowanym także ruchem niepodległościowym, stworzy się droga propagandy i agitacji siła, która we właściwej chwili da tysiące żołnierza dla Armii Polskiej. Ufaliśmy, że Piłsudski, mający tyle rutyny w pracy konspiracyjnej, tak w kołach młodzieży rzemieślniczej, jak i wśród włościaństwa zdoła zorganizować na terenie Królestwa szeroką, potężną sieć tajnych zrzeszeń, które w każdej chwili wystawią dużą armię ochotników dla Armii Polskiej. Jak się w sierpniu 1914 pokazało, nie zdołał on tam nic zorganizować, tak bowiem ziemiaństwo, jak i włościanie, a nawet młodzież rzemieślnicza przyjęły wkraczających legionistów obojętnie i zimno. Napływ do legionów minimalny!

A przecież Piłsudski miał o tyle ułatwione zadanie, że rząd austr., w którego interesie leżała cała akcja legionowa na terenie tak Galicji, jak i Królestwa, popierał gdzie mógł ten ruch.

Piłsudski, który po zgnieceniu przez rząd ros. rewolucji w r. 1905 musiał do Galicji uciekać, siedział od tego czasu w Krakowie lub Zakopanem i rzekomo "organizował". Stał w ciągłym kontakcie z austr. wywiadem ofenzywnym korpusu krakowskiego (kapit. gen. sztabu Rybak i Zagórski) mając tą drogą ogromnie ułatwione przechodzenie przez granicę swoich emisariuszów na teren Królestwa; miał nawet na ten cel subsydia pieniężne pobierać, a przede wszystkim był szczodrze wspomagany przez ubogie, ale ofiarne "centusiane" społeczeństwo polskie z pod zaboru austr., które mimo swego ubóstwa dostarczyło na ten cel do wybuchu wojny światowej (1914) 1.5 miliona koron. Była to suma, wystarczająca na uzbrojenie i wyekwipowanie 10.000 żołnierzy, bo karabin w fabryce Steyer kosztował 95 koron i to razem z bagnetem, a przepisy austr. nie robiły żadnych trudności w nabywaniu broni. (tak np. w lwowskim Towarzystwie Kurkowym na strzelnicy było 270 sztuk karabinów Mannlichera, dla przyszłego Wojska Polskiego przygotowanych). Na tym miejscu muszę sprostować bajeczkę, lansowaną przez austrofobów: mianowicie blagą jest, jakoby austr. podoficerowie, rusznikarze, mający pod swym dozorem mobilizacyjne zapasy karabinów i amunicji pułków, kradli je i sprzedawali legionistom. Kto zna sposób deponowania tych karabinów, pozwalający jednym rzutem oka stwierdzić brak choćby jednego karabinu, dalej ciągłe kontrole stanu ich, ten tej złośliwej bajeczce nie uwierzy.

Zresztą dlaczego nielegalną drogą je nabywać, gdy każdy mógł zwykłą kartką korespondencyjną obstalować sobie karabin z bagnetem "za pobraniem" (95koron) i miał go do 4 dni! 100 nabojów do Mannlichera kosztowało 10 koron.

Można więc było spokojnie za resztę pieniędzy zakupić buty, mun-

dury i plecaki.Gdy jednak w r. 1914 przyszło do wymarszu w bój, pokazało się, że ani broni,ani ekwipunku nie było! Młodzież wyruszyła w melonikach i lakierkach w pole, niosąc zapasową bieliznę i wyżywienie... pod pachą! Uzbrojenia,-niestety przestarzałych jednostrzałowych karabinów Werndla wzór 77!-dostarczył rząd austr.

Dalekim jestem od robienia Piłsudskiemu zarzutu, jakoby z jego strony były jakieś nadużycia; przeciwnie! Mieszkał on w Krakowie w skromnym mieszkanku, prowadził życie również b. skromne i chodził tylko do kawiarni na "małą czarną" i grywał w szachy. Zresztą pod tym względem był Piłsudski bez zarzutu!

Gdzie i na co jednak zostały obrócone sumy, zebrane przez "centusiów" galicyjskich, nie było i zdaje się już nigdy nie będzie wiadomym.

Był to jeden z przykładów tego, co ja nazywam "gospodarką legionową": wydawało się pieniądze bez rachunku i planu, bez skrupulatnego zapisywania kto, gdzie, kiedy i na co jakieś pieniądze pobrał i roztrwoniło tak stosunkowo duży kapitał w nadziei, że "centusie galicyjscy" wzgl. "mama Austria"-gdy zajdzie potrzeba,-będą, i nadal zasiłki przesyłać.

Pierwszy raz widziałem na oczy Piłsudskiego w r.1915, gdzieś w kwietniu, gdy dostałem 4 tygodnie urlopu i spędzałem go w Krakowie przy mej rodzinie. Odbyła się wtedy, nie wiem z jakiego tytułu, akademia ku czci Piłsudskiego w teatrze. Staliśmy na schodach, tak, że widziałem go na 4 kroki, gdy wchodził wśród okrzyków rozentuzjazmowanego tłumu publiczności. Zrobił na mnie bardzo niesympatyczne wrażenie. Ubrany w "maciejówkę" (dość brzydkiej formy!), jakąś skórzaną kurtkę, rozpiętą, pod nią jasno-niebieski mundur legionowy, sztylpy, przygarbiony, do tego długie, wstrętne wąsiska, duże szare brwi, z pod których widać było dwoje siwych, dość surowych i podejrzliwie łypających oczu, miał czoło cofnięte silnie w tył i nos mały

zakończony kulką. Wyraz twarzy zawsze niezadowolony i mrukliwy. Przypominał raczej ekonoma z lepszego folwarku, niż wodza legionów. Jaka różnica między np. Rozwadowskim lub Sikorskim, a nim?! Podczas gdy ci dwaj pierwsi już swoją zewnętrzną, pod każdym względem dodatnią prezencją robili niezwykle sympatyczne wrażenie i po kilku minutach rozmowy jednali sobie serca zwykle bezapelacyjnie, to ten działał wprost odpychająco swoim podejrzliwym, nieufnym wyrazem twarzy.

Przy tym miał sposób wyrażania się bardzo zawiły i dla ludzi nieprzyzwyczajonych do jego retoryki,-trudno zrozumiały: zamiast wyrazić krótko i jasno swoje zdanie, używał nazbyt często podwójnego przeczenia (np."Nie powiem, że nie myślę", zamiast "jestem tego zdania"). Jego język był zawsze b. zawiły i robił wrażenie, jakoby czegoś nie chciał powiedzieć wzgl. prawdziwą swoją myśl starał się ukryć.Mnie osobiście szedł jego sposób mówienia na nerwy! Był zaś dla psychologa w dużym stopniu wskaźnikiem jego niejasnej mentalności. Słusznie nazywał go gen. niem. Beseler "ein konfuser Kopf"!"

Był on uosobieniem opozycji, co zresztą w mojej obecności sam raz przyznał,mówiąc:..." bo w moim przekornym charakterze leży"... Cieszył się, gdy on sam lub ktoś z jego otoczenia komuś figla wypłatał, wówczas śmiał się rubasznie i cieszył, zamiast figlarza zganić, jak na to zasłużył.

Piłsudski chciał być koniecznie wielkim wodzem i strategikiem, nie miał jednak w tym kierunku żadnego talentu, a także żadnego wykształcenia wojskowego. Wrodzona próżność i megalomania gnały go do celów, których przy kierunku swoich, zresztą pod każdym wzgl. miernych zdolności, absolutnie osiągnąć nie mógł.

I tak w pierwszej linii brakowało mu zdolności w powzięciu szybkich i trafnych decyzji. Przykład: na odcinku trzech brygad legionowych gdzieś pod Maniewiczami była t.z. "Polska Góra", jednak obsa-

dzona przez Moskali. Z tej góry mieli oni dokładny wgląd w cały odcinek legionów i ich artyleria ostrzeliwała każdy tabor, dowożący żywność, każdą kolumnę kuchen polowych i kontrolując wszystko, co się na odcinku legionowym działo, a więc utrudniali życie w sposób bardzo dotkliwy.

Na czele tych trzech brygad leg., stanowiących już dywizję, stał jako dowódca generał Puchalski, b. dobry polak, dla legionów b. życzliwie usposobiony, doskonały oficer o wyższym sztabowym wykształceniu (Kriegsschule w Wiedniu), który już w r. 1914, dowodząc zdaje mi się 20 pułkiem Austr. (nowosądeccy górale) bardzo chlubnie się spisywał.

Chcąc koniec położyć przykrej sytuacji, wynikającej z posiadania przez Moskali "Polskiej Góry" zdecydował się gen. Puchalski zdobyć ją. Ponieważ była położona vis a Vis I bryg., dowodzonej przez Piłsudskiego, przeto jemu polecił to zdobycie, mówiąc mu: "Panie Brygadierze! Zdobycie tej góry można uskutecznić albo w nocy, bez żadnego przygotowania artyleryjskiego, przez zaskoczenie, albo zaczeka Pan Brygadier 3 dni, aż ja ściągnę ciężką artylerię na odcinek i po należytym przygotowaniu przez nią uderzy Pan Brygadier i zajmie Polską Górę. Innej możliwości nie ma! Proszę więc rozważyć sobie które z tych dwóch rozwiązań Panu Brygadierowi bardziej konweniuje i to wykona"!

Piłsudski jednak w swej wrodzonej przekorności, wynalazł był trzecie(!) rozwiązanie, mianowicie uderzył na "Polską Górę" bez przygotowania artyleryjskiego, ale o 7^{h} rano(!), gdy już było zupełnie jasno i cały awantaż, wynikający z nagłego natarcia pod osłoną nocy, wpadł w wodę! To była kapitalna głupota! I brygada, jak było do przewidzenia, skrwawiła się przy tym okropnie. Wzięła wprawdzie Polską Górę, ale straciła najlepszych swoich oficerów (pp.kapitana Fleszara, niezwykle dzielnego i wartościowego oficera i wie-

lu innych. W Krakowie panowało z tego powodu głębokie, a słuszne oburzenie, gdy kościół Marii Panny został formalnie zaklejony kartkami pośmiertnymi po padłych tam legionistach.
Nie długo była "Polska Góra" w rękach I brygady, bo Moskale zaraz następnego dnia przy silnym poparciu przez swą artylerię ruszyli do przeciwnatarcia,-i zdobyli ją. Cały więc tak krwawy wysiłek legionistów poszedł na marne!

Polska Góra została później po raz drugi przez legionistów zdobyta, ale ~~xx~~ z bez porównania mniejszymi stratami, bo natarcie było należycie przez artylerię przygotowane i wszystkie przygotowania do utrzymania zdobytej pozycji poczynione już naprzód.

Drugim takim przykładem całego szeregu błędów operacyjnych, to wyprawa na ukrainę w r. 1920. "Genialny wódz" porywając się na tę wyprawę, nie znał głównej zasady strategicznej, a to, że "wódz", który nie ma żadnych rezerw, przestaje z tą chwilą dowodzić i wpada w rolę widza" Zasady tej uczą na pierwszych lekcjach elementarnej taktyki w każdej kadeckiej szkole,ale "wielki wódz" nie miał o tym pojęcia, bo nawet takiej szkoły nie wąchał, a był zanadto "genialny" by przestudiować jakiś podręcznik taktyki i strategii.

Jego całe studia wojskowe stanowiła zdaje się lektura Trylogii Sienkiewicza i na tym koniec! Faktem jest, że wyruszając na Ukrainę rozwinął wszystkie podległe mu siły w jedną cienką linię od Mińska aż po Tomaszgród, nie rozporządzając absolutnie żadnymi odwodami. Było rzeczą naturalną, że bolszewicy, ujmując automatycznie przy tego rodzaju rozmieszczenia sił polskich inicjatywę w swoje ręce, przerywali ten kordon sił polskich, gdzie i kiedy tylko chcieli.

Jazda Budiennego, licząca ledwie 12.000 szabel (dosyć marnie dowodzona,bo carski ex-wachmistrz Budienny nie był przecież żadnym wybitnym talentem wojskowym, a którą jedna dywizja piechoty mogła zlikwidować bez wielkich trudności), zmusiła najpierw Rydza

Smigłego do opuszczenia tak szczęśliwie zdobytego Kijowa, a potem spowodowała przełamanie II i VI Armii i odwrót ich, zresztą z dużymi stratami połączony.

Wszystkiemu była winna "kordonowa taktyka" (reminiscencja z czasów wojny światowej) i brak odwodów. Dalszy ciąg kampanii 1920 ("Cud nad Wisłą") wykazuje, że gdzie tylko Piłsudski sam na własną rękę jakieś strategiczne pociągnięcie uczynił, kończyło się ono, albo z krwawymi stratami, albo klęską.

Na tym miejscu muszę najwyraźniej podkreślić, że prawdziwym autorem "Cudu nad Wisłą", nie był Piłsudski, lecz gen. Rozwadowski. Cała Piłsudczyzna, schlebiając "genialnemu wodzowi" rozreklamowała Piłsudskiego jako autora tego planu, podczas gdy w istocie był nim jedynie i wyłącznie gen. Rozwadowski, a jedyną zasługą Piłsudskiego było, że w chwili, gdy się wydawało, że już wszystko jest stracone, właśnie Rozwadowskiego powołał na stanowisko szefa generalnego sztabu, który jeden głowy nie tracił, i samoistnie opracował plan operacyjny "Cudu nad Wisłą" (~~w najgłębszych~~ w najdrobniejszych szczegółach) i dobrał sobie ludzi do jego wykonania, (jak Sikorski,) którzy położonemu w nich zaufaniu w 100% odpowiedzieli. Cała zasługa Piłsudskiego redukuje się w tym wypadku jedynie do tego, że on w końcu,(po całą noc trwającej debacie, a właściwie przekonywaniach ze strony Rozwadowskiego), plan ten bez żadnych zmian zatwierdził. Mogę to osobiście potwierdzić, bo właśnie podczas najgorętszych przygotowań do "Cudu nad Wisłą" byłem w Warszawie, jako pułkownik gen. sztabu z polecenia gen. Rozwadowskiego, robiłem wyciąg z oryginału(!) planu "Cudu nad Wisłą", jako instrukcję dla dcy VI Armii (gen. Iwaszkiewicza).

Otóż cały ten koncept planu był to fascykuł, pisany od a do z ręką generała Rozwadowskiego, bez żadnych zmian, poprawek lub uzupełnień ze strony "Nacz. Wodza". Jedynie na okładce fascykułu był skośny napis:" Zatwierdzam! Piłsudski". Kto chce zdjęcie fotograf tego planu wzgl.

rozkazu oglądnąć, znajdzie je w księdze, wydanej w 10-lecie śmierci gen. Rozwadowskiego p.t. "Generał Rozwadowski", wydanej przez jego przyjaciół i współpracowników.

W dalszym ciągu "Cudu nad Wisłą" Piłsudski, palony pychą, megalomanią i zazdrością, chciał wzgl. postanowił odegrać w tych operacjach jakąś wybitną samodzielną rolę i ku końcowi kampanii zaczął sam wydawać rozkazy operacyjne, bez porozumienia się z gen. Rozwadowskim. Rezultatem tego było, że z oskrzydlającego natarcia, które planował gen. Rozwadowski zrobiło się frontalne natarcie i dalsze zwycięstwo zostało wywalczone bardzo krwawymi stratami. Ktoby zechciał zadać sobie trudu i przestudiować książkę pt. "Kampania r. 1920 w świetle prawdy", dalej "Nad Wisłą i Wkrą" i "Piłsudski jako wódz i dziejopis", tam znajdzie to wszystko szczegółowo, a najzupełniej prawdziwie z podaniem źródeł opisane.

Po zakończeniu kampanii r. 1920 i po zawarciu pokoju ryskiego zaczęło się organizowanie Armii Polskiej, który podczas zawieruchy wojennej stworzona, wymagała wielu reform.

Otóż Piłsudski, chcąc w "wyszkoleniu wyższych dowódców" wziąć udział osobisty, zaaranżował szereg gier wojennych. Gdzieś w r. 1923 czy 1924 odbyła się taka gra wojenna we Lwowie pod jego kierunkiem.

Brałem w niej udział jako 1.oficer sztabu lwowskiego (tj.V) inspektoratu armii i wyznaję otwarcie, że byłem na nią bardzo ciekawy, chcąc Piłsudskiego choć raz w tej roli zobaczyć.

Do Lwowa zjechało się wówczas około 100 generałów z adjutantami, tak, że nawet z kwaterami były pewne trudności.

Jakiż jednak smutny, a właściwie śmieszny obrót przybrała cała "gra wojenna", trwająca 3 dni! Mianowicie wszyscy uczestnicy otrzymali do wypracowania temat, jak sobie wyobrażają walki odwrotowe na terenie Wileńszczyzny od granicy bolszewickiej aż do Lidy. Tu trzeba było, aż około 100 generałów wraz z ich szefami sztabu itp. zwoływać

do Lwowa (!), by obrabiać temat, rozgrywający się na Wileńszczyźnie. Przecież taka impreza była rzeczą kosztowną! Ile dokumentów podróży trzeba było zrealizować?! To szło w grube tysiące złotych, a wówczas skarb Państwa Polskiego nie obfitował w nadmiar pieniędzy i wskazaną była oszczędność z każdym groszem. Takie " drobnostki" nie obchodziły jednak Piłsudskiego.

W tej całej grze wojennej najzabawniejsze było to, że nie była to wcale"gra wojenna", polegająca, jak wiadomo na tym, że dzieli się uczestników na 2 partie "(czerwona i niebieska"). Każda partia dostaje ściśle określone zadanie i obie mają przeciw sobie operować. Kierownictwo gry ustala rezultaty pojedyńczych pociągnięć i operacje każdej partii, i decyduje, który partia i z jakim rezultatem przeprowadziła swe zadanie. Stąd nazwa "gra wojenna".

Rola kierownictwa takiej gry wojennej jest nieraz b. trudna i wytężająca, bo trzeba mieć całokształt wszystkich pociągnięć obu partii ciągle mieć w głowie, wszystko na mapie ustalić a potem zadecydować, jakie rezultaty każda partia odniosła i dalsze tego konsekwencje. Kierownictwo takiej gry stoi co chwila przed koniecznością szybkich i trafnych decyzji, a tego Piłsudski nie lubił.

Jest jeszcze druga forma ćwiczeń na mapie, są to tz." ćwiczenia aplikacyjne", polegające na tym, że kierownik ćwiczenia aplikacyjnego opracowuje jakąś sytuację, dzieli ją na pojedyńcze "punkty", recte pytania (z ograniczeniem czasu wypracowania) i uczestnicy opracowują "punkt" za "punktem" pisemnie. Kierownictwo ćwiczenia zbiera zaraz po upływie wyznaczonego na wypracowanie czasu, by upewnić się przed "corriger de la fortune".

Jest to, że tak powiem,-niższy stopień ćwiczeń na mapie,-dla kierownictwa o wiele łatwiejszy. Tak "gry wojenne" jak i "ćwiczenia aplikacyjne" są przyjęte we wszystkich armiach i dają doskonałe pod każdym względem rezultaty. Zdawałoby się tedy, że "gra wojenna" tak

szumnie zapowiedziana przez "Naczelnego Wodza", a może już wówczas "Pierwszego Marszałka" przybierze formy wypróbowane przez dziesiątki lat, i pozwoli poznać przy tym istotną wartość (t.j. zdolność trafnego oceniania sytuacji, zdolność szybkiej decyzji, wprawy w stylizowaniu jasnych i krótkich rozkazów itd.) biorących udział.

Jakież było jednak nasze zdziwienie, gdy po oddaniu opracowań postawionego nam zadania (dość mglisto i nie jasno postawionego) kazano nam następnego dnia przyjść "na omówienie".

Tu "Pierszy Marszałek" oświadczył, że "przeglądał nasze opracowania, zapoznał się z naszymi zapatrywaniami na sposób rozwiązania zadania i wyrobił sobie zdanie tak o sposobie rozwiązania tematu, jak i o wartości naszych rozwiązań".

"Dziękuję Panom! Gra wojenna jest zakończona!"

I to był rezultat trzydniowej pracy tylu ludzi!

Wydało się to nam nikczemną "szopką". My starzy, doświadczeni oficerowie sztabowi, którzy jużto brali udział w grach wojennych, kierowanych przez doskonale na rzeczy się znających generałów, jak np. hr.Beck, Conrad, Sarkovic, Rozwadowski, Haller Stanisław i wielu innych, jużto sami prowadziliśmy takie dwustonne gry wojen, nie mogliśmy wprost temu "kiwaniu " nas uwierzyć.

Rozważając jednak to wszystko potem i rozmawiając o tym z kolegami, doszliśmy do wniosku, że Piłsudski po prostu nigdy nie widział żadnej gry wojennej, ani ćwiczenia aplikacyjnego i nie znał się na tym zupełnie. Nigdy niczego się nie ucząc, zanadto zarozumiały i ambitny, by się kogoś spytać, na czym właściwie taka "gra"polega, zadyletantował coś jako kompletny laik i myślał, że nam starym wygom ze szkoły wojennej zaimponuje, a sam sianem się wykręci!

Przytoczyłem ten przykład jako jeden z licznych dowodów jego nieuctwa. Można by ich więcej zacytować.

Jednym z rysów charakteru Piłsudskiego było, że nie znosił obok

siebie ludzi, którzy go jużto zdolnościami i inteligencją, jużto wiadomościami fachowymi przewyższali. Cierpiał ich, jak długo ich koniecznie potrzebował, ale potem dla błahej przyczyny, lub często i bez niej usuwał na "martwy tor", np. Rozwadowskiego, Sikorskiego, Jaświńskiego (szefa geogr. instytutu) i wielu innych. Forytował zaś ze specjalną predylekcją oficerów z ros. armii, bo ich inteligencja była w służbie carskiej specjalnie ogłupiana systemem i doktrynami tam panującymi, a dalej dlatego, że oni umieli mu schlebiać i korzyć się przed wielkością "nieomylnego Pana Marszałka". Dwóch tylko generałów z ros. armii nie cierpiał i w najkrótszym czasie usunął tj. Dowbora -Muśnickiego i Michaelisa, bo byli ludźmi przewyższającymi go inteligencją i fachową wiedzą.

Jego zaś faworytami byli różni Iwaszkiewicze, Sawiccy,Sołłohuby et tutti quanti umysłowe "polana sągowe".

Również nie znosił generałów i oficerów z armii francuskiej; kierowali oni wyszkoleniem polsk. korpusu oficerskiego, a co się wiadomości i rutyny wojennej tyczy, mieli takich laików i dyletantów, jak Piłsudski... w pięcie! A przecież misja francuska kierowała wyszkoleniem bardzo dobrze, tylko genialność Pana Marszałka ograniczali trafnie do... "genie en intrigue". Pozbył się więc ich jak najprędzej.

Również nie cierpiał wielkiego Focha. A jednak jest to przez wiekowe doświadczenie ustalona maksyma, że jedną z cech wielkich ludzi jest dobieranie sobie doskonałych doradców i pomocników. Niemiecki cesarz Wilhelm I przybrał był sobie do pomocy Moltkego, Rhone i Bismarka, zwyciężył Danię w 1864, Austrię w r. 1966, a Francję w r. 1870/71 i panując [redacted] osiągnął koronę cesarza Niemiec i zmarł mając około 80 lat!

Jak ogólnie wiadomo był Piłsudski człowiekiem dosyć małych zdolności i miernej inteligencji, a odsuwał zawsze od siebie istotnie

zdolnych współpracowników. Takimi byli w dziedzinie wojskowej Rozwadowski i Sikorski, w dziedzinie finansów stary, ale w swoim fachu doskonały, Biliński, a choćby Michalski i wielu innych w swoich resortach. Nie korzystał jednak z tych ludzi z powodów zwyż przytoczonych.

Co się jego osobistej odwagi tyczy, to mam na ten temat pewne wątpliwości. Jego zachowanie się po"przewrocie majowym", gdy to naród oddawał w jego ręce bez ograniczeń i bezapelacyjnie kierownictwo nawą państwową i chciał go obwołać prezydentem Rzplitej, on tej godności nie przyjął, wymawiając się swoimi dziećmi, którymby groziło jakieś rzekome niebezpieczeństwo itp.

Jądro prawdy leżało jednak w tym, że narobiwszy, swoim niecnym buntem tyle złego, bał się objąć to odpowiedzialne stanowisko; ubrał w nie marnego Mościckiego, chcąc by ten "zupę wypił", którą on naważył".Mościcki w dalszym ciągu swojej prezydentury, tańcząc, jak mu Piłsudski zagrał, okazał, że nawet pod wzgl. charakteru zawiódł położone w nim zaufanie narodu.

Tu narzuca się pytanie, czy w ogóle bunt majowy był konieczny i czy go nie można było uniknąć? Zdaje się, że to ostatnie było możliwe. Przecież na czele Państwa stał prezydent Wojciechowski, człowiek wprawdzie słaby, ale o kryształowym charakterze, który byłby się na wszystkie reformy zgodził, gdyby ze strony Piłsudskiego wyszła była jakaś realna propozycja; był bowiem pod zupełnym wpływem Piłsudskiego. A jednak przyszło do tego nieszczęsnego buntu moim zdaniem jedynie za radą zauszników Piłsudskiego, którzy w tej mętnej wodzie mieli nadzieję sporo ryb nałowić.

Jako ostatni ujemny rys charakteru Piłsudskiego muszę przytoczyć jego nieubłaganą mściwość do ludzi, którzy mu się narazili lub których znienawidził. Klasycznym przykładem jest zgładzenie gen. Włodzimierza Zagórskiego przez Piłsudczyków za to, że znając

Piłsudskiego z czasów 1905 - 1914 miał jakieś dokumenty z tych czasów, kompromitujące Piłsudskiego, a których Zagórski nie chciał wydać. Piłsudski nie uczynił naturalnie nic, by temu mordowi zapobiec ani nic, aby sprawców wykryć.

Gen. Rozwadowski, tak ponad wszelką miarę zasłużony człowiek, p ponieważ podczas buntu majowego stanął był po stronie prawowitego rządu, był trzymany ponad rok na Antokolu w Wilnie i tam nabawił się jakiejś choroby, na którą przedwcześnie zmarł.

Również arcyniesmaczną była kampania prasowa, jaką Piłsudski rozwinął przeciw pułk. Marianowi Kukielowi, gdy ten przedstawiał "Cud nad Wisłą" i całą kampanię z r. 1920 we właściwym świetle i redukował nieco rzekome zasługi Piłsudskiego, rozdmuchane przez tępych a głupich jego adherentów aż do śmieszności. A przecież Kukiel należał do najzajadlejszych zwolenników Piłsudskiego! Był to zresztą
2 3 1
niezwykle uczciwy człowiek i zdolny. Piłsudski jednak w swoich zjadliwych artykułach, lansowanych w oddanej mu prasie, nazywał go "Kukielinką" i podkreślał z całą złośliwością, że Kukiel jest za mały, by należycie ocenić takiego wielkiego wodza, za jakiego się uważał Piłsudski. Wkrótce potem poszedł tedy Kukiel na emeryturę, i przeszedł do przeciwników jego.

Raz tylko miałem sposobność usłyszeć z ust Piłsudskiego mądre zdanie (w Przemyślu, gdzieś w grudniu 1918) na jakimś objeździe, gdzie wypowiedział był zdanie, że "propaganda jest bardzo groźną bronią i tylko propagandą da się zwalczać"

Miał zupełną rację, ale dlaczego jako Naczelnik Państwa nie kreował coś w rodzaju" ministerstwa propagandy", gdy tego rodzaju instytucje już wówczas istniały tak w Niemczech, jak i Francji ku wielkiemu państw tych pożytkowi? Mam wrażenie, że nie uczynił tego dlatego, że tworząc taki aparat musiałby nadać mu jakiś jasny zdecydowany kierunek, a to nie odpowiadało całkiem jego niezdecydowanemu charakterowi.

Również nie miał Piłsudski uznania dla męstwa i czynów dokonanych przez oficerów i pułki mu niesympatyczne. Przypominam sobie w grudniu 1918 przyszedł do Przemyśla 1 pułk ułanów Krechowieckich pod dtwem ppułk. Dziewickiego i odznaczył się od razu, rozbijając grupę nieprzyjacielską, która b. poważnie zagrażała linii kolejowej Przemyśl - Lwów. Wszyscy byli pełni entuzjazmu dla tego wyczynu. Właśnie następnego dnia rano przyjechał do Przemyśla ponury Piłsudski. Na dworcu oczekiwał go sztab Armii "Wschód", delegacje pułków, społeczeństwa i t.d. a także korpus oficerski 1. pułku ułanów. Piłsudski wiedział o sukcesie, odniesionym przez ułanów, i każdy sądził, że przechodząc obok delgacji tego pułku, skieruje do niej jakieś cieplejsze słowo wzgl. pogratuluje do odniesionego sukcesu. Nic podobnego! Przeszedł ponury koło ułanów, ledwie podniósł dwa palce do maciejówki i na tym koniec!

Zanim zakończę tę sylwetkę Piłsudskiego, chcę podnieść, jak <u>śmieszną</u> rolę odgrywali ci wszyscy, którzy apoteozując jego "genialność" wydawali różne wspomnienia i opisy jego wyczynów.

Do takich należy broszurka pt. "Bezdany" (opis szczegółowy napadu na pociąg ros. gdzieś jeszcze przed 1914 celem zdobycia pieniędzy na popieranie ruchu rewolucyjnego w Rosji wzgl. na terenie zaboru rosyjskiego.

Zdaje mi się, że gorszej przysługi nie mógł Piłsudskiemu wyrządzić autor. Bo do napadu na pociąg wzgl. do ~~xxxxxxxxx~~ ustalenia szczegółowego planu działania, który każdy zawodowy zamachowiec byłby po jednorazowym rekonesansie terenu i zbadaniu okoliczności, jak rozkład jazdy itp szczegółów ułożył najdłużej w 8 dni, potrzebował Piłsudski, kierujący nim osobiście aż 3/4 roku (!). Wykonanie nie przepracowane dokładnie w szczegółach (np. nieumiejętność w swoim fachu "wybuchowca" Luce - Birk, który miał wysadzić szyny, i brak funkcjonujących latarek elektr.) miało ten skutek, że stosunkowo

drobną część rubli carskich zabrano, biorąc natomiast ogromną sumę przedziurkowanych (!) rubli, które w tym pociągu wieziono na zniszczenie, a które jako podziurkowane nie przedstawiały jako banknoty żadnej wartości.

Takich książeczek o Piłsudskim mamy więcej. Wyłazi tam na każdym kroku dyletantyzm i laickie, arcygłupie zaimprowizowanie rzeczy niewykonalnych.

Kończę wreszcie sylwetkę Piłsudskiego, zapewniając, że mimo wszystko miałem przez cały czas mojej czynnej służby wojsk. chęć odkrycia w nim jakichś dodatnich, prawdziwie wielkich rysów charakteru i umysłu i przejścia doę jego zwolenników. Niestety bez skutku! Ilekroć się bowiem z nim zetknąłem, mimo dość dużej życzliwości, jaką mnie osobiście darzył, zawsze odniosłem jakieś przykre wrażenie, umacniające mnie w przekonaniu, że to był człowiek mały, który tylko dzięki propagandzie, uprawianej w bezkrytycznym naszym społeczeństwie przez oportunistycznych jego adherentów i różne zrzeszenia, jak np."Ligawki" w Krakowie itp. został wydmuchany na " męża opatrznościowego", zbawcę Ojczyzny itp. Jemu przypisywano bezkrytycznie zasługi, które na konto innych ludzi zapisać-by należało.

Kiedy i czy w ogóle społeczeństwo nasze zdobędzie się na usunięcie prochu zapomnienia, nie wiadomo; znaną jest jednak rzeczą, że im dłużej warstwa prochu zapomnienia leży, tym trudniej ją usunąć, bo świadkowie tych dziejów wyumierają i zostaje tylko moc legend, na których często słowa prawdy nie ma.

Wiem, że z moimi zapatrywaniami o Piłsudskim nie znalazłbym w naszym obałamuconym załganą propagandą społeczeństwie wielu, którzyby moje zdanie zechcieli podzielać.Przeciwnie! Rzucanoby się na mnie, jak na potwarcę, „wielkiego i zasłużonego męża!" Ale mnie to nie wzrusza i nie obchodzi; przytoczone wrażenia i zapatrywania, oparte są na faktach i osobistej obserwacji.

Trzeba raz kostkę ze wszystkich sześciu stron oglądnąć!

Gen. Kazimierz Sosnkowski.

Należał już przed r. 1914 do "Związku Strzeleckiego" i był prawą ręką Piłsudskiego, będąc jego adiutantem, Jest to człowiek wykształcony, b. mądry, był cały czas na froncie. Wszystkie zarządzenia w I brygadzie, o ile on im patronował, były doskonale przemyślane i udawały się. Miał wielki wpływ na Piłsudskiego. Poznałem go bliżej na arenie parlamentarnej, studiując jego mowy, powiedzenia itd., jako ministra spraw wojsk. Jego ciętość w odpowiedziach na liczne interpelacje była wprost przysłowiowa.

Dla Armii robił bardzo wiele i zawsze z dodatnim rezultatem.

Będąc osobistym przyjacielem Piłsudskiego, znalazł się podczas zamachu majowego w bardzo przykrej sytuacji, mając do wyboru albo złamać honor oficerski i przejść do szeregu zwolenników buntu, albo stanąć w szeregu przeciwników Piłsudskiego. Zdecydował się wybrać trzecie rozwiązanie, i strzelił do siebie z pistoletu, by sobie życie odebrać, Bliższych szczegółów tego incydentu nie znam, bo pokrywano je wielką tajemnicą; mówiono np., że jego adiutant, strzelił do niego, raniąc go. Sosnkowski dłuższy czas nie pełnił służby, zapewne lecząc się z rany. Zresztą o tym nic nie wiadomo.

Obecnie objął ministerstwo spraw wojsk. po śp. Sikorskim. Posiada duży talent wojskowy, b. szybką orientację, jest znakomitym mówcą i umie się na posadzie dyplomatycznej poruszać, znając kilka języków. Jest w obejściu b. miłym i ma doskonałą prezencję.

Ś.P. Gen. Włodzimierz Zagórski.

Jedna z najcharakterystyczniejszych postaci legionowych, człowiek niezwykle wobec Odrodzonej Polski zasłużony. Jego krótki życiorys jest następujący: ukończywszy gimnazjum w Krakowie, wstąpił do Techn. Akademii Wojskowej we Wiedniu, po skończeniu której służył przy artylerii we Lwowie. Potem został dzięki swoim zdolnościom przy-

jęty do Szkoły Wojennej w Wiedniu, którą chlubnie ukończył i został przyjęty do generalbego sztabu austr. Cała jego kariera wojskowa była od początku nastawiona na przyszłe wzięcie udziału w walkach o niepodległość Polski. Jego niepospolite zdolności, zacięcie wojskowe, odziedziczone po przodkach (ojciec i dziadek brali udział w powstaniach) jego energia w parze z gruntownym wykształceniem wojskowym, predystynowały go do tej roli. Doskonała prezencja!

Będąc przydzielony do Krakowskiego korpusu do oddziału wywiadowczego w ciągłej łączności z ruchem legionowych i z organizacją Strzelca, Sokoła itp. Z natury rzeczy, jak to już wspominałem, nawiązał łączność z Piłsudskim i szedł mu na rękę pod każdym względem. Oceniając go bardzo zimno i rzeczowo, nie był on jego entuzjastą, poznawszy w b. krótkim czasie rysy jego charakteru.

Gdy gen. Durski objął II brygadę i rozpoczął ofenzywę w Karpatach (Mołotków itd.) był Zagórski jego szefem sztabu i to b. dobrym, bo surowym i energicznym, a takiego właśnie ówczesne formacje legionowe potrzebowały.

Co się dalej z nim stało po kampanii Karpackiej nie wiem. Zdaje mi się, że był potem szefem sztabu Józefa Hallera. Również nie qiem, gdzie był w kampanii ukr. i bolszewickiej.

Jego główną zasługą po ukończeniu wojny i zawarciu pokoju w Rydze (1920) była reorganizacja naszego lotnictwa.Jak to już wspominałem, było ono przepełnione elementami, zużytymi zupełnie w wojnie światowej a aalkoholizm i narkomania należały formalnie do dobrego tonu lotników w ogólności, a szczególnie polskich. Szefem lotnictwa byli u nas różni zagranicznicy, uważający Polskę za dojną krowę, z której każdy starał się wyciągnąć, co tylko mógł, nie będąc z nią związanym żadnymi ideowymi węzłami. Każdy taki szef lotnictwa siedział w kieszeni u jakiejś zagranicznej firmy aeroplanowej, a Polska brała dzięki temu przeróżne gruchoty, płacąc za to grube pieniądze. Gruchoty te i "najnowsze modele" okazywały się z reguły do niczego a zabijali się

na tych "latających trumnach" nasi nieliczni najlepsi lotnicy.

Gen. Sikorski, jako minister spraw wojsk. zorjentował się bardzo szybko w tej smutnej sytuacji i powołał był energicznego i dzielnego Zagórskiego na stanowisko szefa lotnictwa.

Zagórski zaczął od tego, że najpierw sam nauczył się latać, prowadząc osobiście różne typy aeroplanów; wskutek tego żaden blagier nie mógł mu nablagować. Poczem wziął się do gruntownej czystki korpusu lotników i stosunków w ogólności.

Jak to bardzo było potrzebne, przytoczę-jako przykład łajdactwa jakie się w naszym lotnictwie działy,-śmierć pułkownika Steca. Był to człowiek o kryształowym charakterze, b. surowy i wymagający, sam znakomity lotnik i dlatego postrach wszystkich pijaków i kokainistów. Miał on swoje ulubione i pewne dwie maszyny, na których latał, nie mając nigdy żadnego wypadku. Aż raz wyleciał, polatał trochę, wtem apatat stanął w płomieniach i pułk. Stec się spalił.

Drugą jego maszynę dano do magazynu, gdzie stała dłuższy czas. Aż raz skontrolowano maszyny deponowane w magazynie, badając gruntownie "baki" (rezerwuary na benzynę) i tu wylazła-niby szydło z worka-przyczyna śmierci pułk. Steca. Mianowicie jakiś genialny łotr-mechanik wmontował wewnątrz "baku" 2 świece automobilowe tak, że gdy "bak" był pełny benzyny obie świece były przykryte benzyną, a będąc połączone ze sobą watą nie zapalały jej. Dopiero po dłuższym locie, gdy poziom benzyny wskutek zużycia się obniżył i wata wyschła, prąd krążący między świecami zapalał ją, następowała eksplozja i aeroplan płonął.

Ten łotr, który tę istotnie genialną łapkę urządził musiał mieć przez kilka nocy dostęp do magazynu, by rozmontować "bak" i w jego wnętrzu wmontować tę piekielną maszynę. Musiała więc być zorganizowana cała szajka mechaników, w której interesie leżało pozbycie się tą drogą takiego "asa" lotnictwa, jakim był pułk. Stec.

W tym samym czasie zginął i drugi nasz znakomity lotnik,(którego nazwisko wypadło mi z pamięci,) który w Warszawie zginął w jakiś zagadkowy sposób, rzekomo zaczadziwszy się gazem podczas kąpieli w łazience.

Oba te fakty, które przytoczyłem, opowiadał mi Tolek Żyborski lotnik-pilot, a dowiedział się on o tym w Dęblinie, powołany na jakieś ćwiczenia.

Ile innych łajdactw działo się wówczas w naszym lotnictwie, nie spisałby na wołowej skórze!

Żelazna ręka Zagórskiego była wśród takich stosunków konieczną. Zaczął od tego, że usunął wszystkich narkomanów i pijaków, i rozpoczął wychowywać nowy korpus oficerów-lotników pod swoim fachowym kierownictwem.

Ta czystka dała dużo dobrych rezultatów, choć po śmierci śp. Zagórskiego, gdy gen. Rajski (któremu później w r. 1939 w łeb strzelono!) objął był szefostwo lotnictwa, znowu zaczęły różne b. podejrzane wpływy brać górę.

O tym jednak później! (Podobno Rajski siedział w kieszeni Niemców)!

Podczas buntu majowego stał cały korpus lotniczy po stronie praworządowej i utrudniał buntownikom w zajęciu Warszawy. Niestety zamiast okładać Warszawę bombami, brano wzgląd na cenne budynki i publiczność przypatrującą się-niby w kinie-walkom ulicznym i nie wykorzystano lotnictwa tak, jakby to można było zrobić.(Osobiście jestem przekonany, że działał tu hamująco ten minister wojsk. Malczewski,siedzący-jak zawsze-na dwóch stołkach!)

Gdy Piłsudski odniósł w końcu zwycięstwo nad praworządnym rządem, zamknął Rozwadowskiego, Zagórskiego, Malczewskiego i Jaźwińskiego w Wilnie na Antokolu i trzymał, jako więźniów. Trzymano ich tam blisko rok, gdy Zagórski dostał jakąś poufną wiadomość, że go mają wywieść gdzieś. Rozwadowski miał browning, w który uzbroił Za-

górskiego. I istotnie pewnego poranku zjawili się jacyś dwaj oficerowie, którzy zabrali Zagórskiego i wywieźli do Warszawy.

To co teraz będę opowiadać, jest mi wiadomym z ulotki, która w jakiś czas później kursowała. Mianowicie zawieziono go do jakiegoś fortu warszawskiego, czy jakiejś wartowni i tam zażądano od niego wydania jakichś dokumentów (zapewne kompromitujących Piłsudskiego). Zagórski odmówił, a gdy chciano siłą wymóc to na nim, bijąc go, on dobył błyskawicznie browninga i zastrzelił kpta.Myśliszewskiego. Na to inni rzucili się na niego i w końcu zabili go. Potem miano zawołać jakiegoś rzeźnika z 1.p szwoleżerów; ten odrąbał głowę trupa, a resztę ciała pociął na kawałki. Głowę miano zakopać w ogrodzie w Belwederze, a resztę poćwiartowanego ciała rzucić do Wisły, gdzie w kilka dni jacyś rybacy mieli znaleść tułów bez głowy. Czy to dokładnie tak było, trudno mi twierdzieć, bo moje wiadomości polegają na zwyż wymienionej ulotce, za której autentyczność nikt nie odpowiada. Faktem jednak jest, że ci dwaj oficerowie wywieźli Zagórskiego, i od tego czasu ślad po nim zaginął, wszystkie poszukiwania prowadzone przez rodzinę i przyjaciół nie dały żadnego rezultatu. Piłsudczycy lansowali bajeczkę, jakoby Zagórski jadąc w Warszawie ze tymi oficerami, miał ich prosić o pozwolenie udania się do łaźni, koło której jechali, oni mu na to zezwolili i on wszedłszy tam, uciekł im. Głupi bardzo byłby ten, ktoby takiej naiwnej bajce wierzył!

Tak zginął człowiek tak wartościowy właśnie w czasie, gdzie był tak potrzebny i jako szef lotnictwa wprost nie do zastąpienia!

Chcąc być bezstronnym trzeba także i wady jego charakteru przytoczyć: mianowicie był on szalenie mściwy i to aż do brutalności. Jako przykład opowiadał mi absolutnie wiarygodny człowiek, że Zagórski jako porucznik artylerii we Lwowie miał pojedynek na pistolety i swego przeciwnika ranił śmiertelnie. Jest u gentelmenów w zwyczaju odwiedzić rannego. Zagórski nie tylko nie uczynił tego, lecz nawet

wyraził się:" Jeszcze nie zdechł ten pies!?" Pięknie to z jego strony nie było!

Nie dziwić się należy, że gdy się tacy dwaj mściwi ludzie, jak Piłsudski i Zagórski spotkali na drodze życia , a nienawidzili się, to ,to musiało się skończyć śmiercią jednego z nich!

Zakończenie I części "Luźnych Kart".

Nie podaję więcej sylwetek osobistości legionowych, bo za mało ich znałem i za mało miałem z nimi do czynienia.

Na tym kończę 1.część moich luźnych kart, zdając sobie zupełnie jasno sprawę z tego, że spisałem je dość nieporządnie, nie uporządkowawszy materiału pamiętnikarskiego należycie i powtarzając niektóre rzeczy na kilku miejscach. Również pod względem stylistycznym są te "Luźne Karty" bardzo marnie wycyzelowane!

Zaszła jednak następująca okoliczność:" Luźne Karty" zacząłem pisać na kilka lat przed wybuchem wojny światowej i doprowadziełm je do końca r. 1915. Jako materiał pamiętnikarski miałem notatki, w których każdy dzień 1. wojny światowej, był choćby kilku słowami zaznaczony. Był mianowicie w armii austr. przepis, nakazujący wprost prowadzenie takich pamiętników, które miały być podkładem do bezstronnego przedstawienia przebiegu wojny. Tymczasem Austria się rozpadła i moje pamiętniki zostały u mnie.

Pisząc je w Rykowie, dojechałem był do strony 216.* gdy wybuchła wojna 1939. Gdy selkomy i bolsz. hulały po moim dworze i każdej chwili mogli mi to zabrać, postanowiłem gdzieś dać to komuś w przechowanie. Akurat przyjechała Andzia Wolska, która już w Złoczowie mieszkała i oświadczyła gotowość wzięcia je ze sobą do Złoczowa, gdzie zażywała zupełnego spokoju. Jednak później, gdy NKWD zaczęło wywozić i aresztować ludzi, dała ona to w przechowanie swemu byłemu kupcowi zboża Handlowi Psache, bardzo porządnemu człowiekowi, który je bardzo dowcipnie schował był gdzieś na strychu. Tam leżały one, aż przyszły

* 216 strona w brudnopisie!!

walki o Złoczów i jego bombardowanie. Jedna bomba uderzyła właśnie w ten dom, gdzie mieszkał Psache i zawaliła go częściowo. Gdy bombardacja minęła i wszystko się uspokoiło, poszedłem do niego, by te papiery i notatki odebrać, ale cóż! Właśnie bomba zburzyła tę część domu, gdzie one były ukryte, tak, że ledwie część notatek i 16 stron "Luźnych Kart" zdołaliśmy uratować.

Musiałem więc z głowy i pamięci rekapitulować zdarzenia i to jest przyczyną, nieporządnej i nie b. chronologicznej redakcji "Luźnych Kart"

Koniec części I.

Spis rzeczy I części "Luźnych Kart"